

VICTORIA
HOLT

ZIELONY BLASK



Próchnyński i S-ka



Philippa Carr

Zielony blask

The Pride of the Peacock

Przełożyła Ewa Tade

W Domu Wdów

Byłam małą dziewczynką, gdy uświadomiłam sobie, że z moją osobą wiąże się jakaś tajemnica. Czułam się obca. Różniłam się od wszystkich mieszkańców Domu Wdów.

Często chodziłam nad strumyk przepływający między Domem Wdów a Dębowym Dworem i wpatrywałam się w jego czyste wody, jakby to one mogły wyjaśnić zagadkę. Fakt, że wybrałam tamto miejsce nad strumieniem, musiał mieć jakieś szczególne znaczenie. Nigdy nie zapomnę spojrzenia Maddy, naszej służącej i mojej opiekunki, która mnie tam kiedyś zastała.

— Dlaczego panienka tu przyszła? — spytała. — Panna Miriam zabroni panience tu przychodzić, jak się dowie.

Znów jakieś tajemnice! Co w tym złego, że podziwiam uroczy strumyk i przerzucony nad nim mostek? To miejsce niezmiernie mnie pociągało, bo naprzeciw majaczyły szare mury Dębowego Dworu.

— Lubię ten zakątek — odparłam stanowczo.

A ponieważ zakazane owoce smakowały mi szczególnie słodko, ledwo odkryłam, że są jakieś powody, dla których nie powinnam bywać nad strumykiem, chodziłam tam, kiedy tylko mogłam.

— To niedobrze dla panienki chodzić tam tak często — upierała się Maddy.

Chciałam wiedzieć dlaczego. Zawsze chciałam wszystko wiedzieć i Maddy nazywała mnie z tego powodu „panną Kto-Co-Po co”.

— Bo to niedobre miejsce. Słyszałam, jak panna Miriam i pan Xavier mówili, że niedobre.

— Ale dlaczego?

— Masz ci los! Niedobre i już. I dlatego proszę tam więcej nie chodzić.

— Ale czy jest nawiedzone?

— Może i jest.

Dalej jednak chodziłam nad strumyk, siadałam nad brzegiem i myślałam, jak jego wody piętrzą się u młynów, wiją po równinach, rozlewają szeroko uchodząc do Tamizy, i w tak dostojnym towarzystwie wpadają do morza.

Dlaczego niedobrze tu przychodzić? — myślałam. Z wyjątkiem pory obfitych opadów strumyk był zawsze płytki — patrząc w przezroczystą wodę, można było rozróżnić leżące na dnie brązowawe

kamyki. Na drugim brzegu wierzba smętnie zwieszała gałęzie. Co oplakiwała? To coś „niedobrego”?

Siedząc nad wodą rozmyślałam o sobie, a szczególnie nad odczuciem, że tak naprawdę nie przynależę do Domu Wdów.

To odczucie wcale mi zresztą nie przeszkadzało. Byłam inna i chciałam być inna. Nawet moje imię było inne. Brzmiało Opal — Opal Jessika. Często się zastanawiałam, jak moja matka mogła nazwać mnie tak fantazyjnie, skoro sama była osobą zupełnie fantazji pozbawioną. Nieszczęsny, zawsze smutny ojciec z pewnością nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia — wciąż wisiała nad nim ciemna chmura, taka sama, jaką czasami wyczuwałam wokół siebie.

Nigdy nie nazywano mnie imieniem Opal, ale ja używałam go, zwracając się w myślach do siebie samej, a robiłam to często. Pewnie dlatego, że często byłam sama. Tajemnica związana z moją osobą spowijała mnie niczym mgłą, przez którą trudno mi było patrzeć. Maddy od czasu do czasu rozpaliała w tej mgle nikłe światełka, które jednak nie rozpraszały, lecz tylko pogłębiały mrok.

Nosiłam więc imię, którego nikt nie używał. Dlaczego mi je nadano? Matka robiła wrażenie bardzo starej. Musiała mieć ponad czterdzieści lat, gdy mnie urodziła. Moja siostra, Miriam, była ode mnie o piętnaście lat starsza, a brat, Xavier, o całe dwadzieścia. Nigdy nie traktowałam ich jak rodzeństwa. Miriam pełniła obowiązki mojej guwernantki, gdyż bieda nie pozwalała nam na zatrudnienie zawodowej nauczycielki. Temat naszego ubóstwa bezlitośnie panował w domu.

Niezliczoną ilość razy słyszałam, co mieliśmy w przeszłości, a czego nie mamy teraz, ponieważ stoczyliśmy się z najwyższych szczytów luksusu w, jak to nazywała matka, niedostatek.

Nieszczęsny ojciec kurczył się, gdy mówiła o „lepszych czasach”, czasach licznej służby, hucznych bali i wykwintnych bankietów. Zawsze jednak było co jeść w Domu Wdów, mieliśmy Biednego Jarmana, który zajmował się ogrodem, panią Cobb do gotowania i Maddy, dziewczynę do wszystkiego — nie byliśmy więc tak całkiem bez grosza. A ponieważ matka przesadzała w sprawie naszej biedy, wydawało mi się, że przesadza także, jeśli chodzi o minione bogactwo, i wątpiłam, czy tamte bale i tamte bankiety były istotnie tak wspaniałe.

Miałam z dziesięć lat, gdy dokonałam złowróżbnego odkrycia. W Dębowym Dworze przyjmowano gości, po drugiej stronie strumyka rozbrzmiewały wesołe głosy. Z mojego okna widziałam, jak wyjeżdżano na polowania ze sforą.

Żałowałam, że nigdy nie zaproszono mnie do Dębowego Dworu, bo marzyłam, by zobaczyć, jak wygląda w środku. Zimą, gdy pozbawione liści dęby nie osłaniały wielkiego domu, widać było zarys jego murów. Prowadziła do niego kilkusetmetrowa kręta aleja. Obiecywałam sobie, że kiedyś przejdę na drugi brzeg i śmiało podejść bliżej Dworu.

Tamtego dnia siedziałyśmy w pokoju lekcyjnym z Miriam. Nie była zbyt inspirującą nauczycielką i często się niecierpliwiła. Wysoka, blada — skoro ja miałam dziesięć lat, ona musiała mieć dwadzieścia pięć — nieustannie rozgoryczona i, jak cała reszta, wspominająca

„lepsze czasy”, patrzyła na mnie czasem z zimną niechęcią. Nie mogłam myśleć o niej jak o siostrze.

Myśliwi i goście z Dębowego Dworu przejeżdżali właśnie obok naszego domu. Zerwałam się i podbiegłam do okna.

— Jessiko! — wykrzyknęła Miriam. — Co ty robisz?

— Chcę zobaczyć jeźdźców — odrzekłam.

Chwyciła mnie za ramię, niezbyt delikatnie, i odciągnęła od okna.

— Zobaczą cię — zasyczała, jakby to miało być dla mnie ponizające.

— No to co? — spytałam. — Widzieli mnie wczoraj, machali do mnie i mnie pozdrawiali.

— Żebyś nie ośmieliła się z nimi rozmawiać! — ostrzegła surowo.

— Dlaczego?

— Bo mama będzie się gniewać.

— Mówisz o nich jak o dzikusach! Nie mogę zrozumieć, co w tym złego, że powiedzą mi „dzień dobry”.

— I nie zrozumiesz, Jessiko.

— Póki mi ktoś nie wyjaśni.

Zawahała się, ale uważając widocznie, że uchylenie rąbka tajemnicy może odwieść mnie od popełnienia śmiertelnego grzechu bycia miłą dla gości Dębowego Dworu, powiedziała:

— Dębowy Dwór należał kiedyś do nas i nigdy o tym nie zapomnimy.

— A dlaczego teraz nie jest nasz?

— Bo oni nam go zabrali.

— Zabrali? W jaki sposób?

Wyobrażałam sobie oblężenie: mama, bojowa i władcza, rozkazuje rodzinie łać z blanek wrzącą oliwę na nikczemnych wrogów, Miriam i Xavier wykonują rozkazy bez szemrania, ojciec próbuje zrozumieć racje napastników.

— Kupili Dębowy Dwór.

— Czemu go sprzedaliśmy?

Miriam zacisnęła usta.

— Bo nie stać nas było na jego utrzymanie.

— Aha, niedostatek... — powiedziałam. — To tam były nasze „lepsze czasy”.

— Twoje nie. Wszystko to się działo, zanim przyszedł na świat. Ale ja spędziłam dzieciństwo w Dębowym Dworze i wiem, *co* to znaczy popaść w nędzę.

— A ja nie, skoro nigdy nie żyłam w „lepszych czasach”. Jak to się stało, że tak zbiednieliśmy?

Nie chciała o tym mówić. Powiedziała tylko: — Musieliśmy sprzedać Dębowy Dwór tym...

barbarzyńcom. Zatrzymaliśmy jednak Dom Wdów. Tyle nam zostało. Dlatego nie chcemy, żebyś zwracała uwagę na ludzi, którzy odebrali nam dom.

— Czy oni naprawdę są barbarzyńcami... są dzicy?

— Bez mała.

— Wyglądają jak zwykli ludzie.

— Och, Jessiko, co z ciebie za dzieciak! Niczego nie rozumiesz i najlepiej będzie, jeśli pozostawisz te sprawy starszym. Teraz wiesz, że kiedyś mieszkaliśmy w Dębowym Dworze i dlatego nie chcemy, żebyś chodziła i podglądała nowych właścicieli jak wieśniaczka. Wracajmy do algebry. Jeśli masz zdobyć choć odrobinę wiedzy, musisz więcej uwagi poświęcać książkom.

Jak można zajmować się równaniami po takim odkryciu! Za wszelką cenę chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o barbarzyńcach, którzy zajęli nasz dom. Postanowiłam przystąpić do zbadania sprawy — z właściwą sobie energią, lecz niezbyt natrętnie.

Sądziłam, że łatwiej dowiem się czegoś od służby niż od rodziny, więc spróbowałam z Biednym Jarmanem, który doglądał naszego ogrodu przez wszystkie długie — letnie, i krótkie —

zimowe dni roku, oczywiście pod surowym nadzorem mamy. Nieszczęsny Biedny Jarman! Jego bieda była, jak sam powiadał, darem natury, która co rok powiększała jego rodzinę o kolejne dziecko.

„To natura chce, żebym był biedny”, twierdził z upodobaniem, co ja osobiście uważałam za brak taktu ze strony natury. *Natura szczodrze obdarzająca...* kaligrafowałam pod okiem Miriam.

Nazbyt hojna wobec Jarmana natura czyniła go człowiekiem pokornym, który odnosił się do wszystkich, z wyjątkiem mnie, z wielkim szacunkiem. Do mnie mawiał: „Niech się ino panienka trzyma z dala od tych przeklętych trawników, bo jak pani zobaczy, że są podeptane, to mnie się dostanie”.

Łaziłam za nim przez tydzień, w nadziei że coś z niego wyciągnę. Zbierałam puste doniczki, zносиłam je do cieplarni i układałam w wysokie słupki. Obserwowałam, jak przycina gałązki i pieli grządki.

— Tak panience raptem grzebanie w ziemi do gustu przypadło?

Uśmiechnęłam się chytrze, nie mówiąc oczywiście, że chodzi o przeszłość.

— Jarman pracował w Dębowym Dworze, prawda? — spytałam.

— Taaa... To były czasy...

— Lepsze czasy.

— To były trawniki! Co za trawa. Najlepsza gleba w okolicy. Wystarczy spojrzeć na świętojańskie ziele. Ani się człowiek obejrzy, a już go wszędzie pełno. Rośnie w oczach.

— Hojność natury — powiedziałam. — Równie szczodra dla świętojańskiego ziele, jak dla Jarmana.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, zastanawiając się pewnie, o czym ja właściwie mówię.

— Dlaczego Jarman odszedł z Dębowego Dworu?

— Za matką panienci żem poszed. Z przywiązania.

Sięgał pamięcią w przeszłość, nim hojna natura uczyniła go Biednym Jarmanem. Wsparty o stylisko, patrzył w dal rozmarzonym wzrokiem.

— Dobre czasy... Kto by pomyślał, że się mogą skończyć. A tu nagle...

— Nagłe... — niecierpliwiłam się.

— ...przychodzi pani i „Jarman”, mówi, „sprzedaliśmy Dwór, Przenosimy się do Domu Wdów”. Jakby mi kto przez łeb dał. Chociaż niektórzy mówili i się spodziewali. A pani mówi:

„Jeśli przeniesiesz się z nami, dostaniesz kawałek ziemi pod chałupę, będziesz mógł się ożenić”.

Tak się zaczęło. Nie minął rok, jak zostałem ojcem.

— Powiedział Jarman, że się o tym mówiło?

— Taaa... W rodzinie byli hazardziści. Stary pan Clavering bardzo lubił grać i podobno przegrywał dużo pieniędzy. To i trzeba było dać dom w zastaw, a takie coś jest dla domu niedobre, a co niedobre dla domu, to i niedobre dla tych, co w nim pracują.

— A więc wszyscy wiedzieli, że zanoszą się na burzę...

— Wszyscy wiedzieli o kłopotach z pieniędzmi, bo czasami nie było płacone i przez dwa miesiące. W niektórych rodzinach panują takie zwyczaje, ale u Claveringów nigdy czegoś takiego nie było. I wtedy on przyjechał. I zajął Dwór. Jakiś taki, co skarbów szuka. Na czymś tam się dorobił. Z zagranicy przyjechał.

— Dlaczego Jarman nie został i nie pracował u niego?

— Ja tam zawsze byłem przy dobrze urodzonych, panienko. A poza tym ta chałupa.

Jarman miał jedenaścioro dzieci, a więc wydarzenia, o których mówił, musiały mieć miejsce przed dwunastu laty.

— Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie — powiedziałam, starając się utrzymać bieg jego myśli na właściwym torze.

— Taaa... to się stało ze dwa lata wcześniej.

Zatem dwanaście lat temu — więcej niż całe życie, moje życie przynajmniej.

Od Jarmana dowiedziałam się tylko tego, że wszystkiemu winna była skłonność mojego ojca do hazardu. Dlatego matka traktowała ojca z pogardą. Zrozumiałam sens jej gorzkich uwag.

Biedny tata przesiadywał w swoim pokoju, stawiając pasjanse. Zabawiał się samotną grą, bez obawy, że straci cokolwiek na rzecz partnera, którego trzeba będzie spłacić, a jednocześnie nie rezygnując z kart, które wciąż kochał i które najwyraźniej były powodem niechlubnego odwrotu naszej rodziny ze świata bogactw i dobrobytu.

Może pani Cobb powie mi więcej, myślałam. Jak cała reszta, ona także była przywiązana do

„lepszych czasów”. Przeniosła się wraz z państwem do Domu Wdów i nieustrudzenie opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać, że przywykła do pokojówek, kuchennych, lokai i lokajczyków.

Praca w takim domu jak Dom Wdów oznaczała oczywiście pewną degradację, ale przynajmniej rodzina, u której pani Cobb była zatrudniona, miała za sobą, podobnie jak ona sama, „lepsze czasy”, a to co innego niż pracować dla kogoś, kto nie miał za sobą zupełnie nic.

Ojciec, stawiający pasjanse, oddający się lekturze i samotnym spacerom, dźwigający na barkach ciężar własnej winy, nie był, rzecz jasna, człowiekiem, od którego mogłabym się czegokolwiek dowiedzieć. Zresztą on ledwie był świadom mojego istnienia. A kiedy mnie dostrzegał, jego twarz przybierała taki sam wyraz jak wtedy, gdy matka przypominała mu, że z powodu jego słabości do kart podupadła cała rodzina. Był mi obojętny — dość szczególny to sposób postrzegania własnego ojca, ale tak jak on w ogóle się mną nie interesował, tak mnie trudno było żywić do niego jakiegokolwiek uczucia, z wyjątkiem litości, gdy musiał znosić nieustanne wypominanie mu jego win.

Tym bardziej nie mogłam liczyć na mamę. Kiedy byłam mała i śpiewaliśmy w kościele o

„nieustannej matki trosce”, powiedziałam Miriam, że troska mojej matki o mnie nie mogłaby ustać, bo nigdy nie istniała. Na to Miriam aż poczerwieniała i powiedziała, że jestem niewdzięczna i że powinnam się cieszyć, że mam taki dobry dom. Zastanawiałam się, dlaczego ten dom, wzgardzony przez innych, miałby być dobry dla mnie, ale złożyłam to na karb faktu, że oni zaznali „lepszych czasów”, a ja nie.

Mój brat, Xavier, był postacią odległą, romantyczną i rzadko przeze mnie widywaną. Doglądał

ziemi, którą udało się nam uratować z posiadłości Dębowego Dworu i która składała się z jednego gospodarstwa i kilku akrów pastwisk. Kiedy go widywałam, był dla mnie miły w dość zagadkowy sposób — tak jakby uznawał moje prawo do pobytu w tym domu, ale nie bardzo wiedział, skąd się w nim wzięłam, a był zbyt uprzejmy, by spytać. Słyszałam, że kochał się w lady Klarze Donningham, która mieszkała jakieś dwadzieścia mil od nas, ale ponieważ nie mógł

zapewnić jej warunków, do których przywykła, nie prosił, by za niego wyszła. Lady Klara była bardzo bogata, a my żyliśmy, jak często słyszałam od mamy, w niedostatku. Tak tedy Xavier i lady Klara nie mogli połączyć swoich losów, choć jeśli wierzyć pani Cobb, która miała powiązania z domem lady Klary poprzez tamtejszego kucharza, jaśnie panienka nie odprawiłaby Xaviera, gdyby poprosił ją o rękę. Ponieważ jednak Xavier był zbyt dumny, a konwenanse zabraniały lady Klarze wspominać pierwszej o tych sprawach, pozostawali rozdzieleni. Z tego właśnie powodu Xavier był w moich oczach postacią niezwykle romantyczną. Oto rycerski książę idzie przez życie, skrywając namiętność, o której dobre maniery wzbraniają mu mówić.

Ktoś taki jak on z pewnością w niczym mi nie pomoże, niczego mi nie powie.

Gdyby tak udało się skusić Miriam do uchylenia rąbka tajemnicy! Ale ona nie była skora do zwierzeń. Między nią a wikarym wielebnego Jaspera Greya istniała nić porozumienia, nie mogli jednak się pobrać, póki wikary nie zostanie pastorem, a przy pełnej skromności naturze wikarego mogło to nastąpić i za dobre parę lat.

Maddy powiedziała mi, że gdybyśmy mieszkali w Dębowym Dworze, wydawano by wieczory taneczne, przychodziłoby mnóstwo ludzi i nie jakiś tam wikary byłby partią dla panny Miriam.

O, nie! W grę wchodziłoby właściciele ziemscy, może jakiś sir albo nawet lord. O tak, to byłyby czasy.

Maddy była jedyną osobą, na którą mogłam liczyć. Ona także mieszkała w Dębowym Dworze. Poza tym uwielbiała gadać i jeśli tylko przyrzekałam, że dochoвам tajemnicy — co byłam gotowa uczynić bez wahania — od czasu do czasu rzucała jakiś strzęp informacji.

Maddy miała trzydzieści pięć lat, była o pięć lat starsza od Xaviera. Przyjęto ją do Dworu jako jedenastoletnią dziewczynkę do pracy przy dzieciach.

— Takie tam wszystko było wspaniałe. Dzieci miały tak ślicznie...

— A Xavier był kochanym małym chłopczykiem — dodałam.

— O tak! On nie był skory do psot!

— A kto? Miriam?

— Nie, ona także nie.

— Więc dlaczego powiedziałaś, że jedno z nich psociło?

— Nic takiego nie powiedziałam. A panienka to jak jaki sędzia. A co to? A co tamto?

Rozgniewała się. Zacisnęła usta, jakby chciała mnie ukarać za to, że stawiam ambarasujące pytania. Dopiero później zrozumiałam, dlaczego ją drażniły.

Kiedyś powiedziałam do Miriam:

— Ciekawe, ty się urodziłaś w Dębowym Dworze, a ja w Domu Wdów.

Zawahała się, po czym odpowiedziała:

— Ty się nie urodziłaś w Domu Wdów... tylko za granicą.

Miriam sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej i jakby zdziwionej, że udało mi się wydobyć z niej jakieś szczegóły.

— Mama podróżowała właśnie po Włoszech.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia. Wenecja, pomyślałam. Gondole! Piza z krzywą wieżą! Florencja, gdzie Dante i Beatrycze kochali się miłością czystą, jak mówiła Miriam.

— Gdzie to było? — spytałam.

— W ... Rzymie.

— Juliusz Cezar! — wykrzyknęłam w uniesieniu. — Kości zostały rzucone! Ale dlaczego właśnie tam?

Miriam patrzyła poirytowana.

— Bo zachciało ci się przyjść na świat akurat wtedy, gdy oni tam byli.

— Była tam z ojcem? Nie za wiele ich to kosztowało? Ubóstwo i taka podróż?

Miriam wyglądała na zbolałą w ten szczególny, jej tylko właściwy sposób.

— Dość powiedzieć, że tam byli — ucięła krótko.

— Nie wiedzieli, że mam się urodzić. To znaczy, chyba by nie wyjeżdżali, gdyby wiedzieli?

— Czasami tak się zdarza. Ale dość gadania.

Miriam potrafiła być bardzo surowa... Niekiedy współczułam wikaremu, jeśli rzeczywiście mieliby się pobrać, i ich nieszczęsnym przyszłym dzieciom.

Miałam więc nad czym rozmyślać. Co za dziwne przypadki wiązały się z moją osobą! Może dlatego,

że byli w Rzymie, nazwali mnie Opal. Usiłowałam dowiedzieć się czegoś o opalach.

Zajrzałam do słownika i ogarnęły mnie mieszane uczucia. Nic pochlebnego nosić imię minerału, który składa się głównie z krzemionki! A w każdym razie nie ma w tym nic romantycznego.

Dowiedziałam się jednak także, że opale mogą mieć rozmaite odcienie czerwieni, zieleni, błękitu... że mienią się wszystkimi barwami tęczy, co już brzmiało o wiele lepiej. Trudno mi było jednak wyobrazić sobie mamę, jak w beztroskim nastroju, natchniona błękitem włoskiego nieba, nadaje swemu dziecku imię Opal — nawet jeśli dodała także praktyczniejsze Jessika, którego wszyscy używali.

Wkrótce po tym, jak widziałam wyjeżdżających z Dębowego Dworu gości, dowiedziałam się, że i jego właściciel wyjechał. We Dworze zostali sami służący, ucichły odgłosy biesiad, nie pojawiali się goście — z wyjątkiem tych, których łączyło coś ze służącymi.

Przez pewien czas życie toczyło się zwyczajnym trybem. Ojciec spędzał samotnie dni nad swoimi pasjansami lub na spacerach, odcinając się od utyskiwań reszty rodziny. Matka zarządzała domem i zajmowała się sprawami wspólnoty kościelnej, opiekowała się biednymi, do których, jak nam wiecznie przypominała, należeliśmy, choć wciąż jeszcze żyliśmy na tyle dostatnio, by nie przyjmować datków, lecz je rozdawać. Xavier wiódł monotonne życie, marząc zapewne o nieosiągalnej Klarze (moja sympatia do nich mieszała się z pewnym zniecierpliwieniem: gdybym była lady Klarą, powiedziałabym otwarcie, że pieniądze nie mogą stać na przeszkodzie szczęściu; gdybym była Xavierem, powiedziałabym to samo). Podobnie było z Miriam i jej wikarym. Mogli oczywiście, jak Biedny Jarman, mieć mnóstwo dzieci.

Wikarzy płodzili dość obficie i im byli biedniejsi, tym więcej dzieci przychodziło na świat w ich rodzinach.

Z upływem lat tajemnica wciąż pozostawała tajemnicą, a moja ciekawość wcale nie malała.

Nabierałam pewności, że moi bliscy mają powody, by dawać mi odczuć, że jestem intruzem.

* * *

Modlitwy na początek dnia odmawiano każdego ranka i wszyscy domownicy powinni byli brać w nich udział — obecności oczekiwano nawet od ojca. Modlono się w salonie. „Skoro nie mamy teraz kaplicy...” — stwierdzała chłodno matka, rzucając jadowite spojrzenie ojcu, a następnie obracając się ku Dębowemu Dworowi, gdzie przez tyle lat, w miejscu stosowniejszym niż salon, zwykła klęczeć w pokorze. Przychodzili także: Biedny Jarman, pani Cobb i Maddy.

„Cała służba” — jak mawiała z goryczą matka. We Dworze służba była tak liczna, że nie próbowała nawet pamiętać wszystkich imion.

Poranna modlitwa była pełną namaszczenia ceremonią, którą kierowała napominając, byśmy cierpliwie, z wdzięcznością i godnością trwali na stanowiskach, na które Bóg nas powołał, co wydawało mi się niestosowne, gdyż ona sama nie była zadowolona ze swego położenia.

Traktowała Boga nieco z góry. „Spójrz na ten oto padół...” — zwracała się do Niego, albo: „Nie pozwól...” — jakby przemawiała do szefa służby w Dębowym Dworze.

Poranne pacierze w domu wydawały mi się irytujące, lubiłam natomiast nabożeństwa w kościele, choć może z innego powodu, niż powinnam. Kościół był piękny, a przyglądanie się witrażom o niezwykłych barwach sprawiało mi przyjemność. Barwy opali, myślałam z satysfakcją. Uwielbiałam śpiew chóru i sama bardzo lubiłam śpiewać.

Przed Wielkanocą Miriam dekorowała kościół. Ciekawa byłam, czy wikary jej pomaga i czy wiodą smutne rozmowy o tym, że nie mogą się pobrać, bo są zbyt biedni. Miałam ochotę im wytknąć, że ludzie ze wsi są o wiele biedniejsi, a jednak sprawiają wrażenie szczęśliwych.

Miejsce, które od wieków zajmowali w kościele Clavingowie, wciąż należało do nas. Były to dwie pierwsze ławki z małymi, zamykanymi na klucz drzwiczkami. Gdy zasiadaliśmy w nich całą rodziną, matka czuła się pewnie jak za dawnych dobrych lat. Być może dlatego tak lubiła chodzić do kościoła.

Po obiedzie w niedzielę Wielkiej Nocy szliśmy z kwiatami na cmentarz i składaliśmy je na grobach zmarłych ostatnio członków rodziny. Tu także nasza pozycja została zachowana —

groby Clavingów znajdowały się w najlepszej części cmentarza, najpiękniejsze też były ich nagrobki. Matka ubolewała, że jej grób nie będzie tak wspaniały, jak mógłby być, gdyby pieniądze nań przeznaczone nie zostały haniebnie roztrwonione.

Tamtej szczególnej wielkanocnej niedzieli miałam szesnaście lat. Doroślałam, wkrótce miałam przestać być dzieckiem. Ciekawiło mnie, co przyniesie przyszłość. Nie chciałam starzeć się jak Miriam, która skończyła już trzydzistkę, a małżeństwo z wikarym było dalej wielką niewiadomą.

Nabożeństwo było uroczyste, kazanie interesujące. „Bądź zadowolony i okazuj wdzięczność za to, co dał ci Bóg”. Słowa w sam raz dla Clavingów. Zastanawiałam się, czy wypowiadając je wielebny Jasper Grey miał nas na myśli. Czy przypominał nam, że Dom Wdów jest wygodną, a nawet wspaniałą rezydencją, jeśli brać pod uwagę inne kryteria niż te z Dębowego Dworu?

Miriam i jej wikary powinni się cieszyć z tego, co mają, i wziąć ślub. Xavier i lady Klara powinni zrobić to samo. Ojcu powinno się pozwolić zapomnieć, że to z jego powodu znaleźliśmy się w takim położeniu, a matka powinna cieszyć się tym, co ma. Jeśli o mnie chodzi, czułam się szczęśliwa, i gdybym tylko mogła znaleźć odpowiedź na niektóre dręczące mnie pytania, byłabym całkowicie ukontentowana. Może w głębi serca pragnęłam miłości, bo tak naprawdę nigdy jej nie zaznałam. Chciałam, by czyjeś oczy rozpały się blaskiem na mój widok.

Chciałam, by ktoś się niepokoił, gdy spóźniam się do domu — nie dlatego, że niepunktualność była niepożądana i świadczyła o braku dobrych manier, ale z obawy, czy nie spotkało mnie coś złego. „Boże — modliłam się — spraw, by mnie ktoś pokochał”. I śmiałam się sama do siebie, bo mówiłam Mu, co ma robić, jak moja matka.

Gdy przyszła pora wizyty na cmentarzu, wzięłam koszyk żonkili i poszliśmy z mamą i Miriam w

stronę kościoła. W kwaterze Claveringów była pompa, z której czerpało się wodę do słoików na kwiaty. Leżał w owej kwaterze dziadek, który zaczął trwonić rodzinny majątek, leżała babka oraz pradziadkowie i prababcie, a także brat i siostra ojca, ale nie mogliśmy przystroić, rzecz jasna, wszystkich grobów. Lubiłam krążyć pomiędzy krzewami i otwartymi księgami z kamienia, i czytać wyryte w nich słowa. Były tam nagrobki rozmaitych wujków, którzy oddali życie w różnych bitwach — byliśmy walecznym rodem.

— Odejdźże stamtąd, Jessiko — powiedziała mama. — Ty masz naprawdę jakieś niezdrowe skłonności.

Pełna skupienia wróciłam do Domu Wdów, a późnym popołudniem poszłam przez ogród nad brzeg strumienia. Wciąż myślałam o zmarłych dawno temu Claveringach, którzy tak mężnie walczyli za ojczyznę. My, Claveringowie, mieliśmy swój udział w kształtowaniu historii tego kraju, myślałam z dumą.

Szłam wzdłuż strumienia, aż dotarłam do końca ogrodów Domu Wdów. Dalej rozciągały się łąki — akr wysokich, nie pielęgnowanych traw. Przy płocie rosła „głucha pokrzywa” o rozwijających się właśnie pąkach, która kwitła zwykle aż do grudnia. Niedługo zaczną uwijać się wokół niej pszczoły, i to tak, że trudno będzie się zbliżyć. Nikt nigdy tutaj nie zachodził. O tym kawałku ziemi mówiliśmy Nieużytki.

Nagle spostrzegłam na ziemi bukietek fiołków związany tasiemką z białej bawełny.

Zatrzymałam się, by go podnieść, i rozchyliwszy trawę zauważyłam, że miejsce, na którym leży, jest wypukłe i tworzy długi na dwa metry kopczyk.

Zupełnie jak grób, pomyślałam.

Ale jaki by tu mógł być grób? Uklękłam i rozgarnęłam trawę. Poczułam krągłą wypukłość usypanej ziemi. Tak, to musi być grób i dziś ktoś położył na nim pęk fiołków.

Kto mógłby być pochowany na Nieużytkach? Poszłam nad brzeg strumienia, usiadłam i zaczęłam rozmyślać.

Pierwszą osobą, którą spotkałam wróciwszy do domu, była Maddy — ponieważ nie potrzebowałam już niani, Maddy była pomocą do wszystkiego. Stała akurat przy bieliźniarce i wyjmowała prześcieradła.

— Maddy — powiedziałam — widziałam dzisiaj grób.

— Dziś niedziela wielkanocna, więc nic w tym dziwnego — odparła.

— Ale nie na cmentarzu, tylko na Nieużytkach. Jestem pewna, że to jest grób.

Odwróciła się, lecz zdążyłam zauważyć pełen przerażenia wyraz jej twarzy. A więc wiedziała, że na Nieużytkach jest grób.

— Czyj to grób? — spytałam.

— Dlaczego mnie panienska o to pyta?

— Bo ty wiesz.

— Czas skończyć z tymi przesłuchaniami. Panienska jest zanadto ciekawa.

— To tylko naturalne pragnienie wiedzy.

— Ja to nazywam pchaniem nosa w nie swoje sprawy. Czyste wścibstwo, ot co.

— Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym wiedzieć, kto jest pochowany na Nieużytkach.

— Pochowany na Nieużytkach, pochowany na Nieużytkach... — przedrzeźniała, ale była zakłopotana, i to ją zdradzało.

— Leży tam bukietek fiołków, jakby ktoś pamiętał, że dziś niedziela Wielkiej Nocy.

— O! — rzuciła obojętnie.

— Pomyślałam, że może ktoś pochował tam ukochanego psa.

— Może i tak — podchwyciła z ulgą.

— Ale ten grób jest za duży jak na psa. Tam musi być pochowany człowiek... Ktoś, kto umarł dawno temu, ale jeszcze o nim nie zapomniano. Skoro leżą na grobie kwiaty, to znaczy, że ktoś pamięta.

— Niech no panienska przestanie mi się plątać pod nogami.

Oddaliła się zaaferowana, dźwigając stertę prześcieradeł, ale wypieki na jej twarzy wiele mi mówiły. Wiedziała, kto był pochowany na Nieużytkach, ale nie chciała powiedzieć.

Zamęczałam ją przez kilka dni, lecz niczego nie udało mi się z niej wyciągnąć.

— Och, przestań wreszcie — wykrzyknęła na koniec rozdrażniona — bo dowiesz się czegoś, czego lepiej nie wiedzieć!

Ta zagadkowa uwaga utkwiała w mym umyśle i w najmniejszym stopniu nie osłabiła mojej ciekawości.

* * *

Przez okrągły rok rozmyślałam o tajemniczym grobie, aż następnej wiosny po drugiej stronie strumyka zapanował wielki ruch i zapomniałam o Nieużytkach. Wiedziałam, że coś się dzieje, bo do Dworu ciągnęli kupy, a do mojego miejsca nad strumieniem dochodziły ożywione nawoływania.

Słysząc było miarowe odgłosy trzepania dywanów. Piskliwe głosy kobiet mieszały się z pełnym dostojnością głosem przełożonego służby — widziałam go parę razy i zawsze zachowywał się tak, jakby był właścicielem Dworu. Jego z pewnością nie prześladowało wspomnienie „lepszych czasów”.

Przyszedł wreszcie dzień, gdy ujrzałam nadjeżdżający powóz, wybiegłam z domu i zobaczyłam, że powóz skręca w aleję prowadzącą do Dębowego Dworu. Zawróciłam pośpiesznie, pomknęłam do strumyka, na drugą stronę, zakradłam się blisko Dworu, i ukryta w krzakach zobaczyłam, jak wynoszą z powozu mężczyznę i sadzają go na wózku inwalidzkim. Był

bardzo czerwony na twarzy i krzyczał głośno do otaczających go ludzi w sposób, którego z pewnością nie znano we Dworze za „lepszych czasów”.

— Do środka! — wołał. — Wyłaźże, Wilmot! Chodź tu, pomóż Bankerowi!

Żałowałam, że nie widzę wszystkiego, ale musiałam być ostrożna. Ciekawe, co by ta czerwona twarz powiedziała, gdyby mnie ujrzała. Ten człowiek musiał mieć bardzo porywcze usposobienie i czułam, że lepiej będzie, jeśli pozostanę w ukryciu.

— Wnieście mnie na schody — powiedział. — Dalej sam sobie poradzę. Pokaż im, Banker.

Wreszcie cały orszak znalazł się w środku, ja zaś, przemykając ostrożnie w stronę domu, miałam uczucie, jakby mnie ktoś śledził — może na skutek poczucia winy, że przebywałam nie po tej stronie strumienia, po której powinnam. Nie rozglądałam się jednak, tylko biegłam tak szybko, jak mogłam, i dopiero za mostkiem zatrzymałam się i obejrzałam za siebie. Byłam pewna, że coś się rusza między drzewami, miałam wrażenie, że jestem obserwowana. Poczułam się nieswojo, zastanawiałam się, czy ten ktoś na — skarży mamie. To, że postawiłam stopę na zakazanym terytorium, było już czymś okropnym, a fakt, że na dodatek mnie tam widziano, sprowadziłby na moją głowę prawdziwą burzę.

Idąc do pokoju spotkałam Miriam.

— Wrócił właściciel Dębowego Dworu — powiedziałam.

— Boże, miej nas w swojej opiece! — wykrzyknęła. — Znow się zaczną zabawy, uczyty i całe to zepsucie.

Roześmiałam się wesoło.

— To podniecające... — zaczęłam.

— To niesmaczne — odparła Miriam.

— Chyba miał jakiś wypadek — zaryzykowałam stwierdzenie.

— Kto?

— Ten... kto przejął po nas Dwór.

— Bez wątpienia na to zasłużył — powiedziała Miriam z satysfakcją.

Odwróciła się. Nie znosiła nawet myśleć o nim, ja zaś umierałam z ciekawości.

Spytałam Maddy, bo jedynie ona mogłaby mi wiele powiedzieć, gdyby tylko udało mi się nakłonić ją do zerwania jakichś ślubów milczenia, które musiała chyba kiedyś złożyć, choć czasem sprawiała wrażenie, jakby sama chciała wreszcie zacząć mówić.

— Maddy, wnosili wczoraj do Dębowego Dworu mężczyznę na wózku — powiedziałam.

Przytaknęła.

— Jego wnosili — powiedziała.

— Tego, który kupił od nas Dwór?

— Zdobył wielki majątek, ale do takich miejsc był nienawykły. Jeden z tych, co to ich nazywają nowi bogaci.

— Nowobogaccy — poprawiłam ją wyniośle.

— Jak tam sobie chcesz, moja droga. Ale on do takich właśnie należy.

— Jest inwalidą?

— Miał wypadek. Takim jak on to się zdarza.

— Takim jak on, to znaczy jakim?

— Takim, co to zarobią kupę pieniędzy i kupują sobie dwór, a ci, co w nim mieszkali od pokoleń, muszą się bez gadania wynosić.

— Kiedy on pracował, Clavingowie grali w karty — powiedziałam. — Jak w bajce o mrówce i koniku polnym. Nie ma co go obwiniać. Jak sobie pościelesz...

— Co do tego mają owady? Sama panienska jest jak konik polny. A to to, a to tamto.

— Ale wciąż interesuje mnie ta sama sprawa — zaprotestowałam. — Chciałabym pójść do Dworu. Czy on tam teraz zostanie?

— Nie tak łatwo radzić sobie, jak się straci nogę. Ma wprawdzie fortunę, chociaż ją nogą przyplacił.

— Maddy pokiwała głową. — Oto właśnie dowód, że pieniądz to nie wszystko, chociaż w tym domu czasami się zdaje, że tak jest. Pani Bukiet mówi, że on teraz trochę w domu pobędzie.

— Kim jest pani Bukiet?

— Gotuje we Dworze.

— Co za wspaniałe nazwisko! Choć pani Bukiet powinna być główną pokojówką, a kucharką mogłaby być pani Rondel albo pani Szponder. Pani Bukiet jest twoją znajomą, tak, Maddy?

— Biorąc pod uwagę fakt, że gotowała tam jeszcze za moich czasów, wydaje się naturalne, że ją znam.

— I widzisz się z nią od czasu do czasu.

Maddy zacisnęła usta. Zrozumiałam, że widuje się z panią Bukiet, i byłam temu rada. Powoli, ostrożnie, a nuż się czegoś dowiem.

— Nie będę przecież traktować jak powietrze kogoś, kogo znam od dwudziestu lat, tylko dlatego...

— Oczywiście że nie. Jesteś przykładem...

— Nie można winić ani pani Bukiet, ani pana Wilmota. Tutaj nie było dla nich miejsca. A rzucić Dwór tylko dlatego...

— Doskonale rozumiem. Stracił więc tę nogę, czy tak?

— Znowu mnie panienka wypytuje. Wyraźnie to widzę. Ale co innego, kiedy ja zamienię słowo z panią Bukiet od czasu do czasu, a co innego, żeby panience na to pozwolić. Dlatego niech się panienka trzyma naszej strony strumienia i nie wnika w sprawy, które jej nie dotyczą.

Tak więc nie dowiedziałam się niczego więcej poza tym, że Maddy odwiedza czasem panią Bukiet.

* * *

Pewnego dusznego lipcowego dnia siedziałam nad strumieniem i patrzyłam w stronę Dworu.

Wtedy to się stało. Spostrzegłam wózek inwalidzki i siedzącego na nim mężczyznę. Poderwałam się z miejsca. Był to naturalnie mężczyzna, który przyjechał powozem. Kolana miał okryte kocem w szkocką kratę. Jadąc w moją stronę, wózek zdawał się zagadkowo przyśpieszać. Chyba wiedziałam, co się dzieje. Wózek toczył się bezwolnie, mknął coraz prędzej po pochyłości prowadzącej do strumienia. Za parę chwil znajdzie się na samym dole, gdzie z pewnością się przewróci.

Nie traciłam czasu. Zbiegłam w dół do strumienia, był płytki z powodu suszy, więc rozpryskując wodę pokonałam go w bród i znalazłam się po drugiej stronie akurat w momencie, gdy wózek już prawie zaczął się staczać ku wodzie.

Mężczyzna na wózku wykrzykiwał:

— Banker! Banker! Gdzie, na miłość boską, jesteś? Banker!

Uczepiłam się wózka i trzymałam go z całych sił, ale przez chwilę miałam wrażenie, że stoczę się razem z nim.

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie szeroko, a jego twarz była czerwiejsza niż wtedy, gdy go widziałam po raz pierwszy.

— Bravo! — wykrzyknął. — Udało ci się! Ledwie od ziemi odrosła, a jaka silna!

Miał przed sobą coś na kształt drążka kierowniczego, poruszył nim i wózek zaczął się toczyć wzdłuż brzegu.

— No! — powiedział. — Tak lepiej. Nie przywykłem jeszcze do tej piekielnej maszyny.

Wypada mi teraz coś powiedzieć, nie? Wywróciłbym się, gdyby nie ty.

— Wiem — odpowiedziałam.

— A gdzie ty byłaś?

— Po tamtej stronie strumienia... po naszej stronie.

Pokiwał głową.

— Całe szczęście, że tam byłaś właśnie teraz.

— Często tam jestem. Lubię to miejsce.

— Nigdy cię nie widziałem. Mieszkasz gdzieś tutaj?

— W Domu Wdów.

— Ale nie jesteś z rodziny Claveringów?

— Właśnie jestem. A pan?

— Ja nazywam się Henniker.

— Ten, który kupił Dębowy Dwór?

— Dokładnie ten.

Roześmiałam się.

— Co w tym śmiesznego? — spytał.

Był dość szorstki w rozmowie.

— Takie spotkanie po tych wszystkich latach.

On także się roześmiał. Nie wiem dlaczego, oboje widzieliśmy w tym coś śmiesznego, ale tak było.

— A więc miło panią poznać, panno Clavering.

— Ja też się cieszę, panie Henniker. Jak się pan miewa?

— Dziękuję, nie najgorzej, panno Clavering. Podjadę trochę wyżej. Tu jakoś niewygodnie. O tam, pod drzewa, w cień. Musimy się przecież lepiej poznać.

— Czy nie potrzebuje pan... Bankera?

— Teraz nie.

— Wołał go pan.

— Zanim cię zobaczyłem.

Szłam obok wózka myśląc, jaka niezwykła przygoda mnie spotkała. Gorąco poparłam propozycję przemieszczenia się pod drzewa, bo nie chciałam, by ktokolwiek mnie zobaczył. Pan Henniker zatrzymał wózek, a ja usiadłam na trawie. Przypatrywaliśmy się sobie.

— Pan jest poszukiwaczem skarbów?

Przytaknął.

— Złoto, jak rozumiem?

Potrząsnął głową.

— Opale.

Poczułam dreszcz emocji.

— Opale! — wykrzyknęłam. — Ja mam na imię Opal!

— Naprawdę? Opal Clavering. Pięknie brzmi!

— Nikt mnie tak nie nazywa. Mówią na mnie Jessika. Dość pospolicie w porównaniu z Opal, prawda? Często się! zastanawiam, dlaczego dano mi to imię, skoro nie zamierzano go używać.

— Nie mogłaś mieć piękniejszego imienia — rzekł.

Jego oczy były jasnoniebieskie, a policzki bardzo czerwone.

— Nie ma nic wspanialszego nad opale — ciągnął. — Tylko nie zacznij mi mówić o rubinach czy diamentach.

— Nie zamierzam.

— Widzę, że wiesz, jak się zachować przy starym dłubaczu.

— Przy kim?

— Przy poszukiwaczu opali.

— Jak się szuka opali? Proszę mi opowiedzieć.

— Obwąchuje się teren, marzy się i ma nadzieję. Każdy poszukiwacz śni o znalezieniu najpiękniejszego kamienia świata.

— Gdzie się ich szuka?

— W południowej Australii — w Coober Pędy i Mooka Country. Są w Nowej Południowej Walii i w Queensland.

— Pan jest z Australii? — spytałam.

— Tam znalazłem opale, lecz pochodzę ze starego kraju, z Anglii. Australia jest bogata w drogie kamienie, a jeszcześmy tam dobrze nie poskrobali. Kto by pomyślał, że trafimy na opale?

Możesz sobie wyobrazić, ile było emocji, gdyśmy je znaleźli. Możesz to sobie wyobrazić? Jacys włóczykije pogrzebali w skale, a tu takie kamienie! Takie znalezisko! Wszyscy do tamtej pory myśleli, że opale są tylko na Węgrzech... nawet nikomu do głowy nie przyszło szukać gdzie indziej. Wydobywano je tam od setek lat. Opale mleczne. Bardzo ładne... ale gdzie im do czarnych, australijskich.

Ucichł, spojrział w niebo. Byłam pewna, że prawie zapomniał o mojej obecności. Myślał o przeszłości, o miejscach odległych o tysiące mil, gdzie wydłubywał — czy jak tam to zwał — czarne opale.

— Diamenty... phi! — ciągnął. — Co to jest diament? Zimny ogień, ot co. Białe! A spójrz na opale! Australijskie opale są najpiękniejsze. Twarde. Nie łupią się łatwo. Są kamieniami szczęścia. W dawnych czasach wierzono, że sprzyjają pomyślności. Czy wiesz, że cesarze i bogacze nosili je, bo sądzili, że chronią ich przed zamachem? Mówiono też, że chronią przed trucizną. Inne podania głosiły, że leczą ślepotę. Czego chcesz jeszcze?

— Niczego — przyznałam ochoczo.

— Oculus Mundi. Tak je nazywają. Wiesz, co to znaczy?

Przyznałam, że moja edukacja nie jest tak zaawansowana.

— Oko Świata — powiedział. — Noś je, a nigdy nie popełnisz samobójstwa.

— Nie mam opali, ale też nigdy nie chciałam popełnić samobójstwa.

— Jesteś za młoda na samobójstwo. Mówisz, że masz na imię Opal. I Jessika? Podoba mi się.

Jessie. Brzmi przyjaźnie.

— Przynajmniej nie nasuwa myśli o potrzebie leczenia ślepoty albo zabezpieczenia się przed trucizną.

— Otóż to — rzekł i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

— Opale dają dar przewidywania — mówił dalej — przewidywania i przepowiadania przyszłości.

Zdjął z małego palca pierścionek i mi go pokazał. Piękny kamień oprawiony w złoto.

Wsunęłam go na kciuk, ale nawet na kciuk był za duży. Patrzyłam na grę barw. Ciemnoniebieski kamień mienił się czerwienią, odcieniami żółci, zielenią. Mężczyzna wyciągnął dłoń, jakby niecierpliwiąc się, że kamień zbyt długo pozostaje w moich rękach.

— Jest piękny — powiedziałam.

— Nowa Południowa Walia... stamtąd pochodzi. Powiem panience, panno Jessie, że pewnego dnia znajdą tam coś wspaniałego... wspanialszego niż to, cośmy znaleźli do tej pory. Tyle że mnie przy tym nie będzie.

Poklepał koc w szkocką kratę.

— Ryzyko tej pracy. Trzeba się z nim pogodzić. I myśleć o korzyściach. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy to się stało. Myślałem, że już koniec. Zbierałem płaskie kamienne guzki, w których zawsze kryją się piękne opale. Były przyklejone do sklepienia jak ostrygi... właśnie tak, jak ostrygi. Nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Wyobraź sobie mnie... dłubiącego w skale.

Byłem w jaskini, głęboko, a one tkwiły w piaszczystym, czerwonym złożu... śliczne kamyczki. Nagle coś huknęło i zwałiło się na mnie sklepienie jaskini. Minęły trzy godziny, zanim mnie wyciągnęli. Ale miałem opale, jeden — prawdziwe cudo, wart nogi, pomyślałem sobie.

Choć, między nami mówiąc, nic człowiekowi nie zastąpi własnych kończyn — nawet takie cudo!

Ach, Boże, to był prawdziwy skarb! Przez chwilę myślałem, że trafił mi się nowy Zielony Blask.

Nie całkiem jednak... chociaż zieleń w nim jest przepiękna... zieleń magiczna. Ten kamień był

pierwszą rzeczą, jaką chciałem zobaczyć po powrocie... Długo trzymali mnie w szpitalu, obcięli mi nogę. Musieli. Gangrena i tak dalej. Minęło dużo czasu, nim zawieźli mnie do Sydney, wiadomo było, że za dużo, by uratować nogę. A później pierwsze, co powiedziałem, to:

„Pokażcie mi ten zielony opal”. Trzymałem go na dłoni i chociaż wiedziałem, że nie ma nic, tam gdzie całkiem niedawno miałem nogę, poczułem się tak dumny... nie uwierzysz... tak dumny, że patrzę na to cudeńko, że mam je w ręce!

— Powinno było uchronić pana przed wypadkiem — stwierdziłam.

— Wiesz, on nie był jeszcze mój, gdy skała się oberwała. Myślę, że to była cena, którą zapłaciłem za moje opałowe ostrzygi” — Dzięki nim zostałem milionerem.

— Okropne byłoby stracić nogę i niczego nie znaleźć.

— Wiedziałem, że to koniec moich poszukiwań. Kto słyszał o jednonogim dłubaczu! Choć może jeszcze spróbuję, gdy nawyknę do kuśtykania. Najpierw jednak muszę się zaprzyjaźnić z moją drewnianą nogą. Mówią mi, że powinienem teraz odpoczywać, i to przez dłuższy czas, więc pomyślałem, że Dębowy Dwór to najlepsze miejsce. Próbuję przyzwyczaić się do kul i drewnianej nogi, nabrać zaufania do wózka, dzięki któremu łatwiej mi się przemieszczać, ale sama widzisz, co by mi się przytrafiło, gdyby nie pewna młoda dama.

— Tak się cieszę, że pana spostrzegłam, nie tylko dlatego...

— No... nie tylko dlatego...

— Ale że poznaliśmy się i mogłam posłuchać o opalach.

— Nasze rodziny się nienawidzą.

Roześmiał się głośno. Ja także. Łączyło nas to, że śmialiśmy się z byle powodu i nie dlatego, że coś nas rozbawiło, ale dla samej przyjemności śmiania się.

— Jak wiesz, kupiłem ich dom. Dom, który należał do nich przez wieki. W holu, nad kominkiem, są herby Claveringów... wszystkie pięknie wyrysowane na ścianie. Ktoś tam ożenił

się z kimś tam i Claveringowie osiedli na Dębowym Polu. A było to w 1507 roku. Mieszkali tu przez stulecia, aż pojawił się prostak Henniker i im je zabrał — nie ogniem i mieczem, nie za pomocą armat i taranów, lecz pieniędzy!

— Claveringowie nigdy by Dębowego Pola nikomu nie oddali, gdyby rzeczywiście chcieli je zatrzymać. A pan, panie Henniker, ryzykował życie, by zdobyć Dębowe Pole, zdobył je pan i...

w porządku.

— Dziwne słowa jak na pannę Clavering. Ale to Opal Clavering.

— Nie mogłabym pojąć, dlaczego dali mi takie imię, gdyby nie to, że urodziłam się we Włoszech. Myślę, że mama była wtedy zupełnie inna.

— Ludzie się zmieniają — rzekł. — Zmieniają ich koleje losu. Ale, ale... umówiłem się z kimś o pół do piątej, więc powinienem wracać. Posłuchaj! Musimy się znowu spotkać.

— Och tak, proszę.

— Może tu, w tym miejscu... jutro o tej samej porze?

— Wspaniale!

— Zdaje się, że mamy sobie wiele do powiedzenia. A więc do jutra.

Patrzyłam przez chwilę, jak kieruje wózek w stronę domu, a potem, uszczęśliwiona, pomknęłam ku mostkowi. Zatrzymałam się na nim i spojrzałam za siebie. Drzewa skrywały dom, jego dom — wyobraziłam sobie, jak wykrzykuje do Bankera, jak się śmieje, zadowolony, że zyskał przyjaciela w kimś z rodziny Claveringów.

To prawdziwy łowca przygód — pomyślałam. — Tak samo jak ja.

* * *

Starałam się ukryć wielkie zadowolenie, lecz Maddy nie dała się oszukać i powiedziała, że trudno jej zdecydować, czy bardziej przypominam psa, który ma dwa ogony do machania, czy kota, któremu udało się skraść pyszną śmietankę.

— Bardzo panienska z siebie zadowolona — oświadczyła podejrzliwie.

— Piękny dzień — odparłam wesoło.

— Raczej... burza wisi w powietrzu — gderiała.

Roześmiałam się. O tak, posypałyby się gromy, gdyby odkryto, że właśnie rozmawiałam z wrogiem i umówiłam się na następne spotkanie!

Nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę.

Czekał już, gdy przyszedłam. Jak on opowiadał! Jak lubiłam go słuchać! Mówił o swoim życiu, kiedy był bardzo biedny, w dzieciństwie, w Londynie.

— Londyn! To jest miasto! Nie mogłem o nim zapomnieć, gdziekolwiek byłem. Chociaż nie brakowało smutnych wspomnień. Byliśmy biedni. Może nie tak biedni jak inni — rodzice mieli tylko jedno dziecko, czyli mnie. Matka nie mogła więcej rodzić, co było swego rodzaju błogosławieństwem losu. W wieku przedszkolnym chodziłem do starszej pani która nauczyła mnie liter, później do bezpłatnej szkoły dla biedoty, gdzie uczyłem się życia, i kiedy w wieku dwunastu lat skończyłem edukację, gotów byłem zmierzyć się z losem. W tym czasie zmarł mój ojciec. Pił, więc strata niewielka, a ja potrafiłem zarobić tyle, by matka żyła tak wygodnie, jak nigdy przedtem.

Zastanawiałam się, dlaczego on mi to wszystko opowiada. Miał w sobie coś z aktora —

zmieniał wyraz twarzy i tembr głosu zależnie od tego, o czym lub o kim mówił. Kiedy opowiadał

o sprzedawcy pieczonych ziemniaków, jego twarz szarzała i wołał: „Chodźcie, ślicznotki, na ziemniaczki gorące, mączyste! Aż dwa za pensa! Chodźcie, chodźcie, zapchajcie brzuchy, ogrzejcie

ręce!”

— Tak, panno Jessie — znów był sobą — pomyśli panienska, że jestem prostakiem, ale takie były londyńskie ulice za moich chłopięcych czasów. Pełne życia! Nigdy więcej nie widziałem miejsca tak tętniącego życiem... nigdy. I tak było w całym Londynie. Nie bardzo się to zauważa, gdy się w tym tkwi, ale nie zapomina się nigdy. To jest coś, co przenika do krwi. Nawet gdy się wyjedzie, nie można przestać tego kochać, ciągnie człowieka z powrotem.

Opowiadał o sprzedawcy igieł i szpilek. „Szpilki! Szpilki! Pięć papierków za pensa! —

wykrzykiwał — „Wszystkie śmigłe, wszystkie ostre!” Mówił o sprzedawcach zieleniny, którą stanowiła głównie rzezucha zbierana na polach, gdzie w owych czasach miasto się jeszcze nie wdarło. „To były tereny tuż pod Portland Place — łąki, lasy, warzywniki, a więc pełno zieleniny”.

— Ciekawe, kiedy o tym mówię, tamte czasy jak żywe stają mi w pamięci. Najlepiej pamiętam okres wielkanocny. Wielki Piątek był dla mnie dniem bułeczek z rodzynkami. O nich myślałem, budząc się rano, o bułeczkach. — Zaczął śpiewać: *Dwie za pensa, niech kto powie,*

Znakiem krzyża przekreślone,

Częstuj dzieci, częstuj żonę.

Nie masz ich? To zjedz na zdrowie.

— Śpiewając tę piosenkę, krążyliśmy z tacami pełnymi bułeczek na głowach.

Byłam oczarowana. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on. Przez cały czas opowiadał o sobie, ale to mi nie przeszkadzało. Chciałam słuchać, nabierałam wyobrażenia o świecie dotychczas mi nie znanym.

— Urodziłem się, by zarabiać pieniądze — mówił dalej. — Złotodajny dotyk Midasa —

natura mi go dała. Słyszałaś o czymś takim, Jessie? Wszystko, czego Midas dotknął, zamieniało się w złoto. Tak też było z Benem Hennikerem. Gdybym zagrał w orła i reszkę z paszteciarzem

— wygrałbym. Wiesz, jak to się grało, prawda? Paszteciarz trzymał tacę z pasztecikami. Ty podrzucałaś pensa. „Orzeł”, wołał paszteciarz, bo oni zawsze wołali „orzeł”. Gdyby to był pens Bena Hennikera, z całą pewnością wyszłaby reszka. Zatrzymałbym pensa i dostał pasztecik.

Niektórzy zawsze przegrywają. Ja nigdy. Byłem za młodu niezłym ryzykantem, i chyba dalej nim jestem. Uznałem więc, że handel to zajęcie dla mnie. Trzeba znaleźć coś, czego ludzie potrzebują, bez czego nie mogą się obejść, i trzeba im to dać — dużo lepsze i, jeśli można, tańsze niż u faceta obok. Rozumiesz? Miałem zaledwie czternaście lat, a już wiedziałem, jak się robi interesy. Wiedziałem, gdzie najtaniej kupić i gdzie najwięcej dostać za baranie i wieprzowe nóżki, za sorbet, napój z imbirem, za lemoniadę. Później miałem kiosk z kawą, a gdy wpadłem na pomysł pieczenia pierników, byłem dobrze przygotowany do zbitcia fortuny. Trafiłem w dziesiątkę, wypiekając te pierniki w różnych śmiesznych kształtach. Były tam konie, psy, harfy, chłopcy, dziewczynki i nawet

sama królowa w koronie. Piekła je moja matka, ja sprzedawałem.

Szło tak dobrze, że otworzyliśmy mały, ale całkiem elegancki sklepik. Interes kwitł i żyło się nam coraz wygodniej. Ale pewnego dnia matka umarła. Niespodziewanie, jak deszcz, co dziś pada, a jutro przestaje. Po prostu upadła martwa na podłogę, gdy przygotowywała piernikowe cudeńka.

— I co pan wtedy zrobił?

— Zatrudniłem przyjaciółkę, ale nie było to szczęśliwe posunięcie. Piękna jak obrazek, miała porywcze usposobienie, nie potrafiła nadać wypiekom odpowiedniego kształtu, a i ciasto nie smakowało jak należy. Interes zaczął kuleć i ślicznotka mnie opuściła. Skończyłem wtedy siedemnaście lat i podjąłem pracę w eleganckim domu, przy koniach. Pewnego dnia moi pracodawcy pojechali z wizytą do przyjaciół na wieś. Moim obowiązkiem było stać z tyłu powozu, a gdy się zatrzymywaliśmy — zeskoczyć, otworzyć drzwiczki i dopilnować, by panie nie ubłociły sukienek. Pięknie się prezentowałem. Żebyś widziała moją granatową liberię ze srebrnymi galonami! Wszystkie panny się za mną oglądały. A więc pewnego dnia pojechaliśmy na wieś. Jak sądzisz, dokąd? Do niewielkiej wioski Hartingmond. A dom, któryśmy odwiedzili, nazywano Dębowym Dworem.

— Przyjechał pan z wizytą do Claveringów!

— Masz rację, tyle że w charakterze unizonego sługi. Nigdy w życiu nie widziałem takiego domu. Uważałem go za najpiękniejsze miejsce na świecie. Poszliśmy z woźnicą obejrzeć stajnie, zajęliśmy się końmi, posililiśmy się i pogadali ze stajennymi z Dworu — muszę ci powiedzieć, że bardzo zadzierali nosa.

— Niesamowite! — wykrzyknęłam. — Tyle lat temu!

— Wiele lat przed twoim narodzeniem, Jessie. Ja byłem wówczas siedemnastoletnim czy osiemnastoletnim chłopakiem. Jak myślisz, ile mam lat?

— Jest pan starszy od Xaviera... dużo starszy, chociaż jakoś chyba młodszy...

Moja odpowiedź wyraźnie go ucieszyła.

— Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje. Oto odpowiedź. Nieważne, ile lat ma się za sobą, ważne, co po tych latach zostało. Ja muszę przyznać, że żyło mi się nie najgorzej. A więc minęło ponad czterdzieści lat od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem to miejsce. I wiesz, nigdy o nim nie zapomniałem. Pamiętam, stałem w stajniach i czułem, jaki ten dom jest stary. To mi się w nim tak podobało — kamienne mury, to, że ludzie mieszkają w nim od setek lat, i powiedziałem sobie: będę miał taki dom jak Dębowy Dwór, nic mnie nie powstrzyma. W sześć miesięcy później byłem w drodze do Australii.

— Żeby szukać opali — powiedziałam.

— Nie. Wtedy nie myślałem o opalach. Chciałem szukać tego, co wszyscy — złota. Mówiłem sobie: znajdę złoto, nie spocznę, póki nie zgromadzę małej fortunki, a gdy ją zgromadzę, wrócę do kraju i

kupię sobie taki dom. Po to właśnie jechałem do Australii. Co to była za podróż! Na przejazd zarabiałem na statku. Nigdy tego nie zapomnę. Myślałem, że się wykończę. Takie sztormy! Statek omal się nie wywrócił do góry dnem, tylko czekałem, kiedy usłyszę: „Wszyscy do pomp, ratować kobiety i dzieci”. Nie mogłem uwierzyć, gdy wreszcie stanąłem na lądzie, że to prawda. To słońce! Ptaki! Czegoś takiego nigdy nie widziałem. Coś mi mówiło, że to miejsce dla mnie. Przysiągłem sobie wówczas, że nie wrócę do kraju, póki nie będę gotów, by mieć taki dom jak Dębowy Dwór.

— I tak się stało, panie Henniker.

— Mów mi Ben. Pan Henniker brzmi jakoś obco.

— Czy to wypada? Pan jest przecież taki stary.

— Nie wtedy, kiedy jestem z tobą, Jessie. Przy tobie czuję się młody i radosny. Jakbym miał siedemnaście lat.

— Tyle, ile miałeś wysiadając na brzeg w Sydney.

— Ano właśnie. Byłem pewien, że zostanę bogaczem. Zarobiłem na podróż przez Nową Południową Walię i w Ballarat zacząłem poszukiwać złota.

— I znalazłeś je, i zbiłeś majątek. Odwrócił dłonie i patrzył na nie.

— Widzisz? — spytał. — Sękate. Nie powiedziałaabyś, że to ręce dziedzica. Nie pasują do Dębowego Dworu — ani one, ani nic innego, jak pewnie zauważyłaś. Ale tu, w środku, coś pasuje — klepnął się w pierś. — Tu jest tyle miłości dla tego starego domu, ile nie mieli wszyscy wielcy panowie i wszystkie wielkie panie, którzy tu mieszkali, razem wzięci. Dla nich ten dom był czymś naturalnym. Ja go zdobyłem i pokochałem. Nigdy nie myśl o niczym, że ci się to należy, Jessie. Bo możesz to stracić. Jeśli coś jest warte zabiegów, nie szczędź trudu. Pomyśl, jak mi się dostał Dębowy Dwór.

— No właśnie. Czyli zrobiłeś majątek.

— Ale nie tak od razu. Zajęło mi to całe lata. Rozczarowania, załamania... one przede wszystkim. Przenosiny z miejsca na miejsce... mieszkanie na złotodajnych polach, grodzenie własnych terenów. Pamiętam, jak wyruszyliśmy z Melbourne. Był nas cały tłum, obszarpana armia maszerująca ku Ziemi Obiecanej. Wiedzieliśmy, że niektórzy z nas znajdą bogactwo, a inni wykończą się, zaznawszy samych rozczarowań, nie wiedzieliśmy jednak, do której z tych grup będziemy się zaliczać. Ale byliśmy pełni nadziei, każdy z nas wierzył, że to on będzie wybrańcem losu. Niektórzy mieli taczki, w których wieźli swój dobytek, inni dźwigali wszystko na plecach... przez Równinę Keilora, przez spalone lasy... ciarki człowieka przechodziły, kiedy pojął, co mógł oznaczać taki pożar... w ciągłym strachu, czy nie wyskoczy zza krzaka jakiś rabuś i nie zamorduje któregoś z nas za odrobinę żarcia. Nocą rozbijaliśmy obóz. To było coś... śpiewy przy ogniskach... zwykle śpiewaliśmy stare angielskie piosenki i, nie powiem, niektórzy byli radzi ciemnościom, co skrywały łzy w oczach. A rano znów dalej... do Bendigo, gdzie się mieszkało w małych perkalowych namiotach... Latem,

omdlewając z upału, tęskniłem do chłodów, a gdy przychodziły ulewne deszcze i wszystko tonęło w błocie, pragnąłem słońca. To były ciężkie dni, nie szczęściło mi się w Bendigo. Pierwsze wielkie znalezisko było w Castlemaine. Nie tak wielkie, by mnie uczynić bogatym, lecz wystarczająco duże, by mi dodać otuchy. Zawiozłem złoto do banku w Melbourne i nie trwoniłem go na picie i kobiety, jak wszyscy, by w niedługim czasie stwierdzić ze zdziwieniem, że już się skończyło. Wiedziałem, jak to jest. Nie dla mnie kupowanie kobiet. Chciałem uczucia. To mądry sposób i nie marnotrawi się ciężko zarobionych pieniędzy. Ale mówię nie po kolei. Zaraz zrozumiesz, dlaczego Claveringowie nie chcą mnie znać.

— Ja chcę — zapewniłam.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że jesteś naprawdę niezwykłą młodą damą. Ale o czym to ja mówiłem?

— O swoich kobietach... że chciałeś je mieć z miłości, a nie za pieniądze.

— Hm, zostawmy to na razie. A więc nie byłem już biedny, choć jeszcze nie bogaty. Miałem jednak czas, by się spokojnie rozejrzeć i wybrać właściwą drogę. Jest coś w takich poszukiwaniach, w znajdowaniu tego, co kryje w sobie ziemia. To wchodzi człowiekowi w krew.

Chce się wiedzieć, co jest pod tą twardą skorupą. Nie tylko dla pieniędzy. Kiedy ludzie rozmawiają w Australii o pieniądzach, mają na myśli złoto. Można by powiedzieć, że złoto to inna nazwa forsy. Ale szukałem też czego innego.

— Opali!

— Tak, opali. Na początku to było takie obwąchiwanie sprawy. Miałem w banku trochę grosza, więc pomyślałem, że wyruszę z innymi do Nowej Południowej Walii... ot, pozwiedzać tamte strony. Szliśmy przez busz, rozbijając na noc obozy, gdy poznałem grupę ludzi, którzy szukali opali. Nie jak prawdziwi dłubacze, nie, nie. Tak trochę dla zabawy. Niedzielni poszukiwacze, rzecz by można. Chodzili trochę i węszyli, czekając na łut szczęścia. „Czego szukacie, chłopaki” — spytałem, a oni odpowiedzieli: „Opali”. „Opali”. Pomyślałem i powiedziałem sobie: to nie dla mnie. Byłem zawsze człowiekiem, który szukał „swojego” rynku, wszystko jedno, czy to były nóżki wieprzowe, złoto czy szafiry. No, ale żeby się za bardzo nie rozwodzić, spróbowałem razem z nimi trochę pomyszkować. Miałem tylko dwa kilofy, jeden do drażenia, drugi do przekopywania. Miałem też łopatę, linę i coś, co nazywaliśmy pajakiem, a co przypominało lichtarz, i dzięki czemu można było pracować w ciemności. Trzeba było mieć również nożyce... rodzaj obcęarów do obcinania bezwartościowych kawałków opali. Och, zdaje się, że za bardzo wnikam w szczegóły, ale jak się ma takie imię, to na pewno chce się wiedzieć wszystko dokładnie.

— I znalazłeś opale?

— Nic szczególnego... ale nabrałem apetytu. Uświadomiłem sobie, że powinienem spróbować, i nie minął miesiąc, gdy byłem dłubaczem całą gębą. Wtedy zacząłem je znajdować.

Ledwo wziąłem pierwszy w rękę i zobaczyłem, jak się mieni wszystkimi kolorami, wiedziałem, że

opale są tym, czego powinienem szukać. Ciekawe, wiesz. Podobno każdy kamień ma swoją historię, jest obrazem przyrody. Pokażę ci... — spojrzał na mnie i roześmiał się — przyjdiesz obejrzeć moją kolekcję. Nie będziemy przecież spotykać się tylko tutaj.

— Tutaj, zdaje się, jest najlepiej — bąknęłam wyobrażając sobie, co by się działo, gdybym go przedstawiła rodzicom, Xavierowi albo Miriam.

Mrugnął do mnie i powiedział:

— Znajdziemy jakiś sposób, zostaw to mnie. Roześmiał się znowu.

— Ile ja gadam, co? — rzekł. — I tylko o sobie. Ciekawe co o mnie myślisz, hę?

— Myślę, że jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

— Dobra nasza! — wykrzyknął. — Następnym razem przyjdiesz do mnie do domu. Pokażę ci moje najcenniejsze opale. Chcesz je zobaczyć, prawda?

— Tak, ale jeśli się dowiedzą...

— Kto się dowie?

— Służący rozmawiają o takich sprawach.

— Z pewnością. I niech rozmawiają.

— Nie będę mogła przychodzić. Zabronią mi w domu.

Mrugnął znowu.

— Czy ludzie tacy jak my robią sobie coś z zakazów? Przecież nie pozwolimy sobie przeszkadzać.

— Zabronią mi się z tobą widywać.

— Zostaw to mnie — rzekł.

— To kiedy się zobaczymy?

— Jutro przyjeżdżają goście. Interesy, wiesz. I trochę to potrwa. Ale, powiedzmy, w następną środę. Przyjdiesz śmiało aleją aż do frontowego ganku. Tam ktoś będzie na ciebie czekał i przyprowadzi cię wprost do mnie, a ja przyjmę cię jak prawdziwą pannę Clavering.

Byłam tak przejęta, że ledwo mu podziękowałam.

Później pomyślałam, że to właściwie koniec wszystkiego, bo moich wizyt nie uda się zachować w tajemnicy. Ale miałam przed sobą tydzień radosnego oczekiwania.

Dębowy Dwór

Tamten tydzień ciągnął się niemiłosiernie, niecierpliwie czekałam, by dowiedzieć się czegoś więcej o Benie Hennikerze. Podczas dwóch naszych spotkań Ben ukazał mi świat, w porównaniu z którym moje życie wydawało się zupełnie bezbarwne. Nie byłam pewna, czy to, co mówił, czy też sposób, w jaki mówił, bardzo obrazowy, sprawił, że oczami wyobraźni widziałam się w perkalowym namiocie, oganiającą się od much pod upalnym słońcem, brodzącą w błocie i wypłukującą złoty kruszec w strumieniach. Odczuwałam gorycz niepowodzeń i podniecenie towarzyszące sukcesom. Ale ja nie szukałabym złota, tylko opali. Wyobrażałam sobie, jak trzymając w dłoni świecę, badam pilnie szczeliny i pęknięcia, i wydłubuję opale — piękne, mieniające się kamienie, które przynoszą szczęście, dają moc przewidywania przyszłości i opowiadają dzieje przyrody.

Nie ustawałam w gratulowaniu samej sobie, że byłam nad strumieniem tamtego dnia, gdy wózek coraz prędzej toczył się w dół, że udało mi się ustrzec Bena Hennikera przed śmiertelnym, jak uważałam, wypadkiem. Już samo to mogło sprawić, że coś do niego czułam, on zaś był mi wdzięczny za uratowanie mu życia. Było jednak coś więcej. Mieliśmy podobne natury. Dlatego oczekiwanie było tak bolesne.

Chodziłam nad potok, w nadziei, że przyjedzie na swoim wózku i powie: „Wiem, że mieliśmy się spotkać w środę, ale, szczerze mówiąc, za długo mi było czekać”. Spojrzelibyśmy na siebie i roześmiali się.

Nic takiego jednak się nie stało. Siedząc nad strumieniem, miałam przed oczami jego obraz, i rozmyślałam, co by to było, gdyby tamta skała była cięższa i go zabiła. Nigdy bym go nie poznała!

Myśl o śmierci przypominała mi o grobach na cmentarzu, one zaś o kopcu na Nieużytkach, zarośniętych „głuchą pokrzywą”. Czy to rzeczywiście jest grób, a jeśli tak, to czyj?

Siedzenie nad brzegiem strumienia i wypatrywanie Bena nie miało sensu. Nie przyjdzie. Ma gości, którzy pewnie handlują opalami. Wyobrażałam sobie, jak siedzą przy butelce wina czy whisky, napełniając kieliszki, ledwie się opróżnią — byłam przeświadczona, że Ben Henniker lubi wypić: należał do ludzi, którzy wszystko, co robią, robią z właściwą sobie werwą. Pewnie rozmawiają, śmiejąc się często, i rozprawiają o opalach, które właśnie znaleźli, kupili czy sprzedali. Żałowałam, że mnie tam teraz z nimi nie ma. Musiałam czekać do środy, czyli bardzo długo.

Zasnucona wstałam i poszłam przed siebie wzdłuż strumienia. Idąc bez celu, znalazłam się nagle na Nieużytkach i uklęknęłam przy grobie.

O tak, to był grób. Niewątpliwie. Zaczęłam wrywać zielsko i wkrótce go odsłoniłam. To nie mógł być grób psa. Był za duży. Wtedy dokonałam wstrząsającego odkrycia. Z ziemi wystawał

palik, chwyciłam zań i pociągnęłam. Spostrzegłam przytwierdzoną do niego płytkę, na której widniał napis. Otrzepałam ją z ziemi i przeczytałam: „Jessika...”, po prostu... „Jessika Clavering”. To było jak kubeł zimnej wody. Przysiadłam na piętach i zaczęłam się przyglądać płytce. Widziałam podobne na cmentarzu. Umieszczali je na grobach ci, których nie stać było na krzyże i anioły trzymające w dłoniach otwarte księgi, gdzie wyliczano wszystkie cnoty nieboszczyka.

W tym grobie leży więc jakaś Jessica Clavering.

Odwrociłam płytkę i odcyfrowałam znaki: „1880”, a powyżej „li” — pozostałe litery były zatarte.

Bardzo intrygujące. Urodziłam się 3 czerwca 1880 roku, a więc ktokolwiek leżał w tym grobie, nie tylko nosił moje imię, ale umarł wtedy, kiedy ja się urodziłam.

Zapomniałam o Benie Hennikerze. Nie myślałam o niczym poza moim odkryciem i o tym, co ono znaczy.

Nie mogłam trzymać go w tajemnicy, a ponieważ Maddy była osobą, do której najłatwiej mogłam się zbliżyć, zaczęłam się na nią, gdy szła do warzywnika po kapustę na obiad.

— Maddy — powiedziałam, bo postanowiłam spytać ją prosto z mostu — kto to taki Jessica Clavering?

Uśmiechnęła się z przymusem.

— Nie musisz daleko szukać. To ta, która zadaje zbyt wiele pytań i nie zadowala się uzyskanymi odpowiedziami.

— Ta — powiedziałam z godnością — to Opal Jessica. A ja pytam o Jessikę.

— O co ci chodzi?

Zauważyłam, że Maddy jest zaniepokojona.

— O Jessikę, którą pochowano na Nieużytkach.

— Proszę panienki, ja mam dużo roboty. Pani Cobb czeka na kapustę.

— Możesz mówić i jednocześnie ścinać kapustę.

— Czy jestem zobowiązana do słuchania poleceń panienki?

— Zapominasz, Maddy, że mam siedemnaście lat. Nie możesz mnie wciąż traktować jak dziecko.

— Tych, którzy zachowują się jak dzieci, traktuje się jak dzieci.

— Nie ma nic dziecinnego w interesowaniu się swoim otoczeniem. Znalazłam przy grobie płytkę, na której napisano „Jessica Clavering” i podano datę śmierci.

— Dobrze, ale teraz nie płacz mi się pod nogami.

— Jestem dość daleko od twoich nóg, a twoje zachowanie wskazuje na to, że masz coś do ukrycia.

Nie było sensu z nią rozmawiać. Poszłam do swojego pokoju rozmyślając, kto jeszcze mógłby coś wiedzieć o tajemniczej Jessice. Z głową pełną domysłów zeszłam na kolację.

Posiłki spożywano w Domu Wdów w ponurej i sztywnej atmosferze. Rozmawialiśmy o niezbyt ciekawych sprawach. Zwykle o miejscowych wydarzeniach, o tym, co się działo w kościele i u mieszkańców wsi. Wiedliśmy bardzo ograniczone życie towarzyskie, co wynikało wyłącznie z naszej winy, gdyż wszelkie zaproszenia były zwykle odrzucane.

— Jak odwzajemnimy ich gościnność? — wykrzykiwała mama. — Inaczej bywało za dawnych lat. Dwór był zawsze pełen gości.

Spoglądałam wtedy na ojca, który sięgał po gazetę i osłaniał się nią niby tarczą, często też znajdował jakiś pretekst, by się oddalić. Pewnego razu ośmieliłam się zauważyć, że ludzie zapraszając gości nie muszą koniecznie oczekiwać rewanżu.

— Nie masz pojęcia o zasadach życia towarzyskiego — powiedziała mama z rezygnacją — ale czego można się spodziewać, biorąc pod uwagę warunki, w jakich przyszło nam cię wychowywać.

Było mi przykro, że dałam powód do wymówek pod adresem taty.

Siedzieliśmy wokół stołu w jadalni, która była całkiem przyjemnym pomieszczeniem. Dom Wdów został zbudowany później niż Dwór, w 1696 roku, i nad frontowym gankiem wisiała tabliczka upamiętniająca tę datę. Uważałam, że Dom Wdów jest pięknym domem i można go było nazywać małym tylko w porównaniu z Dębowym Dworem. Zbudowany z cegły, miał

kamienne ozdoby, dach strzelał w górę sponad rzeźbionych gzymsów, a dzielone słupkami okna przydawały mu wiele wdzięku. Jadalnia była przestronna, choć niezbyt duża, a z jej wielkich okien mieliśmy widok na trawnik — dumę Biednego Jarmana.

Siedzieliśmy przy mahoniowym stole na koźlich nóżkach, który stał kiedyś w Dębowym Dworze. „Udało się ocalić niektóre rzeczy — mawiała mama — przeniesienie wszystkich mebli z Dworu do Domu Wdów było niemożliwe, upłyniliśmy zatem niektóre z nich”. Mówiła o nich jak o ofierze, ale ja przypuszczałam, że pan Henniker zapłacił za nie słońną cenę.

Ojciec siedział u szczytu stołu nic prawie nie mówiąc, matka z drugiego końca popatrywała surowo na Maddy, która poza innymi obowiązkami usługiwała również podczas posiłków, nad czym matka ubolewała o wiele bardziej niż Maddy. Po prawej stronie mamy siedział Xavier, po jednej stronie ojca Miriam, po drugiej ja.

Xavier mówił, że letnia susza nie sprzyja plonom, i wyraził przekonanie, iż deszcz, który jest potrzebny, nigdy nie pada.

Tak się mówiło każdego roku, ale plony jakoś zbierano, a podczas dożynek ogromne dynie i snopy pszenicy zdobiły kościół, dowodząc niezbicie, że doroczny cud miał miejsce i tym razem.

— Kiedy pomyślę, jakie połacie ziemi były kiedyś nasze... — westchnęła mama.

Był to znak dla ojca, by odchrząknąć i zacząć mówić, o ile to mniej deszczu spadło tego roku w

porównaniu z rokiem minionym.

— Pamiętam, że to była prawdziwa klęska — mówił. — Większość upraw w Yarrowland znalazła się pod wodą.

Wspominając o Yarrowland ojciec popełnił błąd, było to bowiem gospodarstwo należące do posiadłości Donninghamów, co przypominało mamie o lady Klarze. Spojrzałam na Xaviera, ale nic nie wskazywało na to, by poczuł się dotknięty. Nigdy nie było po nim nic widać, bo Xavier należał do ludzi, którzy okazywanie uczuć uważają za oznakę złego wychowania. Myślę, że właśnie dlatego tak trudno mu było uświadomić lady Klarze, że naprawdę chciałby się z nią ożenić.

— Z takimi klęskami Donninghamowie z łatwością dają sobie radę — powiedziała mama. —

Udało im się zachować majątek gromadzony przez pokolenia.

— To prawda — powiedział ojciec z rezygnacją, jakby żałował, że się w ogóle odezwał.

Szczerze mu współczułam i, żeby zmienić temat, wypaliłam:

— Kim była Jessika Clavering?

Zapadła cisza. Maddy stała obok kredensu z półmiskiem kapusty w dłoniach. Wszyscy patrzyli na mnie, a na maminej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce.

— Co masz na myśli, Jessiko? — spytała zniecierpliwiona, ale zbyt dobrze ją znałam, by nie wiedzieć, że tym razem pod zniecierpliwieniem ukrywa zmieszanie.

— Czy to jakiś żart? — spytała Miriam.

Jej wargi, które w miarę upływu lat zdawały się coraz węższe, drgnęły lekko.

— Chyba dobrze wiesz, kim jesteś.

— Ja jestem Opal Jessika. Często się zastanawiam, dlaczego nikt nie używa mojego pierwszego imienia.

— Jest niezbyt wygodne w użyciu — powiedziała mama z pewną ulgą.

— Więc czemu mi je daliście?

Xavier, który starał się być pomocny, kiedy tylko mógł, powiedział:

— Większość ludzi ma imiona, których woleliby nie mieć, ale podejrzewam, że gdy się rodzili, imiona te wydawały się najbardziej stosowne. Tak czy siak, ludzie przyzwyczajają się do imion. Myślę, że Jessika brzmi bardzo ładnie i, jak mówi mama, należy do wygodnych w użyciu.

Nie zamierzałam dać się zbić z tropu.

— Ale kim była ta Jessika, która jest pochowana na Nieużytkach? — nalegałam.

— Pochowana na Nieużytkach? — spytała mama gniewnie. — A to co znowu? Maddy, kapusta stygnie, podawaj.

Maddy zaczęła obnosić półmisek, a ja poczułam się rozgoryczona i odepchnięta.

— Mam nadzieję, że tym razem pani Cobb gotowała ją nieco dłużej — mówiła Miriam. —

Nie sądzisz, mammo, że ostatnio była zbyt twarda?

— Masz rację. Powiedziałam to pani Cobb.

— Musicie wiedzieć — ciągnęłam dalej. — Niepodobna mieć grób tak blisko domu i nic o tym nie wiedzieć. Znalazłam palik z nazwiskiem.

— A co ty robiłaś na tych „nieużytkach”, jak je nazywasz? — spytała mama.

Znałam jej taktykę: gdy znalazła się w niezręcznej sytuacji, próbowała atakować.

— Często tam chodzę — odrzekłam.

— Trzeba ci więc dać jakieś zajęcie. Jest mnóstwo ścierek do obrębienia. Nieprawdaż, Miriam?

— Tak, mammo, całkiem sporo.

— Zbyteczny trud — sarknęłam. — Zbierają kurz równie dobrze, gdy nie są obszyte.

Nigdy nie potrafiłam powstrzymać się od stwierdzenia oczywistego faktu, nawet jeśli było to odrobinę niestosowne.

To dało matce powód do wygłoszenia kazania na temat pracowitości i potrzeby wspomagania biednych, bo ściereki robione z rzeczy, które przestały być użyteczne i były cięte na kawałki, rozdawano ubogim. A skoro nie mogliśmy sobie już pozwolić na rozdawanie koszul i koców, powinniśmy przynajmniej trzymać się resztek tradycji kultywowanych przez wyższe klasy.

Xavier słuchał z grobową miną, podobnie Miriam, ojciec zaś, jak zwykle, nic nie mówił, tylko jadł ser, który właśnie wniesiono. Matka wstała od stołu, zanim zdążyłam wrócić do tematu grobu na Nieużytkach.

Po obiedzie poszłam prosto do swego pokoju. Wchodząc na schody, usłyszałam rozmawiających w holu rodziców.

— Powinna wiedzieć. Prędzej czy później trzeba jej będzie powiedzieć — mówił ojciec.

— Bzdury — odparowała mama.

— Nie rozumiem dlaczego...

— Gdyby nie ty, nigdy by się to nie zdarzyło.

Słuchałam, bez żenady nadstawiając uszu — wiedziałam, że mówią o grobie Jessiki.

Poszli do salonu, a ja znów czułam się rozczarowana. „Wydawało się, że i tym razem wszystko sprowadza się do zaprzepaszczenia przez ojca rodzinnego majątku.

* * *

Gdy nadeszła środa, byłam tak przejęta spotkaniem z Benem Hennikerem w Dębowym Dworze, że zapomniałam o grobie na Nieużytkach. Wyruszyłam wczesnym popołudniem.

Skręciwszy w aleję prowadzącą do Dworu uświadomiłam sobie, że będę gościem w domu, który mógł być moim domem. Ojej, pomyślałam, jakbym słyszała mamę!

Dęby — potężne, dumne, piękne — rosły po obu stronach biegnącej zakolami alei, co kiedyś okropnie mnie drażniło, bo nie mogłam zobaczyć domu, ale teraz było mi bardzo na rękę.

Przydawało to bowiem tajemniczości, a ponadto już za pierwszym zakrętem zniknęłam z pola widzenia — jeśliby ktoś, przechodząc drogą, patrzył akurat w tę stronę.

Na widok domu aż dech mi zapało z zachwytu. Był wspaniały. Wyglądał intrygująco, gdy patrzyłam na niego przez gałęzie od strony strumienia, ale teraz, gdy miałam go dokładnie na wprost i nic mi nie przeszkadzało — robił ogromne wrażenie. Zrozumiałam żal mamy i byłam skłonna wybaczyć jej wieloletnie rozgoryczenie, bo gdy się miało taki dom, trudno pogodzić się z jego utratą. Pochodził z epoki Tudorów, ale później go odnawiano i coś dobudowywano, widać więc było tu i ówdzie ślady osiemnastego wieku. Pokryte patyną ceglane mury były na wskroś elżbietańskie i wyglądały zapewne identycznie, gdy król Henryk VIII zawitał do Dębowego Dworu, o czym opowiadała matka. Wysokie okna mansardy, wykusze i nisze mogły powstać później, ale jak znakomicie pasowały do całości! Nie można im było nic zarzucić. Brama była nietknięta — stałam oniemiała, patrząc w górę ku dwóm bocznym wieżom i trochę niższej pośrodku. Tuż nad bramą widniał herb. Nasz herb, jak przypuszczałam.

Przeszłam przez bramę i znalazłam się na dziedzińcu. Przedemną widniały masywne dębowe drzwi. Wisiał na nich wiekowy dzwonek. Pociągnęłam zań i słuchałam z zachwytem dźwięcznego głosu.

Drzwi otwarły się w ciągu sekundy. Miałam wrażenie, że ktoś obserwował, jak się zbliżam, i czekał, aż zadzwonię. Ujrzałam bardzo dostojnego pana i od razu pomyślałam, że to musi być Wilmot.

— Panna Clavering — powiedział, zanim zdążyłam otworzyć usta, a moje nazwisko zabrzmiało niezwykle szacownie. — Pan Henniker oczekuje paniąki.

Poczułam, że rosnę. Spozrzegłam w przelocie nazwiska wypisane przy kominku, a wśród nich moje własne, i poczułam dreszcz emocji — należę do rodziny, której własnością był przez wieki ten dom.

— Zechce panienka pójść za mną...

— Dziękuję — uśmiechnęłam się.

Gdy szliśmy przez hol, zobaczyłam wielki stół i stojące na nim cynowe naczynia, zbroje pilnowały wejścia i wyjścia, na ścianach wisiała broń.

Czy mi się zdawało, czy słyszałam jakieś przyciszone głosy, jakby szepty i pośpieszne szuranie butami? Wilmot spojrział w górę i odgadłam, że jesteśmy obserwowani. Zorientowawszy się, że coś zauważyłam, uznał zapewne, że zignorowanie tego faktu nie byłoby rozsądne.

Uśmiechnął się lekko i rzekł:

— Proszę zrozumieć, panno Clavering. Mamy przyjemność gościć członka pani rodziny pierwszy raz, od czasu gdy...

— ...musieliśmy sprzedać dom — powiedziała śmiało.

Wilmot skrzywił się i pokiwał głową. Zdałam sobie sprawę dopiero później, że na osobach spoza rodziny takie ujmowanie sprawy, czyli nazywanie rzeczy po imieniu, robiło złe wrażenie.

Zastanawiałam się, jak pan Henniker i Wilmot mogą ze sobą wytrzymać. Ale nie miałam czasu na rozmyślanie, bo chłonęłam wszystko, co jawiło się moim oczom. Wilmot prowadził mnie wzdłuż korytarza ku kolejnym schodom.

— Pan Henniker przyjmie panienkę w salonie. Otworzył ciężkie dębowe drzwi obite materiałem.

— Panna Clavering — obwieścił. Weszłam za nim do środka.

Ben Henniker siedział na swoim wózku, i gdy mnie zobaczył, ruszył w moją stronę. Śmiał się wesoło.

— Ha! A więc jesteś! — wykrzyknął. — Witaj w starym rodzinnym domu.

Usłyszałam, że drzwi zamknęły się dyskretnie, gdy zbliżyłam się do Bena, by się z nim przywitać.

Wciąż się śmiał i ja także się roześmiałam.

— Zabawne, co? — rzekł w końcu. — Ty — gościem tutaj. Panna Clavering. Panna Opal Jessika Clavering.

— To istotnie niezwykle, że ja mam na imię Opal i opale dały ci ten dom.

— Złoto też miało swój udział. Nie zapominaj, że ze złotem poszło mi całkiem nieźle. Siadaj.

Pokażę ci wszystko później.

Z ukontentowaniem poruszył ramionami.

— Zacznę myśleć, że zaprosiłeś mnie tutaj dla przyjemności pokazania pannie Clavering jej rodzinnego domu.

— Nie tylko. Lubię spotkania z tobą i pomyślałem, że czas na następne. Napijemy się herbaty... ale potem. Czy powiedziałaś swoim, że zawarliśmy znajomość?

— Nie.

Pokiwał głową.

— Dobrze zrobiłaś. Wiesz, co byś usłyszała? Że twoja stopa nie ma prawa stanąć na moim progu, tak jak moja stopa nie ma prawa stanąć na waszym. A więc niech lepiej nie wiedzą, prawda?

— Zdecydowanie lepiej.

— W ten sposób unikniemy wielu sporów.

— I wielu zakazów oraz ich łamania.

— Widzę, że buntowniczką z ciebie. To mi się podoba. A ja, jak zauważyłaś albo niebawem zauważysz, jestem starym niegodziwcem. O czym mogę cię równie dobrze poinformować sam na początku naszej znajomości.

Roześmiałam się serdecznie. A więc to dopiero początek naszej znajomości. Będę jeszcze mogła cieszyć się jego ekscytującym towarzystwem.

— Będziesz mnie namawiał, żebym tu przychodziła, nawet jeśli moja rodzina mi tego zabroni?

— Oczywiście. Dobrze, jeśli dowiesz się czegoś o życiu, a nigdy się niczego nie nauczysz, jeśli odrzucisz i tego, i tamtego, bo nie dość są uprzejmi. Ty chcesz poznawać miłych i mniej miłych. I dlatego dobrze, że poznałaś mnie. Jestem wstrętnym niegodziwcem, który nabiwszy kabzę kupił dom nieodpowiedni dla takich jak on. Ale nie szkodzi. Zdobyłem go własnym potem i pracą własnych rąk... za pomocą moich kilofów i pajaka... Zdobyłem ten dom i mam do niego prawo. Ten dom był moim celem. Niczym najpiękniejszy z opali, niczym zielony blask najpiękniejszego z opali.

— Co to znaczy? Już kiedyś o tym wspominałeś.

Zamilkł na chwilę i patrzył rozmarzonymi oczami.

— Wspominałem? Naprawdę? Zielony Blask? Nieważne. Zdobyłem ten dom, tak jak to sobie umyśliłem, będąc wyrostkiem ubranym w piękną liberię, stojącym z tyłu pańskiego powozu...

Pachołek podglądający życie, które kiedyś stanie się jego udziałem. A ty... ty jesteś jedną z nich.

Stoimy po dwóch stronach barykady. Ale nie, ty nie jesteś jedną z nich, prawda? Tak w głębi duszy?

Nie jesteś zamknięta w kręgu ciasnych poglądów, niezdolna patrzeć dalej i szerzej. Ty jesteś wolna, Jessie. Dawno już spadły ci klapki z oczu — mrugnął znacząco. — Dlatego tak dobrze się rozumiemy. Teraz zabiorę cię do mojej tajemnej kryjówki i wiedz, że niewielu tam było od czasu... Pokażę ci coś pięknego — będziesz zadowolona ze swego imienia.

— Pokażesz mi swoje opale?

— To jeden z powodów, dla których chciałem, żebyś tu przyszła. Chodź za mną.

Obracając koła wózka, pojechał w róg pokoju, gdzie stały kuły. Sięgnął po nie i oparłszy się na nich, wstał z wózka. Otworzył drzwi. Zobaczyłam dwa stopnie prowadzące w dół do mniejszego, ślicznego pokoju o ścianach wyłożonych boazerią i oknach o małych, oprawnych w ołów szybkach. Ben otworzył kluczem stojący tam kredens, w którym znajdował się metalowy sejf. Pokręcił gałkami i otworzył go, po czym wyjął kilka płaskich pudełek.

— Siadaj — powiedział — pokażę ci najwspanialsze opale, jakie kiedykolwiek udało się wydłubać ze skał.

Siadł przy okrągłym stole, a ja przysunęłam krzesło, by być blisko niego. Otworzył jedno z pudełek, gdzie w małych, wyściełanych ałtarem zagłębieniach leżały opale. Nigdy nie widziałam tak pięknych klejnotów. W górnym rzędzie leżały wielkie szare kamienie, mieniające się odcieniami koloru niebieskiego i zielonego, te z następnego rzędu, także znacznych rozmiarów, miały ciemniejszą barwę — granatu, prawie purpury, a w ostatnim kamieniu były nieomal czarne i tym niezwyklejsze, że strzelały czerwonymi i zielonymi ogniami.

— Oto twoi imiennicy — rzekł Ben. — Jak ci się podobają? Rozumiem. Nie znajdujesz słów.

Tak też myślałem. Tego się spodziewałem. Daj spokój diamentom. Daj spokój szafirom. Nic w świecie nie przebije urody tych klejnotów. Zgadzasz się ze mną, prawda?

— Nigdy nie widziałam diamentów ani szafirów — powiedziałam — więc nie wiem, czy mogę przyznać ci rację, ale nie wyobrażam sobie nic piękniejszego nad te kamienie.

— Spójrz tu — komenderował, dotykając delikatnie gruzłowatym palcem ciemnoniebieskiego kamienia ze złotym połyskiem. — To Gwiazda Wschodu. Wszystkie opale mają swoje nazwy.

Gwiazda Wschodu. Pewnie jej nigdy nie widziałaś... gaśnie tuż przed wschodem słońca.

Podobną gwiazdę widzieli Trzej Królowie w bożonarodzeniową noc. Musisz wiedzieć, że ten kamień jest wyjątkowy. Wszystkie te opale są wyjątkowe. Kiedy zobaczysz inne, pomyślisz, że nie ma żadnej różnicy, ale wkrótce odkryjesz swój błąd. One są jak ludzie — nie ma dwóch jednakowych. To jeden z cudów natury... Tyle ludzi... tyle opali... a dwóch jednakowych nie znajdziesz. Czasami natkniesz się na taką Gwiazdę Wschodu i przypominasz sobie, ile się namęczyłeś — życie dłubacza to nie majówka, możesz mi wierzyć — ale dochodzisz do wniosku, że było warto. A temu, kto już ją ma, Gwiazda Wschodu zwiastuje, że najlepsze wciąż przed nim, bo to przecież gwiazda, która wschodzi. Czyż nie ona obwieściła narodziny Dzieciątka Jezus?

— A więc najlepsze przed panem, panie Henniker?

— Miałaś mi mówić Ben. Nie prosiłem o to?

— Tak, ale trudno się przyzwyczaić. Uczono mnie, bym się nie zwracała do dorosłych po imieniu.

— Ale my tutaj nie postępujemy tak, jak ktoś gdzieś powiedział, że jest dobrze. O, nie!

Robimy, co lubimy, i ja jestem dla ciebie po prostu Ben, jak dla wszystkich przyjaciół, do których, mam nadzieję, mogę cię zaliczyć.

— Chciałabym, żeby tak było... Ben.

— To rozumiem! A więc mam Gwiazdę Wschodu i co najlepsze, jeszcze przede mną.

Wyciągnęłam palec i dotknęłam kamienia.

— O, tak! Dotknij! — powiedział. — Patrz na ten blask. A to Duma Białej Skały. Też piękny opał. Nie dorównuje Gwieździe, choć jest bardzo drogocenny. Pochodzi z miejsca w Nowej Południowej Walii, które nazywają Białą Skałą i gdzie założyliśmy obozowisko, pełne życia obozowisko. Byli tam przed nami poszukiwacze złota, ale ruszyli dalej. Wtedy ich miejsce zajęli szperacze i zaczęli węszyć po okolicy — I co? Znajduje facet opale... nie byle jakie... o, nie.

Prawdziwe, drogocenne opale. Co za gratka dla szperacza! Nie minął miesiąc, a już powstał wielki obóz i każdy dłubał jak szalony. Porwało i mnie. Ja właśnie znalazłem Dumę Białej Skały.

— Sprzedajesz te opale?

Zamyślił się.

— Niektóre tak, ale czasami znajdzie człowiek kamień, którego nie sprzeda za żadną cenę.

Coś się do takiego kamienia czuje — on należy do ciebie, i tylko do ciebie. Woli się mieć taki kamień niż wszystkie pieniądze świata.

— Do wszystkich, które mi pokazujesz, czujesz coś takiego?

— Tak. Niektóre są tutaj z powodu swojej urody, reszta z innych powodów. Popatrz na ten tutaj... Widzisz tę zieleń? Kosztował mnie nogę. — Pogroził mu pięścią. — Drogo cię opłaciłem, mój ty piękny! I dlatego muszę cię zatrzymać. Ma w sobie niezwykły ogień. Popatrz na niego.

„Chcesz, to bierz — mówi do ciebie — ale cena będzie wysoka”. Nazwałem go Zieloną Damą.

Miałem kiedyś kotkę o tym imieniu. Lubię koty. Mają w sobie lekceważącą dumę, która mi się podoba. Zwróciłaś kiedyś uwagę na kocią grację? Nigdy się nie płaszcą, nie kulą ze strachu. Na kotkę, którą miałem, wołano Dama. To imię bardzo do niej pasowało. Była damą, a jej oczy były tak

zielone jak ten kamień. Dlatego właśnie się go nie pozbędę, chociaż zapłaciłem za niego nogą, i mogłabyś sądzić, że nie lubię sobie tego przypominać. Jak on lśnił w świetle mojego pająka... musiałem go zdobyć, chociaż strop się zawalił i mnie okaleczył.

Wzięłam Zieloną Dame, obejrzałam ją i znów ułożyłam delikatnie w atlasowym zagłębieniu.

— Popatrz tutaj, Jessie. Popatrz na ten kaboszon w kształcie serca. Widzisz jego fiolet? To Purpura Królewska. Jaki kolor! W sam raz do królewskiej korony.

Byłam oczarowana, a on otwierał kolejne pudełka i pokazywał mi najrozmaitsze kamienie, od mlecznych opalizujących czerwieni i zieleni przez ciemnoniebieskie do prawie czarnych o bardziej wyrazistej grze kolorów.

Mówił o nich, ukazując mi ich walory, i czułam, jak porywa mnie jego entuzjazm.

W jednym z pudełek nie było nic. Pudełko to, mniejsze od innych, miało pośrodku miejsce na jeden kamień — wyścielone czarnym atlasem zagłębienie jakby skarżyło się na swą pustkę. Ben spoglądał ku niemu ze smutkiem przez parę chwil.

— Co tu było? — spytałam.

Zwrócił się w moją stronę. Zmrużył oczy, jego usta zarysowały się ostrą linią, wyglądał, jakby chciał kogoś zamordować. Spoglądałam na niego, zdziwiona tą zmianą nastroju.

— Kiedyś... był tu Zielony Blask Zachodzącego Słońca.

Czekałam, ale nic nie mówił. Wysunął szczękę, usta miał zaciśnięte i pełne złości.

— Czy to był jakiś szczególny opal? — ośmieliłam się zapytać.

Spojrzał na mnie, jego oczy płonęły.

— Nie ma drugiego równie pięknego — rzekł. — Na całym świecie nie ma takiego drugiego opalu. Wart fortunę, ale nigdy bym się go nie pozbył. Trzeba go zobaczyć, by uwierzyć, by zrozumieć. Zielony blask... nie zawsze był widoczny. Trzeba go było wypatrywać. Zależało to od światła... od tego, jak się go trzymało, od... zależało także od ciebie, nie tylko od kamienia.

— I co się z nim stało?

— Został skradziony.

— Przez kogo?

Milczał. Patrzył na mnie zmrużonymi oczami. Rozumiałam, że bardzo bolał nad stratą kamienia.

— Kiedy to było? — nalegałam.

— Dawno temu.

— Jak dawno?

— Zanim się urodziłaś.

— I przez cały ten czas nie udało ci się go odnaleźć?

Pokręcił głową. Zatrzasnął pudełko i włożył je wraz z innymi do sejf, a gdy zamknął sejf, odwrócił się do mnie i roześmiał. Ale tym razem pobrzmiwała w jego śmiechu trochę inna nuta niż dawniej.

— A teraz — powiedział — napijemy się herbaty. Prosiłem, by podano ją dokładnie o czwartej. Wracajmy zatem — wskazał na salon. — Możesz nalewać i mnie częstować, to całkiem stosowne, skoro jesteś panną Clavering.

Maszynka spirytusowa i srebrny czajnik z herbatą już czekały, razem z talerzami pełnymi kanapek, rozków i śliwkowego ciasta. Obok Wilmota stała pokojówka.

— Panna Clavering naleje herbatę — rzekł Ben.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział Wilmot dostojnie.

Byłam zadowolona, gdy odszedł razem z pokojówką.

— Tyle tych ceremonii — powiedział Ben. — Przyznam ci się, że nie mogę do tego przywyknąć. Czasami mówię: „Dosyć już!” Wyobraź sobie, jak się czuję, ja, który gotowałam sobie herbatę w menażce i piekłem kukurydziane placki przy obozowym ognisku! Ale dziś to co innego. Dziś pierwsza z Claveringów złożyła mi wizytę.

— Pierwsza, ale nie najważniejsza — stwierdziłam ze śmiechem.

— Właśnie że najważniejsza. Nigdy nie obniżaj swojej wartości, Jessie. Pamiętaj, ludzie cię nie docenią, jeśli ty sama nie będziesz siebie doceniać. Musisz znaleźć jakiś złoty środek, żeby nie pomniejszać swojej wartości, ale też nie zadzierać nosa. \

Spytałam, jaką herbatę lubi, nalałam i podałam mu ją, a on uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Postawiłam filiżankę i talerzyk na stole, przy którym zatrzymał wózek, a sama, bardzo zadowolona z siebie, zajęłam miejsce przy srebrnym czajniku z herbatą.

— Opowiedz mi o Zielonym Blasku Zachodzącego Słońca — powiedziałam.

Milczał przez chwilę, a potem spytał:

— Słyszałaś kiedyś o zielonym blasku, Jessiko?

— Tylko dzisiejszego popołudnia. — Nie opal mam na myśli... inny zielony blask. Jest podobno taki moment, gdy słońce zachodzi — tuż przed tą chwilki kiedy znika za horyzontem...

wtedy na morzu pojawia się zielony blask. Można to zaobserwować tylko na tropikalnych morzach i tylko w ściśle określonych warunkach. To rzadkie zjawisko. Piękne i ekscytujące.

Wszyscy go wypatrują, ale niektórym nigdy nie udaje się go zobaczyć. Wystarczy, że mrugniesz, a już ci umyka, i nawet nie wiesz, że straciłeś okazję. Trzeba być w odpowiednim miejscu, o właściwej porze i patrzeć w dobrym kierunku, trzeba umieć tę chwilę uchwycić. Ja widziałem blask tylko raz. Podczas podróży powrotnej do Anglii. Byłem na pokładzie o zachodzie słońca.

Patrzyłem, jak wielka ognista kula zanurza się w oceanie. W tropikach wygląda to jakoś inaczej.

Prawie nie ma zmięzchu takiego jak tutaj. Trwała ta przepiękna dziwnym spokojem scena, ani jednej chmureczki, tylko ogromne słońce tak nisko, że strach patrzeć. I nagle zniknęło, a ja zobaczyłem zielony blask. „Widziałem — krzyknąłem głośno — widziałem zielony blask!” Potem poszedłem i długo przyglądałem się mojemu opalowi. Był bardzo wartościowy, najwspanialszy ze wszystkich. Pamiętam, że podczas tamtej podróży miałem go zawsze przy sobie. Przyglądałem mu się od czasu do czasu, żeby się upewnić, że go mam. Gdy się na niego patrzyło, pobłyskiwał czerwienią i błękitem. Od połowy był jakby nieco ciemniejszy, co wyglądało niby zetknięcie lądu i morza, czerwone ognie przypominały słońce i zdarzały się momenty, że gdy patrzyło się pod odpowiednim kątem, w odpowiednim świetle, czerwone ognie znikaly, a pojawiał się zielony blask. Najpierw, jak sądzę, nazywano go Zachodem Słońca, ale gdy zobaczyłem zielony blask, wiedziałem, że ten kamień po prostu musi się nazywać Zielony Blask Zachodzącego Słońca.

— Kochałeś go najbardziej spośród wszystkich kamieni?

— Nie ma takiego drugiego. Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek widział zielony blask w innym kamieniu.

— Nigdy się nie dowiedziałeś, kto go zabrał?

— Mam pewne podejrzenia. W gruncie rzeczy wszystko wskazuje na mego... diabelskie nasienie. Boże, gdybym ja go dostał w swoje ręce, to....

Benowi zabrakło słów, co rzadko mu się zdarzało, i jakby na chwilę zapomniał o mojej obecności. Wyobrażałam sobie, że wraca myślami do chwili, gdy otworzywszy pudełko zobaczył, że opal zniknął.

Podeszłam do niego, wzięłam filiżankę i dolałam mu herbaty, a stawiając ją z powrotem na stole spytałam:

— Jak to się stało, Ben?

— To się stało tutaj — zaczął — w tym domu. Miałem go od niedawna i pragnąłem się nim chwalić. Był czymś więcej niż domem. Był moją dumą. Ty odczuwałabyś to samo. Twoja rodzina też tak to odczuwała. Zapraszałem gości i mówiłem: „Patrzcie, co mam! Oto co mi przyniosły lata mozołu i rozczarowań. Ten dom jest dla mnie wielkim osiągnięciem!” Niektórzy z moich znajomych nigdy nie widzieli podobnego miejsca. Byłem więc dumny, ale duma poprzedza upadek, jak mówią. „Patrzcie,

co mam! Jaki dwór! Jakie opale!” Weszliśmy tam —

wskazał na pokoik obok — we czterech. Wyjąłem opale, tak jak to zrobiłem, by je pokazać tobie, i wtedy widziałem Zielony Blask po raz ostatni. Gdy otworzyłem sejf następnym razem, wszystkie opale były na swoich miejscach z wyjątkiem tego jednego...

— Kto więc go ukradł?

— Ktoś, kto znał szyfr sejfu. Tak to musiało być.

— I nie wiesz, kto to był?

— Pewien młody człowiek, który niespodziewanie zniknął. Nigdy więcej go nie widziałem, choć próbowałem go znaleźć. Najpewniej on ma ten kamień.

— Co za niegodziwy postępek!

— Są na świecie niegodziwi ludzie. Pamiętaj o tym! A najśmieszniejsze, że nigdy bym go nie podejrzewał. Miał w sobie ten rodzaj upor i zdecydowania, który zwykle przynosi sukces. Ale Zielony Blask był jego zgubą. A ja straciłem go na zawsze.

— Policja z pewnością by go odnalazła.

— Za późno. Ale czasami myślę sobie, że któregoś dnia znajdę i tego człowieka, i kamień.

— Myślisz, że go nie sprzedał?

— To nie takie łatwe. Natychmiast by go rozpoznano. Każdy handlarz wiedział o tym kamieniu i natychmiast zameldowałby o transakcji. On mógł go po prostu wziąć dla siebie... nie bacząc na opowieści o nieszczęściach... bo każdy, kto zobaczył Blask, pragnął go mieć.

— Jakie opowieści, Ben?

— Wiesz, jak to jest. Ten kamień podobno sprowadzał nieszczęście. Były dwie czy trzy osoby, które go przedtem miały i doznały różnych przykrych kolei losu. Mówiono nawet, że Zielony Blask przynosi śmierć.

— A więc to nie ty go znalazłeś?

— Och, nie, nie ja. Przewinął się przez inne ręce, nim go dostałem. Można powiedzieć — wygrałem.

— Jak to było?

— Zawsze byłem dobrym graczem. Zmier się z losem — oto moja dewiza. Ale zawsze postępuję z umiarem. Nigdy nie gram do ostatniego grosza, jak niektórzy. Chcę być bogaty, bo dopiero wtedy

można sobie pozwolić na grę, rozumiesz... Miał ten kamień Harry Wilkins. Jak tylko mi go pokazał, zapragnąłem go zdobyć. Byłem pod urokiem Blasku, zawzięłem się. A tymczasem nieszczęścia nie odstępowały Harry'ego. Mówiono, że to z powodu kamienia. Harry miał syna, takie nic dobrego, i któregoś wieczoru chłopak wyszedł i więcej nie wrócił.

Znaleziono go z przetrąconym karkiem. Dużo pił, co Harry'ego strasznie irytowało. Harry był wielkim hazardzistą. Przyjmował każdy zakład. Dwie kropelki wody spływały po szybie, a Harry mówił: „Założę się o sto funtów, że ta z prawej strony będzie pierwsza na dole”. Po prostu nie potrafił inaczej. Ja chciałem mieć Blask, a Harry nie miał już prawie nic więcej, bo synalek, zanim umarł, okradł go ze wszystkiego. Krótko mówiąc, Harry postawił Zielony Blask za fortunę. Przyjąłem zakład i wygrałem. Harry zastrzelił się w kilka tygodni później. Nieszczęścia chodzą za Zielonym Blaskiem, mówili ludzie.

— A co ty na to?

— Ja w to oczywiście nie wierzę.

— Może dlatego uszedłeś cało, że straciłeś kamień?

— Pewnego dnia wróci, gdzie jego miejsce.

— Mówisz o nim jak o ukochanej.

— Bo go kochałem, uwielbiałem, brałem w dłonie i przyglądałem mu się, gdy mi było źle.

Szukałem zielonego blasku i mówiłem sobie: „Wszystko się zmieni. Znajdziesz szczęście, tak jak znajdowałaś kamienie. Oto co ten opal ma ci do powiedzenia”.

Nagle, jakby nie chcąc dłużej myśleć o poniesionej stracie i o niej mówić, zaczął opowiadać o czasach młodości, gdy, jak to nazywał, „szperał co nieco” i po raz pierwszy poczuł przyciągającą moc opali. Później powiedział, że pewnie chciałabym obejrzeć dom, a ponieważ sam nie może wprowadzić mnie tak sprawnie, jakby cobie życzył, poprosi kogoś ze służby, by mi towarzyszył.

Nie chciałam go opuścić, a jednocześnie bardzo pragnęłam zobaczyć dom; gdy się zawahałam, co mu sprawiło przyjemność, powiedział:

— Przyjdiesz tu jeszcze. Musimy się spotykać, bo chyba wzajemnie przypadliśmy sobie do gustu. Podzielasz moje zdanie?

— O, tak. Jeśli mogę tu jeszcze kiedyś przyjść i posłuchać o opalach, to teraz bardzo chciałabym obejrzeć dom.

— Oczywiście, powinnaś go obejrzeć. I wyobrażać sobie, jakby to było, gdybyś tu mieszkała, gdyby nie zjawił się jakiś nowobogacki Australijczyk i nie zagrabił twego rodzinnego dworu.

— Cieszę się tym, co mam — zapewniłam go, a on wyglądał na zadowolonego.

Pociągnął sznurek dzwonka i natychmiast pojawił się Wilmot.

— Panna Clavering chciałaby obejrzeć dom — rzekł Ben. — Niech ją ktoś z was oprowadzi.

— Tak jest, proszę pana — wymruczał Wilmot.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Ben. — Hannah niech oprowadzi pannę Clavering. Tak, Hannah.

— Jak pan sobie życzy.

Podeszłam do wózka i podałam Benowi rękę.

— Dziękuję. Bardzo mi się tu podobało. Czy będę mogła jeszcze kiedyś przyjść?

— W przyszłą środę, o tej samej porze.

— Dziękuję.

Twarz Bena dziwnie się zmieniła. Gdyby to był ktoś inny, pomyślałabym, że powstrzymuje łzy.

— Idź już. Hannah pokaże ci dom.

Zastanawiałam się, dlaczego wybrał Hannah. Jej bowiem najbardziej byłam ciekawa. Wysoka, szczupła, o posępnej twarzy i dużych czarnych oczach, których spojrzenie przeszywało mnie na wylot, była wyraźnie zadowolona, że to ona ma mi pokazać dom.

— Pracowałam u państwa Claveringów przez pięć lat — powiedziała. — Zaczęłam jako dwunastoletnia dziewczynka. Kiedy państwo stąd odchodzili, nie mieli pieniędzy, by mnie zatrudnić.

— Obawiam się, że to dotyczyło wielu osób.

— Czy możemy zacząć od góry, panno Clavering, i zwiedzać, schodząc w dół?

Uznałam to za wspaniały pomysł i wspiełyśmy się po krętych schodach aż pod sam dach.

— Stąd najlepiej ogląda się wieżyczki. Proszę zobaczyć, jaki piękny widok na okolicę. —

Spojrzała na mnie bacznie. — I widać Dom Wdów.

Idąc za jej wzrokiem, spostrzegłam wśród drzew Dom Wdów. Z tej odległości robił wrażenie domku dla lalek, ale proste linie bryły budynku były wyraźne, gładkie trawniki oglądały jak kwadraty zielonego jedwabiu. Zobaczyłam też Biednego Jarmana pracującego na kwiatowych rabatkach.

— Macie lepszy widok na nas niż my na was — skomentowałam. — Latem Dębowy Dwór jest zupełnie niewidoczny.

— Często tu przychodzę i patrzę.

— Musi nas pani wobec tego widzieć, kiedy jesteśmy w ogrodzie.

— O tak, bardzo często.

Poczułam się dość nieswojo.

— Lepiej tu teraz, niż było kiedyś?

Zawahala się.

— W pewien sposób. Pan Henniker często wyjeżdża i wtedy cały dom mamy dla siebie. Może to się wydaje dziwne, że... Tak przynajmniej było na początku, a człowiek przyzwyczaja się do wielu rzeczy. Służba u pana Henniker a nie jest trudna.

Zrozumiałam, że u mojej matki było odwrotnie.

— Parma Miriam miała wtedy zaledwie kilkanaście lat... — mówiła dalej Hannah.

— A ja jeszcze się nie urodziłam. To dawne czasy.

— Nie będą zadowoleni, jak się dowiedzą, że panienka tutaj przyszła.

— Nie, nie będą — przyznałam. — Jeśli się dowiedzą.

— Pan Henniker jest bardzo dziwnym człowiekiem.

— Nie jest podobny do żadnej ze znanych mi osób — powiedziałam.

— Panienka myśli pewnie o sposobie, w jaki zdobył ten dom. Nie do wiary, że taki jak on będzie go miał.

Milczałyśmy chwilę, podziwiając krajobraz. Mój wzrok wciąż wracał do Domu Wdów.

Biedny Jarman wyprostował się, gdy podeszła do niego Maddy. Stali i rozmawiali. Bawiło mnie, że ja ich obserwuję, a oni nic o tym nie wiedzą.

— Pójdziemy dalej, panno Clavering? Przytaknęłam.

Zeszłyśmy kręconymi schodami i weszłyśmy do pokoju. Zachwyciałam się kształtem belek u sufitu boazerią na ścianach i rzeźbą kominka.

— Tyle tu jest tych pokoi, że można stracić rachubę — powiedziała Hannah. — Nie wszystkie są wykorzystywane, nawet gdy mamy gości. — Czy często są goście?

— Tak, przyjeżdża wielu panów w interesach. Tak przynajmniej było kiedyś. A teraz, po wypadku, nie wiem...

— Domyślam się, że przyjeżdżają w sprawie opali.

— Pan Henniker prowadzi rozmaite interesy. Jest bardzo bogaty. Dlatego mówimy... między sobą... że dobrze się u niego pracuje. Nie trzeba robić oszczędności ani zastanawiać się, czy wypłata będzie w terminie, tak jak...

— ...za Clavingów.

— Zdaje się, że większość arystokratycznych rodzin ma kłopoty z pieniędzmi. Rozmawiamy ze służącymi z innych domów. A ktoś taki jak pan Henniker... musiał mieć dużo pieniędzy, żeby ten dom kupić, prawda? Musi więc mieć także na jego utrzymanie. Inaczej niż ten, co go dziedziczy i traktuje jak studnię bez dna.

— Rozumiem, że po latach pracy u mojej rodziny praca u pana Hennikera jest po prostu przyjemnością.

— Wszystko jest zupełnie inaczej. Pan Wilmot zawsze powtarza, że to nie to, do czego nawykł, i zdaje mi się, że czasami wzdycha do bardziej wyrafinowanych manier, do bardziej dostojnego domu. Miło jednak wiedzieć, że pensje będą o czasie i nie trzeba liczyć każdego grosika. Pan Henniker nigdy nie trzyma pod kluczem herbaty... i nie zagląda do rachunków pani Bukiet, ale mam wrażenie, że gdyby coś tam było nie w porządku, pierwszy by o tym wiedział.

Weszliśmy do galerii.

— Kiedyś — mówiła Hannah — wisiały tu rzędem portrety rodzinne. Zostały zabrane, a pan Henniker nie powiesił swoich obrazów. Pan Wilmot mówi, że galeria bez portretów rodzinnych nie jest galerią, ale niewiele wiemy o panu Hennikerze.

Galeria była piękna — rzeźbione filary, wysokie, wąskie okna, witraże nadające szczególny koloryt pomieszczeniu. Na ścianach w równych odstępach wisiały zasłony z grubego atłasu.

Zakrywały fragmenty ścian nie wyłożone boazerią, objaśniła Hannah.

— To podobno nawiedzone miejsce — mówiła. — W każdym dworze musi być jakieś pomieszczenie, w którym straszy. Ale gdy nastał pan Henniker, nikt niczego nie widział i nie słyszał. To pewnie on wystraszył ducha. Kiedyś słyszano tu muzykę... jakby ktoś grał na szpinecie. Pan Henniker wysłał szpinet do Australii. Słyszałam, że ten instrument wiele dla niego znaczy. Pani Bukiet mówi, że to wymysły, całe to straszenie. A pan Wilmot mówi, że to prawda, i uważa, że nie wypada pracować w domu, gdzie nie ma ducha, i że do niego to już całkiem coś takiego nie pasuje.

— Ale został u pana Hennikera.

— I boleje nad tym.

Poszliśmy dalej. Rzeczywiście było w tym domu tyle podobnych pokoi, że można się było zgubić. Miałam nadzieję, że odwiedzając od czasu do czasu pana Hennikera, będę mogła chodzić po domu i oglądać go sama, dla przyjemności. Hannah była nieco krępującym przewodnikiem, bo ilekroć na nią spojrzałam, napotykałam jej, utkwiony we mnie wzrok. Składałam to na karb faktu, że należę do rodziny, u której kiedyś służyła. Ale nie mogłam przestać myśleć, jak mi się przyglądała, jak patrzyła

na Dom Wdów.

Podziwiałam rzeźbione kominki, z czasów gdy Anglią rządziła królowa Elżbieta. Rzeźby przedstawiały sceny z Biblii: rozpoznałam Adama i Ewę, i żonę Lota zamienioną w słup soli, ale czułam się niedouczone, gdyż pozostałe sceny trzeba mi było wyjaśniać.

Zachwyciło mnie solarium, którego okna wychodziły na południe, a wiszące na ścianach gobeliny Ben Henniker z pewnością nabył od mojej rodziny. Wyobrażałam sobie matkę przemierzającą tam i z powrotem galerię, gdy dyskutowano, jak trzeba będzie sobie radzić z utrzymaniem domu.

Na koniec znalazłyśmy się w holu i sienią przeszłyśmy do pomieszczenia, które Hannah nazywała salonikiem.

— W bardzo dawnych czasach — wyjaśniała — tutaj podejmowano gości.

Ściany wyłożone były boazerią, okna miały małe szybki sadzone w ołowianych ramkach, a w rogu stała rycerska zbroja.

— Po drugiej stronie są kuchnie, spiżarnie i kuchenne schowki i piwniczki. Pewnie chce je panienka zobaczyć. Niektóre pochodzą z czasów, gdy dom był budowany, a kiedy to było, Bóg jeden wie.

Poprowadziła mnie z powrotem przez hol do drzwi oddzielających pomieszczenia dla służby i znalazłam się w obszernej kuchni. Całą jedną jej stronę zajmowały piece chlebowe, rożny i wielkie kotły. Przy ogromnym stole stały dwie ławy, a u jego szczytów dwa fotele — szerokie i zdobne. Jak się później dowiedziałam, jeden z nich zajmowała pani Bukiet, a drugi główny lokaj, pan Wilmot.

Wchodząc do kuchni, usłyszałam tłumione szepty. Wiedziałam, że jest gdzieś jakiś dogodny punkt obserwacyjny, z którego na mnie patrzą.

Wielka, uśmiechnięta kobieta zmierzała w moją stronę, a za nią dreptały trzy pokojówki.

— To jest panna Clavering, pani Bukiet — powiedziała Hannah.

— Bardzo mi miło, pani Bukiet — zaczęłam. — Sporo o pani słyszałam.

— Doprawdy? — spytała, wyraźnie zadowolona.

— Maddy, która u nas pracuje, często o pani wspomina.

— Maddy, och, tak, tak. Odwiedziny członka rodziny Claveringów to dla nas wielkie wydarzenie, proszę panienki.

— Cieszę się, że mogłam tu przyjść.

— Może to początek — powiedziała pani Bukiet.

Czułam się skrępowana, bo wszystkie szacowały mnie wzrokiem. Może myślały, że panna Clavering

wychowana w Domu Wdów nie jest całkiem prawdziwą panną Clavering. W końcu nie miałam okazji posmakować majestatu takiego domu jak ten.

— Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy się dowiedziałam, że Claveringowie się wyprowadzają.

Staliśmy rzędem w holu... nawet chłopcy stajenni.

Hannah skinęła głową, potakując pani Bukiet, a ja błogosławiłam zażywną kucharkę za jej słowa i za to, że moja obecność w kuchni tego domu przywołała na pamięć tyle wspomnień, iż nie mogła się powstrzymać, by o nich nie mówić.

— Oczywiście, było coś tam wcześniej... pieniądze, pieniądze!... Wszystkich to dotyczyło...

wszyscy mówili o podatku dochodowym i jak on ludzi rujnuje. Były już jakieś oszczędności w stajniach. Ach, jakie Claveringowie mieli konie, gdy zaczęłam tu pracować! A jakich ogrodników! Ale oszczędności zawsze robi się najpierw w stajniach i ogrodach. Powiedziałam panu Wilmotowi — a on potwierdzi, że mu to powiedziałam, jak go panienka spyta, więc powiedziałam mu...

— To dawne czasy, pani Bukiet — przerwała jej Hannah.

— A zdaje się jakby wczoraj. Panienki jeszcze na świecie nie było. Kiedy się dowiedzieliśmy, że jakiś pan z Australii kupił posiadłość, nie mogliśmy uwierzyć. Niech panienka spyta pana Wilmota. Właśnie, wszystko się zmieniło, Claveringowie przeprowadzili się do Domu Wdów. A teraz...

— Panna Clavering poznała pana Hennikera — powiedziała Hannah twardo. — Była właśnie u niego na herbacie.

Pani Bukiet skinęła głową.

— Smakowały panience rożki? Pamiętam, jak panna Jessika...

Hannah posłała pani Bukiet spojrzenie, które sparaliżowałoby każdego. Wyraźnie dawała jej do zrozumienia, by trzymała język za zębami.

Ja jednak nie zamierzałam do tego dopuścić.

— Panna Jessika? — spytałam. — Kto to był?

— Pani Bukiet miała na myśli pannę Miriam. Ona uwielbiała rożki. Pamięta pani, pani Bukiet, jak przychodziła do kuchni, kiedy pani je piekła?

— Była mowa o panie Jessice — nalegałam.

— Imiona tak się mylą, prawda, pani Bukiet? To jest panna Jessika. A wtedy za rożkami przepadali panna Miriam i pan Xavier. Wyobrażam sobie, że rożki pani Cobb nie dadzą się porównać z paninymi.

— Niczyje rożki nie dadzą się porównać z moimi — stwierdziła pani Bukiet z niezachwianą stanowczością.

— Uważam, że są znakomite — powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego ona mówiła o jakiejś Jessice.

Hannah spytała pośpiesznie, czy mam ochotę obejrzeć stajnie. Odpowiedziałam, że nie, bo nie chciałam, by zbyt wiele osób ze służby mnie widziało. Wyobrażałam sobie zdziwienie i oburzenie członków mojej rodziny, gdyby się dowiedzieli, że jestem w przyjacielskich stosunkach z panem Hennikerem. Miałam siedemnaście lat, byłam wciąż niepełnoletnia i skazana, na posłuszeństwo rodzicom — choć jak na buntowniczkę przystało, tylko do pewnego stopnia. Na razie wolałam trzymać moje wizyty we Dworze w tajemnicy, i im mniej osób mnie tu widzi, tym lepiej.

Powiedziałam, że wszystko jest niezwykle interesujące i że miło było poznać panią Bukiet, po czym podziękowałam Hannah za oprowadzenie po domu i wyszłam.

Czułam, że patrzyli za mną, gdy szłam aleją, i dotarwszy do zakrętu doznałam ulgi, choć wtedy widziana byłam z drogi i zastanawiałam się, co by to było, gdyby Miriam, Xavier albo moi rodzice akurat tamtędy przechodzili. Na szczęście nic takiego się nie stało i nie zauważona dotarłam do Domu Wdów.

Rozpamiętywałam, co pani Bukiet mówiła o Jessice i rożkach. Poszłam prosto na Nieużytki i znów wpatrywałam się w tabliczkę z napisem: Jessika Clavering, li... 1880.

Ona musiała być tą Jessiką, o której mówiła pani Bukiet.

* * *

Przez cały upalny sierpień odwiedzałam Dębowy Dwór. Ale tylko w środy, bo Ben powiedział, że nie lubi regularności — Lubił nieoczekiwane sytuacje, mówił więc: „Przyjdź w poniedziałek”... albo: „Przyjdź w sobotę”. Czasami odpowiadałam: „Tego dnia są uroczystości w kościele, powinnam więc tam być”. Proponował wtedy inny dzień.

Ben robił postępy — coraz zręczniejszemu poruszał się o kulach. Stroił żarty na temat sztucznej nogi, mówił o sobie „Ben Kołęknoga” i uważał, że tylko patrzeć, jak będzie mu z tym kawałkiem drewna lepiej niż z nogą z krwi i kości. Trzymał mnie pod rękę i przechadzaliśmy się po galerii.

Kiedyś powiedział:

— Powinny tu wisieć rodzinne portrety. Po to jest galeria. Ale moja brzydka twarz nie dodałaby jej uroku.

— Nigdy nie widziałam bardziej interesującej twarzy — stwierdziłam.

„Twarz” żywo zareagowała. Pod surową powierzchownością kryło się bardzo uczuciowe usposobienie.

Ben zawsze dużo mówił, malując przede mną jaskrawe obrazy ze swej przeszłości. Sprawił, że widziałam wyraźnie londyńskie ulice i jego, szukającego najlepszych sposobów sprzedaży swoich towarów, zawsze o krok wyprzedzającego innych. Często wspominał matkę, zawsze z czułością — najwyraźniej szczerze ją kochał.

— Ben, powinieneś być mieć żonę — powiedziałam mu kiedyś.

— Nie nadaję się do małżeństwa — rzekł. — Ciekawa sprawa, żadna się nigdy nie nawinęła w stosownym momencie. Ten „stosowny moment” odgrywa w naszym życiu dużą rolę. Możliwość powinna pojawić się wtedy, gdy możemy z niej skorzystać. Nie zamierzam ci wmawiać, że w moim życiu brakowało kobiet. To byłoby kłamstwo, a my chcemy mówić sobie prawdę, czyż nie tak? Miałem jakąś Lucy przez jakiś rok, ale akurat wtedy, gdy pomyślałem, że pora zalegalizować ten związek, stało się coś, co wszystko zmieniło. Później była Betty. Dobra była ta Betty, ale wiedziałem, że i z nią nie będzie się układało.

— Miałbyś synów i córki, których portrety wypełniłyby galerię.

— Mam przypadkiem jedno czy dwoje dzieci — powiedział, śmiejąc się szeroko. — A przynajmniej one uznają mnie za ojca... od czasu gdy jestem bogaty.

— Może chciałyby mieć w tobie ojca także wtedy, gdybyś był biedny.

— Kto wie... kto wie... Takie wiedliśmy rozmowy.

Byłam w przyjacielskich stosunkach także ze służbą. Pani Bukiet bardzo sobie mnie upodobała. Chciała wiedzieć, jak pani Cobb robi niektóre rzeczy, i wypytywała mnie o szczegóły. Siedziała i słuchała, z wyższością kiwając głową i uśmiechając się ironicznie.

Uważałam, że to nie w porządku wobec pani Cobb.

— Stary Jarman lepiej by zrobił, gdyby został — twierdziła pani Bukiet. — Co zyskał? Kupę dzieciaków, których chałupa nie może pomieścić. Gdyby został tu jeszcze z pięć lat, miałby o pięćoro mniej na utrzymaniu.

Wilmot zaakceptował moje wizyty w pomieszczeniach dla służby dopiero po pewnym czasie.

Jestem pewna, że jego zdaniem, chociaż nosiłam nazwisko Clavering, nie byłam panną Clavering z Dębowego Dworu, bo nie urodziłam się w wielkiej sklepionej komnacie, w której przychodzili na świat wszyscy Claveringowie, tylko na obczyźnie. Obniżało to w — pewien sposób moją pozycję; traktował mnie wprawdzie z szacunkiem, ale nieco z łaski.

Bawiło mnie to i często śmialiśmy się z tego razem z Benem. Dziwiłam się, jak wytrzymałam monotonię życia, zanim poznałam Bena.

Pod koniec sierpnia Ben powiedział coś, co mnie zaniepokoiło. Spacerowaliśmy po galerii, Ben poruszał się o kulach z dużą swobodą.

— Jak tak dalej pójdzie — rzekł — w przyszłym roku znów będę podróżował.

Spostrzegł moje zaskoczenie i zaczął mnie pocieszać:

— Nie przed Bożym Narodzeniem. Muszę jeszcze sporo ćwiczyć.

— Jak tu będzie nudno bez ciebie! — wyjąkałam.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Jeszcze dużo czasu przed nami. Kto wie, co się wydarzy do Bożego Narodzenia.

— Dokąd pojedziesz?

— Do siebie, na północ od Sydney... niedaleko od krainy opali, gdzie jest jeszcze mnóstwo kamieni do znalezienia.

— Zamierzasz znowu szukać?

— Mam to we krwi.

— Ale po wypadku...

— Nie sądzę, żebym się wyprawiał z kilofem w dłoni. Nie to miałem na myśli. Mój partner i ja mamy tam kopalnie, w których wydobywa się kamienie. Mamy ludzi, którzy dla nas pracują.

Jesteśmy właścicielami Towarzystwa Kopalń Opali.

— Co się z tym wszystkim dzieje teraz?

— Och, Paw czuwa nad wszystkim.

— Paw?

Roześmiał się.

— Kiedyś go poznasz. Zobaczysz, że to imię do niego pasuje.

— Pewnie jest pyszny.

— Ma o sobie wysokie mniemanie. I nie powiem, że nieuzasadnione. Widziałaś kiedyś pawie pióro? ... Niebieskiego koloru... jedyne w swoim rodzaju? On ma takie oczy. Bardzo rzadka, głęboka, ciemnoniebieska barwa... a jak on nimi patrzy, gdy jest zły! Nie ma człowieka w całym Towarzystwie, który by się ośmielił wejść Pawiowi w drogę. A to czasami bardzo przydatne.

Wiem, że troszczy się o wszystko jak trzeba. Gdyby nie Paw, nie byłoby mnie tutaj. Nie odważyłbym się, musiałbym tam zostać. Nie wyobrażasz sobie, co by się beze mnie działo.

— A Pawiowi możesz ufać?

— Biorąc pod uwagę bliskość naszych stosunków, myślę, że tak.

— Kimże więc on jest?

— Josslyn Madden. Nazywany Jossem albo Pawiem. Jego matka była moją przyjaciółką, bardzo dobrą przyjaciółką. I piękną kobietą. Julia Madden. Każdy facet z osady szukał jej względów. A Jock Madden, biedny bubek, był całkiem nie na swoim miejscu. Nie potrafił ani pracować, ani utrzymać przy sobie kobiety. Julia i ja bardzośmy się lubili. Kiedy Joss przyszedł

na świat, nie było cienia wątpliwości. Zresztą stary Jock nie mógł mieć dzieci.

— Chcesz mi powiedzieć, że ten Paw to twój syn?

— Coś takiego — roześmiał się Ben. — Nigdy nie zapomnę tamtego dnia. Miał co najwyżej siedem lat. Pawi Dom już wtedy stał... Z pięć lat, jak był gotowy. Po trawnikach chodziły pawie

— stąd nazwa. Julia często mnie odwiedzała. Miała zamiar opuścić Jocka i zostać ze mną. Aż któregoś dnia jej koń się przewrócił, Julia spadła i zabiła się. A Jock ożenił się znowu. Z babą megierą. Nikt z nią nie mógł wytrzymać, chociaż zawsze było za mało kobiet, więc uczepiła się Jocka, bo nie umiał jej odmówić. Złapała go całkiem zgrabnie. Małemu Pawiowi taka rodzinka się nie podobała, więc raz dwa spakował manatki i któregoś dnia pojawił się u mnie — kroczył

przez trawnik, płosząc pawie, maszerował z całym swoim dobytkiem na plecach. Przyprawdzili go do mnie. „Będę tu teraz mieszkał”, powiedział. Nie „czy mógłbym?...”, nie „będę tu mieszkał!” Taki był Joss Madden, gdy miał siedem lat, i taki jest teraz. Wie, o co mu chodzi, i tak ma być.

— Zdaje się, Ben, że on ci się podoba. Podziwiasz go.

— Jest moim synem... i Julii. Jest w nim dużo ze starego Bena. A nic ci się w ludziach tak nie podoba jak odbicie samego siebie.

— Został w Pawim Domu i stał się tak zarozumiały, że zaczęto nazywać go Pawiem. Jest nieokrzesany i jest twoim synem.

— Mniej więcej.

— Czy jest jednym z tych, o których mówisz, że uznali w tobie ojca, gdy stałeś się bogaty?

— Nie wiem, co wiedział o bogactwie, gdy miał siedem lat. Myślę, że po prostu nienawidził swojego domu, a lubił pawie. Poświęcał im więcej uwagi aniżeli mnie. Chodził po trawnikach dumnym krokiem, jak one. Później zafascynowały go opale, szczególnie te o pawich kolorach.

Zainteresował się nimi, ledwie je poznał, a gdy coś go zaciekawi, to już na dobre. Wiem, że pod jego okiem interes jest bezpieczny. Szybko nauczył się nim zarządzać bez mojej pomocy, ale coś mnie tam

gna. Czasami śnię, że tam jestem... schodzę w dół szybu... głęboko do podziemnych komór... trzymam w ręku świecę, a nad sobą widzę mnóstwo klejnotów... piękne opale mieniące się czerwienią, zielenią i złotem... w samym środku zaś lśni nowy Zielony Blask.

— On przynosi nieszczęście, Ben — powiedziałam. — Nie chcę, żeby spotkało cię coś złego.

Jesteś bogaty. Masz Dębowe Pole. Po co ci Zielony Blask?

— Wiesz — odrzekł — najwspanialszym moim znaleziskiem, od czasów gdy straciłem Zielony Blask, jesteś ty.

Milczeliśmy chwilę, kuśtykając wzdłuż galerii. Ben zasiał w moich myślach lęk. Wiedziałam, że przyjdzie taki dzień, kiedy on wyjedzie.

Czasami miałam uczucie, że zostało nam niewiele czasu. Jeśli nie będzie Bena, nie będzie też powodu, by odwiedzać Dwór, a tylu rzeczy chciałam się jeszcze dowiedzieć!

Wiedziałam coś niecoś o opalach i o tym, jak się je wydłubuje ze skał. Miałam pewne wyobrażenie o pełnych życia osadach poszukiwaczy i o ich codziennych sprawach, potrafiłam zrozumieć podniecenie, jakie ogarniało całą osadę, gdy ktoś znalazł drogocenny kamień — ale dowiadywałam się także innych rzeczy.

* * *

Pani Bukiet niczego nie lubiła tak bardzo, jak mojej obecności w kuchni, dlatego zawsze starałam się do niej zaglądać. Tam też odkryłam, że niewiele wiem o mojej rodzinie. Miriam, Xavier i rodzice byli dla mnie jedynie cieniami, krążącymi po kiepsko oświetlonych pokojach, w których przykręcono knoty lamp, gdy ojciec przepuścił Dębowy Dwór.

Pani Bukiet z wielką przyjemnością przygotowywała dla mnie różne smakołyki — miałam je porównywać z tym, co pani Cobb podawała na stół. Myślę, że miała poczucie winy, że nie poszła na służbę do Domu Wdów. Lubiała mówić o przeszłości i od niej się dowiedziałam, jakim to Xavier był „byстрыm chłopczykiem”.

— Musiał się uczyć w trudnym dla wszystkich okresie. Smakowało mu moje gotowanie.

Mówił o mnie Bukiet Jarzyn. Nie było w tym nic niestosownego. „Tylko Bukiet Jarzyn może tak się znać na smakach”, mówił. A potrafił zjeść! Panna Miriam też była nieznośna. Ile to razy ją złapałam, jak podkradała cukier! Miała piętnaście lat, kiedy przyszła do mnie i powiedziała:

„Pani Bukiet, musimy opuścić Dębowy Dwór”. Była bliska płaczu i nie muszę panience mówić, że ja też. A panna Jessika to znowu...

Zapadła głęboka cisza i trwała długo, zanim Hannah powiedziała:

— Czy zrobiła pani bułeczki z porzeczkami do herbaty, pani Bukiet?

— Kim była Jessika? — spytałam.

Pani Bukiet popatrzyła na Hannah i nagle wybuchnęła:

— Co dobrego z takiego udawania? Takich rzeczy nie da się utrzymać w tajemnicy.

— Powiedzcie mi — domagałam się odpowiedzi, jakbym była panną Clavering ze Dworu — kim była Jessika?

— Była córką Claveringów — powiedziała pani Bukiet bez mała wyzywająco. — Średnią, młodszą od Xaviera, starszą od Miriam.

— I miała na imię Jessika? — spytałam.

Hannah przytaknęła, jakby przyzwalała na dalszy ciąg rozmowy.

— Dlaczego to taki sekret?

Znów zapadła cisza.

— Okropnie to wszystko głupie! — wybuchnęłam.

— Dowie się panienka w swoim czasie. Nie jest naszą sprawą...

Spojrzałam błagalnie na panią Bukiet.

— Wy wszyscy wiecie. Dlaczego ja mam nie wiedzieć? Co się stało Jessice?

— Umarła — powiedziała pani Bukiet.

— Była bardzo młoda?

— To było, gdy państwo już tu nie mieszkali, więc niewiele wiemy — powiedziała Hannah.

— Była starsza od Miriam, a Miriam miała piętnaście lat, gdy się wyprowadzili — podpowiadałam.

— Miała jakieś siedemnaście lat — powiedziała Hannah — ale to nie my powinniśmy... Pani Bukiet nie powinna była...

— Będę robić, co mi się żywnie podoba, w mojej kuchni — odparła pani Bukiet.

— To nie są sprawy kuchni — zaprotestowała Hannah.

— Zechciej łaskawie nie zwracać się do mnie zuchwale, panno Hannah Gooding!

Doszłam do wniosku, że specjalnie się kłóć, żeby uniknąć powiedzenia mi prawdy. Ale ja zamierzałam tę prawdę poznać. Byłam absolutnie zdecydowana.

Wyszłam ze Dworu, poszłam na przykościelny cmentarz i obejrzałam wszystkie groby.

Znalazłam tylko jedną Jessikę Clavering, która umarła przed stu laty w podeszłym wieku.

Potem poszłam na Nieużytki. Tu był jej grób z tabliczką i wyrytą na niej datą: li... 1880.

— A więc ciebie, Jessiko, pogrzebali tutaj — wyszeptałam.

List od umarłej

Następnego dnia, gdy siedziałam nad strumieniem, pojawiła się Hannah z pakiecikiem w ręce.

— Chcę z panią porozmawiać, panno Clavering — powiedziała.

— Dobrze, Hannah. Już idę.

Przechodząc przez mostek spostrzegłam, że była bardzo poważna.

— Myślę, że przyszedł czas, by to panię dać.

— Co to jest?

— To coś, co zostało mi powierzone do przekazania panię — albo w dwudzieste pierwsze urodziny, albo w innej stosownej porze, co będzie pierwsze. Uznałam, że teraz jest właśnie ta stosowna pora.

Wzięłam pakiecik, który wetknęła mi do rąk.

— Co to jest? — powtórzyłam.

— Coś, co zostało napisane dla panię i dane mi na przechowanie.

— Kiedy? Kto ci to dał?

— Wszystko jest napisane. Mam nadzieję, że postępuję słusznie.

Wahała się przez chwilę, uniosła brwi, po czym odwróciła się i pośpiesznie odeszła, zostawiając mnie z pakietem w ręce. Otworzyłam go i wyjęłam plik kartek zapisanych wyraźnym, zgrabnym pismem.

Spojrzałam na pierwszą stronę:

„Opal, moje drogie dziecko!

Minie wiele lat, zanim przeczytasz te słowa, a czytając je, mam nadzieję, nie będziesz myśleć o mnie

źle. Pamiętaj, że bardzo Cię kochałam, a to, co zamierzam zrobić, jest najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich. Chcę, żebyś wiedziała, że moje ostatnie myśli wiązały się z Tobą...”

Nie mogłam zrozumieć, co to wszystko znaczy, postanowiłam więc wziąć zapisane kartki na Nieużytki, gdzie rzadko ktokolwiek przychodził, i tam, obok grobu Jessiki, zaczęłam czytać dalej:

„Zacznę od samego początku. Chcę, żebyś dużo o mnie wiedziała, bo wtedy łatwiej Ci będzie zrozumieć, jak to wszystko się stało. Myślę, że w każdej rodzinie jest ktoś, kto jest inny. Ja właśnie taka byłam. Xavier był zdolny, łatwo się uczył i chętnie wszystkim pomagał. Miriam potrafiła psocić, ale tylko wtedy, gdy ją na to namówiłam. Miała uległą naturę, dawała się urabiać wedle życzenia, potrafiła też zachowywać się wzorowo. Ja zawsze byłam trochę zbuntowana.

Udawałam ducha — grałam na szpincie w galerii i chowałam się szybko, gdy ktoś wchodził, aż zaczęto mówić, że w galerii straszy, i nikt ze służby sam nie chciał tam wejść. Przypochlebiałam się pani Bukiet i prosiłam, by piekła ciastka, które szczególnie lubiłam — zawsze robiła dla mnie jedno więcej. Byłam ulubienicą taty, nie mogłabym jednak tego powiedzieć o mamie. Tata nauczył mnie grać w pokera. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy mamy, kiedy weszła do gabinetu ojca i zobaczyła nas oboje z kartami w rękach. Wtedy właśnie uświadomiłam sobie niepokojący stan finansów naszej rodziny. Stała z tak tragiczną miną, że miałam ochotę wybuchnąć śmiechem. »Zabawa, gdy płonie Rzym!« — powiedziała. »To nie zabawa, to poker, mamó« —

odparłam. »Jak ci nie wstyd!« — wykrzyknęła. Złapała karty i wrzuciła je do ognia. »Teraz płoną karty zamiast Rzymu« — powiedziałam. Słowa zawsze wymykały mi się spod kontroli, nie potrafiłam ich powstrzymać. Mama uniosła rękę i wymierzyła mi policzek. Doznałam wstrząsu, dotarło do mnie, jak się zdenerwowała. Zwykle opanowana, ograniczała się do słów nagany. Tata też był zaskoczony. »Nigdy więcej nie podnoś ręki na dzieci« — rzekł. I wtedy to się stało. »A kimże ty jesteś, żeby mi dyktować, jak mam się zachowywać? Uczysz córkę rozpusty, której sam się oddajesz. Karty, hazard... a hazard to długi, z nich zaś wynika sytuacja, w której się dziś znajdujemy. Czy zdajesz sobie sprawę, że dach wymaga natychmiastowej naprawy? Woda cieknie do galerii, w bibliotece butwieje podłoga. Służba od dwóch miesięcy nie dostaje wynagrodzenia. I co ty na to? Uczysz córkę grać w pokera!«

Stałam trzymając się za policzek. »Dorothy, proszę, nie przy Jessice«. A ona odpowiedziała:

»Dlaczego nie? I tak się wkrótce dowie. Od dawna już wszyscy wiedzą, że przepuściłeś cały swój majątek... i mój... i że nie stać nas, byśmy dalej żyli tak, jak żyliśmy«.

Zobaczyłam, jak dama kier zwija się w płomieniach. Mama wyszła i zostaliśmy z ojcem sami.

Nie wiem, dlaczego Ci to opisuję. To naprawdę niestosowne. Ale chcę, żebyś coś o mnie wiedziała, Opal, żebyś wiedziała, jak wyglądało nasze życie. Nie chcę być dla Ciebie jedynie imieniem. Chcę, abyś spróbowała zrozumieć, dlaczego sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej —

dlatego opisuję Ci to wszystko. Może podreż to swoje pisanie na kawałki, gdy skończę. Może uznam, że nie ma potrzeby, żebyś wiedziała. A może to tylko szukanie wymówki. Jednak na razie piszę, co mi przychodzi do głowy, a tamta scena w gabinecie zdaje się w jakiś sposób początkiem, bo

gdybyśmy nie musieli sprzedać Dębowego Dworu, na pewno nie miałyby miejsca.

Potem takie sceny powtarzały się coraz częściej. Zawsze chodziło o pieniądze. Należało zapłacić za to czy za tamto, a pieniędzy nie było. Wiedziałam, że ojciec postępuje niesłusznie. To była diabelska robota, złe siły prześladowały tę rodzinę i teraz upodobały sobie ojca.

Rozmawialiśmy o tym w galerii, gdy pokazywał mi portrety przodków i opowiadał, czym się wstawili. Geoffrey, urodzony przed trzystu laty, omal nie przywiódł nas do ruiny. James pływał po morzach i był piratem. Kradł skarby z hiszpańskich galeonów — bardzo się wtedy wzbogaciliśmy. Charles był kolejnym hazardzistą. Rzecz miała miejsce w czasach Karola I, nastąpiły wojny. My, naturalnie, trzymaliśmy stronę króla, udało się jakoś przetrwać czasy Rzeczypospolitej Angielskiej, aż do powrotu monarchii, kiedy to otrzymaliśmy więcej ziem i bogactw jako rodzina lojalna wobec monarchy. Po stu dostatnich latach nastąpił Henry Clavering, największy z hazardzistów w naszej rodzinie, przyjaciel Jerzego, księcia Walii — fircyka i rozrzutnika. Nigdy nie podnieśliśmy się z upadku, choć w początkach tego wieku usilnie próbowaliśmy. Ojciec taty jednakże odziedziczył rodzinną słabość, która z kolei przeszła na tatę.

Okazało się, że dwa kolejne pokolenia hazardzistów to więcej, niż Dębowy Dwór mógł wytrzymać. Oto dlaczego mieliśmy tylko jedno wyjście — musieliśmy sprzedać posiadłość.

Miałam wtedy szesnaście lat. I bardzo to przeżywałam. Tata był tak przygnębiony, że bałam się, by nie odebrał sobie życia. Mama poddała się rozgoryczeniu. Wciąż powtarzała, że coś takiego nie powinno być się stać. Musieliśmy sprzedać nie tylko dom, lecz także wiele cennych rzeczy, które do domu należały. Piękne tkaniny ścienne, srebra, meble. Przeprowadziliśmy się do Domu Wdów. Xavier mówił, że to piękny dom, ale mama nie słuchała, tylko wciąż narzekała.

Wszystko było złe, a ja nie znosiłam sposobu, w jaki ganiła ojca.

Wszyscy się zmieniliśmy. Xavier stał się o wiele cichszy, nie potępiał ojca, ale zamknął się w sobie. Doglądał jedyne gospodarstwa, jakie przy nas pozostało, ale było to coś zupełnie innego niż wielka posiadłość, którą mieliśmy przedtem. Miriam była piętnastoletnią panienką —

ponieważ guwernantki zostały odprawione, uczyła ją mama. Mnie uważano za dostatecznie dorosłą, by zrezygnować z lekcji. Mama uznała, że musimy pomagać w kuchni, ucząc się robić przetwory z owoców, że musimy być użyteczne, bo nasi kandydaci na mężów będą zapewne mężczyznami innego pokroju niż ci, którzy staraliby się o nas, gdyby słabość ojca do kart nie zmusiła nas do opuszczenia Dworu. Miriam stała się równie zgorzkniała jak mama. Ja nigdy się temu nie poddałam. Rozumiałam ojca, nieodpartą potrzebę gry, która go ubezwłasnowolniła. Ja sama ją odczuwałam — nie wobec kart, ale wobec życia. Moja natura kazała mi kierować się impulsami, najpierw działać, a potem zastanawiać się nad sensem postępków. Mam nadzieję, kochana Opal, że Ty taka nie będziesz i dzięki temu unikniesz wielu kłopotów.

Dębowe Pole kupił pan Ben Henniker, który zdobył wielki majątek w Australii. Miał

przyjacielskie usposobienie i pewnego dnia złożył wizytę w Domu Wdów. Nigdy tego nie zapomnę. Maddy wprowadziła go do salonu, gdzie piliśmy herbatę.

»Za pozwoleniem, łaskawa pani — powiedział do mamy — pomyślałem, że skoro jesteśmy sąsiadami, powinniśmy żyć w dobrosąsiedzkich stosunkach, a ponieważ w przyszłym tygodniu zbierze się u mnie kilka osób, pomyślałem, że może mieliby państwo ochotę przyłączyć się do nas«.

Mama miała zwyczaj paraliżować ludzi spojrzeniem. Stosowała to wobec służby z dobrymi wynikami, zarówno w Domu Wdów, jak i w Dębowym Dworze. Nikt ze służby nie ośmielił się zapomnieć, że jesteśmy Claveringami, choć odartymi z części ziemskich dóbr.

»Zbiera się kilka osób, powiada pan, panie Henniker — powiedziała, jakby proponował nam uczestnictwo w rzymskiej orgii. — Obawiam się, że to całkowicie wykluczone. Moje córki nie chodzą jeszcze na przyjęcia, a poza tym w terminie, o którym pan wspomniał, prawdopodobnie będziemy zajęci«.

»Ja mogłabym pójść, mamó« — powiedziałam, ale pod jej spojrzeniem słowa uwięzły mi w gardle.

Pan Henniker był purpurowy z wściekłości. »Rozumiem, łaskawa pani — powiedział — będą państwo zajęci w przyszłym tygodniu i w każdym innym tygodniu, w którym ośmieliłbym się ich zaprosić. Proszę się nie obawiać. Nie zamierzam się narzucać... ani pani, ani jej rodzinie. Nie będą państwo zapraszani do Dębowego Dworu, póki ja tam będę«. I wyszedł.

Byłam zła na mamę za jej nieuprzejmość, bo w końcu on starał się być przyjacielski, i wydawało mi się nonsensem obrażanie go tylko dlatego, że stał się właścicielem naszego domu.

Sami wystawiliśmy go na sprzedaż. To my szukaliśmy kupca. Wymknęłam się z domu i pobiegłam za nim. Był już w połowie alei prowadzącej do Dworu, gdy go dogoniłam. »Chciałam panu powiedzieć, jak mi przykro — wysapałam. — Wstyd mi, że mama rozmawiała z panem w taki sposób. Mam nadzieję, że pan nie myśli źle o nas wszystkich«.

Jego niebieskie oczy błyszczały zawziętością, był naprawdę wściekły, ale patrząc na mnie zaczął się uśmiechać.

»Nie ma się czym przejmować — powiedział. — Jesteś panna Clavering, jak rozumiem«.

»Jestem Jessika« — odparłam.

»Nie jesteś podobna do matki. To największy komplement, jaki mogę ci powiedzieć«.

»Mama ma wiele zalet — broniłam jej — ale trudno je tak od razu zauważyć«.

Zaczęliśmy się śmiać. A było w jego śmiechu coś takiego, że musiał człowiek śmiać się z nim razem.

»Podoba mi się, że tak za mną pobiegłaś — powiedział. — To miłe, panno Jessiko, naprawdę miłe. Musisz przyjść mnie odwiedzić w swoim starym domu. Co ty na to? — Omal się nie udławił śmiechem. — W końcu ona mówiła w swoim imieniu. Przyjdź, poznasz moich przyjaciół. To dobrzy

ludzie, przynajmniej niektórzy. Czas przejrzeć na oczy, panno Jessiko.

Wyobrażam sobie, że całe życie byłaś zamknięta w klatce. Ile masz lat?« Powiedziałam, że siedemnaście. »Piękny wiek — rzekł. — To wiek przygód. Zdaje się, że masz na nie ochotę, prawda? Przyjdź mnie kiedyś odwiedzić... jeśli uważasz, że to będzie w porządku. Nudno chyba żyć tak, jak żyłaś do tej pory?«

Powiedziałam, że moje życie nie wydaje mi się nudne. Na wsi jest wiele rzeczy, które — mnie interesują. Lubię składać ludziom wizyty i za czasów Dębowego Dworu często to robiliśmy. Jako rodzina dziedzica musieliśmy troszczyć się o naszych dzierżawców. Dni były wypełnione zajęciami: rano lekcje i różne prace związane ze sprawami wsi, robótki, rozmowy, szycie ubrań, nauka tańca, żebyśmy umiały tańczyć, kiedy zaczniemy bywać w towarzystwie. Wprawdzie nie zaczęłyśmy bywać, a tylko straciłyśmy dom i styl życia, który sprzyjał bywaniu w towarzystwie, nigdy jednak nie uważałam mojego życia za nudne i dopiero pan Henniker, ukazując mi wszystko z innej perspektywy sprawił, że spostrzegłam, jak wspaniałe było życie we Dworze.

Wizyty u pana Hennikera były dla mnie ucieczką w lepszy świat...» Przerwałam czytanie i spojrzałam na grób. Ogarnęło mnie niejasne przecucie, że moje życie powtarza jakiś stary wzór. To, co przydarzyło się Jessice, przydarza się teraz mnie. Chciałam czytać jak najprędzej, ale chciałam też smakować opisywane wydarzenia. Czułam, że to dla mnie ważne, bym dobrze poznała Jessikę, poznała jej życie, które mi przedstawia — tego też chciała ona sama i dlatego opisywała je tak szczegółowo. Czytałam dalej:

„Oszukiwałam, rzecz jasna, rodziców, ale zdradziłam coś niecoś Miriam. Żałowałam, że nie mogę zabierać jej ze sobą do Dworu. Ale wiedziałam, że gdyby mnie nakryto, miałabym sporo kłopotów i nie chciałam jej w to wciągać. Była ode mnie młodsza i czułam się za nią odpowiedzialna. Miriam tak łatwo dawała sobą kierować. Pod moją komendą skłonna była psocić. W dawnych czasach miałyśmy guwernantkę, dość energiczną panią, która potajemnie wyznawała buddyzm, i był okres, kiedy Miriam omal nie stała się pod jej wpływem buddystką.

W towarzystwie mamy stawała się snobistyczna i pogardzała ojcem za to, że nas skazał na nędzę.

Nazywałam ją kameleonem, bo przyjmowała barwę otoczenia, w którym się znajdowała. To także był powód, dla którego zastanawiałam się, czy powinnam ją ze sobą zabierać. A tymczasem zadowalałam się opowiadaniem jej moich przygód, gdy kładłyśmy się wieczorem do łóżek. Słuchała chciwie i podziwiała moje wyczyny, wiedziałam jednak, że gdyby mama wytknęła nikczemność i niegodziwość moich postępów, natychmiast przyznałaby jej rację.

Miriam nie była nieuczciwa — po prostu nie potrafiła mieć własnego zdania. Była miękka — to jedyne słowo na określenie tej właściwości. Kiedy widziałam, jak pani Cobb ugniata ciasto, mówiłam sobie: taka jest Miriam — przybiera kształt, jaki się jej nada. Xavier był inny, ale kto by się zwierzał Xavierowi! Głęboko przeżywał zmianę naszego położenia i odbierał ją jako hańbę dla rodziny. Kochał Dębowe Pole. Wychowano go w przeświadczeniu, że pewnego dnia stanie się jego właścicielem. Musiał więc czuć się poszkodowany, ale nie złorzeczył ojcu, jak to robiła matka, tylko był zwyczajnie smutny i zamknięty w sobie. Bardzo współczułam Xavierowi, nie znałam go jednak tak dobrze, jak znałam Miriam.

Odbiegam od tematu, umyślnie zwlekam z opisaniem tego, co działo się potem. Naprawdę chciałabym, żebyś dobrze wszystko zrozumiała. Proszę, nie wiń ani mnie, ani Desmonda.

Poznałam go podczas jednego ze spotkań u pana Hennikera. Często wówczas odwiedzałam Bena i wkrótce jego dom stał mi się bardziej domem, niż był nim kiedykolwiek Dom Wdów.

Atmosfera Domu Wdów przygnębiała głównie dlatego, że mama nie przestawała dręczyć ojca.

Czasami zastanawiałam się, czy on potrafiłby zrobić jej jakąś krzywdę. Był tak cichy i spokojny, jakby coś przeciw niej knuł, czasami patrzył na nią jakoś dziwnie. W domu stale wyczuwało się napięcie. Któregoś wieczoru, gdy leżałyśmy już w łóżkach, powiedziałam do Miriam: »Coś się święci. Coś wisi w powietrzu. Jakby fatum czekało na stosowny moment«. Miriam od razu okropnie się przestraszyła, ja zresztą też się bałam. Nie wiedziałam, oczywiście, z której strony nadciągnie burza.

Jeszcze częściej chodziłam do Dębowego Dworu i zachowywałam się naprawdę lekkomyślnie. Pan Henniker zawsze serdecznie mnie przyjmował. Kiedyś w galerii opowiedziałam mu, jak grałam na szpince i straszylam służbę. Bardzo go ta opowieść rozbawiła i nawet poprosił, żebym coś dla niego zagrała. Uwielbiał siedzieć i słuchać walców Chopina. Wydawało mi się, że tak już będzie zawsze, że pan Henniker zawsze będzie we Dworze i zawsze będzie go odwiedzało wielu interesujących ludzi. Później okazało się, że pobyty pana Hennikera we Dworze bywają raczej krótkie. Miał posiadłość w Nowej Południowej Walii.

Dębowy Dwór był kaprysem, »odrobiną szaleństwa, jeśli wolisz« — mawiał. Po raz pierwszy zobaczył Dwór, gdy był młodzieńcem, i przysiągł sobie, że go zdobędzie, a był człowiekiem, który uważał, że warto trzymać się składanych ślubów. Szkoda, że nie potrafię Ci opisać, jak bardzo mnie ten człowiek intrygował. Nigdy nie znałam kogoś takiego jak on”.

Nie musiała mi tego tłumaczyć. Świetnie ją rozumiałam, sama tego doświadczając!

„Zanim opuściliśmy Dwór, wiele mówiło się o tym, że powinnam zacząć bywać w towarzystwie. Miałam parę ładnych strojów. Szczególnie piękne były dwie suknie balowe.

Pamiętam, jak mama patrzyła na nie wiedząc, że musimy opuścić Dwór, i mówiła: »Nigdy już nie będą ci potrzebne«. Jedna z nich, ładniejsza, była z wiśniowego jedwabiu, ozdobiona Koronkami. Odślaniała ramiona, wiedziałam, że mam piękną szyję i piękne ramiona, a suknia została uszyta specjalnie tak, by je odślonić. »Nieszczęsna szyjo, nieszczęsne ramiona —

mawiałam — nie będę mogła was pokazywać!«

Z panem Hennikerem można było rozmawiać o wszystkim. Powiedziałam mu o sukni.

Dziwne, że on — poszukiwacz opali, i to dość nieokrzesany — w lot rozumiał moje uczucia, o czymkolwiek mówiłam! »Musisz się w niej pokazać! — rzekł. — W końcu dlaczego świat miałby być pozbawiony widoku twojej cudnej szyi i rozkosznych ramion jedynie z tego powodu, że twój ojciec był hazardzistą. Urządzimy bal i włożysz tę suknię«. Powiedziałam, że nigdy się na coś takiego

nie ośmielę, a on mi na to: »Kto nie gra, ten nie wygrywa. Nie wolno bać się śmiałości«. Roześmiał się i powiedział, że wie iż jest niegodziwcem, który sprowadza córkę sąsiada na manowce. Śmiał się z tego i śmiał. »Proste ścieżki tak strasznie nas ograniczają, panno Jessiko! — powiedział. — Otwarte przestrzenie o wiele bardziej pobudzają do czynu«.

I znów odeszłam od tematu. Choć nie zamierzałam. Z początku sądziłam, że to bę4aie —

krotki list, ale gdy tylko wzięłam do ręki pióro, coś mi kazało pisać w taki oto sposób. Muszę sprawić, żebyś wszystko dokładnie pojęła. Nie chcę, abyś sądziła, że byłam rozpustna. To wcale nie było tak.

Do Dębowego Dworu zaproszono gości. Wielu ich we Dworze bywało, zwykle ludzie, z którymi pan Henniker prowadził interesy. Przyjeżdżali i przywozili różne wyjątkowo piękne kamienie. A on je kupował albo sprzedawał swoje. Wciąż mówiło się o opalach. Opowiedziano mi, jak się je wydobywa i jak się nimi handluje — byłam zafascynowana.

Ben postanowił urządzić bal i mnie na niego zaprosić. Drżałam z emocji, ale nie mogłam przecież ubrać się w wiśniową suknię i po prostu wyjść z domu. Ben zaproponował więc, bym przyniosła suknię do Dworu wcześniej, a potem w balową noc wymknęła się z domu i przebrała we Dworze: Powiedział też, że jedna z pokojówek mi w tym pomoże. Wszystko więc zostało ustalone.

Co to była za noc! Wtedy właśnie poznałam Desmonda. Muszę Ci go opisać. Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się później, to wszyscy byli w błędzie. Chcę, żebyś to dobrze zrozumiała. Rzeczy nie przedstawiały się tak, jak o nich mówiono. Było to po prostu niemożliwe.

Galeria Dębowego Dworu wyglądała przepięknie z muzykami w jednym końcu, ubrana kwiatami z ciepłarni. Stała się wspaniałą salą balową, tonącą w świetle świec osadzonych w kinkietach. To był mój pierwszy bal — pan Henniker urządził go specjalnie dla mnie. Powiedział

mi kiedyś: »Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że odebrałem Dwór twojemu ojcu — podjął grę i przegrał. Cieszę się, że odebrałem go twojej matce, bo ona zasłużyła na jego utratę. Czasami coś zakłuje mnie w sercu, gdy widzę twojego brata, takiego strapionego, ale on jest młodym człowiekiem i powinien się rozejrzeć, co by zrobić, żeby Dwór odzyskać albo zdobyć inny, podobny. Natomiast jeśli o ciebie chodzi, Jessiko, to jest mi bardzo przykro. A więc przynajmniej urządzmy bal«.

Na balu, w tę czarowną, niepowtarzalną noc, poznałam Desmonda. Był młody... niewiele starszy ode mnie, ale jego dwadzieścia jeden lat wydawało mi się dojrzałym wiekiem.

Pan Henniker nie zaprosił nikogo z sąsiedztwa. Powiedział mi, że nie chciał zapraszać ludzi, którzy mnie znają, by uniknąć kłopotów. A to miał być mój bal — bal sukni z wiśniowego jedwabiu i boskich ramion. A więc bawili się tylko goście zaproszeni do Dworu na dłużej, było ich sporo, we Dworze nie brakowało pokoi gościnnych.

Desmond zobaczył mnie, podszedł, i poprosił do tańca. Zatańczyliśmy. Nie wyobrażasz sobie, jak

tamtej nocy wyglądała galeria, jak pięknie i... romantycznie. Myślę, że w ciągu wieków odbyło się tam wiele bali, ale żaden nie był taki jak ten. Desmond, wysoki blondyn, o włosach rozjaśnionych słońcem. Miał, jak to nazywałam, australijskie oczy — nieco przymrużone, o gęstych rzęsach. »To z powodu słońca — wyjaśniał. — Świeci mocniej i jest gorętsze niż tutaj.

Ciągle trzeba mrużyć oczy, natura broni nas przed jego promieniami, dając nam gęste rzęsy«. O opalach opowiadał podobnie jak Ben Henniker. O tych, które znalazł, i tych, których zamierza szukać.

»Na całym świecie nie ma czegoś równie wspaniałego, jak Zielony Blask Zachodzącego Słońca. Ma go Ben. Musisz poprosić, żeby ci go kiedyś pokazał«.

Nie interesował mnie Zielony Blask Zachodzącego Słońca. Tej nocy nie interesowało mnie nic poza Desmondem. Goście w większości byli ludźmi starszymi od nas. Tańczyliśmy więc ze sobą i rozmawiali, tańczyliśmy i rozmawiali...

Powiedział, że zamierza wrócić do Australii za dwa, trzy tygodnie. Niecierpliwie czekał

powrotu, ponieważ odkrył ziemie, które — miał co do tego absolutną pewność — były krainą opali, i śpieszył się, by je zbadać. Ben i paru innych poszukiwaczy interesowało się jego planami, ale potrzebne były duże pieniądze na ich realizację. Desmond miał «przecucie». Niektórzy starzy wyjadacze śmiali się z niego i nazywali całe przedsięwzięcie kaprysem Desmonda. Ale on gorąco wierzył, że »kaprys« przyniesie mu fortunę.

»Ja to wiem, Jessie — mówił (zawsze nazywał mnie Jessie). — To kraina opali. Kawał

buszu... płasko... mnóstwo słonorostów, niewiele drzew z wyjątkiem mulgi — to krzewy akacji

— i traw, także zwanych mulgą. Ziemia palona słońcem, żłobiona wodą, pocięta suchymi korytami rzek. Powiedziałem sobie: tam z pewnością coś jest, złoto albo cyna, wolfram albo miedź, ale coś mi mówi, że to mogą być opale... niezwykle wartościowe opale«. Opowiadał z przejęciem, podobnie jak Ben Henniker, i trudno było nie poddać się jego emocjom.

Rozmawialiśmy... ach, jak myśmy rozmawiali! Jak szybko mijał czas zrozumiałam dopiero wtedy, kiedy usłyszałam kuranty zegara bijącego północ na dziedzińcu.

Gdy bal się skończył, Hannah pomogła mi się przebrać. Była jedną z pokojówek, które zostały we Dworze, gdy my się z niego wyprowadziliśmy. Nie pracowała we Dworze zbyt długo i była mniej więcej w moim wieku, co sprawiało, że potrafiła zrozumieć pewne rzeczy. Pomagała mi także Maddy. Czekala, aż wrócę, i wpuściła mnie do Domu Wdów. Gdyby nie one, wszystko to byłoby bardzo trudne. Następnego dnia Hannah przyniosła moją suknię nad strumień, a ja upatrzyłam odpowiedni moment i, nie zauważona, wniosłam ją do domu. Trzeba więc było tylko ułagodzić Miriam, co przyszło mi dość łatwo. Chciała jedynie posłuchać opowieści o balu, wszystko jej zatem opowiedziałam. Trzymała moją stronę i uważała, że przeżyłam wspaniałą przygodę.

Przy przyniesionej przez Hannah sukni znalazłam kartkę od Desmonda. Chciał się ze mną zobaczyć tego popołudnia. Oczywiście poszłam. Spacerowaliśmy po parku i rozmawialiśmy, a wieczorem

poszłam do Dworu na kolację. Wiedziałam, że służący cieszą się, kiedy przychodzę.

Hannah powiedziała mi, że zawsze najbardziej z całej naszej rodziny lubili mnie, a ponieważ zadowoleni byli z pracy u pana Hennikera, fakt, że się z nim zaprzyjaźniłam, nawet jeśli reszta rodziny tego nie pochwalala, sprawiał im radość. Hannah twierdziła, że w pomieszczeniach dla służby nie mówi się prawie o niczym innym. »Szepczą o panience i panu Desmondzie Derehamie i uważają, że to cudowne«.

I rzeczywiście było cudowne. Zgadujesz, naturalnie, że byliśmy w sobie zakochani. Nie minął tydzień, gdy ulegliśmy przekonaniu, że jesteśmy dla siebie stworzeni. To była prawda. I musisz w to uwierzyć, Opal, mimo tego, co wydarzyło się później. Ja wiem, że wszyscy się mylą. Wiem, co się okazało. Ale to nie mogła być prawda. Nigdy, nawet przez moment w to nie wierzyłam, w najgorszych, najtragiczniejszych momentach wiedziałam, że to nieprawość.

Nie wyjechał po dwóch tygodniach. Wciąż odkładał wyjazd. Powiedział, że zabierze mnie ze sobą. Pobierzemy się i wyjedziemy razem. »Chciałabyś być żoną poszukiwacza skarbów, Jessie?

— pytał. — Nie jest to łatwe życie, ale nie szkodzi, zbijemy fortunę, tak jak Ben, i wtedy wszystko, czego zapragniesz, będzie twoje«. Każdej nocy przemykałam przez mostek do parku, gdzie Desmond na mnie czekał. Nie potrafię opisać, jak upojne były tamte wrześnieowe noce. Ale bez Maddy i Hannah nie dałabym sobie rady. Obie były wspaniałe. Postępowałam chyba bardzo chytrze, skoro mama niczego nie podejrzewała, wręcz nie rozumiem, jak mi się to udawało.

Zaplanowaliśmy wszystko bardzo starannie. Za trzy tygodnie mieliśmy się pobrać. Desmond czekał na specjalne zezwolenie, a wtedy moglibyśmy pojechać do Australii razem. Nikomu o tym nie powiedzieliśmy... nawet Benowi. Byłam przekonana, że Ben by nam pomógł, Desmond wszakże nie miał tej pewności. Ben zdawał się sądzić, że jestem kruchą laleczką, której nie można narażać na trudy życia w osadzie poszukiwaczy, gdzie wszystko bardzo zdecydowanie różniło się od tego, co miałam w eleganckim Domu Wdów. Ja jednak byłam przygotowana na niewygody. Nie zdradziliśmy się więc przed nikim, nawet przed Benem... aż przyszła ta okropna noc.

Desmond powiedział mi, że kilku towarzyszy Bena zjechało do Dębowego Dworu i Ben wkrótce uda się do Australii. Taka wiadomość jeszcze niedawno wytrąciłaby mnie z równowagi, ale teraz, skoro ja także miałam wyjechać, cieszyłam się, że znów będę go miała blisko siebie.

Ben i jego znajomi mieli podjąć decyzje dotyczące eksploatacji ziemi, która Desmondowi wydawała się bogata w opale, i przedyskutować, jak badać teren i rozmieścić szyby. Desmond bardzo to przeżywał. »Będzie nas trzech: Ben, ja i jeden z najlepszych handlarzy opalami —

powiedział. — Zaczniemy natychmiast, gdy tylko znajdziemy gotówkę«. Z powodu narady zaplanowanej na wieczór, nie mogliśmy — się zobaczyć aż do następnego popołudnia, kiedy miał na mnie czekać nad strumieniem.

Ale nie przyszedł nigdy więcej. Nigdy więcej go nie widziałam. Co stało się tamtej nocy, nikt naprawdę nie wie, choć wielu sądzi, że wie. Desmond wyjechał. Zniknął nie pożegnawszy się z

nikim. Zielony Blask Zachodzącego Słońca zniknął także.

Zgadujesz pewnie, co mówią ludzie, skoro i on, i kamień zniknęli jednocześnie. Uważają, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie — ale tak nie jest. Ja wiem, że tak nie jest.

Nigdy w to nie uwierzę. Jak mógłby wyjechać, nic mi nie mówiąc? Za parę tygodni mieliśmy się pobrać. Czekał na zezwolenie, miałam jechać razem z nim, a on zniknął bez słowa wyjaśnienia, choć tego popołudnia wyznaczaliśmy sobie spotkanie. Zniknął, i Zielony Blask także.

Czekałam na niego, ale przyszła Hannah. Płakała. »Wyjechał, panno Jessiko — powiedziała.

— W nocy albo wczesnym rankiem. Nikt nie widział, by wychodził, ale go nie ma«. »Wyjechał!

— wykrzyknęłam. — Dokąd wyjechał?« Hannah potrząsnęła głową i powiedziała ze złością:

»Najdalej jak tylko mógł. I oby tak zrobił. Zabrał Zielony Blask«. »To niemożliwe —

wybuchnęłam. — To nieprawda! To nie może być prawda«. »Obawiam się, że jest —

powiedziała Hannah posępnie i spojrzała na mnie z takim smutkiem, że chciało mi się płakać. —

Dopiero rano odkryliśmy, że jego łóżko jest nietknięte — ciągnęła. — Nie mogliśmy zrozumieć.

Zabrał wszystkie swoje rzeczy, pokój był całkiem pusty. Kiedy zastanawialiśmy się, dlaczego opuścił Dwór w ten sposób, pan Henniker poszedł po coś do sejfu. Od razu się zorientował, że ktoś tam ... ale wszystko było na swoim miejscu... kiedy jednak otworzył pudełko, gdzie trzymał

Zielony Blask, okazało się, że jest puste. Pan Henniker zaczął wrzeszczeć jak oszalały. Krzyczał, że Desmond zapłaci za to krwią. Nazywał go złodziejem, kanalią, kłamliwym psem... Gdyby panienska słyszała, jak go nazywał! Czy dobrze się panienska czuje?«

»Nie wierzę, Hannah. Ja w to po prostu nie wierzę«.

»Panienska może nie wierzyć, ale wszyscy inni wierzą«.

Byłam przerażona, ale wmawiałam sobie, że to jakaś absurdalna historia. Nie mogłam zapomnieć, z jakim zapałem Desmond opowiadał o opalach, które zamierza znaleźć. „Takiego drugiego jak Zielony Blask już nie będzie — powiedział kiedyś i zaraz dodał: — A właściwie dlaczego miałyby nie być?«

Dni mijały, a ja jakbym śniła koszmarny sen. Powtarzałam sobie, że to jakaś głupia pomyłka, że Ben znajdzie swój opał schowany w innym pudełku. Poszłam się z nim zobaczyć.

Zachowywał się jak rozjuszony byk. »Zabrał mi go! — krzyczał. — Uciekł z Zielonym Blaskiem. Zapłaci mi własną krwią. Pokazałem go im tamtej nocy. Widzieli, jak wyjmuję go z sejfu. On siedział po mojej prawej ręce... diabelskie nasienie. Zabiję go jak psa. Zabrał mi Zielony Blask«.

»Nie zrobił tego, Ben — płakałam. — Wiem, że on tego nie zrobił«.

Przestał wrzeszczeć i popatrzył na mnie. »Oszukał cię — powiedział z kamienną twarzą. —

Taki przystojny chłopak... Sympatyczny młody człowiek... ale nie jest taki, na jakiego wygląda«.

Co miałam zrobić, co powiedzieć? Nie mogłam znieść rozmowy z Benem. Oświadczył, że wyjeżdża. Nie chciał tracić czasu. Zamierzał pojechać w ślad za Desmondem Derehamem do jego ziemi obiecanej, bo tam właśnie, jak sądził, Desmond się udał. Nie będzie mógł się powstrzymać, by tam nie pojechać, sądził Ben. Widział w oczach Desmonda namiętność do opali i sądził, że chodzi o opale, które mieli znajdować na jego ziemi, a okazało się, że chodziło o Zielony Blask. Ben nie zdawał sobie z tego sprawy, póki nie otworzył sejfu i nie pokazał, co leży w pudełku. Musiałby być ślepy, gdyby nie spostrzegł, czego naprawdę pragnął ten niecny typ.

Nie mogłam znieść, gdy Ben mówił w ten sposób, i przestałam chodzić do Dębowego Dworu.

Zamknęłam się w czterech ścianach pełna smutku. Wszyscy myśleli, że jestem chora, bo zrobiłam się blada i apatyczna. Przez pewien czas było mi obojętne, co się ze mną dzieje. Aż Hannah powiedziała mi, że Ben wyjeżdża do Australii. »Jedzie po Zielony Blask« —

powiedziała.

Spotkałam się z nim przed wyjazdem, lecz nasza przyjaźń już nie istniała. Desmond stał między nami. Ben był pewien, że jest winny, ja — że niewinny.

Nie potrafię opisać osamotnienia, które stało się moim udziałem. Najpierw straciłam Desmonda, teraz wyjechał Ben. Nie mogło spotkać mnie nic tragiczniejszego. Chodziłam do Dębowego Dworu do pani Bukiet i reszty służby — pocieszali mnie, jak umieli, mówili, że pan Henniker wróci, nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Wracał do Dworu, bo tak go sobie upodobał. Nie wspominali przy mnie Desmonda, ale wiem, że gdy mnie nie było, rozmawiali także o nim.

Miriam wiedziała, co się stało, nie mogłam ukryć przed nią moich nocnych wypraw. Leżała zwykle w łóżku i czekała mojego powrotu, by się natychmiast wszystkiego dowiedzieć. Teraz mając świadomość, że tak źle się to skończyło, powoli zaczęła zmieniać front, hołdując cncie posłuszeństwa.

Pod koniec listopada moje podejrzania się potwierdziły. Gdy po raz pierwszy zaznałam tego przerażającego uczucia, próbowałam je zlekceważyć. Nie może być, mówiłam sobie. Jednak stały mi w pamięci nasze spotkania w parku, gdy rozmawialiśmy, marzyliśmy i kochaliśmy się tak namiętnie. Desmond mawiał: «Już jesteśmy mężem i żoną. Nigdy nie spojrzę na żadną inną, a w pierwszym dogodnym momencie weźmiemy ślub». Myślałam o sobie jako o jego żonie.

Wyobrażałam sobie nasz przyjazd do Australii, jaką będę dla niego pomocą, patrzyłam w przyszłość i myślałam o naszych dzieciach. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem byłam pewna, że jestem w ciąży. Nie wiedziałam, co robić. Powiedziałam o tym Hannah, bo jej jednej ufałam.

Rozmawialiśmy długo, lecz nie mogliśmy znaleźć żadnego rozwiązania. Gdyby pan Henniker był w Dworze, bez wątpienia by mi pomógł. Ale pan Henniker był bardzo daleko, a tu nie miałam nikogo.

Powiedziałam Miriam. W noc Bożego Narodzenia. Święta Bożego Narodzenia trudno nazwać w naszej rodzinie radosnymi. Szliśmy do kościoła w Wigilię o północy i rano w pierwsze święto.

Mama żywo przypominała sobie dawne czasy w Dębowym Dworze. Podczas obiadu wracała ciągle do minionych świąt, opowiadała, jak wnoszono specjalne polana, którymi palono w kominkach tylko podczas Gwiazdki, jak dekorowano galerię wiciokrzewem i jemiolą, jak zjeżdżało pełno gości. »Milczenie o świetnej przeszłości powinna mama dać tacie w prezencie gwiazdkowym!« — wykrzyknęłam niespodziewanie. Nie mogłam się powstrzymać, bo to wszystko wydawało mi się tak mało ważne wobec tego, co przeżywałam ja sama, wobec tego, że Desmond zniknął i był podejrzany o kradzież Zielonego Blasku.

Wszyscy zamarli. Nikt — po prostu nikt — nigdy nie zwracał się do mamy w ten sposób.

»Powinnaś okazywać matce więcej szacunku, Jessiko« — powiedział smutno ojciec. A ja wykrzyknęłam: »Pora, by mama więcej uwagi poświęcała nam. Straciliśmy Dębowe Pole.

Rozumiem. Ale mamy wygodny dom. Są większe problemy na świecie niż rozpacz z powodu konieczności mieszkania w Domu Wdów«. Wybuchnęłam płaczem i wybiegłam z pokoju.

Usłyszałam, jak mama mówiła: »Jessika staje się nie do wytrzymania«.

Powiedziałam, że boli mnie głowa, i całe popołudnie spędziłam w pokoju, który dzieliłam z Miriam, musiałam jednak zejść na kolację. To był okropny dzień i w nocy powiedziałam o wszystkim Miriam, bo po prostu musiałam komuś to powiedzieć. Była przerażona. Niewiele z tego rozumiała, pamiętała jednak, jak jedna ze służących »popadła w kłopoty«, po czym została zwolniona i odesłana do rodziny, zhańbiona na zawsze. »Zhańbiona na zawsze« — powtarzała, a ja omal nie zaczęłam wyć. Co miałam robić? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na to pytanie, Miriam naturalnie także nie. Gdy próbowałam jej się tłumaczyć, zdawała się mnie rozumieć, ale wiedziałam, że ledwie usłyszy opinię mamy, jej solidarność ze mną ulotni się jak kamfora.

Wiedziałam też, że pewnego dnia będę musiała o wszystkim powiedzieć — wolałam powiadomić ich sama, zanim cokolwiek odkryją. Powiedziałam Xavierowi, bo choć zawsze wydawał się taki odległy, czułam, że zrozumie mnie lepiej niż pozostali. Poszłam do jego pokoju pewnego ponurego styczniowego dnia, gdy niebo zasnuwane było śniegowymi chmurami. Patrzył na mnie przez kilka chwil, jakby sądził, że zwariowałam. Zachowywał się nawet dość uprzejmie. On zawsze zachowywał się uprzejmie. Opowiedziałam mu wszystko — o tym jak się zaprzyjaźniłam z Benem Hennikerem i poznałam Desmonda, o tym, że zamierzaliśmy się pobrać i że Desmond zniknął. »Czy jesteś pewna, że spodziewasz się dziecka?« — spytał. Powiedziałam, że tak,

»Musimy się upewnić — rzekł Xavier. — Musisz iść do doktora Clintona«. »Tylko nie do doktora Clintona!« — wykrzyknęłam przerażona. Leczył nas od tyłu lat, byłby wstrząśnięty.

Xavier wykazał zrozumienie i powiedział, że zabierze mnie do lekarza, który nas nie zna, co też

uczynił. Kiedy fakt, że jestem w ciąży, został potwierdzony, nie mogliśmy zrobić nic innego, jak twierdził Xavier, tylko powiedzieć o wszystkim rodzicom. I tak nie udałooby się tego utrzymać w tajemnicy zbyt długo, a poza tym należało obmyślić plan dalszego postępowania.

To dziwne, kobieta, która spodziewa się dziecka, zyskuje jakąś szczególną siłę. Tak też było ze mną. Zrozpaczona utratą Desmonda, miałam w sobie nową nadzieję, która wiązała się z dzieckiem. Nawet scena, którą zrobili mi rodzice, nie bolała tak, jak sobie wyobrażałam. Xavier był spokojny i zdecydowany, okazał się bardzo dobrym bratem. Powiedział mamie i tacie, że jest coś, o czym powinni wiedzieć, i wszyscy czworo udaliśmy się do salonu. Xavier zamknął drzwi i powiedział spokojnie: »Jessika spodziewa się dziecka«. Przez parę chwil panowała cisza. Taka cisza musiała panować tuż przed upadkiem murów Jerycha. Ojciec wyglądał na zakłopotanego.

Matka po prostu na nas patrzyła. »Tak — powiedział Xavier — tak właśnie jest. Powinniśmy postanowić, co mamy robić«.

»Dziecko! Jessika! — wykrzyknęła mama. — Nie wierzę«. »To prawda — powiedziałam. — Spodziewam się dziecka. Miałam wyjść za męża, ale wydarzył się okropny wypadek«.

»Wypadek! — krzyknęła mama, minął pierwszy moment zaskoczenia, i odzyskała zwykłą swadę. — O czym ty mówisz? To przecież niemożliwe!« »Stało się, mamó — powiedział Xavier.

— Zastanówmy się lepiej, co możemy zrobić«. »Chcę się dowiedzieć czegoś więcej — powiedziała mama. — Nie mogę uwierzyć, że moja córka,..« »Taka jest prawda, mamó —

powiedziałam. — Lekarz, który mnie badał, potwierdził moje przypuszczenia«. »Doktor Clinton?« — wykrzyknęła, nieruchomiejąc z przerażenia. »Nie — uspokoił ją Xavier. — Lekarz, który nas nie zna«.

Matka zwróciła się ku mnie niczym rozwścieczona tygrysyca. Mówiła bardzo gorzkie słowa.

Nie pamiętam ich, starałam się ich nie zapamiętać. Myślałam o dziecku. Pragnęłam tego dziecka, myślałam wtedy, że ono wynagrodzi mi nawet najprzykrzejsze przeżycia. Potem matka zwróciła się do ojca. Powiedziała, że to jego wina. Gdyby nie jego niedołęstwo, mieszkalibyśmy nadal w Dębowym Dworze i nie byłoby w pobliżu niegodziwego poszukiwacza opali i jego niegodziwych przyjaciół, którzy uwodzą głupie smarkule. Oto skutki bliskości ludzi tego pokroju. Miałam urodzić bękarta. Nigdy przedtem rodzina Claveringów nie doznała takiej hańby. »Nieprawda, mamó — powiedziałam — doznała. Richard Clavering i Karol II mieli wspólną kochankę i ...«

»To nie to samo! — rzuciła oburzona. — To był Karol II i większość arystokratów dzieliła z nim swoje żony«. »Ale miał bękarta, którego syn ożenił się z kuzynką, żeby wrócić na łono rodziny«.

»Milcz, dziwko! Nikt nie przysporzył naszej rodzinie takiej hańby jak ty, a wszystko przez to, że twój ojciec, który...« Wrzeszczała jeszcze przez jakiś czas i wiedziałam, że ona nie zmieni się do końca życia. Powiedziałam sobie wtedy: Desmond wróci. Musiało stać się coś złego, ale wszystko będzie dobrze. I nie słuchałam jej wywodów.

Xavier zdecydował, jak powinniśmy postąpić. Było naturalnie nie do pomyślenia, by ktokolwiek dowiedział się, że mam urodzić nieślubne dziecko. Fakt, że jestem w ciąży, będzie ukrywany przez parę miesięcy, prawdopodobnie około sześciu. Nosiło się wówczas sute spódnice, moje będą więc bardzo obszerne. Dziecko miało przyjść na świat w czerwcu. W

kwietniu rodzice i ja wyjedziemy do Włoch. Powie się, że stan zdrowia mojej matki jest niepokojący. Będziemy musieli sprzedać srebrną tacę i wazę na poncz, którą jeden z naszych przodków dostał od Jerzego IV. Obie te rzeczy były tak wartościowe, że pieniądze uzyskane z ich sprzedaży pokryłyby koszty dwumiesięcznej podróży do Włoch dla nas trojga i koszty porodu.

Po powrocie powiedziałyby się, że zły stan zdrowia mamy wynikał z ciąży, której wszakże ona się nie spodziewała — z powodu jej wieku symptomy nie były takie jak zazwyczaj. W ten sposób wrócimy z dzieckiem, unikając skandalu.

Jakież to były nieszczęśliwe miesiące! Na pewien czas wynajęliśmy willę we Florencji.

Florencja z pałacem Medici i jej złotym światłem! Ach, jakby mnie to wszystko zachwyciło w innych okolicznościach. Uciekałam od swej niedoli, wyobrażając sobie spacer z Desmondem wzdłuż rzeki Arno. Gdy na słynnym moście zobaczyłam opale w witrynie sklepu, odwróciłam się drżąc cała, nie mogłam znieść ich widoku.

Na kilka tygodni przed rozwiązaniem pojechaliśmy do Rzymu i tam urodziłam córeczkę. Był to czerwiec 1880 roku. Nazwałam ją Opal. Mama powiedziała, że głupio nazywać dziecko w ten sposób. Dano więc jej także moje imię, została nazwana Opal Jessika.

Wróciliśmy do domu, a postawa mojej matki była tak zdecydowana, że jeśli nawet ktoś snuł jakieś domysły związane z naszym wyjazdem i powrotem z niemowlęciem, nikt nie ośmieliłby się o tym wspomnieć. Ty, kochana Opal, jak się domyślasz, byłaś tym dzieckiem, i nie wstydź się swoich narodzin, bo zostałaś poczęta z miłości. Pamiętaj, nie wierz ludziom, gdyby mówili cokolwiek przeciwko Twojemu ojcu. Dobrze go znałam i wiem, że to nie było tak. On nie mógłby ukraść tego nieszczęsnego opalu. Jakże żałuję, że go w ogóle znalezione! Ktoś inny ukradł Zielony Blask. Na pewno nie zrobił tego Twój ojciec. Pewnego dnia wszystko się wyjaśni.

Jestem tego pewna.

A teraz, moja najdroższa, będę już kończyć. Gdy Cię urodziłam, popadłam w wielką rozpacz i nie wiedziałam, do kogo zwrócić się o pocieszenie. Nigdy nie byliśmy szczęśliwi w Domu Wdów. Matka uczyniła nasze życie nieznośnym — nie tylko moje, ale także ojca. Patrzyłam, jak on z dnia na dzień marnieje. Gdy niespodziewanie spojrzałam na mamę, napotykałam jej utkwiony we mnie wzrok pełen najwyższego niesmaku. Winą za wszystko obarczała ojca.

Mówiła, że jego słabość ulokowała się we mnie. Miriam bardzo lubiła się Tobą zajmować i myślę, że kochała Cię na swój sposób, choć bała się okazać te uczucia, gdy mama była w pobliżu. Ty także

ją lubiłaś. Zawsze chciałaś iść do niej na rękę. I Xavier Cię lubił, i tata.

A ja byłam taka nieszczęśliwa. Chodziłam nad strumyk dzielący Dom Wdów i Dębowy Dwór, i wpatrywałam się w jego zimną, płytką wodę. Zastanawiałam się nad swoim życiem i doszłam do wniosku, że nigdy już nie zobaczę Desmonda, że on nigdy by mnie nie opuścił, musi więc nie żyć. Tak mocno byłam o tym przeświadczona, że gdy siedziałam nad strumieniem, czułam, jak jego wody mnie przywołują, jakby sam Desmond prosił, bym się z nim połączyła. Jego śmierć była jedynym wytłumaczeniem tej sytuacji. Gdyby nie umarł, dlaczego zniknąłby bez śladu? Co do jednego byłam pewna: nie odszedłby beze mnie. Ktoś musiał ten kamień ukraść, na niego zrzucając winę. Może go zabito i oskarżono o złodziejstwo. Wiedziałam, że nikt inny tak nie myśli, ale ja byłam o tym przeświadczona. Desmond nie wróci. Wołał mnie nad potok, bo chciał, żebym z nim była.

Moja obecność w Domu Wdów stawała się coraz bardziej uciążliwa. Matka oskarżała ojca gwałtownie jak nigdy przedtem. Próbowałam sobie wyobrazić, jakie będzie moje przyszłe życie, skoro nigdy na tej Ziemi nie spotkam Desmonda. Wszyscy służący kochali moje maleństwo...

wszyscy je kochali... z wyjątkiem mamy. Sądzę, że ona nigdy nikogo nie kochała. Siedząc nad potokiem przemyślałam, ile nieszczęść spada z mojego powodu na rodzinę i o ile lepiej byłoby im wszystkim beze mnie. Nawet dziecko miałyby lepiej. Lepiej też, jeśli nie będzie wiedziało, że jego matka sprowadziła hańbę na rodzinę, a moja mama nigdy przecież nie przestanie odnosić się do mnie z pogardą.

Wyobrażałam sobie, że leżę zanurzona w zimnej wodzie, i doznawałam wtedy dziwnego spokoju. Zwierzyłam się z tego Hannah. Ona wiedziała o wszystkim i była bardzo dyskretna.

Powiedziała mi, że służący z Dębowego Dworu rozmawiali na temat dziecka, i choć podejrzewali, że dziecko może być moje, a nie mamy, nie byli tego pewni. Nawet pani Bukiet była zdania, że mama nie zgodziłaby się na takie kręactwo. Powszechnie wiadomo, że kobiety w pewnym wieku czasem »wpadają« w najmniej oczekiwany sposób. Jej ciotce, Polly, właśnie coś takiego się przytrafiło. Nie czuła się dobrze, a lekarze nie wiedzieli, co jej jest... i nagle, całkiem nieoczekiwanie, okazało się, że jest w ciąży i tylko patrzeć jak urodzi. »Nie wyprowadzałam ićT

z błędu« — powiedziała dobra, kochana Hannah.

Minęło kilka tygodni, a ja wciąż chodziłam nad potok. Kiedy powiedziałam Hannah, co czuję, wykrzyknęła: »To źle! Nie wolno panience tak myśleć«. A ja odpowiedziałam: »Tak byłoby najprościej. Dziecku nie stanie się nic złego. Będą się nim opiekować. A dla mnie lepiej...«

»Może panienka powinna wyjechać na trochę« — podsunęła Hannah. »Czas nie ma żadnego znaczenia. Liczy się terażniejszość. Może za dwadzieścia lat patrzyłabym wstecz z uczuciem, że było całkiem znośnie, ale teraz jest to, co jest, i nie wyobrażam sobie, jak miałabym przeżyć te najbliższe dwadzieścia lat«. »Jeśli panienka ze sobą skończy, nie będzie można pochować panienki w poświęconej ziemi« — stwierdziła Hannah. »Dlaczego?« — spytałam. »Tak będzie.

Takie są zasady... kościelne zasady. Takich ludzi chowa się na rozdrożach albo... gdziekolwiek, ale nigdy na cmentarzu, w poświęconej ziemi«.

Wiele o tym myślałam, lecz dalej chodziłam nad strumień z myślą, że pewnego dnia nie wrócę. Myślałam o Tobie, córeczko, jak rośniesz i doroślejesz, i o tym, co oni Ci o mnie będą mówili... i o Twoim ojcu... oto dlaczego postanowiłam opisać Ci wszystko tak, abyś знаła prawdę. Bo taka jest prawda, Opal. Siedzę więc nad potokiem i piszę te słowa. Dam zapiski Hannah, a ona przekaże Ci je, gdy przyjdzie stosowna chwila.

Żegnaj, maleńka Opal. Niech Bóg Ci błogosławi, może pewnego dnia sama odkryjesz prawdę o swoim ojcu. Zapewniam Cię, że nie będzie w niej nic, co by mogło pomniejszyć jego wartość jako człowieka. I ostatnie słowo, moja mała córeczko, jeśli mnie nie będzie, gdy dorośniesz, nie pozwól mówić źle o swoim ojcu”.

Podeszłam do grobu i uklękłam przy nim. Kiedy dotknęłam policzków, poczułam, że są wilgotne, choć wcale nie wiedziałam, że płacę.

* * *

Tego wieczora nie poszłam na kolację, nie mogłam na nich wszystkich patrzeć. Inaczej o nich teraz myślałam, o wiele wyraźniej wszystko widziałam. Byłam oburzona. To oni doprowadzili ją do tego, co zrobiła, myślałam. Gdyby byli dla niej lepsi, żyłaby dzisiaj, a ja miałabym matkę.

Jakże musiała być nieszczęśliwa! Miałam ochotę rzucić się na nich z pazurami, na każdego z osobna, na nieszczęsnego, nieudolnego ojca, dziadka właściwie, na dumną, bezduszną babkę (co za szczęście, że ona nie jest moją matką!), na Miriam, która nie potrafiła samodzielnie myśleć, na Xaviera z tą jego pełną dystansu uprzejmością, który wciąż nieobecny duchem, nie zrobił nic, by jej pomóc.

Udawałam migrenę, a gdy Miriam przyszła zobaczyć, jak się czuję, zamknęłam oczy i odwróciłam głowę.

Następnego dnia spotkałam Hannah, która, jak sądzę, mnie wyczekiwała.

— Przeczytała panienka?

Przytaknęłam.

— Powiedz mi, co było potem.

— Znaleźli ją w strumieniu. Leżała twarzą w dół. Woda była całkiem płytka. Ledwie ją omywała.

— I pochowali ją tam — wskazałam na Nieużytki.

— Wielebny pastor Grey był w tym względzie bardzo surowy. Nie chowa się samobójców w poświęconej ziemi.

— Jakże to okrutne! — zawołałam. — Ja tę ziemię poświęcę. Ona była dobra i nie chciała nikogo skrzywdzić. Oczyszczę ten grób, posadzę kwiaty i będę je podlewać.

— Lepiej nie, panno Jessiko.

— Dlaczego nie? Była moją matką.

— Wiedziałam, że źle panienka zrozumie. Ona by tego nie chciała. Nie chciałyby, żeby panienka się dowiedziała, jeśli by miały z tego wyniknąć jakieś kłopoty.

— Opowiedz mi dokładnie, jak to było, Hannah.

— Znaleźli ją i pochowali po cichu. To wszystko. Ludzie nie mówili o tym... zbyt wiele.

Mówili, że zawsze różniła się od reszty rodziny. Zrzucano wszystko na nieszczęśliwą miłość, a ponieważ była młoda, myślała, że nie ma po co żyć. Zawsze kładę kwiaty na jej grobie w niedzielę Wielkiej Nocy.

— Dziękuję, Hannah. Czy ktoś podejrzewał, że jestem jej córką?

— Jeśli nawet, to nikt o tym nie wspominał. Uznano panienkę za „spóźnione dziecko”.

Czasami tak się zdarza. Panna Jessika utopiła się wkrótce po panienki narodzinach. Pamiętam, że był to gorący lipcowy dzień. — Odwróciła głowę, jej usta drżały. — Przed paroma tygodniami Clavingowie wrócili z Włoch, więc ludzie mówili, że tam kogoś poznała. To był ostatni dzień lipca, a panienka urodziła się trzeciego czerwca... wiadomo więc, ile panienka wtedy miała...

dwumiesięczne maleństwo, które nie miało pojęcia, jaka była cena jego przyjścia na świat.

— Ile musiała wycierpieć! A on? Znałaś mojego ojca, opowiedz mi o nim.

— Wyglądał na takiego miłego młodzieńca. Wysoki... o ładnej twarzy. Był ulubieńcem pana Hennikera. Później oczywiście pan Henniker widział w nim samo zło. Nigdy nie zapomnę tego dnia...

— Opowiedz mi wszystko, Hannah, wszystko.

— Tamten dzień zaczął się zupełnie zwyczajnie. Zanosiliśmy ciepłą wodę do pokoi gościnnych, jedna z pokojówek przyszła i powiedziała: »Pana Derehama nie ma w pokoju. Nie ma też jego rzeczy, a łóżko jest nietknięte«. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale tak było. Wtedy pan Henniker odkrył, że nie ma najcenniejszego opalu, i wydawało się naturalne, że to pan Dereham go zabrał.

— Ale tak nie było. Wiesz o tym, Hannah.

— Tak mówiła twoja matka, ale on zniknął i opal także.

— Ona wiedziała, że pan Dereham go nie zabrał.

— Ona go kochała.

— Nie pokochałyby złodzieja.

— Miłość jest ślepa.

— Ja wiem, że to nieprawda.

— Znów to samo... mówi panienska, jak jej matka. Nie sądziłam, że ona to zrobi. Znalazłabym jakiś sposób, by ją powstrzymać. Opowiadała, że przyszedł do niej we śnie, mówił, że ją kocha i że nigdy w życiu by jej nie opuścił. „Chodź do mnie — mówił. — Chodź do mnie...”

strumieniem... Śmierć mi cię odebrała...” Twoja matka była pewna, że on nie żyje. I chciała być z nim... na zawsze.

— Powinna była żyć, by dowieść jego niewinności.

— Ale miała te dziwne przywidzenia, uważała, że on ją do siebie przyzywa.

— Chciałabym poznać prawdę, Hannah, dowiedzieć się, co się stało z opalem.

— Co też panienska mówi! Przecież starali się go znaleźć, szukali tyle lat. Myślę nawet, że pan Henniker nigdy nie zaprzestał poszukiwań. A paniencie się zdaje, że to panienska go znajdzie!

Przecież panienska nic nie wie o takich sprawach. Ledwo co się panienska dowiedziała, jak przyszła na świat!

— On był moim ojcem, a ona moją matką. To zupełnie inna sprawa.

Hannah smutno pokiwała głową.

* * *

Nie mogłam mówić o tragedii z moimi bliskimi, ale mogłam mówić o tym z Benem, i podczas pierwszego spotkania wyrzuciłam z siebie:

— Wiem wszystko o mojej matce i o moim ojcu. Wiem, że sądzisz, że to on ukradł Zielony Blask.

Byliśmy w salonie. Ben siedział w wózku, kule stały oparte obok. Milczał przez kilka chwil, na jego twarzy malował się wielki smutek.

— Z nikim poza tobą nie mogę o tym mówić — ciągnęłam.

— Kto ci powiedział? — zapytał.

Wyjaśniłam mu, że matka zostawiła dla mnie list.

— Wiedziałaś, że ja...

— Domyślałem się. Taka jesteś do niej podobna, z ciemnymi oczyma, gęstymi rzęsami i mocno zarysowanymi brwiami, zadartym noskiem i ustami, które zdają się mówić, że zamierzasz się śmiać,

choćby w najgorszej opresji! Patrzę teraz na ciebie i jakbym widział ją. Jesteś w tym samym wieku co ona wtedy, ale ona była bardziej nieświadoma świata, nie potrafiła się o siebie zatroszczyć.

— Wiedziałeś o niej i o moim ojcu?

— To było jasne jak słońce.

— I cieszyłeś się... z początku? Nie miałeś jej za złe?

Po raz pierwszy spostrzegłam u niego moment wahania.

— Nie miałem prawa mieć jej za złe — powiedział. — Widziałem, jak to się zaczęło.

Myślałem wówczas, że to dobry, uczciwy chłopak...

— On tego nie zrobił, Ben, i ty o tym wiesz.

— Co masz na myśli mówiąc, że on tego nie zrobił? Złamał jej serce, czyż nie tak? Zabiłbym go za to... tak, zabiłbym...

— Kochałeś ją, Ben. Milczał zamyślony.

— Możesz to tak nazwać. Była ślicznym, delikatnym stworzeniem... A popatrz na mnie: stary, prymitywny dłubacz.

— Miałeś ochotę sam się z nią ożenić.

— To by nie było rozsądne.

— Gdybyś to zrobił, byłabym twoją córką.

— Niezły pomysł.

— Byłabym wtedy inna. Nie całkiem taka, jak jestem.

— Dobrze więc, że nie jesteś moją córką — zaczął na swój stary, dobrze mi znany sposób, w którym znajdowałam tyle pociechy. — Tak... kochałem ją. Była jak ten dom... wiesz, co chcę powiedzieć... Dom... niestosowny dla mnie. Przyglądałem mu się z zawiścią i pragnąłem zdobyć go na własność. Ale z kobietą to co innego. Obwiniam się za to, że mnie tu nie było. Gdybym był, nigdy by się to nie stało.

— Co byś zrobił, Ben?

— Ożeniłbym się z nią. Wtedy może by mnie chciała. Podbiegłam do niego, objęłam ramionami, przytuliłam.

— Och, Ben, jakby to było cudownie! Mieszkalibyśmy tu wszyscy razem, uniknęłabym Domu Wdów.

Pogłaskał mnie po włosach i rzekł:

— Chciałabyś, żeby tak było, prawda?

— Byłoby cudownie!

— Ale tak się nie stało. Jest, jak jest. Nie ma sensu patrzeć w przeszłość i powtarzać „gdyby”.

Tak robią głupcy. Trzeba zapomnieć, co było wczoraj. Ważne jest dziś, z powodu jutra.

Poznaliśmy się i zaprzyjaźnili. A przyjaźń to dobra rzecz.

Wróciłam na swoje krzesło i powiedziałam:

— Opowiedz mi swoją wersję wydarzeń.

— Twoja matka przyszła do Dębowego Dworu.

— Wiem, był bal i ona miała na sobie suknię z wiśniowego jedwabiu.

— No właśnie. Poznała twojego ojca — miłość od pierwszego wejrzenia. Mieli się pobrać i wyjechać do kraju opali. Uważałem, że nie jest to najlepsze miejsce dla tak kruchej istoty, ale ona się upierała. Tam gdzie on, tam i ona. Szybko jej się udzielił zapal Desmonda i przysięgała, że zniesie wszystkie trudy, byle tylko mogli być razem. I pewnie by zniosła. Zazdrościłem Desmondowi Derehamowi szczęścia. Był przystojny, pochodził z dobrej rodziny... Był

uczciwy... jak sądziłem. Miał we krwi pragnienie przygód i to pchało go do Australii. Przyjechał

po złoto, jak wszyscy, lecz gdy znalazł pierwszy opal, zapomniał o złocie. Miał przeczucie, że natknął się na najbogatsze złoża w całej Nowej Południowej Walii. Ciągłe o tych terenach opowiadał. I o tym swoim przeczuciu, więc pokpiwaliśmy z niego i nazwaliśmy to miejsce Kaprysem Desmonda. Później jednak pomyśleliśmy, że może coś tam jest. I właśnie żeby o tym pogadać, spotkaliśmy się we Dworze. Tu poznał twoją matkę, zakochali się w sobie i postanowili się pobrać. Aż przyszła tamta noc...

— Co się właściwie stało tamtej nocy? Ben jakby się nad czymś zastanawiał.

— Był wtedy Joss, Desmond, Croissant i ja. Joss miał czternaście lat, chodził tu do szkoły.

Bystry był niesamowicie, każdy mu dawał więcej lat, niż naprawdę miał. Już wtedy wiedział, kim będzie w przyszłości — największym znawcą opali w Australii., gdzie tam w Australii, na całym świecie! W ten sposób podchodził zresztą do wszystkiego. Już wtedy też pouczał mnie, co mam robić. Nie powiem, żeby mnie to nie irytowało. Ale dowcip polegał na tym, że *on* czasami miał rację. Już wtedy górował wzrostem nad nami wszystkimi, a jeszcze rósł. Teraz mierzy prawie dwa metry, i to bez butów.

— No i ... — ponagliłam, cokolwiek zniecierpliwiona i znudzona opisami doskonałości jego syna,

Jossa Maddena.

Chciałam się dowiedzieć, co wydarzyło się tej fatalnej nocy.

— A więc Joss, David Croissant... David handlował kamieniami w Australii, Ameryce, w Anglii i na kontynencie. Gdziekolwiek działo się coś ważnego z opalami, on występował jako ten, który najlepiej zna się na rzeczy. Był też pełen entuzjazmu Desmond Dereham. Siedzieliśmy tu, w tym pokoju, i Desmond przedstawiał plany związane z Kaprysem. Zbadał już teren, zaczął

trochę dłużyć, i chociaż natrafił jedynie na ślady opali, miał przeczucie, że ten i teren okaże się najbogatszym terenem w Nowej Południowej Walii. Oczywiście chcieliśmy dowodów i bez nich trudno było cokolwiek postanowić. Desmond mówił, że odkrył tam ziemię, w której zwykle występują szlachetne odmiany opali oraz okrągłe, twarde bryłki krzemionki — drobne, spojone ze sobą ziarenka piasku, a w nich żyły opali. Była to pewna wskazówka, że na tym terenie mogą być duże, wartościowe opale. Zastanawialiśmy się, w jakich miejscach tego terenu byłoby najlepiej kopać szyby. Zamierzaliśmy zacząć od czegoś małego, a gdyby przypuszczenia Desmonda okazały się trafione, poszlibyśmy na całość. David Croissant miał obejrzyć pierwsze znalezione okazy i zdecydować, jak najlepiej byłoby je sprzedać. Wtedy pomyślelibyśmy o ludziach i najnowocześniejszych urządzeniach, żeby rozkręcić interes. Dyskutowaliśmy o tym wszystkim, każdy inaczej na to patrzył. Pamiętam entuzjazm Desmonda. Mówił, że jest pewien, iż zbijemy fortunę. Dłubacze są bardzo przesądni. Niektórzy wierzą w szczęśliwą rękę, która prowadzi ich do sukcesu; w ten właśnie sposób odbieraliśmy przeczucia Desmonda tamtego wieczoru. Było w nim coś... coś, co wzbudzało zaufanie. Może to głupio zabrzmiało, ale ja czułem to już wcześniej — co zwykle oznacza sukces — i myślę, że każdy z nas, siedzących tamtego wieczoru przy okrągłym stole, wierzył, że Kaprys Desmonda da nam opale, jakich świat nie widział. Czarne opale, te najbardziej poszukiwane na rynku. Kiedyś wszyscy chcieli kupować mleczne, mówiłem ci już o tym. Nie były brzydkie, ale w modę zaczęły wchodzić czarne. Wtedy powiedziałem, że pewnie nigdy nie znajdziemy czegoś tak wspaniałego jak Zielony Blask Zachodzącego Słońca. Zaczęliśmy mówić o Zielonym Blasku i oni zapragnęli go zobaczyć.

Przyprowadziłem ich wszystkich tutaj i otworzyłem sejf. Blask leżał w swoim atłasowym gniazdku. Co za widok! Nie wiesz, co to opal, póki nie widziałaś Zielonego Blasku. Desmond Dereham wyciągnął rękę i wziął Blask. Trzymał go przez chwilę w dłoni, nagle krzyknął:

„Widziałem! Widziałem zielony blask!” Wyrwałem mu kamień, przyglądałem się opalowi, obracałem go we wszystkie strony, ale nie widziałem blasku. Wiesz, że widziałem kiedyś prawdziwy zielony blask wracając do domu z Australii. Słońce kryło się za horyzontem i zobaczyłem go, tak jak kiedyś zobaczyłem go w opalu. „Naprawdę widziałeś, Desmond?” —

spytałem. „Jestem pewien” — odpowiedział. Joss przysięgał, że także go widział. On zawsze musiał być pierwszy, zawsze najlepszy. Nie pozwalał się nikomu zakasować. Następnego ranka twój ojciec zniknął. Spakował bagaże, zabrał, co do niego należało, i po cichu umknął. Zniknął

też Zielony Blask.

— Nie wierzę, że wziął go mój ojciec.

— Chwali ci się, że trzymasz stronę ojca, ale to niezbyt rozsądne przeczyć niepodważalnym faktom. Desmond Dereham przyjechał tu i mieszkał z nami przez pewien czas, uwiódł twoją matkę, obiecał, że się z nią ożeni, ale pokusa wywołana przez Zielony Blask była zbyt wielka, więc wziął go i zamiast z twoją matką wyjechał z opalem.

— Musi być inne wytłumaczenie jego zniknięcia. Ben pochylił się do przodu i ujął moją rękę.

— Wiem, co myślisz. To był twój ojciec. Rozumiem, co czujesz. Ale jak wytłumaczyć zniknięcie Zielonego Blasku? David Croissant go nie zabrał. Nigdy by się nie ośmielił. On handlował opalami, traktował je jak pieniądze. Znał się na ich wartości jak rzadko kto, ale nigdy do żadnego kamienia nie żywił jakichkolwiek uczuć. Zdawał sobie sprawę z jego wartości, a jaką wartość miałby Zielony Blask wystawiony na sprzedaż? Natychmiast by go rozpoznano, Davida natomiast okrzyknięto złodziejem. Joss? — Ben odchrząknął. — Powiedzmy, że Joss jest zdolny do wszystkiego. Wiem, co czuł do tego kamienia, ale on mógł go oglądać, kiedy mu się podobało. Póki oczywiście nie przysłaby mu ochota mieć go na własność...

— Powiedziałaś, że to był szczególny kamień, taki, którego wszyscy pożąдали.

— Próbujesz zwalić wszystko na Jossa, tak? By oczyścić z zarzutów ojca? Wielu ludzi obawiało się Zielonego Blasku. Mówiłem ci już kiedyś, że go nazywano Przynoszącym Nieszczęście. Opowiadano o nim różne historie. Ja nigdy w to nie wierzyłem. Ale spójrz na mnie teraz.

— Tylko że ty go straciłeś. Ja natomiast nie mogę uwierzyć, by ojciec mógł opuścić matkę.

— Nie wiedział, że jesteś w drodze. Gdyby wiedział, może postąpiłby inaczej... a może nie.

Nie widziałaś Zielonego Blasku. Gdybyś go zobaczyła, zrozumiałabyś, jak działał na ludzi.

Wiele trzeba się uczyć o ludziach, o świecie i o tym czymś, co jest fascynacją, obsesją...

jakkolwiek się to nazwie.

— Co się stało z Kaprysem?

— Jest jednym z najlepszych terenów w Australii. *

— Miał więc rację.

— O tak, miał rację.

— Sądziś, że nigdy by nie wrócił, żeby zobaczyć, co się tam dzieje?

— Jak mógłby wrócić, mając Zielony Blask?

— Myślisz, że zapomnieliby o marzeniach... o swoim Kaprysie... o matce... dla jakiegoś kamienia, o którym nigdy nie mógłby otwarcie powiedzieć, że należy do niego?

— Powtórzę jedynie to, co już powiedziałem, panno Jessie. Ten kamień trzeba zobaczyć. —

Sięgnął po kule. — Patrz tylko, jak chodzę. Przyzwyczajam się do tego drewnianego kołka.

Wkrótce będę się poruszał jak na własnych kończynach. A wtedy...

Patrzyłam badawczo, ale tylko pokręcił głową. Wiedziałam, o czym myślał i że nie chce mi tego powiedzieć. Gdyby chodził z większą łatwością, zacząłby się zastanawiać nad wyjazdem.

Nie chciałam nawet myśleć, jaka bez niego będę nieszczęśliwa.

* * *

Pożegnałam Bena i wyszłam ze Dworu. Gdy szłam aleją, zobaczyła mnie babka, niosąca akurat obrębione ścierki dla ubogich. Stała nieruchomo i patrzyła jak na senną zjawę. Czułam narastający we mnie bunt. Nie zamierzałam niczego więcej udawać.

— Jessiko! — zawołała z niedowierzaniem. — Gdzie ty byłaś?

— U pana Hennikera — odparłam nonszalancko, czekając odważnie na burzę.

Ale nie od razu nadciągnęła. Dobre maniery na pokaz zawsze zawiadywały gniewem babki.

Ledwo jednak weszliśmy do domu... Nadeszli właśnie Xavier i Miriam, zawołała więc do nich:

— Chodźcie do salonu! Miriam, poproś ojca, jeśli może oderwać się na chwilę od kart i poświęcić nam nieco czasu.

Gdy zgromadziliśmy się wszyscy w salonie, babka zamknęła drzwi, żeby nikt ze służących nie słyszał, co ma do powiedzenia.

— A teraz, Jessiko, słucham wyjaśnień — rzekła.

— Byłam z wizytą u mojego przyjaciela, pana Hennikera. Po prostu.

— Przyjaciela?!

— Tak, człowieka bardziej mi przyjaznego niż ktokolwiek w tym domu.

— Czy postradałaś zmysły?

— Nie. Właśnie dlatego, że jestem przy zdrowych zmysłach, szukam przyjaźni poza domem wiecznych pretensji.

— Zamilcz, proszę. Wyjaśnij mi lepiej, jak to się stało, że byłaś w Dębowym Dworze.

— Najpierw poproszę, żebyś ty mi wyjaśniła, dlaczego udawałaś moją matkę przez tyle lat i dlaczego uczyniłaś jej życie tak nieznośnym, że musiała się utopić...

Wszyscy na mnie patrzyli. Byłam pewna, że po raz pierwszy w życiu moja babka poczuła się niezręcznie.

— Jessiko! — wykrzyknęła Miriam, spoglądając to na mamę, to na Xaviera, jakby potrzebowała wskazówek, co powinna o tym wszystkim myśleć. Dziadek szukał czegoś wokół

siebie, brakowało mu gazety, za którą mógłby się skryć. Jedynie Xavier zachowywał się spokojnie.

— Podejrzewam, że ktoś opowiedział ci historię twoich narodzin — rzekł.

— Prawdziwą, czyż nie tak?

— Zależy, co ci powiedziano.

— Wiem, że moja matka nie żyje, wiem, jak umarła i że jest pochowana na Nieużytkach, a wy staracie się o niej zapomnieć.

— To były tragiczne wydarzenia dla nas wszystkich — rzekł Xavier.

— A szczególnie dla niej! — wykrzyknęłam. Wtedy odezwała się babka:

— My niczym sobie na to nie zasłużyliśmy.

— Zasłużyliście na wszystko, co was spotkało — odparłam z pogardą.

— Takie są skutki przyjaźni z poszukiwaczami skarbów — oświadczyła babka.

— Proszę, nie wyrażaj się lekceważąco o panu Hennikerze. To dobry człowiek. Gdyby tu był, pomógłby jej, czego nie zrobił nikt z was.

— Wręcz przeciwnie. Skazaliśmy się na liczne niewygody, by jej pomóc. Sprzedaliśmy srebrną tacę i wagę na poncz Jerzego W, by wywieźć Jessikę za granicę. Ja zaś uznałam cię za córkę,

— Nie daliście jej dobroci i życzliwości, a ona tego właśnie potrzebowała. Uczyniliście jej życie nieznośnym... wy i wasze niemądre konwenanse. Nie kochaliście jej i nie pomogliście.

Czy nie zdawaliście sobie sprawy, że straciła jedyne człowieka, którego kochała?

— Jedyne, którego kochała! — wykrzyknęła babka. — Złodzieja... uwodziciela... Głupia smarkula!

— Jak musiała przez ciebie cierpieć! Przez ciebie... która zawsze czynisz dobrze — albo uważasz, że czynisz dobrze. Bo dobrze jest być okrutną, prawda? Dlaczego jej nie pocieszałaś?

Dlaczego nie uczyniłaś jej życia łatwiejszym? Mogłaś jej pomóc. Ale tego nie zrobiłaś.

Pozwoliłaś jej umrzeć. Ty... moja babka, udająca moją matkę. Mogłam się domyślać, że nią nie

jesteś, bo nigdy nie zachowywałaś się wobec mnie jak matka. A ty — zwróciłam się do dziadka

— nie miałaś śmiałości, ani ty, Miriam, ani Xavier... nikt z was jej nie pomógł. Zaslugujecie na pogardę. Miriam nie może zdecydować się na wikarego, bo wikary za biedny. Xavier nie może ożenić się z lady Klarą, bo za bogata. Jesteście śmieszni. Co wy macie w środku? Chyba słomę...

Z wyjątkiem ciebie — zwróciłam się do babki. — Ty jesteś kamienną bryłą niezyczliwości, obojętności i obrzydliwej dumy...

Kończąc tę tyradę podeszłam do drzwi i pobiegłam do swojego pokoju.

Drżałam z emocji. Powiedziałam im, co o nich myślę, i przynajmniej raz nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

Wkrótce nadeszła Miriam. Wyglądała na zakłopotaną i odezwała się w te słowa:

— W każdym razie nie będziemy już musieli ukrywać Księgi Rodzinnej.

To, co powiedziała wydało mi się tak zabawne, że wy — buchnęłam szczerym śmiechem, co z pewnością ulżyło mej duszy. A Miriam mówiła dalej, jakby do siebie:

— Chyba lepiej być biednym niż pozwolić, by życie mijało obok.

Widziałam później tę Księgę Rodzinną, która do tej pory była zamknięta na klucz w komodzie salonu. Imię mojej matki było wypisane pięknym kaligraficznym pismem, moje zresztą także.

Przewracałam kartki, patrzyłam na imiona dawno zmarłych Claveringów i zastanawiałam się, jakie utrapienia i tajemnice były ich udziałem.

Kiedy wieczorem zesłam na kolację, przemilczano popołudniowe zajście. Wszystko było tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie mogłam się oprzeć zdumieniu, że rozmowa toczyła się gładko na temat pogody oraz wydarzeń z życia wsi, jak zwykle. Kto by przypuszczał, że całkiem niedawno szalała taka burza! Muszę przyznać, że ich podziwiałam.

Jednego wszakże byłam pewna. Nikt nie zamierzał przeszkadzać mojej przyjaźni z Benem Hennikerem. Od tamtego dnia odważnie kroczyłam aleją prowadzącą do Dębowego Dworu i nie robiłam tajemnicy z moich wizyt u Bena.

Paw

Wiele się zmieniło. Nawet babka była inna i często ukradkiem mi się przyglądała. Miriam stała się nieco odważniejsza, a Xavier jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Uważałam, że sposób, w jaki przeciwstawiłam się babce, zrobił wrażenie na nich wszystkich. Było jasne, że odniosłam zwycięstwo, dzięki czemu oni mniej się jej bali. Miriam nawet wyładniała. Pod tym lub innym pretekstem ciągle chodziła do kościoła i wydawało mi się, że częściej widuje się z wikarym. Jednak alarmujące zmiany następowały we Dworze.

Ben radośnie kuśtykał o kulach.

— Tylko patrzeć, jak ten drewniany kołek będzie mi służył niczym własna noga — powtarzał.

— A wtedy nie będzie ci w smak siedzenie tutaj — podpowiadałam z lękiem.

— Czas nie stoi w miejscu — komentował.

— Pojedziesz z powrotem do krainy opali?

— Myślę, że z końcem lata. To najlepsza pora na morskie podróże. Morza będą łaskawe, a ja pożegluję z lata w lato.

W jego oczach pojawił się błysk, z którego wnosiłam, że Ben ma w zanadru jakiś plan, który może dotyczyć także mnie.

Tamto lato z całą pewnością nie należało do zwykłych. Ludzie nie pamiętali takich upałów.

Na niebieskim niebie Przez wiele dni nie pokazywała się ani jedna chmurka i rozmowy podczas posiłków dotyczyły głównie pogody, a w szczególności grożącej nam suszy. Wiadomo było jednak, że nikt się nią specjalnie nie przejmuje.

Zmienił się nawet dziadek i był mniej służalczy wobec babki.

Ben, dumny i zmartwiony zarazem, bo nie ukrywałam moich uczuć związanych z jego wyjazdem, zachęcał mnie do częstych odwiedzin we Dworze. Nie potrzebowałam co prawda specjalnej zachęty. I tak bywałam tam codziennie. Służba przywykła do moich wizyt i witano mnie serdecznie. Hannah opowiadała, jak pan Wilmot powiedział, że to tak, jakby Claveringowie wrócili do domu.

Miejscem, które najbardziej lubiłam, była galeria. Miała ze trzydzieści metrów długości i sześć szerokości. Wykorzystywano ją jako salę balową i tam właśnie moja matka poznała Desmonda Derehama. Po obu stronach pod oknami znajdowały się siedzenia i siedząc na nich wyobrażałam sobie, jak wspaniale musiało to wszystko wyglądać, gdy w ciągu wieków tańczyli tu Claveringowie, a na ścianach wisiały rzędem ich portrety. Miejsce, gdzie stał szpinet, zwracało uwagę swą pustką, na podłodze leżały perskie dywany, które Ben kupił razem z domem.

Lubiłam siadywać pod oknami i wyobrażać sobie matkę w wiśniowej, jedwabnej sukni i Desmonda,

który spogląda na nią po raz pierwszy. Zawsze myślała, że jej pierwszy bal odbędzie się właśnie tu. Przypominałam sobie jej opowieść o duchu grającym na szpince. Ben musiał

czuć sentyment do tego instrumentu, skoro zabrał go ze sobą do Australii.

— Będiesz za mną tęskniła, gdy wyjadę, Jessie — powiedział któregoś dnia.

— Proszę, nie mówmy o tym — błagałam.

— Ale ja chcę o tym mówić. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Nie sądzisz chyba, że wyjadę i cię tu zostawię, prawda? Chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

— Ben!

— Tak sobie właśnie myślę. Pojedziemy razem. Co ty na to?

Od razu wyobraziłam sobie, jak wchodzę do salonu w Domu Wdów i oświadczam, że wyjeżdżam.

— Oni mi nie pozwolą — powiedziałam.

— Pozwolą... ja ich poproszę.

— Obawiam się, że nie znasz ich zbyt dobrze.

— Ja ich nie znam! Nienawidzą mnie, prawda? Odebrałem im tę wspaniałą rezydencję. Przez setki lat Claveringowie siedzieli w Dębowym Dworze, a tu przyjeżdża jakiś Henniker — nędzny dłubacz — i zagarnia wszystko. Jasne, że mnie nienawidzą. Ale jest coś jeszcze, jak myślę.

Poznałem twojego dziadka, zanim tu przyjechałem. Muszę ci to powiedzieć. Nie chcę, żebyśmy mieli przed sobą jakiegokolwiek tajemnice. Twoja rodzina ma szczególny powód, by mnie nienawidzić.

— Powiedz mi, proszę...

— Coś niecoś już wiesz. Znasz prawdę, ale nie całą. Ciekawe, jaki obraz można stworzyć, kiedy się mówi to, co się chce powiedzieć, a resztę po prostu się przemilcza. Taki obrazek może być zupełnie zgrabny i naturalny... aż tu nagle wyłania się cała prawda i nadaje obrazkowi absolutnie inny kształt. Powiedziałem ci, że przyjechałem tu kiedyś, zobaczyłem ten dom i postanowiłem, że go zdobędę. Powiedziałem ci też, że w Australii zdobyłem majątek, dzięki czemu mogłem go kupić. To wszystko prawda. Z jednej więc strony byłem ja ze swoim majątkiem, a z drugiej dziadek Clavering, który z trudem wiązał koniec z końcem, ale posuwał

się jakoś do przodu, mimo licznych potknięć, jak wszyscy jego przodkowie. Jestem niegodziwym człowiekiem, Jessie. Ale to już o mnie wiesz. Jestem bogaty. Lubię bawić się pieniędzmi. Świat to moja scena, lubię dyrygować aktorami, by tańczyli, jak im zagram. Jestem też trochę hazardzistą, o czym również ci mówiłem. Nie takim jednak, jak Claveringowie. Ciekaw jestem, czy i ty masz to we krwi, Jessie. Chyba tak, jako panna Clavering...

Twój dziadek należał do jednego z londyńskich klubów. Dobrze ten klub znałem... z zewnątrz. Często obok niego przechodziłem z tacą pełną pierników, gdy zaczynałem swoją piernikową karierę. Wspaniałe, imponujące miejsce z wejściem strzeżonym przez kamienne lwy, by ubodzy sprzedawcy pierników, jak ja, trzymali się z daleka. Któregoś dnia przyrzekłem sobie, że wejść po tych stopniach jako jeden z najlepszych, i tak się stało. Zostałem członkiem klubu i tam poznałem twego dziadka. Odkryliśmy w sobie zamiłowanie do pokera. To gra, w której podczas jednego popołudnia można stracić fortunę, i widziałem, jak jemu się to przytrafiło. No, może zajęło to dwa albo i trzy popołudnia. Postanowiłem siedzieć przy stole do chwili, kiedy będzie musiał oddać Dębowy Dwór. Poszło mi łatwiej, niż sądziłem.

— Ty... zrobiłeś to umyślnie?

— Nie patrz na to w ten sposób, Jessie. Wszystko odbyło się zgodnie z zasadami. Gra była uczciwa. On miał takie same szanse jak ja. Chociaż ja nie stawiałem wszystkiego, co miałem. On był bardziej zacięty. Obaj ryzykowaliśmy — ja fortunę, on dom. I on przegrał. Musiał sprzedać Dwór, a ja go nabyłem. Nigdy mi tego nie wybaczyli... szczególnie twoja babka. Próby nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków nie miały sensu. Teraz wiesz.

— Ben — powiedziała poważnie — nie oszukiwałaś? Chcę wiedzieć. Nie zniósłabym tego.

Spojrzał mi prosto w oczy.

— Możesz mnie posiekać na kawałki — uśmiechnął się szeroko. — Nie. To był tylko hazard... nic więcej. Po prostu wygrałem.

— Moja babka wiedziała o tym?

— Wiedziała i znenawidziła mnie na zawsze. Nie dbam o nią, ale nie chciałbym, żebyś ty odwróciła się ode mnie z tego powodu.

— Nie odwracam się od ciebie, Ben. Graliście uczciwie i on przegrał.

— Dobra nasza! Teraz się rozumiemy. Myślę, że uda mi się załatwić twój wyjazd do Australii.

— Brzmi to tak podniecająco, że aż nie mogę w to uwierzyć.

— Musimy uknuć spisek.

— Oni będą przerażeni.

— A więc wszystko będzie jeszcze bardziej ekscytujące, nieprawdaż? — odparł figlarnie.

Siedział i śmiał się sam do siebie, a ja zastanawiałam się, o czym myśli. Opowiadał mi dużo o Towarzystwie i nowo powstałej osadzie o nazwie Miasteczko Kaprys. Często wspominał Jossa, miałam wręcz wrażenie, że ma jakąś obsesję na jego punkcie, choć może to naturalne, skoro Joss był jego synem. Im więcej jednak słyszałam o tym aroganckim dżentelmenie, tym trudniej przychodziło mi podzielać entuzjazm Bena dotyczący jego osoby.

Ben wciąż powtarzał: „Jak będziesz w Australii...”, nie było natomiast mowy, w jaki sposób mam się wymknąć rodzinie. W czerwcu skończyłam dopiero osiemnaście lat, a więc nie byłam jeszcze panią swego losu.

Lubiłam rozmowy z Benem. Uwielbiałam słuchać opowieści o jego australijskim domu i miałam nawet uczucie, że dobrze już znam tę imponującą budowlę... uważałam, że musi być imponująca, skoro nosi nazwę Pawiego Domu. Nie mogłam jej sobie wyobrazić inaczej, jak tylko w otoczeniu gromady pawi stąpających po trawniku wraz z Pawiem — synkiem kroczącym między nimi. Dom prowadziła pani Laud, o której Ben od czasu do czasu wspominał; zdawała się znakomitą gospodynią, a Ben chyba coś do niej czuł. Miała córkę i syna. Jimson pracował w Towarzystwie, Lilijs pomagała matce w prowadzeniu domu. Było też kilkoro służby, a wśród nich paru aborygenów.

Słuchałam chciwie, ale wciąż powtarzałam swoje pytanie:

— W porządku, Ben, ale co zrobimy, żebym i ja mogła pojechać?

Uśmiechał się tylko chytrze i mówił:

— Zostaw to mnie.

Od czasu do czasu widywałam się z Hannah, a i z resztą służby byłam w dobrych stosunkach, bo zawsze znajdowałam chwilkę, by ich odwiedzić.

— Pan Henniker mi powiedział — usłyszałam kiedyś od pani Bukiet — że niedługo wyjeżdża. Powiedział to też panu Wilmotowi. Znów przyjdzie nam wszystko pozamykać i będzie jak dawniej, zanim pan Henniker przyjechał bez nogi. To niedobrze dla domu. Służba czegoś takiego nie lubi. Tak to jest, gdy nastają obcy. Będzie panienka za nim tęskniła, prawda?

Omal nie wypaplałam, jakie mamy plany, ale szybko sobie uświadomiłam, że te plany są niedorzeczne, że on tylko tak mówi, by mnie pocieszyć, by mi nie było przykro, bo wiedział

przecież równie dobrze jak ja, że nigdzie nie wyjadę.

* * *

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Miriam — wyglądała całkiem ładnie.

— Chcę z tobą porozmawiać, Jessiko — powiedziała. — Co o tym myślisz? Ernest i ja zamierzamy się pobrać.

Objęłam ją i ucałowałam, bo ogromnie się ucieszyłam, że wreszcie oprzytomniała. Nie przypominam sobie, kiedy zrobiłam coś takiego po raz ostatni, ale widziałam, że była zadowolona, zaróżowiła się po korzonki włosów.

— Jestem szczęśliwa — mówiła. — Postanowiliśmy, że bez względu na to, co powie mama, nie będziemy dłużej czekać.

— Tak się cieszę, Miriam. Powinniście byli to zrobić ładne parę lat temu. Ale nie szkodzi. W

końcu się zdecydowaliście. Kiedy zatem wychodzisz za męża?

— Ernest mówi, że nie ma sensu czekać. Czekaliśmy dostatecznie długo. Spodziewaliśmy się, jak wiesz, aż dostanie parafię w sąsiedniej wsi. Tamtejszy pastor jest już bardzo stary, ale jakoś ciągle żyje i może żyć kolejne dziesięć lat.

— Nie warto czekać ani na spadek, ani na miejsce po starym pastorze. Myślę, że dobrze robicie, i cieszę się, że wreszcie poszłaś po rozum do głowy. To naprawdę cudowne, jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi.

— Będziemy bardzo biedni. Tata nic mi nie da. No i jeszcze muszę o wszystkim powiedzieć mamie.

— Nie pozwól, żeby ci przeszkodziła.

— Nic już mi nie przeszkodzi. To błogosławieństwo, że byliśmy ostatnio tacy biedni, choć nie aż tak biedni, jak będziemy z Ernestem.

— Jestem pewna, Miriam, że masz rację. Kiedy ślub? Miriam wyglądała na spłoszoną.

— W końcu sierpnia. Ernest chce, żebyśmy od razu dali na zapowiedzi, wtedy nikt nam nie przeszkodzi. Sam mieszka w małym domku przy kościele. Mówi, że starczy w nim miejsca dla nas obojga.

— Z pewnością jakoś dacie sobie radę, Miriam.

Cieszyłam się, że podjęła wreszcie decyzję i że nastąpiła w niej granicząca z cudem zmiana.

Babka była naturalnie zła i podchodziła do tej decyzji bez przekonania. Mawiała lekceważąco

„nasza kochliwa dziewczeczka” i kpiła, jak to niektórym ludziom się wydaje, że można żyć niby myszy kościelne okruchami ze stołu bogaczy. Ja z radością wytykałam jej, że nie zna Biblii, bo to nie mysz porwała owe szczególne okruchy.

— Robisz się nie do zniesienia, Jessiko — powiedziała. — Nie wiem, do czego cała ta rodzina zmierza. Jakże inaczej mogłoby się wszystko potoczyć, gdyby niektórzy bardziej odpowiedzialnie traktowali swoje powinności. Nie mielibyśmy pewnie starych panien, które robią z siebie pośmiewisko, pragnąc jak szalone poślubić kogokolwiek — po prostu kogokolwiek

— nim będzie za późno.

Miriam była urażona i załamana, ale tylko trochę. Uważała się już za żonę Ernesta, a nie tylko córkę mojej babki, powtarzała jego opinie, gdzie tylko mogła. Cieszyło mnie niezmiernie. Często rozmawiałyśmy i byłyśmy do siebie bardziej przyjacielsko usposobione niż kiedykolwiek przedtem. Powiedziałam jej, że dobrze robi, wyzwalając się spod tyranii babki. Miała szczęście, że jej się to udało, i niewątpliwie będzie bardzo zadowolona.

— Zastanawiam się, jak tu będzie, gdy się wyprowadzę — powiedziała kiedyś. — A ty, Jessiko, co zamierzasz?

— Co masz na myśli?

— Tak często chodzisz do Dębowego Dworu. Aż mnie to przeraża. Twoja matka robiła to samo.

— Lubię tam chodzić. Dlaczego miałabym tego nie robić? Musisz przyznać, że życie w Domu Wdów nie jest szczególnie radosne.

— Jej kłopoty tam się właśnie zaczęły.

— Ja to co innego. Nie martw się, Miriam. Myśl o przyszłości. Wiem, że będziesz bardzo szczęśliwa.

— Mam nadzieję — powiedziała stanowczo.

* * *

Miriam wyszła za mąż, tak jak zapowiadała, w końcu sierpnia. Babka poszła na ślub, bo tak wypadało, i był to bodaj jedyny powód, dla którego to zrobiła. Dziadek odegrał ceremonię przekazania panny młodej panu młodemu, a ja byłam družką. Ślub był cichy, z konieczności —

jak podkreślała babka ze sto razy od chwili ogłoszenia zaręczyn — wobec naszych ograniczonych możliwości.

Wesela nie było.

— Co tu świętować? — drwiła babka. — Kaprys starej panny?

Była okrutna, lecz Miriam zdawała się nie słyszeć zniewag, szczęśliwa, że wreszcie wyszła za mąż, że podjęła decyzję, z którą nosiła się przez tyle lat. Szyderczy uśmiech pojawiał się na ustach babki, ilekroć wspominała nowożeńców, nazywała młodych „myszami kościelnymi” i używała sobie, pokpiwając z ich przyszłej biedy, wyolbrzymiając ją przesadnie.

Nie było miesiąca miodowego.

— Miesiąc miodowy! — szydziła babka. — Chleb z serem jedzony w chałupie przy drewnianym stole, który moja córka będzie musiała nauczyć się szorować! I wtedy uświadomi sobie swój błąd. Miesiąc miodowy w tej nędznej chacie! Wszystkiego dobrego!

Na to odezwał się dziadek:

— Może być więcej dobrego w skromnej chacie niż we wspaniałym dworze. Coś takiego jest nawet napisane w Biblii — Myślę, że Miriam może sobie pogratulować, że udało jej się opuścić ten dom.

Babka spojrzała na niego wymownie, a on wziął gazetę i wyszedł z pokoju.

Zaszła rzeczywiście wielka zmiana, skoro dziadek potrafił dotrzymać pola swojej żonie.

Wypadek zdarzył się w jakiś tydzień po ślubie Miriam. Któregoś ranka Ben spacerował przy domu. Kula musiała pośliznąć się na wilgotnych liściach i Ben się przewrócił. Leżał całą godzinę, zanim go znaleźli. Banker i pan Wilmot wnieśli go do domu. Posłano po doktora.

Obrażenia wcale nie były lekkie — rana na nodze otworzyła się i Ben miał pozostać w łóżku do czasu, aż się zasklepi.

Gdy przyszedłam go odwiedzić, wyglądał nie tylko na niezadowolonego, ale na naprawdę chorego.

— Patrz, Jessie, co stary głupiec zrobił! — narzekał. — Chodzę sobie tam i z powrotem, aż tu nagle kula się wymyka i lecę na trawę. A co ty w tym czasie robiłaś zamiast mnie ratować?

— Tak bardzo żałuję, że mnie tu nie było!

— Będziesz musiała odwiedzać mnie od czasu do czasu.

— Tak często, jak tylko będziesz chciał, Ben.

— Zmęczy cię stary, chory człowiek. Ale ja wstanę, i to szybko, zobaczysz.

— Oczywiście że tak.

— To oznacza odroczenie naszego wyjazdu do Australii, co, jak widzę, specjalnie cię nie martwi.

— Nie mogę znieść myśli o twoim wyjeździe.

— Przecież masz jechać ze mną.

— Nie wierzę, że rzeczywiście mogłabym pojechać.

— A to do ciebie niepodobne, Jessie. Chcesz jechać, prawda? Nie chcesz zostać w swoim domu, czy tak? Udusiłabyś się tam. Co się z tobą stanie, jeśli zostaniesz? To nie miejsce dla niespokojnych duchów, jak ty. Ty chcesz żyć, poznać świat, rozwinąć skrzydła.... Ty lubisz ryzyko, Jessie. O, tak. Masz to we krwi, tak samo jak ja. Spójrz na to w ten sposób. To tylko pewne opóźnienie, ale przyjdzie dzień, kiedy wyjedziesz do Australii. Przysięgam ci to.

— Zagrasz z nimi tym razem o mnie — zaśmiałam się.

Skrzywił się.

— A jak przegram, Jessie? Co wtedy?

— Jesteś graczem. Ryzykujesz.

— Jest parę rzeczy, które są dla mnie zbyt ważne, by je stawiać w grze. — Chwycił mnie za rękę. —

Pojedziesz do Australii. To już postanowione.

— W porządku, Ben. Na razie musisz wyzdrowieć.

— Spokojna głowa. Za tydzień będę znowu kuśtykał. Ale tak się nie stało.

Minął wrzesień, przyszedł październik, a rana wciąż się nie goiła. Lekarz nalegał, by Ben pozostawał w łóżku, póki się nie zasklepi, Ben zaś złościł się i złorzeczył lekarzom, twierdząc, że nie wiedzą, co mówią.

Był jednak zaniepokojony. Dlaczego ta nieszczęsna rana nie chce się zagoić? Nie mógł uleżeć w łóżku. Miał swoje plany. Próbował wstawać, lecz wysiłek przy chodzeniu przerastał jego siły, musiał dać za wygraną.

Chodziłam go odwiedzać każdego dnia. Wiedziałam, że o wpół do trzeciej spogląda na drzwi, i starałam się nigdy nie spóźniać. Byłam szczęśliwa, gdy udało mi się opuszczać Bena radośniejszym, niż go zastawałam.

Pewnego jednak dnia, pod koniec października, lekarz przyszedł ze swoim kolegą po fachu, którego poprosił o konsultację, i w Dębowym Dworze zapanował niepokój. Coś musiało być nie tak — to nie tylko rana, która nie chce się zagoić, to symptomy innej dolegliwości.

Z początku Ben nazywał to wszystko nonsensem, chciał wstać, by udowodnić, że ma rację, ale udowodnił jedynie sobie, że się myli. Po prostu nie mógł się podnieść i z czasem musiał przyznać lekarzom rację.

Jak to Ben, nalegał, by mu powiedzieli prawdę, i gdy przyszedłam go odwiedzić, opowiedział mi, co z nich wyciągnął.

— Muszę z tobą poważnie porozmawiać, Jessie — rzekł. — Zmusiłem ich, by mi powiedzieli prawdę. Nie chcieli, ale szybko się zorientowali, jakim jestem człowiekiem. „To moje ciało —

powiedziałem. — Przestańcie traktować mnie jak dziecko czy starą, słabą kobietę. Jeśli to koniec Bena Hennikera, to jest to wyłącznie jego rzecz. Chcę uporządkować swoje sprawy”. Powiedzieli mi więc, że jestem chory na jakąś chorobę krwi i dlatego noga się nie zagoi. Nawet gdybym nie upadł, choroba i tak dałaby o sobie znać wcześniej czy później. Rana naprowadziła ich jedynie na trop, którego szukali. Uważają, że mam przed sobą najwyżej rok i już nie podniosę się z łóżka.

Możesz pomyśleć: oto koniec pięknych planów Bena Hennikera. Ale jeśli tak myślisz, to znaczy, że nie znasz starego Bena. Trzeba tylko wprowadzić do tego planu pewne poprawki i dlatego chciałem, żeby mi powiedzieli prawdę, abym miał dość czasu. Rozumiesz, Jess?

— Oczywiście.

— W porządku. A więc mam tego czasu niewiele. Powinienem być przygotowany... Nie patrz tak smutno. Jestem starym człowiekiem. Mój czas minął, i nie było źle. Chodzi mi jednak o to, żebym nie

zgasł jak zdmuchnięta świeca. Wiesz... pali się, pali i nagle gaśnie... Był Ben, nie ma Be — na — Nie, nie chcę, żeby tak było. Zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć moje wnuki paradujące po trawniku razem z Pawiami.

— Myślisz o dzieciach Jossa?

— Tak. Wyobrażałem je sobie... Zuchwałe maluchy... całkiem takie jak on. Nie jedno...

dużo, dużo dzieci. Chłopcy i dziewczynki. Śliczne miałby córeczki, gdyby odziedziczyły po nim oczy. Cieszę się, że do tej pory nie okazywał chęci do żeniaczki, i mam po temu powód.

— Jaki powód? Nie jest już taki młody, prawda?

— Jest po trzydziestce. Ile to czasu minęło od chwili, gdy go zobaczyłem, jak kroczy dumnie po trawniku z dobytkiem na plecach! „Będę tu mieszkał. Podoba mi się tutaj. I pawie mi się podobają...” Co za chłopak! I taki jest do dziś. Chciałbym, żeby ożenił się z odpowiednią kobietą. Dlatego cieszę się, że jeszcze tego nie zrobił.

— Miałeś mi wyjawić powód.

— Był zaangażowany tu i tam. Jest mężczyzną, który lubi kobiety, a one lubią jego... — Ben zaśmiał się w sposób, który zawsze mnie irytował, gdy była mowa o kobietach. — Joss robi wszystko z o wiele większą energią niż przeciętni ludzie. Tak samo jest z kobietami. Strzela okiem za wieloma, tak, ale nie pragnie stałego związku.

— Wydaje się jeszcze atrakcyjniejszy niż dotychczas — skomentowałam zgryźliwie. — Do arogancji należy dodać zamiłowanie do związków pozamałżeńskich.

— Nie zapominaj, że Joss jest mężczyzną. Jest silny, dumny i pewny siebie. Jest taki, jaki powinien być mężczyzna. Całkiem jak ja, tylko w dodatku wysoki, przystojny i wykształcony, czego mnie niestety brakowało. Posłałem go do szkoły tu w Anglii, kiedy miał jedenaście lat, i uczył się do szesnastego roku życia. Nawet się trochę martwiłem, że za bardzo się zmieni — ale nie zmienił się ani odrobinę. Angielskie wykształcenie wiele mu dało, gdy jednak ukończył

szesnaście lat, zaprotestował przeciw dłuższemu pobytowi w szkole. Rwał się do pracy, zwariowany na punkcie opali, ich szukania i wszystkiego, co się z opalami łączy. Gdy zobaczył

Zielony Blask tamtej nocy... pamiętam wyraz jego oczu... Ale to przeszłość. A ja chcę mówić o tym, co jest dziś. Rok najwyżej, powiadają. Hm, może Benowi uda się trochę dłużej. Ale zanim odejdę, muszę wszystko uporządkować. Ty możesz bardzo mi pomóc. Napisać parę listów i tak dalej.

— Zrobię, co tylko będę mogła. Wiesz o tym, Ben.

— Pierwszy list, który mogłabyś napisać, to list do moich prawników. Są w Londynie i w Sydney. Napisz od razu do Londynu, by pan Venning bezzwłocznie przyjechał się ze mną zobaczyć. Możesz to zrobić?

— Oczywiście. Natychmiast. Musisz mi tylko podać szczegóły.

— Pan Venning ze spółki Venning i Caves przy Hanower Square. Pełny adres znajdziesz w notesie, w tamtej szufladzie. To po pierwsze.

Napisałam list i obiecałam go wysłać.

Siadłam obok jego łóżka, a on powiedział:

— Dobrze, że mamy jeszcze trochę czasu, Jessie.

— Lekarze mogą się mylić — powiedziałam. — Są z tego znani.

— Właśnie. Zastanawiam się, czy to nie wina Zielonego Blasku. Opowiadałem ci, jakie nieszczęścia prześladowały jego właścicieli, prawda?

— Ale ty go przecież nie masz... straciłeś go... i to przed wielu laty.

— Tak, naturalnie. Ale tamten wypadek w kopalni. Istnieje podejrzenie, że tej infekcji, czy cokolwiek to jest, mogłem się nabawić właśnie tam. Może to cena, którą trzeba płacić za wydłubywanie tych cudów ze skał, za zabieranie ich z miejsc, do których przynależą — może to coś w rodzaju zemsty z ich strony.

— Rzeczy piękne nie powinny kryć się między skałami, lecz wydobyte cieszyć ludzi swoim widokiem.

— Może i tak. Ale to, co mnie dopadło, to może być sprawka Zielonego Blasku.

— Ty miałbyś wierzyć w takie rzeczy, Ben? Przecież gdy był twój, miałeś się znakomicie.

Nie odpowiedział. Ujął tylko moją dłoń i trzymał ją w swojej.

— Następna rzecz to napisać po Jossa.

— Chcesz go tu ściągnąć?

Utkwił we mnie wzrok.

— Twój puls jest o wiele szybszy. Jesteś go ciekawa, czyż nie? Podnieca cię myśl, że go zobaczysz...

— Dlaczego tak sądzisz? — spytałam. — Wiem, że wiele myślisz o Jossie, Ben, ale to, co o nim słyszałam, wcale mnie nie zachwyca.

Zaczął tak się śmiać, że aż się złąkłam, by mu to nie zaszkodziło.

— Przestań, Ben — powiedziałam surowo. — To wcale nie jest śmieszne.

— Jest, bo wiem, że zmienisz zdanie, jak tylko go zobaczysz.

— Rzeczywiście zamierzasz go poprosić, żeby tutaj przyjechał?

— Nie teraz. Mam na to jeszcze trochę czasu. Chcę, żeby przyjechał na sam koniec. Ma tam zresztą teraz sporo pracy. Nie może się obijać przez cały rok. Ale gdy koniec będzie bliski —

będę to wiedział, nie ma wątpliwości — poślę po Jossa. Zanim odejdę, muszę mu powiedzieć, co ma robić.

Byłam zrozpaczona, widziałam, jakie zmiany niesie każdy dzień. Trzymał się życia mocno, jak to on, ale w końcu będzie musiał ustąpić.

Za rok, o tej porze... Gdy tak myślałam, przepelniał mnie nieopisany smutek.

* * *

Mijały tygodnie, odwiedzałam Bena codziennie.

Moja babka wiedziała naturalnie o tych wizytach, ale choć wyrażała swe niezadowolenie, nie robiła nic, by mnie powstrzymać. Wiedziała, że gdyby to robiła, jawnie wypowiedziałabym posłuszeństwo.

— Twój przyjaciel dłubacz doczekał, zdaje się, tego, na co zasłużył — komentowała zjadliwie. — Ludzie jego pokroju, łączący po jakichś kopalniach, żeby móc później małpować osoby wyżej od siebie stojące, zwykle źle kończą.

Nie mogłam odpowiedzieć z właściwą sobie nonszalancją. Za bardzo przejmowałam się Benem.

Bezustannie mówił o latach spędzonych w Australii, a ja go do tego zachęcałam, bo widziałam, że znajduje w tym pocieszenie. Często wspominał o Zielonym Blasku i raz czy dwa wydawało mi się, że majaczy, bo mówił tak, jakby go wciaż miał.

— Ludzie wariują na punkcie opali — rzekł — a Zielony Blask nie był zwyczajnym klejnotem. Diamenty mają może większą wartość, ale nie działają w taki sposób na ludzi.

Widziałem poszukiwaczy opętanych gorączką złota — oni nie pragnęli samego kruszcu, lecz tego, co on im da. Inaczej jest z opalami. Wszystkie samородki złota wyglądają podobnie. Opale

— są bardzo różne. Jest o nich tyle legend! Ludzie czytają w ich barwach. Kiedyś utożsamiano je z powodzeniem. Ale teraz się mówi, że przynoszą nieszczęście. Ponieważ łatwo się kruszą, niektórzy tracą bogactwo, które już prawie mieli w garści. Moim zdaniem, dlatego właśnie mówi się o tych nieszczęściach. Znałem ludzi w wielkiej potrzebie finansowej, co za żadne skarby nie chcieli rozstać się z kamieniem, który mógłby ich wybawić z kłopotu. Tak też było z Zielonym Blaskiem.

— Jednak sam go nazywałeś Przynoszącym Nieszczęście.

— Muszą krążyć różne opowieści o takim kamieniu. To był jeden z pierwszych czarnych opali, jakie

wydarło ziemi. Do tej pory nie znaleziono drugiego równie pięknego. I nigdy nikt nie znajdzie, jak sądzę.

— Kto go znalazł?

— Taki stary dłubacz... przed pięćdziesięciu laty. Wciąż sypały się na niego nieszczęścia...

Facet, który się wycofywał, kiedy wystarczyło wyciągnąć rękę... Zjawiali się inni i brali to, co tamtemu się należało. Nazywali go Pechowy Jim. Aż wreszcie... znalazł. Było tak samo jak ze mną i Zieloną Damą — Skąła się na niego zwała... znaleźli go martwego z Zielonym Blaskiem w zaciśniętej dłoni. I od tego się wszystko zaczęło. Pechowy Jim znalazłszy Zielony Blask stracił

życie. Jego syn, ledwie zobaczył kamień, wiedział, że piękniejszego nie ma, chociaż opal nie był

jeszcze obrobiony. Chciał od razu jechać do Sydney, ale przedtem pokazał go temu i owemu Nie potrafił się powstrzymać, taki był z niego dumny. Jakaś stara Cyganka ostrzegła go, że niebezpiecznie wieźć karniej przez busz, bo ludzie już o nim gadają... że to najwspanialszy opal świata, że wart fortunę. Syn Pechowego Jima obmyślił więc pewien plan. Dał kamień młodszemu bratu na przechowanie... nikt o tym oczywiście nie wiedział. Tymczasem jakiś rabuś, zdecydowany na wszystko, zastrzelił człowieka, a opalu nie znalazł. A więc masz już dwie śmierci.

— A co się stało z opalem?

— Obrobiono go, wygładzono i, wielkie nieba! — to, co się objawiło, oślepiało każdego, kto tylko spojrział. Rozmiar... barwa... nigdy nie przypuszczano, że taki kamień może ogóle istnieć.

Miał go więc ów młodszy brat. Nie pamiętam już, co mu się przydarzyło. Jego córka uciekła z kochankiem, on starał się ją zatrzymać i podczas bójki został strącony ze schodów. Dwa lata cierpiał bóle, nim zmarł, ale nie pozbył się Zielonego Blasku. Słyszałem, że miał go zawsze przy sobie, żeby móc codziennie na niego patrzeć, i uważał, że warto było cierpieć, tak jak cierpiał, byleby go tylko mieć. Jego córka jednakże obawiała się kamienia i dała go pewnemu handlarzowi, za którego pośrednictwem trafił do jakiegoś władcy ze Wschodu. Możesz sobie to wyobrazić Nadawał się na klejnot do korony. W rok później ów władca zginął od ciosu zamachowca, a kamień stał się własnością jego starszego syna. Syn z kolei został sprzedany do niewoli, lecz zanim się to stało, oprawcy odebrali mu klejnot. Jeden z nich przywłaszczył sobie kamień i uciekł z nim, lecz gdy zaczęły go prześladować niepowodzenia uznał, że złu winien jest kamień. Wkrótce zmarł na febrę przed śmiercią zaś polecił synowi odwieźć klejnot tam, skąd pochodził. W ten sposób opal wrócił do Australii. Harry, o którym ci opowiadałem, wygrał go w karty. To był jeden z tych wypadków, kiedy Harry wygrał.

— Wierzył w to, co mówiono o kamieniu? — Wiem tylko tyle, że ludzie, którzy dostają ten kamień do rąk, chcą go zatrzymać za wszelką cenę. — A ty się nie bałeś, gdy należał do ciebie?

— Nie, ale spójrz, co się ze mną dzieje. Popatrz tylko na mnie.

— Nie możesz obwiniać kamienia, skoro go już nie masz. Ciekawe, co się dzieje z tym kimś, kto go

ma.

Ujął mnie za rękę i zaczął:

— Jessie...

Czekałam. Myślałam, że chce mi coś powiedzieć, ale chyba zmienił zdanie.

Wyglądał na bardzo zmęczonego, więc powiedziałam:

— Pójdę już, a ty śpij, Ben.

Dziwne, ale nie protestował. Wyszłam więc po cichu i wróciłam do domu.

* * *

Nastał nowy rok. Co jakiś czas Ben powracał do sił, wydawało się wtedy, że odprawi doktorów i wyzdrowieje, ale bywały też dni, kiedy sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego mimo dużych wysiłków, które czynił, by to ukryć.

W połowie lutego, pewnego zimnego dnia, kiedy wiał północny wiatr i szalała śnieżycą, poszłam go odwiedzić.

Na kuchennym palenisku płonął ogień. Hannah wyglądała markotnie.

— On jest coraz słabszy — wyszeptała. — Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Co z nami wszystkimi będzie?

— Jestem przekonana, że jakoś was zabezpieczy — zapewniłam.

— Banker jest bardzo przejęty, a pan Wilmot od sześciu tygodni nie wspomniął, że pan Henniker nie jest odpowiedni panem na Dębowym Dworze. Zdaje się, że wiele by dał, by rzeczy wróciły do dawnego porządku.

— Wszyscy byśmy wiele za to dali, Hannah.

Wiedziałam więc, gdy wchodziłam do jego pokoju... Ale może to tylko zimne światło śnieżnego dnia nadawało jego twarzy niebieskawe zabarwienie...

Uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył, i próbował udawać wesołego.

— Pogoda na pieczone kasztany i gorące ziemniaki — rzekł. — Nieźle mi to kiedyś szło...

kasztany i ziemniaki pieczone na małym ruszcie, na rogu ulicy. Miło się nimi grzało dłonie.

Zimny dzień, co, Jessie?

Podeszłam do łóżka i ujęłam jego rękę. Były lodowate.

— Nie mogę powiedzieć, żebym się ciepło trzymał w tych dniach — rzekł.

Mówiliśmy o Australii i kopalniach, o ludziach, których znał. Zrobiłam herbatę na kuchence spirytusowej — lubił patrzeć, jak ją parzę.

— Wyobrażam sobie, jak gotujesz wodę w cynowym kociołku nad ogniskiem w buszu.

Myślałem, że będziemy to robić razem. Ale cóż, człowiek strzela, pan Bóg kule nosi. Obawiam się, że jakoś inaczej to zaplanował.

Podaliśmy mu herbatę i patrzyłam, jak pije.

— Dobra i mocna — rzekł. — Ale wiesz, herbata nigdzie tak nie smakuje jak w buszu.

Chciałbym być z tobą w buszu, Jessie. Chciałbym cię zobaczyć z plackiem kukurydzianym w jednej ręce i kubkiem herbaty w drugiej. Chciałbym usłyszeć, jak mówisz, że nigdy nic nie smakowało ci bardziej. Nie szkodzi. Któregoś dnia posmakujesz tego wszystkiego.

Musiałam mieć bardzo smętną minę, bo powiedział:

— Rozchmurz się, dziewczyno! Pojedziesz tam. To pewne. Inaczej być nie może.

Nie odpowiedziałam. Pozwalałam mu fantazjować, ale rozmyślałam, co z sobą pocznę, gdy jego zabraknie i przestanę przychodzić do Dębowego Dworu.

— Tak sobie myślę... — rzekł — chyba przyszedł czas. Trzeba zawiadomić Jossa. Powinien zacząć myśleć o przyjeździe. To trochę trwa. Trudno przypuszczać, by wsiadł na pierwszy statek.

Będzie musiał przygotować Towarzystwo a swoją nieobecność.

— Chcesz do niego napisać? — spytałam. Wzięłam papier i pióro, siadłam przy łóżku. —

Dyktuj.

— Napisz, co uważasz. Niech to będzie list od ciebie. — Ale... — Pisz, pisz... Napisałam więc:

Szanowny panie Madden,

Pan Ben Henniker poprosił mnie, żebym zawiadomiła Pana o jego chorobie. Pan Henniker chciałby, żeby Pan przyjechał do Anglii. — Ważne, by wyruszył Pan tak szybko, jak to możliwe.

Z poważaniem

Jessika Clavering

— Przeczytaj — powiedział Ben.

Przeczytałam.

— Nie brzmi zbyt przyjacielsko.

— Dlaczego ma brzmieć przyjacielsko? Przecież ja go nigdy nie widziałam.

— Opowiadałem ci o nim.

— Szczerze mówiąc, nie żywię do niego zbyt przyjacielskich uczuć.

— W takim razie nie mówiłem tego, co trzeba. Moja wina. Gdy go zobaczysz, poczujesz to, co czują do niego wszystkie kobiety... zaręczam ci.

— Ben, ja nie jestem głupią pawicą, która gulgocze na widok pawiego ogona.

Tak go to rozśmieszyło, że znowu się złękłam, żeby sobie nie zaszkodził.

Uspokoił się i leżał na wznak uśmiechając się — szczęśliwy, jakby trafił na żyłę czarnych opali.

— Można by pomyśleć, że znalazłeś Zielony Blask — podziałam.

Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Nie potrafiłam odgadnąć, o czym myślał.

Później znów nabrał nieco sił. Nadeszła też odpowiedź od Jossa Maddena. Była zaadresowana do panny Jessiki Clavering w Dębowym Dworze i pan Wilmot podał mi ją na srebrnej tacy, gdy przyszedłam do Bena.

Spostrzegłam australijski znaczek i śmiałe pismo, i od razu odgadłam, od kogo przyszedł list.

Zabrałam go więc na górę i powiedziałam Benowi, że przyszła odpowiedź od pana Maddena.

Otworzyłam kopertę i przeczytałam głośno:

Droga panno Clavering,

Dziękuję za list. Nim otrzyma Pani moją odpowiedź, będę już w drodze, i gdy tylko znajdę się w Anglii, wyruszę do Dębowego Dworu.

Z poważaniem

J. Madden

— Tylko tyle? — wykrzyknął Ben głosem pełnym pretensji.

— Wystarczy — odparłam. — Jedyne, co powinien był napisać, to to, że jest w drodze.

* * *

Nastał kwiecień. W czerwcu miałam skończyć dziewiętnaście lat.

— Jesteś dorastającą panną — stwierdziła babka. — Jakże inaczej mogło się wszystko ułożyć!

Mogliśmy byli wypełnić nasz obowiązek wobec ciebie i wprowadzić cię w świat z godnością.

Ale tu, w tym domu, czego możemy się spodziewać? Nawet wikary ci się nie trafi. Miej się na baczności, bo twoje upodobanie do towarzystwa niższego stanu może wykluczyć cię nawet z tych kręgów, do których dostała się Miriam.

— Sądzę, że Miriam jest bardzo szczęśliwa.

— Może i jest... myśląc, kto jej zafunduje następny posiłek.

— Nie jest tak źle. Mają co jeść. Miriam z radością prowadzi dom i jest o wiele szczęśliwsza, niż była tutaj.

— O, tak. Zadowolili ją fakt, że ktoś chciał się z nią ożenić... ktokolwiek... nieważne kto.

Mam nadzieję, że ty nie najdziesz się w równie pożałowania godnym położeniu.

— W tym względzie proszę się o mnie nie niepokoić.

Byłam przygnębiona, bo Ben znów czuł się gorzej. Jego stan wyraźnie się pogarszał i martwiło mnie, co będzie, jak umrze i nie będę miała po co przychodzić do Dębowego Dworu.

Otwierała się przede mną posępna przyszłość. Wciąż podejmowałam się obowiązków, których wykonywanie, zdaniem mojej babki, oczekiwano od ludzi naszego stanu, nawet mimo ograniczonych możliwości finansowych: a więc zajmowałam się rozdawaniem ścierek i przetworów, które nie udały się tak, jakby sobie tego życzyła babka, opieką nad kramami podczas festynów kościelnych, uczestniczeniem w kursach szycia prowadzonych przy kościele, składaniem kwiatów na grobach, pomocą przy dekorowaniu kościoła i tak dalej. Wyobrażałam sobie, jak robię się coraz starsza i coraz bardziej kwaśna — taka była Miriam, nim wyszła za męża, chociaż ona miała przynajmniej wikarego w odwodzie. Nie byłam już taka młoda. Byłam dojrzałą kobietą i mój czas płynął coraz szybciej.

Każdy dzień rozpoczynał się tak samo: modlitwą w salonie, gdzie zbierali się członkowie rodziny pospołu ze służbą, a babka wydawała Najwyższemu polecenia na resztę dnia. „Spraw, żeby to...” i „Uchowaj nas od tamtego...”, a ja z nawyku liczyłam jej polecenia.

W kwietniu pani Jarman wydała na świat kolejnego potomka i Biedny Jarman stał się jeszcze smutniejszy niż zwykle — Natura, jak mi powiedział, nie myśli zaprzestać swej szczodroblewości. Babka skomentowała krótko, że Biedny Jarman nie jest aż tak prostym człowiekiem, by nie wiedzieć, że odrobina powściągliwości pomogłaby naturze. Biedny Jarman

— on naprawdę był biedny — patrzył na babkę z takim wyrzutem, że o mało nie wybuchnęłam śmiechem.

— Mówimy o Biednym Jarmanie — stwierdziła ostro — ale zdaje się, że należałoby raczej mówić o Biednej Jarmanowej.

W porywie dobroci serca spakowała koszyk dla płodnej niewiasty i nawet włożyła do niego słoik dżemu malinowego, który jeszcze nie spleśniał, małego kurczaka i butelkę rosołu.

— Możesz to zanieść pani Jarman, Jessiko — powiedziała. — W końcu jej mąż u nas pracuje.

Tylko zanieś to, gdy go nie będzie, bo jestem pewna, że wszystko, co najlepsze, zagarnąby dla siebie, a to ona, nieszczęsna kobieta, potrzebuje dobrego pożywienia.

W ten oto sposób pewnego wietrznego dnia pod koniec kwietnia z koszykiem w ręce szłam do chaty, w której mieszkali Jarmanowie. Myślałam o Benie: czy szybko nadejdzie dzień, kiedy przyjdę do Dworu i dowiem się, że Ben nas opuścił...

Przed chatą był mulisty staw i skrawek ogrodu porośniętego zielskiem. Dziwne, że Biedny Jarman, który przez całe dni zabiegał o urodę ogrodu innych ludzi, tak bardzo zaniedbywał swój własny. Myślałam, że można by tu przecież posadzić jakieś kwiaty albo warzywa — tymczasem na miejscu odpowiednim dla żonkili i kwitnących krzewów bawiły się małe Jarmaniątka, robiąc okropnie dużo hałasu i zamieszania, i zostawiając po sobie kupy śmieci.

Jeden z maluchów, mający najwyżej trzy lata, trzymał niewielką doniczkę, w którą ładował

ziemię, a potem, odwracając ją do góry dnem, usypywał zgrabne kopczyki, uklepywał je rączkami, którymi następnie — a były, rzecz jasna, niewiarygodnie brudne — mazał sobie buzię i fartuszek. Dwóch innych przeciągało linę. Jeszcze jeden rzucał piłkę do stawu, tak że gdy doń wpadała, rozpryskiwała brudną wodę, ochlapując i jego, i innych ku ich niezmiernej uciesze.

Gdy się zbliżyłam, zapadła krótkotrwała cisza, wszystkie spojrzenia skupiły się na koszyku, ledwie jednak weszłam do chaty, rwetes podniósł się na nowo.

— Dzień dobry, pani Jarman! — zawołałam. Wchodziło się od razu do bawialni, zapukałam więc do drzwi, o których z poprzednich wizyt pamiętałam, że prowadzą do sypialni małżeńskiej.

Kręcone schody wiodły na górę, gdzie w dwóch izbach gnieździło się wciąż większe i większe Jarmanowe stadko.

Pani Jarmanowa leżała w łóżku, a nowo narodzone dziecko w kołysce obok niej. Była ogromna. Niczym królowa pszczół, jakby natura rzeczywiście przeznaczyła ją do podobnych zadań.

— Kolejna dziewczynka, pani Jarman?

— Tak, panno Jessiko — odpowiedziała, wznosząc z wyrzutem wzrok ku sufitowi, jakby Opatrzność wrzuciła tę istotę do kołyski akurat wtedy, gdy ona patrzyła w inną stronę, albowiem pani Jarman podzielała zdanie swego małżonka, że to natura stroi sobie z nich po prostu nieprzystojne żarty.

Mała dziewczynka będzie mieć na imię Daisy, powiedziała jej matka i wyraziła nadzieję, że Bóg

zechce jej błogosławić.

— Tak liczne potomstwo, pani Jarman, oznacza, że Bóg błogosławi rodzinie.

— To raczej oznacza kolejne łóżeczko tam, na górze — powiedziała Jarmanowa. — Cała moja nadzieja, że Bóg zechce poprzestać na Daisy.

Rozmawiałymy przez chwilę, po czym wyszłam na dwór, gdzie hałas zdawał się przybierać na sile. Twórca kopczyków ustawił ich już najwidoczniej dostatecznie dużo i radośnie skopywał

je do stawu. Piłka wpadła do wody na dobre, a malec, który ją tam wrzucił, wzruszył ramionami i oddalił się.

Już miałam przejść na drugą stronę drogi, gdy ten od babek zobaczył, że piłka wpadła do stawu, i postanowił ją stamtąd wyciągnąć. Wszedł do wody, chciał sięgnąć po piłkę, przewrócił

się i zanurzył z głową.

Pozostałe dzieci przyglądały się ciekawie, lecz żadne nie zamierzało wyciągnąć malca ze stawu. Nie miałam wyboru. Dziecko było w niebezpieczeństwie. Wlazłam do stawu, brodząc w wodzie chwyciłam małego Jarmana i, wściekła, wyszłam wraz z nim na brzeg.

Gdy stałam z dzieckiem na ręku, spostrzegłam jeźdźca obserwującego całe zajście. Koń był ogromny, mężczyzna także, wyglądali razem niby centaur czy jakiś inny mityczny stwór.

— Powiedźcie mi, którą drogą do Dębowego Dworu — odezwał się władcym tonem.

Najstarsze z obecnych dzieci, może sześćoletnie, zawołało:

— Tą drogą, prosto...

Mężczyzna wpatrywał się jednak we mnie, oczekując odpowiedzi od osoby dorosłej.

— Proszę jechać prosto, potem skręcić w prawo, a wkrótce zobaczy pan bramę —

powiedziałam.

Podziękował, sięgnął ręką do kieszeni, wyciągnął kilka monet i rzucił je w naszym kierunku.

Wpadłam w furję. Postawiłam małego na ziemi, schyliłam się, żeby zebrać monety i cisnąć nimi w niego, ale już dwójka Jarmanów porwała pieniądze i uciekała co sił w nogach ze zdobyczą.

Patrzyłam wściekła za jeźdźcem, potem spojrzałam na malucha, który uniósł ku mnie upapraną błotem twarzyczkę i z palcem w buzi przyglądał mi się ciekawie.

— Ty mały, nieznośny brudasie — powiedziałam cedząc słowa przez zęby, ale zaraz zrobiło mi się

przykro, bo przecież on nie był niczemu winien. — No, dobrze. Idź do domu i poproś siostrę albo brata, żeby cię osuszyli. I żebyś się nie ośmielił włązić jeszcze raz do stawu.

Wielkimi krokami ruszyłam w stronę Domu Wdów. Weszłam do swojego pokoju i stanęłam przed lustrem. Policzek miałam upačkany ziemią, bluzkę ubłoconą, spódnice całkiem u dołu mokrą i nasiąknięte wodą pantofle.

Ależ wyglądałam! Mężczyzna na koniu wziął mnie za wiejską dziewczuchę. Domyślałam się, kto to był. Czyż nie pytał o Dębowy Dwór? Czyż nie zachowywał się arogancko? Czyż nie wyglądał na zarozumiałego pawia?

I pomyśleć, że moje pierwsze spotkanie z nim było akurat takie!

— Wiedziałam, że go zniehawidzę — powiedziałam głośno.

* * *

Nie mogłam się zmusić, by pójść do Dębowego Dworu następnego popołudnia. Myślałam: on tam jest, a ja wcale nie chcę go widzieć. Ben z pewnością jest zadowolony. Ma swojego ukochanego Pawia. Mnie nie potrzebuje.

Myliłam się.

Maddy zapukała do moich drzwi.

— Hannah przekazała mi wiadomość od pana Hennikera. Pan Henniker prosi, żeby panienka przyszła. Ma jakąś szczególną sprawę.

Musiałam więc iść. Ubierałam się z wielką starannością. Włożyłam niebieską suknię z alpaki; jeśli nawet nie było mi w niej zbyt do twarzy, czułam się bardzo dystyngowanie.

Ledwie weszłam do Dworu, poczułam, że coś się zmieniło. Panowała atmosfera ożywienia.

Wilmot powitał mnie w holu wytwornie i z godnością.

— Pan Henniker prosi, żeby panienka udała się wprost do jego pokoju.

— Dziękuję, Wilmot.

Wiedziałam, że nie ma sensu stawianie pytań, które mi się nasuwały. Wilmot był zbyt układny, by plotkować o jednym gościu z drugim gościem, ale u szczytu schodów dostrzegłam Hannah, która przyczała się tam, by szepnąć mi kilka słów.

— Och, panno Jessiko — powiedziała przyciszonym głosem — przyjechał... ten pan z Australii.

— Tak? — rzuciłam wyczekująco.

— Słowo daję!

Drażnił mnie wyraz jej twarzy. Zwykle rozsądna, Hannah wyglądała teraz całkiem głupio.

— Zdaje się, że zrobił na tobie wyjątkowo duże wrażenie — stwierdziłam ostro.

— Pan Henniker jest bardzo zadowolony. Nowe życie w niego wstąpiło. A tamten... wszedł do holu, wczoraj to było... można by pomyśleć, że tu wszystko należy do niego. Nie wiem, czy kiedy widziałam takiego pana. I jak pięknie umie mówić.

Przeszłam obok niej, zdając sobie sprawę, że uznała mnie za nie najlepiej usposobioną.

Zapukałam do drzwi pokoju Bena i usłyszałam jego głos: „To pewnie Jessika”, i głośniejsze:

„Wejdz, moja droga!”

Ben siedział na wózku obok łóżka, ubrany w szlafrok, z kolanami otulonymi kocem. Wysoka postać wyrosła nagle przede mną, zmierzając w moją stronę. Drażniło mnie, że muszę spoglądać w górę.

Naturalnie był to mężczyzna, którego spotkałam koło chaty Jarmana.

Ujął moją dłoń i trzymał ją trochę za długo.

— A więc — rzekł — znów się widzimy.

— Hej, co tam robicie? — krzyknął Ben. — Chodźcie tu oboje. Zamierzam was sobie przedstawić jak należy. To bardzo ważna chwila. Chcę, żebyście się poznali, a gdy się poznacie, macie się polubić. Zresztą nigdy nie wątpiłem, że tak będzie. Z tej samej gliny jesteście ulepieni.

Nie potrafiłam ukryć oburzenia, które mnie ogarnęło na samą myśl o tym, że ktoś zamierza mnie porównywać z tym człowiekiem. Dostrzegłam jego oczy — ciemnoniebieskie, koloru pawich piór, i wydatny, trochę orli nos, świadczący o arogancji — nie miałam co do tego wątpliwości — dość duże usta o wąskich wargach, które mogły należeć do człowieka cynicznego albo zmysłowego, bądź łączącego w sobie obie te cechy. Była to twarz nie tyle piękna, co niezwykła — taka, która wyróżnia się spośród innych, którą zapamiętuje się na zawsze. Brązowy atłasowy żakiet i nieskazitelnie biały krawat wskazywały na wybredny gust, brązowe buty do konnej jazdy i prążkowane bryczesy były zdecydowanie w męskim stylu.

Najbardziej jednak nie podobał mi się kpiący wyraz twarzy, który świadczył, że mężczyzna pamięta widok mojej osoby wyłaniającej się z mulistego stawu z brudnym Jarmankiem na ręku.

To było pierwsze wrażenie, czyli to, czego się nie zapomina.

— Spotkaliśmy się już, Ben — powiedział.

— Chodźcie tu i opowiedzcie mi wszystko.

— Poszłam do Jarmanów — zaczęłam pośpiesznie. — Jarmanowa znowu urodziła i babka posłała jej przeze mnie różne rzeczy. Gdy wychodziłam z chaty, jedno z dzieci wpadło do stawu.

Wyciągnęłam je, a pan... — wskazałam głową w stronę mężczyzny.

— Nazywaj go Joss, moja droga — rzekł Ben. — Nie potrzebujemy takich oficjalnych form.

Zbyt jesteśmy sobie bliscy.

— Ależ ja wcale nie znam pana Maddena — protestowałam.

— Przecież spotkaliśmy się już — rzekł Joss Madden, a w jego głosie wyczułam wyraźną kpinę.

— A więc pan Madden przejeżdżał obok — powiedziałam twardo — spytał o drogę i zapłacił za informację. Mogę pana zapewnić — zwróciłam się do Jossa — że zapłata nie była konieczna i zostałaaby panu zwrócona, gdyby dzieci jej nie porwały i nie uciekły.

Ben się roześmiał.

— Daj spokój! — powiedział. — I nie wiedzieliście, kto jest kto?

— Wiedząc, że pan Madden ma przyjechać, odgadłam, że to on. A jego zachowanie odpowiadało temu, co o nim słyszałam.

Joss Madden wybuchnął śmiechem, a właściwie zaśmiał się krótko.

— Rozumiem, że to miał być komplement — rzekł. — Tak to w każdym razie zamierzam przyjąć.

— Pozostawiam panu możliwość wyboru — odparowałam.

— Przyjemnie mi patrzeć na was razem — powiedział Ben, uśmiechając się z zadowoleniem.

— To jedyne szczęśliwe wydarzenie od czasu mojego wypadku. A teraz usiądźmy wszyscy wygodnie. Mamy wiele spraw do omówienia, a nie wiadomo, ile nam czasu zostało.

— Nie mów tak, Ben — powiedziałam. — Czujesz się przecież o wiele lepiej... teraz, kiedy przyjechał pan Madden.

— Spójrzmy prawdzie w oczy — rzekł Ben. — To zawsze najlepsze rozwiązanie, prawda, Joss?

— Myślę, że tak — odpowiedział Joss.

— No to chodźcie... przysuńcie krzesła... jedno po jednej stronie, drugie po drugiej. Dobrze.

Oto czego od dawna pragnąłem. A teraz będę sentymentalny — stary nieszczęśliwy człowiek, któremu niewiele życia zostało, może sobie na to pozwolić. Mam więc koło siebie dwoje ludzi, którzy znaczą dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie, i pragnę całym sercem, by ci dwoje

byli razem i... razem pracowali...

Czułam na sobie spojrzenie Jossa Maddena; szacował mnie wzrokiem w sposób, który odbierałam jako obraźliwy. Żaden mężczyzna tak na mnie dotychczas nie patrzył. Spodziewałam się, że będzie arogancki i napastliwy, ale nie przypuszczałam, że wzbudzi we mnie uczucia, jakich do tej pory nigdy nie doświadczałam. Złapałam się na tym, że myślę o potarganych przez wichurę włosach i że w sukience z niebieskiej alpaki nie jest mi zbyt do twarzy. A jak okropnie musiałam wyglądać wczoraj, wychodząc ze stawu!

Usłyszałam samą siebie mówiącą piskliwym głosem:

— Pracowali razem? Co masz na myśli, Ben?

— Właśnie o tym chcę mówić, ale czuję, że zdaniem Jossa, trochę na to za wcześnie.

Rozumiem, że wolałby, byście się lepiej poznali.

— To chyba za duży szok dla panny Clavering. Daj jej dzień lub dwa, żeby się do mnie przyzwyczała.

— Wszystko to brzmi bardzo tajemniczo.

— Wszystko jest bardzo proste i praktyczne — rzekł Joss Madden. — Czy pani należy do osób praktycznych, panno Clavering?

— Czy nie powiedziałem — przerwał nam Ben — żebyście mówili sobie po imieniu?

— Czy należysz do osób praktycznych, Jessiko? — spytał Joss Madden raz jeszcze.

— Chyba tak — odparłam.

— Znasz swoją wartość. Powiedziałbym, że jesteś rozsądną młodą kobietą i uważasz to za powód do dumy.

— Rozsądnie jest mieć taki powód do dumy — powiedziałam.

— Energiczna — rzekł — i zasadnicza. Przyda się bardzo.

— Słuchajcie — powiedział Ben — zdaje się, że zanadto się śpieszę. Powiem wam, co zrobimy. Odłożymy tę rozmowę do jutra.

— Dobry pomysł — rzekł Joss Madden.

— W porządku. Opowiedz, co tam w domu.

— Najważniejsze już ci powiedziałem. Wszystko idzie tak gładko, jak powinno. Żadnych wielkich problemów. Znaleźliśmy bogatą żyłę niedaleko Derry Creek.

— Piękne czarne opale, tak? Czegoś takiego lubię słuchać. Jimson Laud ma się dobrze?

— Dobrze.

— Zabrzmiało to oziębło.

— Oziębło o oziębłym.

— Nie możesz oczekiwać, żeby wszyscy byli tacy gorący Jak ty, Joss. Jimson to facet od liczenia, tacy nie ulegają emocjom — rachunki są bardzo ważne w interesach. A Liliias?

— Jak to Liliias.

— A Emmeline?

— Niewiele zmieniło się w tej rodzinie, od czasu gdy ich widziałeś, Ben.

Ben patrzył przed siebie.

— Chciałbym jeszcze zobaczyć mój dom, zanim zejdem z tego świata. Kocham tam każdą cegłę... każde źdźbło trawy na trawnikach. Nie są takie jak tutejsze... słońce, to pałace słońce...

wiele miesięcy suszy. Jak było, gdy wyjeżdżałeś?

— Wszystko suche jak pieprz. Spłonęło trochę lasów w okolicy.

— To stałe zagrożenie, Jessiko — zwrócił się Ben do mnie. — Zobaczysz, jaka to wielka różnica — tu i tam. Prawda, Joss?

— Jeśli przyjmie twoje warunki — odpowiedział Joss.

— Warunki? — spytałam. — Jakie warunki?

— Wydawało mi się, że twoim zdaniem, za wcześnie na rozmowę — rzekł Ben.

— Bo tak jest — rzekł Joss Madden. — Teraz otrzymalibyśmy odmowę. Musimy dać pannie Clavering trochę czasu, chciałem powiedzieć, Jessice... Nie kierujesz marionetkami, Ben.

Choćby dlatego, że ani Jessika, ani ja nie jesteśmy z drewna. Mam rację... Jessiko? Nie chciałabyś, by tobą poruszano na scenie. A to tu... a to tam... bo tak chce ktoś, kto pociąga za sznurki.

— Naturalnie, że bym nie chciała, ale nie rozumiem, o czym mówisz. Powinniście bez zwłoki zdradzić mi wasze sekrety.

Ben spojrzał na Jossa, który potrząsnął głową.

— Muszę ci coś najpierw powiedzieć, Jessiko — odezwał się Ben. — Joss już o tym wie.

Powiem ci, kiedy będziemy sami. Wtedy zrozumiesz.

Patrzyłam znacząco na Jossa, bo ich tajemnicza rozmowa rozbudziła we mnie gorące pragnienie odkrycia tajemnicy.

— Pojąłem aluzję — rzekł Joss. — Pójdę jeszcze raz obejrzeć twoje stajnie, Ben. Może znajdę coś, na czym mógłbym się przejechać.

— To bezczelność! — roześmiał się Ben. — Hodujemy znakomite konie, jeśli chcesz wiedzieć. Znajdziesz kilka zwierząt co najmniej tak dobrych jak koń, którego wynająłeś na podróż.

— Mam nadzieję. Szczerze mówiąc, byłem zmuszony go wynająć, bo był jedynym, jakiego mieli. A więc pozwólcie, że was opuszczę. Będziecie mogli swobodnie porozmawiać. Wkrótce się spotkamy, Jessiko.

Joss Madden wyszedł, a Ben pośpiesznie zwrócił się do mnie:

— No i co o nim myślisz? — spytał, niecierpliwie czekając na odpowiedź.

— Taki, jakiego się spodziewałam.

— A więc dobrze ci go opisałem?

— Oparłam swoje sądy na tych kilku opowiadaniach, którymi mnie uraczyłeś...

— Powiedz, Jess, podoba ci się?

Zawahałam się. Nie chciałam urazić Bena, mówiąc mu, że im dłużej przyglądam się Jossowi, tym mniej go lubię.

— Nie znam go jeszcze — zaczęłam ostrożnie.

Ben potrząsnął głową.

— Wkrótce poznasz go lepiej. Żałuję, że nie kazałem mu przyjechać wcześniej.

— Ben, miałeś mi coś powiedzieć. A więc? Wahał się.

— Nie wiem, od czego zacząć. Myliłem się i jest mi z tego powodu przykro. Zrozumiesz, jestem pewien, że zrozumiesz. To dotyczy Zielonego Blasku.

— Ten kamień zdaje się być osią naszego życia — powiedziałam oschle.

— To była prawda... to, co ci powiedziałem, jak go zdobyłem. Stał się mój i odmienił moje życie. To prawda, że tych, co go mieli, prześladowały nieszczęścia. Wiedziałem, że wszyscy mnie obserwują i... czekają, aż zło mnie osiągnie.

Niektórzy życzyli mi dobrze. Ale byli też tacy, którzy zobaczywszy Zielony Blask, ulegali wielkiej fascynacji i pragnęli go za wszelką cenę. Ludzie to dziwne stworzenia, Jess. Dziewczyna taka jak ty... rozsądna, jak powiedział Joss... niewiele o tych sprawach wie. Poza tym nigdy nie widziałaś Zielonego Blasku. Może gdybyś go zobaczyła, rozumiałabyś więcej... Ta migotliwa niebieskość i czerwone ognie słońca... mogą oczarować każdego. Ale o czym to ja mówiłem?

Aha, byli więc tacy, którzy czekali i patrzyli, i tacy, którzy szukali okazji, by mi go ukraść.

Zdawałem sobie sprawę, że moje życie nie jest tyle samo warte, ile było, nim stałem się posiadaczem kamienia. Byli tacy, którzy poderżnęliby mi gardło albo wpakowali kulę w serce, byleby go zdobyć. Trzymałem w rękach rozpalone węgle, które poparzyłyby mnie prędzej czy później.

I wtedy nadszedł dzień, kiedy pokazałem kamień moim gościom, tu, w tym domu. To cię trochę zabolę, Jessie. Dlatego nie chciałem ci o tym mówić. Wiem, że masz przed oczyma piękny obraz twojego ojca i jego miłości do matki, i to dobrze, że młoda dama takie właśnie uczucia żywi do rodziców. Nie było to jednak całkiem tak. Twoja matka była śliczną słodką istotą. Tak jak ty... to znaczy, bardzo podobną... lecz inną. Ty mocniej stoisz na ziemi, znów ten rozsądek, co?

Ona była wesoła, dość samowolna, trochę ryzykantka. To rodzinne. Nie można od tego uciec.

Założę się, że ty także podejmiesz grę, gdy przyjdzie ci pora. Mam nadzieję, że podejmiesz... i powiem ci, że wygrasz. Ja bardziej niż trochę kochałem twoją matkę.

— Wiem — powiedziałam.

— Myślałem, że to będzie szczęśliwe zakończenie, jeśli ją poślubię i sprowadzę z powrotem do rodzinnego domu. Myślałem, że będziemy mieli dzieci, a moje nazwisko zostanie umieszczone na drzewie genealogicznym w holu. Nie mogłem jej sobie jednak wyobrazić w Australii... tak jak widzę tam ciebie. Była delikatniejsza, bardziej krucha. Wtedy pojawił się Desmond. Przystojny, młody chłopak, pełen swady. Ale też trochę szelma. Tak, tak, muszę ci powiedzieć prawdę. Powłóczył się po świecie i nauczył paru sztuczek. Był jednak śmiertelnie poważny, jeśli chodzi o Kaprys, i tak samo opętany opalami, jak my wszyscy. A ponadto zawsze pierwszy do kobiet. Przyjechał tutaj i zatrzymał się na pewien czas, by mnie namówić na ulokowanie pieniędzy w Kapryście. Czekaliśmy jeszcze na Davida Croissanta. Desmond tymczasem zajął się twoją matką i na swój sposób się w niej zakochał. Ona była naiwna i wierzyła we wszystko, co jej mówił. Zresztą może nawet by się z nią ożenił. Myślę, że tak. Ale nie mógł w sytuacji, która zaistniała.

Byłem na niego wściekły... że młody, że przystojny, że podoba się kobietom. Joss wracał ze szkoły i namawiał mnie, żebym go tam już nie posyłał, a jednocześnie coraz więcej wiedział o opalach. Wreszcie nastąpiła noc, kiedy pokazałem im Zielony Blask. Zobaczyłem, jak podzielał na Desmonda. Desmond nie mógł oderwać od niego wzroku. Wziął go, obracał w palcach. Pragnął

go! To jedyne stosowne określenie... Szalone, nieodparte pożądanie. Nie dowierzasz, Jessie, bo nie doświadczyłaś czegoś takiego sama. Ale ja to widziałem i wiedziałem, jaki będzie rezultat, na co mam się przygotować. Zamiast więc kłaść się spać, zostawiłem otwarte drzwi i nie rozbierając się

nasłuchiwałem. Kiedy usłyszałem odgłos skradających się kroków, zszedłem na dół do gabinetu.

Stał przy sejfie. Trzymał Zielony Blask w dłoni.

— Co pan robi, panie Dereham? — spytałem.

Patrzył na mnie biały jak prześcieradło.

— Uwiodłeś małą Jessie Clavering, a teraz próbujesz ukraść Zielony Blask. I co byś zrobił, mając go? Uciekłbyś... bez skrupułów... zostawiłbyś ją, tak? Zostawiłbyś ją dla Zielonego Blasku. Wiesz co? Nie zasługujesz na to, by żyć dalej.

— Ben! — wykrzyknęłam. — Zabiłeś mojego ojca!

Pokręcił głową.

— Nie, nie... wcale nie. Chociaż trzymałem w ręku broń i mogłem to zrobić. Ale pomyślałem: nie chcę plamić rąk krwią tego człowieka. Nie jest tego wart. Powiedziałem więc:

„Złapałem cię na gorącym uczynku. Odłóż opal na swoje miejsce i uciekaj stąd, byle szybko. I żebyś się więcej nie pokazał ani tu, ani w Kapryisie, bo jeśli to zrobisz, ogłoszę, że jesteś złodziejem. Wynoś się z mojego domu natychmiast. Założę się, że już się spakowałeś i jesteś gotowy do drogi”. Och, byłem na niego wściekły. Nie wyobrażasz sobie, jak się musiałem hamować, by nie pociągnąć za spust. Ale to by było głupie... narobiłoby kłopotów... i nie przyniosło nic dobrego. Położył opal na miejsce, a ja odprowadziłem go do pokoju. I rzeczywiście jego bagaże stały spakowane. Zamierzał wziąć opal i zmyć się w środku nocy... jak złodziej.

— Wygoniłeś go, żeby był z dala od mamy.

— I tak nic by z tego nie było. Wiedział, że będzie się musiał trzymać z daleka, jeśli zabierze opal. Sam to zaplanował. Chciał zabrać Blask i uciec.

— Biedna mama!

— Miał w swoim życiu różne kobiety. Nigdy na długo. Wiedziałem o tym. Chciałem, żeby zszedł nam z drogi ... dla jej dobra. Nie wiedziałem, że spodziewa się dziecka. Gdybym wiedział, może sprawy potoczyłyby się inaczej.

— Powiedziałeś mi, że on ukradł Zielony Blask.

— O tym właśnie chcę z tobą mówić. To był z mojej strony wybieg. Desmond zniknął...

rozpłynął się w mroku nocy i nie wracał. Nie śmiał mi się pokazać na oczy, bo powiedziałbym, że chciał ukraść Blask. W Australii jesteśmy w tych sprawach bardzo surowi. Musimy być tacy.

Sprawiedliwość oparta jest na prostych zasadach. Nie toleruje się złodziei i morderców.

Mielibyśmy za dużo do pilnowania. Gdy znalazłem go przy sejfie, był skończony, jeśli idzie o Kaprys. Zdawał sobie z tego sprawę, ale dla Blasku przystałby na każde ryzyko. Blask tak działał na ludzi. Pomyślałem wówczas: niech wszyscy sądzą, że to on ma Zielony Blask, wtedy nikt nie będzie mi go próbował ukraść. Nikt nie będzie mi źle życzył, mając pewność, że nieszczęście i tak mnie dosięgnie. Wkrótce wyruszyłem do Australii, zabierając ze sobą Zielony Blask.

— Czy Joss o tym wie?

— Teraz tak, właśnie mu powiedziałem. Postępowałbym inaczej, gdybym wiedział, że twoja matka spodziewa się dziecka... Nic nie mówisz.

— Jestem wstrząśnięta.

— To przeszłość. Twoje życie dopiero się zaczyna. Będiesz szczęśliwa. Będiesz miała to, czego zabrakło twojej matce. Przysięgam ci, twoje życie będzie wspaniałą przygodą.

— Nie mogę myśleć o przyszłości. Nie mogę przestać myśleć o mamie.

— Musisz zapomnieć.

— Ciekawe, gdzie jest mój ojciec.

— Stał na nogi. Jak to zwykle on.

— I pozwoliłeś, żeby przez te wszystkie lata go oskarżano... a biedna mama...

— Nie powinna była zrobić tego, co zrobiła.

— W pewnym sensie została zmuszona.

— Nie, Jessie, nikogo nie można do niczego zmusić. Działamy wedle wolnej woli, i jeśli uznamy, że życie jest dla nas zbyt wielkim ciężarem, to nikogo nie można za to winić z wyjątkiem nas samych.

Odwróciłam twarz. Wyobrażałam sobie wszystko po kolei: ojciec przyłapany przy sejfie i Ben, który każe mu wyjechać; rzeczy ojca spakowane, a więc zamierzał uciec z Zielonym Blaskiem... i zostawić moją biedną matkę, by mnie urodziła, a później odebrała sobie życie.

Ben głaskał moją rękę.

— Nie myśl o mnie źle, Jessie — rzekł. — Długo już nie pociągnę, wiesz o tym. Nie zniosę takiej goryczy na koniec. Jestem porywczym człowiekiem. Żyłem w ciągłym niebezpieczeństwie.

Ja nie pochodzę z takiego dworu jak ten. Od najmłodszych lat walczyłem o przetrwanie, dlatego jestem twardy, silny i bezwzględny. Zresztą może nie dbam tak bardzo o zasady, jak powinienem. Ale tam, w buszu, chętnie by mnie zabili dla Zielonego Blasku. Rozumiesz?

Powiedz, że rozumiesz.

— Rozumiem, Ben.

— Kochamy się, Jessie, czyż nie tak? Czy twoje życie nie zmieniło się od czasu, gdy mnie spotkałaś — i to na lepsze?

— Zmieniło się, Ben, i ja cię kocham.

— Wobec tego musisz się czegoś nauczyć. Tego mianowicie, że gdy kochasz, to nie dlatego, że tak trzeba. Jakkolwiek się zachowa ktoś, kogo kochasz, to nie ma znaczenia — dla prawdziwej miłości. Nie kocham cię mniej, kiedy jestem niegodziwy, jestem wciąż tym samym kochającym Benem, który gdy daje uczucia, daje z całego serca.

— Wiem, Ben, i zawsze będę cię kochała. Nie mogę znieść myśli, że mogłoby cię zabraknąć.

— Daj spokój, Jessie, nie zostawię pustki w twoim życiu. Będziesz się miała lepiej niż kiedykolwiek dotychczas. Oto co zamierzam ci przyrzec, jeśli tylko mnie posłuchasz, jeśli przyjmiesz moje rady. Wiele wiem o ludzkiej naturze, a to znaczy, że znam cię lepiej, niż ty znasz samą siebie. Porozmawiamy jutro. Na dziś wystarczy. Jesteś ryzykantką, jak ja, trzeba żebyś stanęła do gry z życiem. Ja zawsze szedłem z nim w zawody. Nie zechcesz odwrócić się od życia. Nie zechcesz spędzić wszystkich swoich dni w smutnym Domu Wdów.

— Och, Ben, jaka szkoda, że to wszystko tak się ułożyło... z moim ojcem. I że Zielony Blask jest dalej twój ... i ściąga na ciebie nieszczęścia. Czy to przez niego miałeś wypadek? I teraz chorujesz?

— Tak pewnie powiedzą ludzie, ale ja nie żałuję, że go mam. Dużo dla mnie znaczy.

Potrafiłem go wyjąć w środku nocy tylko po to, by na niego popatrzeć, i czułem, jak mi mówi:

„Dalej, ciesz się życiem. Nie szkodzi, że wciąż coś ci zagraża. Jestem twój, i jeśli przyjdzie za to zapłacić, płac z ochotą”.

— Czy Joss wie o tym ... o mamie i o ojcu?

— Wie wszystko.

— A Zielony Blask będzie jego, gdy...

— Gdy umrę. Mam pewne plany, o których chciałbym jutro z wami porozmawiać.

— Powiedz mi teraz, Ben.

— Nie, nie. Za dużo na jeden dzień. Nie złość się, Jessie. Niech ostatnie tygodnie mojego życia będą radosne. Niewiele mi już zostało.

— Och, przestań, Ben.

— Dobrze, przestanę. Idź teraz i przyjdź jutro po południu. Wyjawię ci moje plany i o nic się nie martw, moja kochana.

Zostawiłam go więc i wróciłam do domu. Byłam niezmiernie poruszona. Wciąż nowe odkrycia od chwili spotkania z Jossem Maddenem po prostu mnie oszałamiały.

Weszłam do domu. W holu babka układała kwiaty w wazonie.

— Ach — powiedziała — jakież to tutaj trudne. Bardzo mi brak pomieszczenia, w którym układałam kwiaty w Dębowym Dworze. A przy okazji, widzę, że twój przyjaciel ma gościa.

Wygląda on na kogoś lepszego niż poszukiwacz skarbów... na dżentelmena bez mała... tak przynajmniej dosiada konia.

Nie odpowiedziałam. Zbyt wiele przeżyłam tego dnia, by silić się na celną ripostę. Poszłam do swojego pokoju.

* * *

Spędziłam bezsenłą noc i następnego dnia wyglądałam dość mizernie. Ale skąd to nieoczekiwane zainteresowanie Masnym wyglądem, pytałam sama siebie. Wiedziałam naturalnie, że to z powodu tamtego mężczyzny. Patrzył na mnie, jakby szacował mnie wzrokiem, a jednocześnie w wyrazie Jego twarzy było coś, co mnie zawstydzało. Zaczęłam o nim rozmyślać i przypomniałam sobie, jak Ben opowiadał, że Joss lubi kobiety. Wiem, myślałam, co to za typ: sądzi, że żadna kobieta mu się nie oprze. Obmierzły charakter.

Gdy przyszłam do Dworu następnego popołudnia, obaj na mnie czekali, i wyczuwałam, że czekali niecierpliwie.

— Jesteś wreszcie — rzekł Ben. — Chodź, siadaj.

Leżał w łóżku. Przypuszczałam, że wczorajsze emocje go wyczerpały. Wyglądał gorzej.

Zauważyłam, że ma sine wargi.

— Jedno po jednej stronie, drugie po drugiej — komenderował.

Siedliśmy i znów poczułam na sobie badawcze spojrzenie pawioniebieskich oczu, które wprawiało mnie w zakłopotanie.

— A więc zaczynam — rzekł Ben. — Wiem, że niedługo umrę, i nie chcę umierać. Tyle jeszcze pragnąłem zobaczyć przed śmiercią. Jednym z największych moich marzeń było zobaczyć moje wnuki bawiące się na trawnikach tego domu albo Domu Pawia. Nigdy nie miałem takich maleństw blisko siebie. Byłem zbyt zajęty zbijaniem fortuny, a ponieważ nie wszystko układało się, jak powinno, moje dzieci nigdy ze mną nie były. Póki Joss nie przemaszerował po trawniku ze swoją walizką... ale on nigdy nie był małym chłopcem. Już wtedy byłeś olbrzymem, jak na swoje lata, mówiłeś jak mężczyzna i zachowywałeś się jak mężczyzna. Nie miałem więc do czynienia z dziećmi. Ty, Joss, nie

zeniłeś się i byłem z tego niezadowolony...

póki nie przyjechałem tutaj i nie spotkałem panny Jessiki Clavering. Zawsze miałem słabość do panien Clavering. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo żałuję, że nie jestem jednym z tych, których nazwiska widnieją w drzewie genealogicznym w holu. Wspinała rzecz należeć do takiej rodziny. To, czego pragnę najbardziej, to zbliżyć obie rodziny do siebie. Chcę, żeby nasza krew się połączyła... krew chłopca, który sprzedawał piernikowe cudeńka na Ratcliffe Highway, i tych, którzy wspierali królów podczas historycznych bitew — tych, którzy urodzili się w bogactwie, i tych, którzy sami wypracowali sobie mocną pozycję. Myślę, że trudno o lepszych rodziców dla przyszłego pokolenia.

Podniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. Do czego on zmierza, myślałam. Nie, Ben, nawet ty nie możesz być aż tak bezwzględny. Próbowałam czytać w spojrzeniu Jossa Maddena. Zdawał się być równie wstrząśnięty jak ja.

— Oto dlaczego chcę, żebyście wy dwoje zostali przyjaciółmi, więcej niż przyjaciółmi. Po prostu ponad wszystko pragnę widzieć was małżeństwem. Nie złość się, Jess. Wiem, że to szok.

Joss będzie dobrym mężem... jeśli nie będziesz mu się sprzeciwiać. A Jessika będzie dobrą żoną, Joss, jeśli będziesz delikatnie z nią postępował.

— Proszę, Ben, przestań wreszcie — powiedziałam gniewnie. — Nie zamierzam „nie sprzeciwiać się” panu Maddenowi ani stać się przedmiotem jego delikatnego postępowania.

— Widzisz, Joss, nasza Jessie łatwo unosi się gniewem — rzekł Ben — ale to ci nie będzie przeszkadzać. Nie chciałbyś spędzić życia z łagodną i pokorną gołąbeczką, prawda?

Joss nie odpowiedział. Wyobrażałam sobie, że jest tak samo przerażony jak ja.

— Powinienem był mieć więcej czasu, by was na to przygotować — ciągnął dalej Ben — ale mój czas ucieka. Kto wie, kiedy mnie kostucha zabierze. Może pojutrze, a może za pół roku.

Pewne jest tylko to, że się zbliża. Chcę, żeby ślub odbył się jak najszybciej, chcę go doczekać.

Wtedy zejdem spokojny z tego świata.

— Nie wiesz, co nam proponujesz, Ben! — wykrzyknęłam.

— Wiem, wiem, moja droga. Rozmyślałem nad tym bardzo długo. Ledwie cię poznałem, pomyślałem: oto dziewczyna dla Jossa. Chcę, żeby urodziła moje wnuki. Od tygodni nie myślę o niczym innym.

— Ale, Ben — rzekł Joss. — Widzisz chyba po przerażonej twarzy panny Clavering, że ta propozycja zostanie po prostu odrzucona.

Po raz pierwszy spojrzałam na niego z uznaniem.

— Małżeństwo to rodzaj hazardu — rzekł Ben. — Wy oboje jesteście dobrymi graczami. Jeśli weźmiesz pod uwagę wszystko, co się z tym małżeństwem wiąże, Jess, przykłaśniesz mojemu pomysłowi. Joss już prawie to zrobił.

— Nie, teraz nie — przerwał mu Joss. — Kiedy zobaczyłem odrazę, z jaką panna Clavering...

— Och, dumny... dumny jak paw. Wszyscy mają o ciebie zabiegać. Myślisz, że masz do tego prawo?

— Ben zwrócił się do mnie: — Dlaczego jesteście tacy uparci? — I znów do Jossa: —

Jessika to atrakcyjna dziewczyna. Nie uważasz, Joss? A i ty musisz przyznać, Jessie, że Jossowi nic nie brakuje. Mogłabyś szukać w całej Anglii, w całej Australii, i lepszego partnera byś dla siebie nie znalazła. Bądźcie rozsądni, oboje. Tego od was żądam na łożu śmierci. Nie możecie mi odmówić.

— Możemy, Ben — rzekł Joss. — To, co robisz, jest wstrętne.

— Wiem — zarżał wesoło Ben — ale niczego w życiu nie pragnąłem tak jak tego. Umrę szczęśliwy, pod warunkiem że się pobierzecie. Wiem po prostu, że tak powinno być. Umiem przewidywać przyszłość.

On zwariował, pomyślałam. Tamten Ben nigdy nie mówiłby w ten sposób.

— Posłuchajcie — ciągnął — wszystko przygotowałem. Dostaniecie cały mój majątek — z wyjątkiem paru niewielkich zapisów. Oczywiście jeśli się pobierzecie.

— A jeśli się nie pobierzemy? — spytał Joss.

— Mój drogi, wtedy nie dostaniesz nic... nic.

— Słuchaj, Ben...

— Nie możesz sprzeczać się o majątek z umierającym człowiekiem — powiedział Ben, a w jego oczach lśniły figlarne ogniki. — Nie dostaniesz ani pensa... żadne z was... jeśli się nie pobierzecie. Koniec, kropka. Joss, chcesz, żeby Towarzystwo wymknęło ci się z rąk?

— Nie możesz tego zrobić.

— Zobaczymy. A ty, Jessiko, czy chcesz spędzić resztę swoich dni w Domu Wdów z babką

— jędzą... opiekować się nią, gdy będzie jeszcze bardziej nieznośna... czy też wolisz życie pełne podniet i przygód? Wybieraj. Macie rację, gdy mówicie, że nie mogę was zmusić. Nie mogę. Ale mogę, jeśli zechcę, uczynić wasze życie niezbyt wygodnym.

Nasze spojrzenia spotkały się ponad łóżkiem.

— To jakaś bzdura... — zaczęłam, ale Joss Madden milczał.

Sądziłam, że rozmyśla nad utratą Towarzystwa. Ben wyczarował także obrazek dla mnie.

Zobaczyłam siebie za dziesięć... dwadzieścia lat... ze zmarszczkami koło ust, jakie miała Miriam, siebie dekorującą kościół, noszącą paczki dla biednych, starzejącą się i coraz bardziej kwaśną, bo życie toczy się obok ...

Ben wiedział, o czym myślę.

— To loteria — rzekł. — Pamiętaj. Co postanawiacie? Oparł się z powrotem na poduszkach i zamknął oczy.

Wstałam i powiedziałam, że pewnie czuje się zmęczony. Przytaknął.

— Macie o czym myśleć, prawda?

Miałam wrażenie, że w duchu dobrze się bawi. Joss Madden podszedł ze mną do drzwi.

— Pójdę drogą przez mostek — powiedziałam.

— To musiał być dla ciebie szok — rzekł.

— Masz rację. Czy mogło być inaczej?

— Sądziłem, że młodym damom twojego stanu zwykle wybiera się mężów.

— To w niczym nie zmienia postaci rzeczy.

— Przykro mi, że wydaję ci się odrażający. Dałaś mi to wyraźnie odczuć.

— U ciebie także nie spostrzegłam entuzjazmu wobec Propozycji małżeństwa.

— Myślę, że oboje należymy do ludzi, którzy woleliby sami wybierać sobie partnera na resztę życia.

— Ben chyba traci zmysły.

— On jest innego zdania. Wy, Clavingowie, rzuciliście na niego urok. Wielcy przodkowie, rodowa posiadłość i tak dalej. On chce twojej błękitnej krwi w żyłach swoich potomków.

— Będzie sobie musiał to zorganizować jakoś inaczej.

— Obawiam się, że mu się nie uda, jeśli ty odmówisz.

— A ty nie odmówisz?

Zatrzymałam się zdziwiona i popatrzyłam na niego badawczo. Skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

— Mam dużo do stracenia — rzekł.

— Zegnam cię, do widzenia — powiedziałam krótko.

— *Au revoir!* — zawołał za mną, gdy biegłam po trawie.

* * *

Wracałam do domu jak w gorączce. Gdy weszłam do holu, uderzył mnie znajomy zapach cytrynowej pasty do podłóg, do którego powinnam była już przywyknąć, bo ta woń była w naszym domu niezmiennie obecna. Babka mawiała, że choć biedni, nie powinniśmy pokazywać tego ludziom i rezygnować z odpowiedniego poziomu życia, nie ma też powodu, by najskromniejsze nawet domostwo nie było nieskazitelnie czyste. W holu stał wazon z bzami i tulipanami ułożonymi przez babkę starannie, ale bez polotu. Z salonu dochodziły głosy babki i Xaviera, ciekawa byłam, czy jest tam także dziadek w swej zwykłej roli kozła ofiarnego.

Przystanąłam i zastanawiałam się, jakie wywołałoby zdziwienie, gdybym otworzyła drzwi i obwieściła, że poproszono mnie o rękę i wkrótce wyjeżdżam do Australii. Nie byłaby to całkowita prawda, bo właściwie trudno powiedzieć, że mnie poproszono o rękę, skoro ewentualny pan młody miał więcej wątpliwości niż chęci. Ale uświadomiłam sobie, jak wielką radość sprawiłoby mi przedstawienie im takiej nowiny.

Poszłam do swojego pokoju — małego, miłego pokoju z wielkim portretem jednej z moich prababek na ścianie. Kiedyś zdobił galerię we Dworze. Babka długo się głowiła, nim znalazła w Domu Wdów najodpowiedniejsze miejsca dla obrazów z Dębowego Dworu. Kierując się pragnieniem poprawiania nas wszystkich, rozdzieliła przodków wedle przemyślanych zasad.

Mnie dostała się Margaret Clavering, sprzed dwóch wieków — młoda przystojna kobieta o figlarnym spojrzeniu. Nigdy nie dowiedziałam się dokładnie, co takiego zrobiła, ale było to coś szokującego, coś takiego, że nawet babka ściągała usta z rozbawieniem. Jej występki musiał

mieć związek z najwyższymi sferami, może nawet sam król był w to zamieszany, bo zwykł się mieszać w rozmaite skandale. Tymczasem biedna Margaret przedwcześnie dokonała żywota, spadając z konia podczas ucieczki z kochankiem od kolejnego męża — miała wielu kochanków i trzech mężów.

W pokoju dziadka ze ścian spoglądali hazardziści. Zawsze mi się wydawało, że cała ta wesoła gromada Claveringów — darmozjadów była bardziej pociągająca niż odpychająca, a już na pewno bardziej sympatyczna niż pełen cnót osiemnastowieczny zbawca rodzinnej fortuny, który spoglądał surowo, choć zapewne z aprobatą, na babkę.

Miałam łóżko z baldachimem — wydawało się trochę przyciężkie w tym małym pokoju —

oraz wyściełane krzesło z siedzeniem i oparciem pokrytym tkaniną, którą wykonała jedna z moich prababek. Pozostałe krzesła od kompletu stały w różnych miejscach domu. Miałam też piękny bucharski dywanik — jeszcze jedna pamiątka ze Dworu. Patrzyłam na te wszystkie przedmioty inaczej niż do tej pory. Pewnie dlatego, że Ben dał mi jasno do zrozumienia, iż jeśli będę — rozsądna, mogę wkrótce wszystko to zostawić za sobą, a jeśli nie, będę snuć się między nimi do końca życia.

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Z jedną tylko osobą mogłam porozmawiać, choć jeszcze przed paroma miesiącami było to nie do pomyślenia. Miriam!

Wyszłam z domu i pobiegłam do Domu Przy Kościele, bo tak się nazywał domek na skraju kościelnych gruntów. Wyglądał ładnie z krzewami po obu stronach brukowanej ścieżki prowadzącej do frontowych drzwi.

Miriam była w domu. Jakże się zmieniła! Wyglądała o parę lat młodziej. Nie musiałam pytać, czy jest szczęśliwa.

Wchodziło się wprost do saloniku. Na dole była kuchnia i salon, z którego kręconymi schodami szło się na górę do sypialni. Wszystko lśniło czystością. Wazon z azaliami i zielonymi liśćmi stał na stole na czerwonej serwecie. W oknach wisały perkalowe zasłony. Jeszcze jeden bukiet stał na kominku, a po jego obu stronach umieszczone były siedziska. Parę rzeczy Miriam

— lichtarze z brązu i srebrne ozdoby — wydawało się nie na miejscu w tym ubogim pokoju.

Miriam nie czesała się już tak poważnie jak kiedyś i wyglądała na prawdziwą domatorkę w wykrochmalonej wzorzystej sukni, ze ściereczką w ręce.

— Miriam! — zawołałam od progu. — Musiałam się z tobą zobaczyć, chcę porozmawiać.

Miriam bez wątpienia się ucieszyła.

— Zrobię herbatę — powiedziała. — Ernesta nie ma. Pastor okropnie pędzi go do pracy.

Przechyliłam głowę i przyglądałam się Miriam przez chwilę.

— Miło na ciebie patrzeć! Jesteś chodzącą pochwałą małżeńskiego stanu — powiedziałam.

To była prawda. Jak bardzo się zmieniła! Widziałam, że jest łagodna i zakochana w swoim wikarym i w życiu, a fakt, że wahała się tak długo, pozwala jej teraz jeszcze bardziej się cieszyć i z małżeństwa, i z podjętej decyzji.

— Oświadczone mi się — powiedziałam bez wstępów — No, w pewnym sensie mi się oświadczone.

Błysk niepokoju pojawił się w jej oczach.

— Czy... ktoś ze Dworu?

— Tak.

— Och, Jessiko!

Wyglądała jak dawna Miriam. Moje słowa przeniosły ją w przeszłość, w tamte czasy, gdy innej Jessice oświadczył się jeden z gości Dworu.

— Czy jesteś pewna, że... — Nie, nie jestem pewna, popatrzyła z ulgą.

— Byłabym bardzo, ale to bardzo ostrożna — powiedziała.

— Staram się, ale... Miriam, powiedzmy, że nie wyszłabyś za Ernesta, że zostałabyś w domu...

Spostrzegłam przerażenie malujące się na jej twarzy.

— Nawet nie chcę o tym myśleć — powiedziała stanowczo.

— A przecież tak długo się wahałaś.

— Myślę, że nie mogłam zdobyć się na odwagę.

— I nawet gdyby z Ernestem nie układało się aż tak dobrze, byłabyś zadowolona, że opuściłaś dom?

— Jakże mogłoby nie układać się dobrze z Ernestem?!

— Musiałaś o tym myśleć, inaczej zdecydowałabyś się wcześniej.

— Obawiałam się.

— Obawiałaś się szyderstw i złych proroctw mamy. A teraz już się nimi nie zajmujesz.

— Nie przejmuję się, że jesteśmy biedni... dajemy sobie radę. Okazało się, że potrafię dobrze zarządzać domem. Ernest też tak uważa. I nawet gdyby między nami nie układało się dobrze, to szczerze mówiąc, Jessiko, byłabym zadowolona, że opuściłam Dom Wdów.

— Ktoby nie był...

Myślałam o przyszłych latach bez odwiedzin w Dębowym Dworze, bez Bena, i wiedziałam, że bym tego nie zniosła. Raczej... Nie, nie... nie wyjdę za Jossa... a może jednak się zastanowię.

Jakby to było? Małżeństwo z rozsądku, jeśli się takie zdarzają. Może doszlibyśmy do jakiegoś porozumienia. Może moglibyśmy zrobić to dla Bena, a potem wieść — każde z osobna — własne życie.

Drżałam z emocji. Wiedziałam, że nie zniosę ponurego życia w Domu Wdów.

— Ale porozmawiajmy o tobie — rzekła Miriam. — Co to za człowiek?

— Syn Bena Hennikera. Przyjechał z Australii.

— Nie znasz go długo, prawda?

— Nie trzeba znać człowieka bardzo długo... tak jak ty znałaś Ernesta...

— Ale wtedy ma się więcej pewności.

— Może ciekawiej nie mieć tej pewności.

— O czym ty mówisz? Och, Jessiko, jesteś okropnie uparta. Tak samo jak matka, tyle że ona była delikatniejszej natury.

— Miriam, nie mogę zostać w tym okropnym Domu Wdów i wysłuchiwać dziesięć razy w ciągu dnia litanii babki: „Boże jedyny, nie zawsze tak było. Spójrz łaskawie na mojego nieszczęsnego małżonka, który przywiódł nas do tak podłego położenia, i spraw, by nigdy o tym nie zapomniał, tak jak ja nie mogę zapomnieć”.

— Nie okazujesz szacunku starszym, Jessiko.

— Może, ale taka jest prawda. Nie chcę być więźniem przez całe swoje życie, takim, jakim ty byłaś przez tyle długich lat. Te oświadczyły to na razie sekret, więc nie wspominaj o nich nikomu.

— Ernestowi muszę powiedzieć. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. A on może uznać za swój obowiązek...

— Przypomnij mi, jak babka trzymała cię z dala od niego przez długie lata. To jest moja tajemnica i chcę, byście i wy jej dochowali. Powiedziałam ci to, b» chciałam porozmawiać na temat małżeństwa, ale nie podjęłam jeszcze decyzji. Pomyślałam, że mnie zrozumiesz.

— Och, naturalnie. Uważam, że jeśli się kochacie, nie powinniście zwlekać. Jestem ciekawa, co powie mama.

— To akurat najmniej mnie obchodzi. Ciebie zastraszała przez tyle lat. Ja się nie dam.

Podjęłaś jednak w końcu decyzję. Machnęłaś ręką na matkę, która starała się was rozdzielić — i jesteś zadowolona.

— Tak. Jestem zadowolona — potwierdziła Miriam żarliwie.

Zamyśliła się na chwilę, zagubiona wobec wyboru własnej opinii. Ta sama Miriam! Teraz wszystko zależało od zdania Ernesta, bo to on był obecnie opoką, na której się wspierała, ona zaś zmieniała swoje opinie — niby kameleon kolory — w zależności od jego mniemania.

Podeszła do kredensu i wyjęła butelkę wina własnej roboty. Wina, które robiła jeszcze w Domu Wdów, zawsze były powodem jej dumy.

— Wypijmy za przyszłość — powiedziała. — Wino się do tego lepiej nadaje niż herbata.

Usiadłyśmy więc przy stole i wypiliśmy za jej i za moją przyszłość. Sama się sobie dziwiłam, dlaczego rozmawiam z Miriam tak, jakbym w ogóle brała to małżeństwo pod uwagę.

* * *

Prawie nie spałam tej nocy. A następnego ranka podczas pacierzy nie słuchałam babcinych słów,

tylko odmawiałam własną modlitwę, która była wołaniem o pomoc, i muszę przyznać, że nigdy przedtem nie modliłam się tak żarliwie.

Po śniadaniu wypełniłam obowiązki nałożone na mnie od czasu, gdy babka postanowiła, że ja także powinnam uczyć się zarządzania domem. Pomogłam więc Maddy przynieść z ogródka jarzyny i je oczyścić.

— Znowu coś się święci? — spytała Maddy. — Myślami jest panienka całkiem gdzie indziej.

Całe mile stąd. Czymś mi to pachnie.

— Nie jestem już dzieckiem — odparłam. — Wydaje mi się, że czasami o tym zapominasz.

Mam prawo myśleć o rzeczach, które wykraczają poza zwykłe czynności w rodzaju skrobania warzyw.

— No, no, no. Całkiem panienka zhardziała od czasu wizyt w Dębowym Dworze. I słowo daję, aż się dziwię, że panience na to pozwalają.

— Póki będziesz chowała swoje opinie dla siebie, Maddy, póty nie będzie następstw, pamiętaj.

— Mówmy lepiej, jak panienka zadziera nosa...

— To wszystko na dzisiaj, Maddy — powiedziałam z godnością.

Zaraz po obiedzie poszłam nad strumień. Wydawało mi się, że świat przewraca się do góry nogami. Ben, którego tak kochałam, nakłamał mi o ojcu. Jak miałam się z tym pogodzić... Jak miałam przestać kochać Bena i zamartwiać się myślą o jego rychłym odejściu? A teraz znowu wystąpił z propozycją, o której wiedział, że będzie nie do przyjęcia i dla mnie, i dla Jossa, którego rzekomo tak kochał czy uwielbiał — może to trafniejsze słowo. Nie mogłam tego pojąć.

Zaskakujący był wszakże fakt, że nie mogłam także zrozumieć siebie, bo gdzieś w podświadomości przymierzałam się do nowej sytuacji. Po prostu rozważałam możliwość zawarcia tego małżeństwa.

Nagle spostrzegłam Jossa Maddena wylaniającego się z zagajnika i zmierzającego w moją stronę.

— Zobaczyłem cię z wieży — powiedział. — Pomyślałem, że warto by było porozmawiać.

Przejdź na tę stronę.

Uznałam, że lepiej być po stronie Dębowego Dworu niż po stronie Domu Wdów, gdzie mógłby mnie ktoś zobaczyć, przystałam więc na jego propozycję.

Poszliśmy przez trawę w stronę zagajnika.

— Podjęłaś decyzję? — spytał Joss.

— To zupełnie niemożliwa sytuacja — powiedziałam.

— Istnieje, a więc jest możliwa. Poza tym to uczciwa propozycja.

— A ty się zdecydowałeś?

— Tak. Jestem gotów ją przyjąć.

— To znaczy... ożenić się ze mną?

— Tego, zdaje się, dotyczyła ta propozycja. Nie patrz na mnie tak ponuro, przecież nie idziesz na ścięcie.

— Czuję się, jakbym szła. Zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

— Obawiam się, że to ostatnie chwile Bena. Dziś rano był bardzo słaby. A on chce, żeby ślub odbył się przed jego śmiercią.

— Czyli... niebawem.

— Jeśli się zgodzisz, nie będzie powodu, by zwlekać.

Podeszliśmy do drzewa, wziął mnie za rękę i lekko pociągnął, chcąc, bym usiadła obok niego na ziemi. Zaraz mnie puścił, ale wciąż czułam jego dotyk. Odczuwałam podniecenie, którego nie umiałam opanować.

— Rozumiem — rzekł — że nie myślisz o nikim innym.

— Nie myślę?

— Mówmy prościej. Nie kochasz innego i nie zamierzasz nikogo poślubić?

— Nie.

— A więc sytuacja jest czysta. Mógłbym dostać specjalne zezwolenia z uwagi na chorobę Bena. Moglibyśmy wkrótce się pobrać.

— A ty? — spytałam. — Czy masz kogoś, z kim chciałbyś się ożenić?

— Nie — odpowiedział.

— Łatwo sobie z tym wszystkim poradziłeś.

— A co miałem zrobić? Widzę, co czuje Ben. Miał bzika na punkcie twojej matki. Nie chodziło tylko o nią... ale o to wszystko... okazała rezydencja... ród sięgający korzeniami czasów Wilhelma Zdobywcy... on chce związku obu rodzin. Ma dom... ale to wciąż nie ta krew.

Jeśli się pobierzemy, nasze potomstwo będzie miało trochę błękitnej krwi za twoją sprawą, przyszłe

pokolenia będą więc miały powód do dumy.

Zaśmiał się cynicznie.

Uderzyło mnie, że mówi coś o potomstwie, i uznałam, że tego już za wiele.

— Obawiam się, że to niemożliwe — powiedziałam krótko.

Spojrzał na mnie, jakby chciał wniknąć w moje najskrytsze myśli. Poczułam się bardzo niezręcznie, ponieważ wiedziałam, że zrozumiał, co mnie tak zaniepokoiło.

— Gramy o dużą stawkę — rzekł. — Ben robi to, co mówi. Dobrze go znam. Jest zdecydowany i wie, że nakłoni nas do tego małżeństwa w tak krótkim czasie jedynie wtedy, gdy nas nastraszy. Potrafi być bezlitosny, ten nasz Ben.

— Wiem.

— Dużo mi o tobie opowiadał. O twojej rodzinie... twoim życiu... jak jest ograniczone. Jeśli za mnie nie wyjdiesz, \ będziesz na *to* życie skazana. Wóz albo przewóz. Możesz j wybierać.

Jeśli o mnie chodzi: stracę możliwość kierowania ‘ Towarzystwem, które budowałem na równi z Benem. Mam

w nim swoje udziały, ale w rękach Bena pozostaje ich największy pakiet, a on straszy, że odda go komu innemu. Oznacza to, że jeśli nawet zostanę w Towarzystwie, niewiele będę miał do gadania. Ben świetnie wie, że nigdy na to nie pójdę. Ma mnie więc w garści. Wie, że zgodzę się na wszystko, byleby...

— Nawet na mnie?

— Nawet na małżeństwo, którego przez trzydzieści dwa lata skutecznie unikałem.

— Czy to znaczy, że jakaś dziewczyna próbowała cię do niego nakłonić?

— Niezliczone próbowały.

— Może z czasem uznały brak powodzenia za szczęśliwe zrzączenie losu.

— Nie sędzę. Większy żal po stracie niż radość ze zdobyczy. Nie wiesz o tym?

— Nie wierzę — ale to inna sprawa.

— Masz rację. Nie będziemy rozmawiać o błahostkach, skoro mamy tak poważny problem do rozwiązania. Jeśli się pobierzemy — wiele zyskamy. Jeśli nie — wiele stracimy. Wiem, co to będzie znaczyło dla mnie. Ty także musisz sobie to uświadomić.

Myślałam o powrocie do starego życia, sprzed czasów, kiedy poznałam Bena — teraz nieco starsza,

trochę więcej wiedząca o urokach świata, byłam w pełni świadoma tej okropności.

— A więc — mówił dalej — zdecydowałem się. Ożenię się z tobą natychmiast, jeśli tylko wyrazisz zgodę.

Otoczył mnie ramieniem, a ja odsunęłam się przestraszona. Roześmiał się.

— W porządku — rzekł. — Ułatwię ci trochę sprawę... Pobierzemy się i będziemy, jak to się mówi, małżeństwem na papierze. Póki obie strony nie zechcą, by było inaczej. Co ty na to?

Milczałam.

— Czuję, że doznałaś ulgi.

— Ben może się na te warunki nie zgodzić.

— Będziemy je uzgadniać między sobą.

— Nie jestem pewna. On chce wnuków.

— Nie wszystko musi być tak, jak on chce. Posłuchaj, pobierzemy się i każde będzie żyło własnym życiem. Ty wyrwiesz się z Domu Wdów, ja będę miał pełnię władzy nad Towarzystwem. Przyznasz, że to niezłe rozwiązanie.

Podniosłam się gwałtownie. On wstał także. Wziął mnie za ramiona, a na jego ustach pojawił się uśmiech rozbawienia.

— Ustalenia zmierzają w pożądanym kierunku — rzekł. — Czy możemy iść powiedzieć Benowi?

— Jeszcze nie. Nie jestem zdecydowana.

— W porządku, ale nie zwlekaj długo. Dobrze, że to przynajmniej brak decyzji, a nie zwykła odmowa.

Odwróciłam się i skierowałam w stronę strumyka, do Domu Wdów.

* * *

Poszłam odwiedzić Bena. Ucieszyłam się, że zastałam go samego. Wyglądał lepiej i nie omieszkałam mu tego powiedzieć.

— Zamierzam żyć dopóty, dopóki się nie pobierzecie. Powiedz mi, Jess, myślałaś o tym?

— Wciąż o tym myślę.

— Naturalnie. Musisz się wreszcie przebudzić i zacząć żyć. Będiesz musiała mieć go na oku.

Podoba się kobietom.

— Za wiele ode mnie wymagasz, Ben.

— Masz ci los! Chcesz się kisić w Domu Wdów? Ja osobiście wolałbym iść do ciupy. Ta twoja babka... kwaśna jak ocet. A za dziesięć lat... będzie jak żółć i gorzki aloes. O nie, nie! Ona nie jest jak wino, coraz lepsze z upływem czasu. A tam wszystko jest podniecające.

Towarzystwo... Miasteczko Kaprys... Będziesz w swoim żywiole. A od czasu do czasu przyjedziesz sobie do Dębowego Dworu. Cudowne życie!

Milczałam, a on ciągnął dalej.

— Posłuchaj, Jess. Musisz wydorosnąć... jeśli zdecydujesz się pojechać. Tam życie jest surowe, ale to jest życie! Wielka sprawa! Już sobie ciebie wyobrażam w Pawim Domu. Joss ci opowiadał?

Potrząsnęłam głową.

— Opowie ci. Uwielbia ten dom. Będzie to także twój dom. Pomyśl o tym. Gdy wrócisz do Anglii, będziesz wielką damą. Ciekawe, *co* starsza pani w Domu Wdów na to powie. Chciałbym zobaczyć wyraz jej twarzy. Pomyśl o swoich dzieciach, jak się bawią na tutejszych trawnikach, w zagajniku, tak jak ty byłąbyś się bawiła.

— Muszę ci coś powiedzieć, Ben. Jeślibym za niego wyszła, nie mogłabym... nie mogłabym być jego żoną, a to znaczy, że maleństwa, o których mówisz... że to po prostu niemożliwe.

Rozumiem, że w takim wypadku cały pomysł upada.

Oczekiwałam zdziwienia, lecz nic takiego nie nastąpiło. Ben zaczął się śmiać i śmiał się tak serdecznie, że aż się zląkłam.

— Wiesz, Jessie — powiedział wreszcie — jesteś osłodą moich ostatnich dni. Zawsze udaje ci się sprawić mi przyjemność. A więc zdecydowałaś się wyjść za niego?

— Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, dlaczego to niemożliwe.

— Posłuchaj. Chcę, żebyście się pobrali. Wiedziałem, że Joss się zgodzi. Za dużo ma do stracenia. Mogę polegać na dumie mojego Pawia. Jeśli chodzi o inne drobiazgi, uporanie się z nimi jestem gotów pozostawić Jossowi.

— Co przez to rozumiesz?

— O! Niebezpieczny temat. Niech będzie, jak jest. Jeśli się pobierzecie, umrę w nadziei, że pewnego dnia dojdziecie do wniosku, iż jesteście sobie przeznaczeni. Ten najlepiej widzi, kto obserwuje z boku, a ja jestem baczny obserwator. Żyłem pełnią życia w każdej chwili, którą Bóg mi podarował. Jestem jak kot, który żyje po dziewięciokroć. I oto kończę dziewiąte życie, wiele się nauczyłem i wiem, co mówię. A więc umowa stoi? Przyjmuję twoje warunki, a ty powijmujesz moje.

Chcę, żeby ślub odbył się w kościele, żeby był uroczysty... żeby wszyscy wiedzieli.

— To zajmie trochę czasu.

— Mam nadzieję, że te trochę czasu jeszcze od życia dostanę. Nie chcę odejść, póki nie zobaczę ciebie i mojego chłopca związanych węzłem małżeńskim.

— Ben — powiedziałam — skoro nas kochasz, dlaczego tak wiele od nas wymagasz?

— Właśnie dlatego, że kocham was oboje, tak się z wami targuję. Po latach, kiedy całą rodziną zjedziecie do Anglii i będziecie siedzieć tu, na najpiękniejszych trawnikach w całym kraju, cień starego Bena będzie patrzył na was uszczęśliwiony, że wszystko jest tak, jak sobie wymarzył. Będę tutaj... i tam, w Pawim Domu... szczęśliwy duch Bena, który przewidział

przyszłość i pomógł, by się spełniła.

— Jesteś zmęczony, Ben — powiedziałam.

— Ale szczęśliwy. Miło być zmęczonym w ten sposób. I nie zapomnij o mnie... po latach.

— Nigdy o tobie nie zapomnę.

— Będiesz wdzięczna staremu Benowi, przyrzekam ci to. Ucałowałam go delikatnie i wyszłam.

Wychodząc z Dębowego Dworu wiedziałam, że nie mam odwrotu. Przystałam na tę niezbyt stosowną sytuację. Miałam wyjść za Jossa Maddena.

* * *

Nie wiem, co Joss powiedział babce. Był w salonie z nią, dziadkiem i Xavierem przez godzinę. Z okna mojego pokoju widziałam, jak idzie trawnikiem w stronę mostka. Szedł tak, jakby to miejsce już do niego należało.

Maddy zapukała do moich drzwi i powiedziała, że państwo proszą mnie do salonu.

Ledwie weszłam, spostrzegłam zmianę w ich stosunku do mojej osoby. Stałam się ważna, ale babce nieśpieszno było wyjawiać swoje zadowolenie.

— A więc — zaczęła — potajemnie spotykałaś się z tym człowiekiem z buszu.

— Jeśli mowa o panu Josslynie Maddenie, to owszem, spotykałam się z nim.

— I zaręczyliście się! A on nie uznał za stosowne spytać nas o zdanie, nim poprosił ciebie o rękę. No, ale może nie powinniśmy oczekiwać dobrych manier od ludzi wychowanych w taki sposób, jak jego wychowywano.

— Odebrał wykształcenie w Anglii.

Przyznała niechętnie, że widzi w nim pewną ogładę.

— Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, mogliśmy oczekiwać odrobiny wdzięczności.

Gdy spadły na nas te tragiczne wydarzenia — posłała jadowite spojrzenie dziadkowi, który pokiwał głową dość beztrosko, jak mi się wydawało — musieliśmy przygotować się na największe poświęcenia. Najpierw zhańbiła nas nasza córka, teraz Miriam skazała się na ubóstwo.

— Zawsze mi się wydawało, że z trudem znosiła tutejsze życie.

— Biorąc pod uwagę to, do czego przywykła, zanim nasz majątek został lekkomyślnie zmarnotrawiony, jest to zupełnie zrozumiałe — zaśmiała się babka. — A teraz ta chata! Miriam pewnie sama szoruje podłogi — wzdrygnęła się. — Nieważne. Nie denerwujmy się wspomnianiem szaleństwa Miriam. Wracajmy do rzeczy. Powinnaś była nam powiedzieć. Po tym, co dla ciebie zrobiliśmy, dając ci dom...

— ...sprzedając srebrną tacę i wazę na poncz Jerzego IV...

Uśmiechnęła się — rzecz u niej rzadka, mogąca sygnalizować prawdziwe uczucia.

— Ty przynajmniej oszczędzisz nam upokorzeń, nie będziemy cię widzieć szorującej podłóg, żyjącej w skrajnej nędzy. Mam nadzieję, że ta propozycja jest poważna. Spodziewam się też, że nie postawisz nas w równie trudnej sytuacji jak twoja matka. Jeśli to propozycja serio, może okazać się nie taka zła. Musisz jednak wiedzieć, że nie jestem zadowolona, iż zadajesz się z ludźmi, którzy nie są zaprzyjaźnieni z twoim dziadkiem. Widzę w tym jednak palec boży. Wiele wycierpieliśmy. Straciliśmy Dębowe Pole. Jeśli wszakże ten człowiek mówi prawdę, w swoim czasie odziedziczy Dwór, co oznacza, że ty, jako jego żona, będziesz tam mieszkała.

Niczym jastrząb krążyła nad upatrzoną zdobyczą. Dwór wraca do rodziny... i to za moją sprawą!

Nie mogłam się pozbyć uczucia podniecenia. Wiedziałam, że gdyby mi zaproponowano inne rozwiązanie — na przykład gdyby Ben powiedział, że tylko żartował — nie chciałabym z niego skorzystać. Chciałam emocji wiążących się z poślubieniem Jossa Maddena — zakładając oczywiście, że będziemy się trzymać warunków, na które on ze śmiechem się zgodził, a Ben nie zwracał uwagi, jakby nie miały żadnego znaczenia.

— Pan Madden powiedział nam, że poprosił cię o rękę, a ty przyjęłaś oświadczyzny —

odezwał się Xavier. — Jak zrozumiałem, jest on spadkobiercą pana Hennikera i zarówno Dębowy Dwór, jak posiadłości w Australii staną się jego własnością. Pan Madden nie żąda żadnego posagu, natomiast pan Henniker zapisze ci gospodarstwo Blueberry Farm, które, jak wiesz, nabył wraz z Dębowym Polem. Zarządzanie gospodarstwem zostanie powierzone mnie, co w praktyce oznacza powrót tych ziem do rodziny. Wydaje się zatem, że warunki są wielce zadowalające.

Oczy dziadka były wilgotne.

— To prawie tak, jakby Dębowe Pole wracało do nas za twoim pośrednictwem, Jessiko —

powiedział.

Babka nie zamierzała dać się wyeliminować z rozmowy.

— Pomijając twoją nieuczciwość, sprawy potoczyły się pomyślniej, niż moglibyśmy się spodziewać — oświadczyła. — Mam nadzieję, że twoje dzieci urodzą się tutaj. Może uda się nakłonić pana Maddena, by zmienił nazwisko na Clavering. Takie rzeczy zdarzały się już w rodzinie.

— Wiem, że to nie będzie możliwe.

Machnęła ręką, jakby to nie była sprawa do omawiania teraz.

— Musimy postępować rozsądnie — mówiła dalej. — Ślub powinien być na miarę dawnych czasów, nim zostaliśmy zepchnięci do obecnego położenia. Sądzę, że powinniśmy sprzedać srebrne lichtarze, by zorganizować wszystko jak należy. Jak wiecie, lichtarze zostały podarowane przez króla Wilhelma IV Jeremy'emu Claveringowi w 1832 roku i są sporo warte.

— Proszę, nie sprzedawajcie ich z mojego powodu.

— Nie sprzedamy ich z twojego powodu, tylko dla zachowania dobrego imienia rodziny. Ach, jaka szkoda, że nie możemy wydać cię za mąż z Dębowego Dworu.

— Nie martw się, mam — wtrącił Xavier — córka Jessiki będzie panną młodą z Dębowego Dworu.

— Niech najpierw Jessika wyjdzie za tego pana, zanim będziemy dyskutować o takich sprawach — rzekła babka zapominając, że sama zaczęła mówić na ten temat.

Nigdy jej nie widziałam tak zadowolonej, a fakt, że to właśnie ja byłam powodem tego zadowolenia, wydawał mi się czystą ironią losu.

Następnej niedzieli Ernest, pełniąc obowiązki wielbnego Jaspera Greya, odczytał zapowiedzi.

* * *

Ben odzyskiwał siły. Wyraźnie zadowolony, czerpał energię z pomyślnego przebiegu spraw.

— Odczytali zapowiedzi! — wykrzyknął. — Claveringowie nie wnieśli sprzeciwu! Patrzcie, co to dla nich znaczy!

Babka najęła krawcową, która miała mi uszyć suknię z białej satyny, z najlepszej satyny z najlepszego sklepu, z Liberty. Babka osobiście pojechała do Londynu, by ją kupić. Z pieniędzy za lichtarze kupiła też wiele innych materiałów.

— Mam nadzieję, że Wilhelm IV nie będzie cię straszył, by okazać niezadowolenie — skomentowałam.

— Twoje zachowanie jest zbyt swobodne — rzekła w odpowiedzi. — I zawsze tak było.

Powinnaś się ustatkować, gdy wyjdiesz za mąż.

— Nie mogę zmienić swojej natury, babciu — odparłam. Westchnęła, ale cóż miała powiedzieć, doceniając zmiany, jakie miałam wnieść w koleje losu rodziny.

Stałam godzinami, a szwaczka, trzymając szpilki w ustach, upinała suknie, bo szyto dla mnie całą wyprawę, nie tylko suknię ślubną.

— Nie chcę, by ludzie w Australii mieli nas za dzikusów. — Babka postanowiła, że wyprawi mnie nie tylko odpowiednio, ale i elegancko ubraną.

Zapowiedzi odczytano po raz drugi i miejsce ekscytujących perspektyw na przyszłość znów zajęły obawy.

Joss Madden wyjechał na tydzień do Londynu w interesach. Czułam się znacznie lepiej, gdy go nie było.

Kiedy jednak wrócił, większość czasu pragnął spędzać ze mną, „sadzając koperczaki”, jak to, ku mojemu przerażeniu, określał Ben.

— Poznajmy się lepiej, skoro czeka nas to małżeństwo — powiedział Joss. — Jak sobie dajesz radę na koniu? W Australii będziesz musiała dużo jeździć.

Odrzekłam, że uczono mnie jazdy konnej, ale niewiele miałam okazji, by sprawdzić swe umiejętności. Miałam kucyka, ale kiedy zdechł, drugiego już mi nie kupiono. Ostatnio mieliśmy tylko jednego konia, na którym jeździł Xavier.

— We Dworze jest mała stajnia — powiedział Joss. — Zabiorę cię na przejażdżkę, chcę zobaczyć, co potrafisz.

Poczułam się urażona, nie lubiłam nadmiernej opiekuńczości.

Wybrał dla mnie brązowego konia o żywym oku, co mnie trochę przestraszyło. Nasz kucyk był bardzo stary, a ja nigdy nie dosiadałam lepszego rumaka.

Już chciałam zaprotestować, ale zobaczyłam jego spojrzenie — rozbawione i triumfalne, pełne wyższości i arogancji; paw w każdym calu.

Speszona, wsiadłam na konia, a Joss rzekł:

— Koniom potrzeba więcej ruchu. Są zbyt wypasione. Tu jeździ się zupełnie inaczej niż w Australii. Musisz przywyknąć do tej różnicy, bo bez konia będziesz się czuła w buszu bezradna.

— Czy ten wasz Pawi Dom stoi w buszu?

— Stoi na terenie posiadłości, a Miasteczko Kaprys jest oddalone o jakieś dwie mile.

Wszystko dookoła to zupełnie dzikie tereny. Dlatego w siodle musisz się czuć równie dobrze jak na własnych nogach.

Moja wiedza o koniach nie była wielka, ale nawet dla mnie było oczywiste, że Joss wybrał sobie najlepszego wierzchowca z dworskich stajni. Gdy jechaliśmy obok siebie, czułam na sobie jego wzrok — obserwował moją postawę, ręce, pięty, wszystko... I ten uśmieszek błędzący na jego ustach!

— Krótko mówiąc — ciągnął — można śmiało powiedzieć, że żyjemy w siodle.

— Czy w Pawim Domu jest dobra stajnia?

— Trudno byłoby znaleźć lepszą w całej Australii.

— Naturalnie — skomentowałam.

— Ma się rozumieć, że naturalnie.

— A więc wszędzie jeździecie konno?

— Tak, wszędzie. Powozy firmy Cobb kursują między dużymi miastami, ale ja rzadko z nich korzystam. Zobaczysz, to inny kraj.

— Wyobrażam sobie.

— Tu., tu jest jak w ogrodzie. Nie trzeba jechać daleko, by natrafić na ludzkie siedziby. I te pola... drogi... Och, tu jest zupełnie inaczej.

— Już to mówiłeś.

— Wobec tego przepraszam, że się powtarzam.

— Dość pospolita wada — rzuciłam lekko, żeby mu uświadomić, że nie jest ideałem, za jaki się uważa.

Przeszedł w krótki galop. Próbowалам zrobić to samo, ale mój koń odmówił posłuszeństwa.

Pochylił nisko głowę i skubał przydrożny krzak.

— Dalej — szeptałam — bo będzie się z nas śmiał. Koń wszakże kpił z moich próśb.

Joss Madden zawrócił i usłyszałam jego krótki śmiech.

— Dalej, Joker! — zawołał i koń zareagował natychmiast. Poniechawszy krzaczka ruszył

żwawo, jakby chciał powiedzieć „A czego się po tym spodziewasz z tą amatorką na grzbiecie?”

— To ty powinnaś kierować koniem, wiesz? — rzekł Joss z uśmiechem, zadowolony z pomyślnej współpracy z Jokerem.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparłam.

— On wie, kto jest jego panem. Widziałaś? Wystarczyło powiedzieć jego imię, by usłuchał.

— Nigdy przedtem nie widziałam tego konia — protestowałam.

— Pozwala sobie na figle, kiedy może. To zrozumiałe. Ale teraz, Joker, bez żartów. Będziesz robił, co pani rozkaże.

Nienawidziałam tego poranka, bo wydawało mi się, że Joss próbuje mi udowodnić, o ile jestem gorsza. Niejeden raz mu się to udało. Choćby wtedy, gdy zaczął galopować przez łąkę i zawołał

Jokera, by za nim jechał. Miałam wrażenie, że on tylko czeka, aż spadnę i skręcę sobie kark.

Doprowadzało mnie do szału, że komenderuje moim koniem. Kiedy Joker pędził w ślad za nim, miałam pełną świadomość, że nie panuję nad wierzchowcem, i przyszło mi do głowy, że Joss usiłuje mnie zabić, żeby uniknąć małżeństwa. Jeśli umrę, Ben go nie wydziedziczy. Paw dostanie Towarzystwo, nie płacąc żadnej ceny. Jest bezczelny, o tak. Pyszni się swoją wyższością niby paw ogonem.

Nagle znalazł się obok mnie. Chwycił wodze mojego konia i przez chwilę jechaliśmy obok siebie. Gdy się zatrzymaliśmy, roześmiał się.

— Muszę cię nauczyć jeździć — rzekł. — I zrobię to, nim wyruszymy do Australii. Inaczej nie możesz tam jechać.

— Nie sądzisz, że lepiej byłoby z tego wszystkiego zrezygnować?

— Co? Suknie w robocie, zapowiedzi odczytane... — Nagle spoważniał. — A Ben?

— Nienawidzę tego wszystkiego — wybuchnęłam.

— Czy mam rozumieć, że nienawidzisz mnie?

— Możesz to i tak rozumieć, jeśli chcesz.

— Solidny grunt pod budowę małżeńskiego związku — zadrwił. — Podobno uczucia się zmieniają. Twoje przynajmniej nie zmieniają się na gorsze, skoro przed ślubem są najgorsze z możliwych.

— Czyż to nie zakrawa na komedię?

— Życie często jest komedią.

— Ale nie aż taką, jak to idiotyczne małżeństwo.

— Nie uważasz, że to właśnie czyni je dość pikantnym? Ty i ja pójdziemy do kościoła i będziemy ślubować sobie coś, czego zgodnie z porozumieniem między nami czynić nie będziemy. Małżeństwo zawiera się po to, by płodzić dzieci. Dla nas to będzie... małżeństwo na papierze.

— Ty tak to nazwałeś.

— Całkiem trafnie. Mamy sobie ślubować dozgonną miłość, aż tu nagle się dowiaduję, że mnie nienawidzisz.

— Przedstawiasz istotne powody, dla których cała ta sprawa powinna zostać odwołana.

— Ale nie będzie, prawda? Jesteśmy dwojgiem rozsądnych ludzi. Mamy za dużo do stracenia i za dużo do zyskania. Będzie nam się lepiej wiodło, jeśli zrobimy z tego należyty użytek. Kto wie, może ja odniosę sukces, czyniąc z ciebie nie najgorszą amazonkę, tobie zaś uda się trzymać mnie na dystans.

Oczy Jossa rozblęły na moment, zdradzając urażoną dumę, która, jak zaczynałam dostrzegać, istotnie wyróżniała się pośród innych cech jego charakteru. Był niezadowolony, że nie pociąga mnie jego męskość... czy jakkolwiek to nazwać.

— Szczerze mówiąc — dodał z nutą złości w głosie — to drugie łatwiej będzie osiągnąć, niż to pierwsze.

Pojechaliśmy z powrotem do Dworu, stępa, co, wedle suchego stwierdzenia Jossa, najlepiej pasowało do moich umiejętności.

Nienawidziłam go szczerze, a on zdawał się czuć do mnie obrzydzenie. Nie narzekałam z tego powodu, przynajmniej nie musiałam się martwić, że będzie mi się naprzykrzał, ale ponieważ nie krył swych uczuć, zaczęłam przekornie robić sobie nadzieję na przyjemność odrzucania jego zalotów.

* * *

Służba była podekscytowana zaślubinami. Miriam przygotowywała tort weselny. Babka okazywała mi więcej względów, a dziadek uważał mnie za zbawczynię rodzinnego majątku. Ben leżał w łóżku albo siedział na wózk, chichocząc po cichu. Ślub budził powszechne zainteresowanie, daleko posuniętą obojętność wykazywali jedynie przyszli nowożeńcy.

Joss nalegał, żebym dwa razy dziennie jeździła konno.

— To konieczne — powiedział. — Musisz nauczyć się kierować koniem, zanim wyjedziemy do Australii.

Uznałam to za rozsądne i postanowiłam znosić cierpliwie jego pełne wyższości zachowanie.

Bardzo się starałam i sądziłam, że jestem pojętną uczennicą. Ale nie mogę powiedzieć, żeby Joss

zauważał moje postępy. Zdawał się znajdować zadowolenie w upokarzaniu mnie.

Gdy się nauczę, myślałam, będę od niego niezależna, a zaczynałam znajdować w jeździe konnej nie znaną mi dotąd przyjemność. Nigdy mnie nie chwalił i podejrzewałam, że się po prostu popisuje. Naprawdę kojarzył mi się z pawiem.

W końcu nadszedł dzień zaślubin. To było jak sen: staliśmy przed ołtarzem, a wielbny Jasper Grey udzielał nam ślubu. Poczułam dreszcz, gdy Joss wsunął mi na palec obrączkę. Nie potrafiłam określić swych uczuć, było w nich coś z lęku, ale uczciwie muszę przyznać, że gdyby można było to małżeństwo unieważnić, wcale bym się nie zgodziła.

Ben też był w kościele. Banker przywiózł go na wózku. Jakże musiał się cieszyć! Stało się to, czego pragnął.

Miriam grała na organach marsza weselnego. Gdy szłam środkiem kościoła pod rękę z Jossem Maddenem, świadoma, że na nas patrzą, i to z zadowoleniem, Xavier, babka, dziadek —

przypomniałam sobie, jak babka mówiła, że Bóg zwrócił nam Dębowe Pole za to, co oni dla mnie zrobili, w nagrodę za ich prawość.

Udaliśmy się do Domu Wdów, gdzie się odbyło przyjęcie, a potem Joss i ja wróciliśmy przez mostek do Dębowego Dworu.

Ben był w sypialni, ale zostawił wiadomość, że chce się z nami zobaczyć, jak tylko przyjdziemy. Siedział w łóżku, jego oczy lśniły.

— Uczyniliście dziś Bena Hennikera bardzo szczęśliwym człowiekiem — rzekł. — Chodźcie, siadajcie, jedno po jednej stronie, drugie po drugiej. O, tak. Podajcie mi ręce. Będziecie mnie za ten dzień błogosławić. Ale zanim on się skończy, chcę wam jeszcze coś powiedzieć, coś, co trzymałem w tajemnicy aż do tej chwili.

— Ben, jesteś wyczerpany, powinieneś odpocząć — powiedziałam.

— Najpierw wam powiem. Znaćcie historię Zielonego Blasku. Wiecie, że zabrałem kamień do Australii udając, że go straciłem. Musiałem znaleźć dla niego jakiś schowek. Tylko wy dwoje będziecie wiedzieli, gdzie on się znajduje. Zielony Blask należy do was obojga. A więc ten schowek... sam go zrobiłem... i dlatego nikt inny o nim nie wie. W salonie wisi *Ogon pawia*, wiesz, twój ulubiony obraz, Joss. Ten obraz, Jessie, przedstawia nasz trawnik i stojącego na nim pawia, wspaniałego, który namalowany wygląda jak żywy. Stoi w pozie: „Patrz na mnie, czyż nie jestem najpiękniejszym stworzeniem na świecie?” Obraz oprawiono w piękną, rzeźbioną, pozłacaną ramę, która jest bardzo gruba. W jej prawym rogu znajduje się sprężyna. Nikt o niej nie wie. Tak chytrze została umieszczona. Dotykasz sprężyny i z tyłu rama uchyla się niczym drzwiczki. W ramie jest otwór, a w nim, owinięty w watę, Zielony Blask. Zamykałem się w salonie na klucz, wyjmowałem go i napawałem oczy jego widokiem. Ten kamień będzie wasz, kiedy umrę... będzie waszą wspólną własnością. Zrobicie z nim, co zechcecie. Był bardzo podniecony. Niepokoiłam się o niego.

— Dziękujemy, Ben, ale teraz musisz odpocząć. Wszystko ułożyło się po twojej myśli.

Pokiwał głową. Joss uścisnął jego dłoń i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Pochyliłam się i pocałowałam Bena.

— Niech was Bóg błogosławi — rzekł.

Wyszliśmy. Apartament dla nowożeńców był przygotowany. Zapewne wszystkie panny młode z Dębowego Dworu korzystały z niego w ciągu wieków.

Wchodząc doń poczułam lęk. Joss zamknął za sobą drzwi. Oparł się o nie i patrzył na mnie drwiąco.

— Powiedziano mi, że wszystkie przyszłe panie na Dębowym Dworze pierwszą noc po ślubie spędzają tutaj — rzekł.

Zerknęłam na łożo z baldachimem. Śledził mój wzrok i zdawał się rozbawiony.

— Tym razem przypadek jest dość szczególny — odpowiedziałam.

— Własny przypadek zawsze jest szczególny — rzekł. Przeszedł przez pokój.

— Tu jest przebieralnia. Ja mam ją zająć, czy ty ją zajmiesz?

— Skoro powiadasz, że przyszłe panie na Dębowym Dworze zgodnie z tradycją śpią na tym łożku, to i ja to zrobię. Ubieralnia może być twoja. Będzie ci tam całkiem wygodnie, jak sądzę.

— Wdzięczna żonina troska o wygody męża jest zawsze godna pochwały — rzekł.

— A więc... dobranoc.

Ujął moją dłoń i ucałował, a gdy nie puścił jej natychmiast, poczułam lęk.

— Mam nadzieję, że jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa — powiedziałam.

Pokręcił lekko głową.

— Nie jest mądrze za bardzo mi ufać. Wyrwałam rękę.

— Ale nie obawiaj się — ciągnął. — Nie pcham się tam, gdzie w tak jawny sposób mnie nie chcą.

— Wobec tego powtórzę: dobranoc.

— Dobranoc.

Podszedł do drzwi łączących oba pokoje. Gdy je za sobą zamknął, podbiegłam i z przerażeniem stwierdziłam, że w zamku nie ma klucza. Stałam niezdecydowana, gdy drzwi się otwały. Joss trzymał w ręce klucz. Podał mi go z ukłonem.

— Zapewne chcesz czuć się bezpieczna — rzekł.

Wzięłam klucz i przekręciłam go w zamku. Teraz istotnie czułam się bezpieczna.

* * *

W sześć tygodni po naszym ślubie stan Bena znacznie się pogorszył. Zupełnie jakby Ben uznał, że skoro wypełnił swą misję, może spokojnie odejść.

Byliśmy przy nim bez przerwy. Mówił głównie o domu w Australii, o tym, że będzie tam z nami duchem.

— Pamiętaj o mnie, Jessie — mówił. — Pamiętaj, że chciałem tego dla waszego szczęścia...

twojego i Jossa. Zrozumiesz to kiedyś. Ja zawsze to wiedziałem. Nie podoba wam się, że ktoś podejmuje za was decyzje. Czasami jednak nie widzi się lasu spoza drzew, i tak jest właśnie teraz z wami. Ale to się zmieni. Chciałbym zobaczyć was razem. Chciałbym usłyszeć, jak się sprzeczacie. Zostaliście dla siebie stworzeni i jesteście mężem i żoną. Niech was Bóg błogosławi.

Co dzień jeździliśmy z Jossem konno. Jednocześnie lękałam się tych lekcji i cieszyłam się nimi. Wiedziałam, że robię postępy i że Joker nie śmiałby sprzeciwić się moim poleceniom.

Mijały dni, a wraz z ich upływem widzieliśmy coraz wyraźniej, że Ben niedługo odejdzie.

Zmarł we śnie. Kiedy Hannah mnie zawołała i podeszłam do łóżka, zdumiałam się na widok absolutnego spokoju, jaki malował się na jego twarzy. Ben jakby się do mnie uśmiechał...

Ucałowałam zimne czoło i odeszłam.

Pochowaliśmy go na przykościelnym cmentarzu niedaleko kwatery Claveringów. Tego chyba chciał. Joss i ja staliśmy obok siebie u jego grobu. Słuchałam, jak grudy ziemi uderzają o trumnę, i wiedziałam, że kończy się pewien etap mojej przeszłości.

Czekało na mnie nowe życie.

* * *

Mieliśmy się zobaczyć z prawnikami. Zastanawiałam się, czy Ben przypadkiem nie zażartował sobie z nas, czy w ogóle wprowadził zmiany do testamentu. Ale myliłam się.

Wszystko było tak, jak mówił.

Joss i ja staliśmy się współwłaścicielami Dębowego Pola i domu w Australii, zwanego Pawim Domem. Udziały Bena w Towarzystwie Kopalń Opali zostały podzielone między mnie i Jossa.

W testamencie były też zapisy na rzecz rodziny Laudów, gospodyni Bena i jej dzieci, a opal zwany Zielonym Blaskiem Zachodzącego Słońca miał być wspólną własnością Jossa i moją.

Wyglądało na to, że Ben rzeczywiście pragnął, byśmy byli razem. Przekazanie spadku uzależnił od naszego ślubu. Gdyby małżeństwo nie zostało zawarte przed śmiercią Bena, powinno było być zawarte jak najprędzej po jego śmierci, i dopiero wtedy posiadłości stałyby się nasze. Mieliśmy do namysłu rok. Gdybyśmy się nie pobraли w tym czasie, udziały, posiadłości i opał przypadłyby rodzinie Laudów.

— Nie musimy brać pod uwagę tego punktu — powiedział pan Venning. — Małżeństwo zostało zawarte i mogę tylko złożyć państwu najlepsze życzenia.

W ciągu następnych tygodni przygotowywaliśmy się do wyjazdu. Miriam szczerze się cieszyła, że wszystko poszło tak gładko. Ernest uważał, że postępuję słusznie, więc ona też tak uważała. Miriam robiła przepiękne frywolitki i podarowała mi ich kilka w prezencie ślubnym.

Xavier życzył mi szczęścia. Powiedział, że „branie ślubów jest zaraźliwe”. Ciekawa byłam, czy to znaczy, że on i lady Klara zamierzają wreszcie dojść do porozumienia.

Babka próbowała skrywać zadowolenie pod nieco zabawnym sceptycyzmem, póki ślub się nie odbył. Nawiązywała do życia w buszu komentując, że niektórzy mają dziwne upodobania i niczym głupcy pchają się, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nie mogła pojąć, po co ludzie, którzy mają wspaniałe domy w cywilizowanym świecie, wyprawiają się na drugą stronę globu. O ile bardziej satysfakcjonująca byłaby sytuacja, gdybym została we Dworze i prowadziła tryb życia stosowny do tego miejsca. Wiem, że czasami wspominała mnie podczas porannej modlitwy, zlecając Bogu opiekę nade mną i napominając, by nie karał mnie zbyt surowo za bezmyślność, jaką wydawał się jej mój wyjazd ze Dworu — wszak lepiej byłoby dla całej rodziny, gdybym została — i dając zarazem Panu jasno do zrozumienia, by nie zwlekał zbytnio z przywróceniem mi zdrowego rozsądku.

Śmiałam się częściej niż kiedyś. Uwolniłam się od niej.

Joss wyjechał w interesach do Londynu i przez pewien czas byłam sama. Spałam w łóżu z baldachimem w Dębowym Dworze jako pani tego domu.

Wilmot nie posiadał się ze szczęścia. Podobnie jak reszta służby. Jego zdaniem, twierdziła Hannah, nareszcie wszystko było jak należy, Clavingowie wracali na Dębowe Pole.

Jeździłam konno codziennie, starając się robić postępy. Po powrocie z Londynu Joss powiedział, że w krótkim czasie opuścimy Anglię.

Banker wyjechał zaraz po pogrzebie. Miał zamiar osiedlić się w Melbourne.

Nastał październik, nim Joss i ja wypłynęliśmy do Sydney.

Podróż

Był złoty jesienny dzień, gdy weszliśmy na pokład „Hermesa”, którym mieliśmy popłynąć na drugi koniec świata. Od razu się zorientowałam, że Joss był ważną personą i, tak jak Bena, znał

go kapitan oraz niektórzy członkowie załogi. Kapitan powiedział mi, że kiedy statek stoi w porcie w

Sydney, oficerowie są goszczeni przez udziałowców Towarzystwa. Oznaczało to dla nas teraz niezliczone drobne przywileje.

— Jednym z nich — powiedział Joss — jest zapewnienie nam pojedynczych kabin, co odbiega od przyjętych ogólnie zasad w przypadku młodego małżeństwa, ale jestem pewien, że twoja wdzięczność nie ma granic.

— W istocie — odrzekłam.

Kabina była całkiem przyzwoita. Sąsiadowała z kabiną Jossa. Naprawdę cieszyłam się, że istnieje ta dzieląca nas ścianka.

Pogoda była z początku okropna, ale okazało się na szczęście, że nie przeszkadza mi kołysanie. Jossowi — oczywiście! — też. Nie zniosłabym chyba sytuacji, gdyby i w tym względzie miał być ode mnie lepszy!

Niewiele mieliśmy do roboty poza spaniem, jedzeniem, pogawędkami i obserwowaniem towarzyszy podróży. Joss i ja musieliśmy spędzać większość czasu razem. Opowiadał mi o Towarzystwie, o życiu w Australii, i przyznając, że wydawało mi się czarowne.

Śniadania jedliśmy o dziewiątej, a obiady o dwunastej. Pewnego razu, gdy okropnie kołysało statkiem, a na dole nie było czym oddychać, mimo wzburzonego morza postanowiłam wyjść na pokład. Zataczając się dotarłam na górę, gdzie stwierdziłam, że nie sposób utrzymać się na nogach. Fale tłukły o burty statku, który skazany był całkowicie na łaskę żywiołów. Dziób wzbijał się w górę, ku niebu, i wydawało się, że nigdy nie wróci do poziomu, ale już po chwili zanurzał się w wodzie tak głęboko, że drżałam, by statek nie fiknął kozła. Wiatr szarpał moją pelerynę, zdarł mi kaptur z głowy, a włosy zakryły mi twarz tak, że nic nie widziałam.

Nieświadoma siły wiatru, próbowałam przejść po pokładzie. Podmuch zwałił mnie z nóg, ale ktoś chwycił mnie w porę i mocno trzymał. To był Joss. Znów wyśmiewał się ze mnie. Na jego brwiach osiadły drobniutkie kropelki wody, włosy stały dęba na całej głowie, a uszy zdawały się pokąźniejsze niż zwykle.

— Co ty wyprawiasz? — spytał. — Samobójstwo? Nie wiesz, że chodzenie po pokładzie przy takiej pogodzie jest niebezpieczne?

— A ty? Ty także nie wiesz?

— Zobaczyłem, że idziesz na górę, więc poszedłem za tobą, domyślając się, że będziesz na tyle nierozsądna, by zlekceważyć wiatr.

Wciąż mnie trzymał, więc spróbowałam się uwolnić.

— Już w porządku — powiedziałam.

— Pozwolę sobie być innego zdania.

Statek zakołysał się i wpadliśmy na balustradę.

— Widzisz? — naigrawał się, a jego twarz była zdecydowanie zbyt blisko mojej.

— Po prostu raz jeszcze muszę przyznać ci rację.

— Wiele razy tak będzie. Szkoda liczenia.

— Może pewnego dnia sytuacja się odwróci.

— Może. Cuda się zdarzają. Patrz! Tam jest ławka osłonięta łodzią ratunkową. Będziemy na świeżym powietrzu i w dodatku nie poturbowani.

Wziął mnie pod ramię i przycisnął je do siebie. Miałam wrażenie, że nie tyle taki kontakt sprawia mi przyjemność, ile świadomość, że mnie w ten sposób drażni.

Siedliśmy, objął mnie ramieniem.

— Bezpieczniej — powiedział krzywiąc usta. — To jedyny powód, zapewniam cię.

— Gdyby mnie zmyło z pokładu, wszystko, co teraz ze mną dzielisz, stałoby się wyłącznie twoje.

— To fakt.

— Wysoce pożądane dopełnienie aktu ślubu.

— Wysoce pożądane byłoby inne dopełnienie aktu ślubu.

Odsunęłam się od niego.

— Przygotuj się, Jessiko — mówił dalej. — Kiedyś przecież musisz wydorosnąć.

— Zdaje się, że nie potrafisz tak ze mną rozmawiać, by mi czegoś nie zarzucić. Ale co będziesz miał z tego, że wydorosnę?

— Będę miał to, na poznanie czego nie chcę już dłużej czekać.

— Chcesz mnie pouczać, jak mam się stać dorosła?

— To męzowski obowiązek.

— A gdy wydorosnę...

— Wtedy zobaczymy. Czekam na to z niecierpliwością...

— Opowiedz mi o Towarzystwie i o życiu, które będę wiodła w Australii.

— Sama wszystkiego doświadczysz. Ben pewnie ci opowiadał... Będziesz w samym centrum

opałowych interesów. W Miasteczku Kaprys każdy w jakiś sposób zajmuje się opalami. Wiesz, że miasteczko nosi taką nazwę na cześć Desmonda Derehama i jego „przecucia”?

— Tak. On był moim ojcem.

— Wiem o tym. Ben opowiedział mi tę historię. Powiedz, co czułaś do Bena? Lubiłaś go, to wiem. Fascynował cię, nieprawdaż? Był wspaniałym facetem. Ale przepędził twojego ojca, napiętnował go i wprowadził nas wszystkich w błąd, jeśli chodzi o Zielony Blask. Nie zastanawiałaś się nad tym? Jedną z rzeczy, których musisz się nauczyć, jest zaakceptowanie naszych reguł zachowania. To coś, do czego będziesz musiała przywyknąć. Postępując w taki sposób z twoim ojcem, Ben nie miał żadnych skrupułów. Desmond chciał ukraść Zielony Blask i opuścić twoją matkę. Ben ją lubił, a gdy on kogoś lubił, to naprawdę szczerze. Miał duszę gracza.

Wszyscy tutaj tacy jesteśmy. Tacy są ludzie, którzy szukają złota... szafirów, diamentów, opali... czegokolwiek. Przyroda płata ci figle, a ty porównujesz je z grą w karty. Nie wiesz, jaką kartę dostajesz, póki jej nie odkryjesz. To może być as pik albo as kier, śmierć albo miłość, jak mówimy. Ale może to być też dwójka trefl, która znaczy niewiele. W życiu sporo zależy od szczęścia, a ja zawsze sądziłem, że aby je mieć, trzeba w nie wierzyć.

Opowiadał mi o kamieniach znalezionych w Miasteczku Kaprys, o balach skamieniałego drewna inkrustowanego kawałkami opali, których niestety nie można było wykorzystać.

— Czasami — mówił — to wygląda jak kanapka. Jaka kanapka! W środku jest bardzo cenny kawałek, na wierzchu piaskowiec, a pod spodem opałowa skała. To, co najlepsze w kanapce, mięsko, jest wewnątrz. Czasami udaje się wydłubać tyle, że starczy na mały kamień, ale to gra nie warta świeczki. Trzeba ci jednak wiedzieć, że gdy znajdziesz taką kanapkę, można iść o zakład, że natkniesz się w okolicy na wartościowy materiał. Może się okazać, że to skała kryjąca w sobie mieniące się tysiącem barw kawałki albo opale pozbawione opalescencji, a więc nie nadające się na klejnoty, ale zawsze jest nadzieja, że w pobliżu — trzeba tylko odszukać miejsce

— są kamienie o dużej wartości, a każdy poszukiwacz wierzy, że to jemu właśnie uda się je znaleźć.

Słuchałam go zafascynowana. Wydawało mi się, że opowiadając zapominał o potrzebie udowodnienia mi swojej wyższości, co, jak sądziłam, miało swe korzenie w mojej niechęci do niego i w warunkach, jakimi obwarowałam nasze małżeństwo. Gdy wyobrażałam go sobie jako szefa Towarzystwa, człowieka, który wie wszystko o opalach i je kocha — co było wyraźnie zauważalne, ilekroć o nich mówił — dostrzegałam także inne cechy jego natury niż tylko urażona duma mężczyzny wzgardzonego przez kobietę, do której poślubienia został zmuszony dla ratowania majątku i która nalegała, by małżeństwo było — jak to sam drwiąco nazwał —

małżeństwem na papierze.

Siedzieliśmy więc pośród huczącego morza, i gdy słuchałam, jak Joss opowiada o życiu, ku któremu płynęłam, moje uczucia do niego trochę się zmieniły. Uświadomiłam sobie, że jego natura nie jest jednolita i że niechęć do jednego z jej elementów nie powinna przysłaniać mi faktu istnienia pozostałych.

* * *

Pierwszym portem, do którego zawinęliśmy, była Teneryfa. Joss zabrał mnie na przejażdżkę po wyspie. Pojechaliśmy do Santa Cruz śmiesznym małym powozikiem, zaprzężonym w dwa osiołki, i Joss, który dobrze znał to miejsce, służył mi objaśnieniami. Dzień był ciepły, a ja tak zadowolona, że pragnęłam, by trwał wiecznie. Zachwyciałam się wspaniałymi barwami obsypanych kwieciami krzewów i bujną roślinnością. Joss pokazał mi plantację bananów, zjedliśmy w małej restauracyjce z widokiem na morze posiłek składający się z *potage de berros*

— zupy z rukwi wodnej — i ryby, która, jak nam powiedziano, została złowiona tego ranka i którą podano w wyśmienitym sosie. Wszystko było niezmiernie egzotyczne i podniecające.

Patrzyliśmy na morze, Joss opowiadał, jak przybyli tu Rzymianie i stwierdziwszy, że na okolicznych wyspach żyje więcej psów niż w jakiegokolwiek innej znanej im krainie, nazwali je Kanaryjskimi, czyli Psimi Wyspami. Ich mieszkańcy, dzicy ludzie, zostali ujarzmieni później przez Hiszpanów.

Gdy jedliśmy, dwoje młodych tubylców zaczęło tańczyć i śpiewać miejscowe tańce i piosenki.

Podobały nam się *isa* i *folia*, które, jak powiedział Joss, były typowo hiszpańskie.

Joss rad był mojemu zaciekawieniu i podziwowi wobec wszystkiego, co mnie otaczało, i nawet jego zadowolenie z faktu, że wie więcej niż ja, nie stłumiło mojej radości.

Było mi przykro, że musimy wracać na statek, i gdy odpływaliśmy, oparci o balustradę patrzyliśmy, jak wyniosły szczyt Pico de Tiede znika nam z oczu.

* * *

W Kapsztadzie Joss miał do załatwienia jakiś interes i zaproponował mi, żebym poszła razem z nim do domu pewnego człowieka, którego chciał odwiedzić. Powiedział, że skoro mam udział w Towarzystwie, powinnam uczyć się o opalach czego tylko mogę.

Kapsztad jest z pewnością jednym z najpiękniej położonych miast świata. Przytłaczało mnie dostojeństwo Zatoki Stołowej i Gór Stołowych o płaskich szczytach, jaśniejących w blasku słońca, i Gór Dwunastu Apostołów wyłaniających się za nimi.

Zaprzężony w konie powóz jechał w górę wzniesienia, do domu współpracownika Jossa. Dom był zachwycający, utrzymany w holenderskim stylu kolonialnym. Wchodząc do wspaniałych chłodnych pokoi miało się uczucie, że człowiek wchodzi w głąb obrazu któregoś z holenderskich mistrzów. Kamienne schody wiodły na taras, na którym stał stół i krzesła.

Weszliśmy na górę, gdzie powitali nas Kurt van der Stel i jego żona. Byli wyraźnie zadowoleni z wizyty Jossa, który przedstawił mnie jako nowo poślubioną małżonkę.

Grete van der Stel była różową pulchną kobietą, dość skromnie ubraną. Krzątała się, częstując nas winem pochodzącym, wedle jej wyjaśnień, z pobliskiej winnicy, i ciastkami własnej roboty.

Gdy Joss powiadomił ich o śmierci Bena, okazali głęboki smutek.

— Bardzo mi przykro, że już nigdy go nie zobaczymy — powiedziała Grete.

— Od czasu wypadku nigdy nie czułem się zupełnie dobrze — rzekł Joss.

— Cóż, to ryzyko pracy w kopalni — przypomniał Kurt.

— I jeden z powodów, dla których tacy jak ty muszą płacić wysoką cenę za klejnoty, dla których poszukiwacze ryzykują życie.

Pan van der Stel długo mówił o Benie, o jego wylewności i niemożliwym do przewidzenia zachowaniu. Zgodzili się z Jossem co do tego, że opałowy świątek bez Bena nie będzie już taki, jaki był.

Grete spytała, czy chciałabym obejrzeć dom, na co ochoczo przystałam.

Jakiż to był piękny dom! Ten nastrój spokoju i ładu, który poznałam za sprawą intrygującej głębi holenderskiego malarstwa. Wszystko lśniło czystością, traktowane z pieczołowitą troską.

Grete powiedziała mi, że jej rodzina osiadła w Kapsztadzie przed dwustu pięćdziesięciu laty.

— To piękne miejsce i jest naszą prawdziwą ojczyzną — mówiła — a życie otwiera przed ludźmi mnóstwo możliwości. Prawie przed dwustu pięćdziesięciu laty znalazło się tutaj dwóch holenderskich rozbitków. Oczarowani, jak wszyscy, klimatem, owocami, kwiatami doszli do wniosku, że należałoby tu założyć dużą kolonię. Po powrocie opowiedzieli, co znaleźli. Wysłano aż trzy statki pełne przyszłych osadników. Z czasem przyjechało ich jeszcze więcej, zbudowano miasto, które dla następnych pokoleń było już miastem rodzinnym.

Stałam przy oknie i patrzyłam na migocące morze, na górę — rzeczywiście przypominającą kształtem stół — wyrastającą dumnie ponad wodę. Grete zaprowadziła mnie do ogrodu, w którym kwitło mnóstwo przepięknych krzewów dookoła parterowego domku dla służby. Potem wróciłyśmy na taras, gdzie siedzieli obaj mężczyźni; przed nimi leżały pozwijane saszetki, które tak często widywałam w domu Bena. Rozmawiali o opalach.

Grete powiedziała, że obiad będzie za parę minut, więc Joss zaczął zwijać saszetki, i ledwo się z tym uporał, usłyszeliśmy tętent końskich kopyt na drodze.

— Przyjechał — powiedział Kurt van der Stel.

— Ciekaw jestem tego spotkania — rzekł Joss. — Może będzie miał jakieś wiadomości z Miasteczka Kaprys.

Mężczyzna wszedł po schodach na taras, Joss wstał i uściśnieli sobie dłonie.

— Miło cię widzieć, Davidzie — powiedział Joss.

— Witaj, Joss.

Przybysz podał rękę Kurtowi, a Joss popchnął mnie lekko do przodu.

— Poznaj moją żonę, Davidzie. Mężczyzna nie potrafił ukryć zdziwienia.

— Jessiko, to David Croissant — rzekł Joss.

Słyszałam już to nazwisko. David Croissant, kupiec, który znał się na jakości opali lepiej niż inni. Niewysoki, miał ciemne włosy zarastające nisko czoło oraz bardzo jasne oczy, co przy ciemnej karnacji sprawiało dość niezwykle wrażenie, oczy, które, jak zauważyłam, były osadzone zbyt blisko siebie.

— Nie słyszałeś pewnie o Benie — rzekł Joss.

David spojrział na niego z lękiem, Joss opowiedział, co się stało...

— Dobry Boże! Nie wiedziałem... Poczciwy Ben!

— Wszystkim nam będzie go brak — powiedział Kurt.

— Co za nieszczęście — mruczał David. — Gdyby dalej miał Złoty Blask, mówilibyśmy, że to z jego powodu. Ciekawe, co się dzieje z Desmondem Derehamem. Jakby zniknął z powierzchni ziemi. Z pewnością wyjechał na drugi koniec świata. Może uniknął złego losu.

— Dlaczego miałby go uniknąć? — spytała Grete.

— Niektórzy mówią, że w tym kamieniu mieszka diabeł... Jeśli tak, to może pomaga złodziejowi.

— Co za bzdurne pomysły! — wykrzyknął Joss. — Dziwię ci się, Davidzie, że ty, który znasz się na opalach, wygadujesz takie rzeczy. Zły los! Przestańcie wreszcie o nim mówić. To nie sprzyja interesom.

Rzucił mi spojrzenie, które mówiło, że nie życzy sobie, abym wspominała o Złotym Blasku.

Dziwiłam się, dlaczego tak ma być, obrażało mnie, że mojego ojca dalej oskarża się o kradzież, której jedynie zamierzał dokonać. Nie czułam się jednak dostatecznie pewnie, więc milczałam.

— To prawda — powiedział Kurt — kto będzie kupował kamienie, które przynoszą nieszczęście!

— Szczęście! Nieszczęście! — rzekł Joss gwałtownie. — Stek bzdur. Kiedyś mówiono, że przynoszą szczęście, później odkryto, że łatwo się kruszą, więc zaczęto mówić, że przynoszą nieszczęście.

— Co nam przywiozłeś, Davidzie? — spytał Kurt.

— Parę takich kamieni, że będziecie skakać z radości — rzekł David. — Jeden jest szczególnie piękny.

— Obejrzyjmy! — zapalił się Joss.

— Ale uprzedzam z góry — nie jest tani.

— Jeśli jest, jak mówisz, kto by się spodziewał niskiej ceny? — odparł Joss.

Wtedy zobaczyłam Arlekina i zrozumiałam, skąd się bierze fascynacja opalami. Nazwa była dobrana bardzo trafnie. Mienił się mnóstwem kolorów, miał w sobie coś radosnego. Z całą pewnością nie był to zwykły opal — nawet ja potrafiłam to stwierdzić.

— Masz rację — przyznał Joss. — To piękny klejnot.

— Znam tylko jeden, który można by z nim porównać — rzekł David.

— I znów wracamy do Zielonego Blasku — powiedział Joss. — Z niczym nie można go porównywać.

— Oczywiście że nie. Ale ten też jest niezwykły.

— Nie boisz się z nim podróżować?

— Pokazuję go tylko tym, których znam, i nie trzymam razem z innymi okazami. I nawet wam nie zdradzę sekretnego miejsca, w którym go przechowuję. Skąd mogę wiedzieć, czy nie przystaniecie do rozbójników?

— Mądrze czynisz — pochwalił go Joss.

Podał mi kamień i powiedział:

— Przypatrz mu się, Jessiko.

Trzymałam opal na otwartej dłoni i czułam, że niechętnie oddam go Davidowi.

— Widzisz, jaki jest piękny? — spytał Joss. — Żadnej skazy. Spójrz na barwy, na jego wielkość...

— Nie zachwalaj go tak, Joss — prosił Kurt. — Podbijasz cenę... Nie mówię, że staję do licytacji, nie mogę sobie na niego pozwolić.

— Mam inne, które ci się spodobają, Kurt. Ale najpierw schowam Arlekina, bo zaćmi swoim blaskiem wszystkie pozostałe.

Wciąż patrzyłam na leżący na mojej dłoni kamień.

— Widzisz — rzekł David — twoja żona nie ma ochoty go oddać.

— Zaczyna poznawać opale. Prawda, Jessiko?

— Zupełnie nic o nich nie wiem — powiedziałam wręczając kamień właścicielowi — ale

przynajmniej jestem tego świadoma.

— Co oznacza — rzekł Joss — że pierwsza lekcja za tobą.

Obejrzelśmy pozostałe opale Davida Croissanta, a Joss wskazywał mi cechy charakterystyczne każdego z nich. i Nagle spojrzął na zegarek i powiedział:

— Musimy iść, bo spóźnimy się na statek. Do zobaczenia w Australii, Davidzie. Rozumiem, że niedługo wracasz.

— Tak szybko, jak tylko będę mógł. Muszę jeszcze odwiedzić dwa, trzy miejsca i przyplynie następnym statkiem.

Pozegnaliśmy się więc i powozem, który na nas czekał, wróciliśmy na statek.

* * *

Spędzaliśmy długie dni na spokojnych wodach. Statek zdawał się stać w miejscu.

Siadywaliśmy z Jossem na pokładzie i rozmawiali o tym i o owym, sącząc zimne napoje.

Zdawało się, że spokój, którego doświadczamy, będzie trwał wiecznie. Od czasu do czasu widzieliśmy szkółkę morświnów albo delfiny bawiące się w wodzie, albo latające ryby wyskakujące z błękitnej głębin, trzepocące się nad powierzchnią. Przez trzy dni podążał za nami albatros; przechyleni w krzesłach obserwowaliśmy jego niezwykle wdzięk, gdy krążył nad statkiem, i szacowaliśmy siłę skrzydeł, których rozpiętość musiała sięgać czterech metrów.

Nawet moje pragnienie dowiedzenia się prawdy o zniknięciu ojca osłabło. Czułam się cudownie odprężona. Ciekawa byłam, czy Joss czuje się podobnie.

Spędzaliśmy czas na pokładzie aż do zachodu słońca, co następowało około siódmej.

Fascynujące było to natychmiastowe zapadanie zmroku. Jakże inaczej zachodziło słońce w Anglii, gdzie światło dnia gasło długo, powoli! Tutaj dni były oślepiająco jasne, póki ogromna kula ognia nie utonęła w morzu, ustępując miejsca zapadającym w okamgnieniu ciemnościom.

Zachody słońca były przepiękne i pewnego wieczoru Joss powiedział:

— Na tych wodach można zobaczyć zielony blask.

Siedzieliśmy więc codziennie i czekaliśmy, pełni nadziei. Niecierpliwie badaliśmy wzrokiem niebo, szukaliśmy znaków.

— Wszystko musi być dokładnie tak jak trzeba — wyjaśniał Joss. — Bezchmurne niebo, spokojne morze, każdy najmniejszy szczegół jest ważny.

Każdego wieczoru pytałam: „Czy dziś?”

— Kto wie... — odpowiadał Joss. — Siedzi się i czeka... jak na ważnego gościa. Gdy przyjdzie, a ty nie wypatrujesz go z największą uwagą, możesz przegapić jego nadejście.

Pamiętaj, to błysk. Wystarczy, że mrugniesz, i już po nim.

Joss widział go, oczywiście, ale przyznawał, że tylko raz.

— A bywałem w miejscach, gdzie powinienem był go widzieć wiele razy — powiedział. —

Zostałem zaszczycony jeden jedyny raz.

Wypatrywaliśmy oczy każdego wieczoru — daremnie. Zjawisko było równie rzadkie jak nazwany jego imieniem kamień.

* * *

Przyżyliśmy do Bombaju. Przed nami rozciągał się przepiękny widok górzystych wysp, nieco na wschód kołysały się na wietrze palmy i widniały wysokie czuby gór zwanych Ghaty Zachodnie. Tu były wrota Indii.

Spędziliśmy z Jossem radosny poranek w egzotycznym otoczeniu, jakiego nigdy przedtem nie widziałam. Kobiety w cudownie barwnych sari wyglądały przepięknie, ale kontrast pomiędzy nimi a otaczającym nas tłumem żebraków przerażał i przygnębiał. Daliśmy coś biedakom, lecz im więcej dawaliśmy, tym więcej ubogich wokół nas się gromadziło, aż „wreszcie uciekliśmy od wielkich, proszących oczu i małych, wyciągniętych ku nam brązowych rączek.

Zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na kobiety piorące przy rzece, lecz z powodu żebraków wróciliśmy do kolorowego, ciągniętego przez muły powozu i oddaliliśmy się od rzeki. Tamtego obrazu nie mogłam jednak wyrzucić z pamięci.

Zabrano nas na targ, gdzie znajdowały się kramy z najwyszukańszymi towarami, które tutejsi kupcy żywo zachwalali: pięknymi dywanami, różnymi rzeźbionymi przedmiotami z drewna, kości słoniowej i brązu. Zachwycaliśmy się wszystkim.

Jeden z kupców patrzył na nas uważnie wielkimi, czarnymi oczyma.

— Mały prezencik? — rzekł. — W dowód miłości... na szczęście...

Zawahałam się, lecz Joss wyszeptał:

— Będzie bardzo rozczarowany, jeśli niczego nie kupimy.

— Ta figurka, na szczęście... — mówił kupiec. — Maskotka z kości słoniowej. Bogini powodzenia... talizman przeciw złym siłom.

— Kupię ci ją — powiedziałam. — Zielony Blask należy teraz do ciebie... ten talizman może ci się przydać.

— Zielony Blask należy także do ciebie, ale by pokazać że nie wierzę w nieszczęścia, które rzekomo przynosi, kupię ci ten wiśniowy jedwab na sukienkę.

Dokonaliśmy więc zakupów po niewielkich targach, bo Joss powiedział, że kupiec byłby zdziwiony, gdybyśmy nie próbowali zbić ceny.

Poszliśmy dalej. Miałam uczucie, że to zdarzenie zdaje się wskazywać na pewną zmianę w stosunkach między nami.

Zjedliśmy lekki posiłek. Podczas rozmowy spytałam, dlaczego Joss pozwolił, by David Croissant wierzył dalej, że Zielony Blask zaginął, że go ukradł mój ojciec.

— O takim kamieniu zawsze dużo się mówi — odparł Joss. — David jest gadatliwy. Nie chcę, by ludzie się dowiedzieli, nim nie będzie bezpieczny. Myślę, że to rozsądne rozwiązanie.

Czułam, że nie powinnam się z nim spierać w tym względzie.

Po posiłku pojechaliśmy powozem zobaczyć robiącą wielkie wrażenie wieżę Rajabai wzniesioną w XIV wieku i wspięliśmy się na wzgórze Malabar. Zatrzymaliśmy się przy Wieży Milczenia, gdzie — jak nam powiedział nasz woźnica — parsowie pozostawiali swoich zmarłych, gdyż zgodnie z ich religią należało pozostawić ciało słońcu, wiatrom i ptakom.

Powiedziano nam też, że kobiet nie wpuszcza się do środka.

— Dlaczego? — spytałam. — Dlaczego u licha wyklucza się kobiety?

Woźnica nie bardzo rozumiał, jego angielszczyzna była dosyć uboga, odpowiedział mi więc Joss:

— Bo to gorsza płeć.

— Co za bzdury! — zaprotestowałam żarliwie.

Widziałam, jak się ucieszył, że udało mu się wywołać moje oburzenie, i wrażenie zmiany w stosunkach między nami uleciało, a my znów byliśmy w punkcie wyjścia.

* * *

Gdy zbliżał się koniec podróży, dystans między nami jeszcze się pogłębił. Joss często bywał zamyślony i parokrotnie zauważyłam, że baczenie mi się przygląda.

Dalej siadywaliśmy na pokładzie, gdy zachodziło słońce, obserwując w milczeniu wielką kulę ognia niknącą za horyzontem.

Gdy rozmawialiśmy, wspominaliśmy Bena. Joss często cytował słowa ojca. Było jasne, że Ben wywarł wielki wpływ na jego życie.

— Sądzisz, że kiedykolwiek zobaczymy ten zielony blask? — spytałam.

— Może. Choć niewiele czasu już zostało. Trzeba czekać. Niektórzy ludzie uważają, że go widzieli.

— Jesteś jednym z nich?

— Nie, jestem realistą. Nie śnię w ciągu dnia.

— Może byłoby lepiej, gdybyś śnił.

— Po co fantazjować, gdy otacza nas rzeczywistość?

— To świadczy o wyobraźni.

Roześmiał się. Wiedziałam, że śmieje się ze mnie, pokazując mi, iż jestem młoda, niedoświadczona życiowo i dość głupia.

Kiedyś powiedział:

— Ben zawsze mówił, że miłość jest czasem jak błysk, jak nieuchwytny zielony blask zachodzącego słońca, i trzeba umieć rozpoznać, że oto nadeszła. Wielu ludzi sądzi, że ją rozpoznało, bo jej pragnie. Ci, co bardzo chcą zobaczyć blask, oszukują się, choć myślą, że go widzieli.

— Zapewniam cię, że ja nigdy nie oszukuję samej siebie.

— Spójrz na słońce — mówił dalej. — Niebo przypomina dziś ogień opali. Popatrz na tę żółtą poświatę... tam... i na błękit. Znalazłem kiedyś taki opal. Nazwaliśmy go Pierwiosnkiem, bo komuś się wydawało, że ma kształt kwiatu. Za pół godziny słońce zacznie zachodzić. Kto wie?

Może dziś go zobaczymy. To wymarzony wieczór, by zobaczyć blask.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy.

— To może być teraz — rzekł Joss. — Jak jasno! Jakby słońce chciało nas oślepić, żebyśmy nie dostrzegli blasku. Patrz uważnie, nawet nie mrugnij.

Wielka czerwona kula wisiała tuż nad horyzontem. Zaczęła zanurzać się w wodę — już widoczna była tylko połowa, mały skrawek, samo obrzeże...

— Teraz — wyszeptał Joss i... odetchnął głęboko, by dać upust rozczarowaniu. Słońce zniknęło za horyzontem. Żadne z nas nie dostrzegło zielonego blasku.

Spalona gospoda

Na statku zapanowało wielkie poruszenie — zbliżaliśmy się do brzegów Australii. Nie było pasażera, który nie wyszedłby na pokład i nie patrzył pełnym zachwytem wzrokiem. A był to rzeczywiście widok godny podziwu, bo nie ma na świecie portu, który można by porównać z portem w Sydney. Kapitan dał mi do przeczytania książkę opisującą przybycie w te strony pierwszych angielskich okrętów. Ciekawe, co czuli skazańcy, gdy wyszli na brzeg po miesiącach uwięzienia w cuchnących ładowniach i znaleźli się w otoczeniu tak pięknej przyrody. W tamtych czasach wszystko musiało być jeszcze bardziej kolorowe, bo więcej było jaskrawo upierzonych ptaków, najrozmaitszych gatunków papug, a wśród nich wszędobylskich kakadu o jasnorożowych i popielatych piórach. Teraz było trochę inaczej. Tam gdzie kiedyś rosły kwiaty, stały wysokie budynki, a ptaki przeniosły się w głąb lądu. Miasto zostało nazwane imieniem lorda Sydneya, sekretarza stanu w ówczesnym departamencie spraw wewnętrznych. Kapitan Arthur Philip, pierwszy zarządca nowej kolonii, którego imieniem nazwano port, postawił sobie za cel zbudowanie „najwspanialszego portu świata, do którego będzie mogło wpłynąć bezpiecznie tysiąc liniowców naraz”.

Może dzięki temu, co przeczytałam o przeszłości, a może dlatego, że nigdy przedtem nie widziałam tak pięknego miejsca, poczułam, jak przepelnia mnie radość.

Stałam oparta o balustradę, gdy płynęliśmy wzdłuż niezliczonych zatoczek i piaszczystych plaż, obramowanych bujną zielenią. Później zaczęły się wyłaniać budynki i było oczywiste, że zbliżamy się do dużego miasta.

— Jak tu pięknie! — wykrzyknęłam.

Joss wyglądał na zadowolonego.

— Miasteczko Kaprys jest niedaleko stąd — rzekł. — Będziesz mogła przyjeżdżać do Sydney po zakupy. Znajdziesz tu parę dobrych sklepów — hoteli także. Po drodze będziesz musiała spędzić noc lub dwie pod gołym niebem, ale są też zajazdy, gdzie można się zatrzymać.

— Brzmi cudownie.

— Będzie cudownie. Zobaczysz. Ciekawe, czy ktoś po nas przyjechał. Zatrzymamy się w hotelu „Metropol”. Zejdzie nam parę dni, nim wyruszymy do domu.

— Czym tam pojedziemy?

— Są powozy Cobba, ale nie jeżdżą w nasze strony. Myślę więc, że najlepiej będzie pojechać konno. Będziesz mi wdzięczna za lekcje w Anglii.

Wszyscy w porcie znali Jossa, co znacznie ułatwiło opuszczenie statku — nasze bagaże miały zostać wyładowane i przesłane wprost do hotelu.

— Spędzimy w „Metropolu” tydzień — powiedział Joss. — Mam w Sydney parę spraw do

załatwienia, a ty pewnie zechcesz poznać miasto. Wsiadajmy do powozu i jedźmy do hotelu.

Weźmiemy tylko osobiste rzeczy.

Hotel stał w samym sercu miasta. Przy ladzie recepcyjnej było pełno rozmawiających głośno ludzi. Joss przecisnął się między nimi i pojawił znowu z dwoma kluczami.

Zobaczyłam ironiczny grymas na jego twarzy, gdy wręczał mi jeden z nich.

— Zgodnie z umową — rzekł.

Rozzłościł mnie. Zniknęła gdzieś znowu jego delikatność, której zaczęłam doświadczać podczas podróży.

Nasze pokoje były połączone drzwiami. Z satysfakcją obserwował, jak pełna obaw rzuciłam spojrzenie w ich stronę. Podszedł do nich natychmiast i wyjąwszy klucz z zamka wręczył mi go jak pierwszej nocy.

Pokój był miły. Miał oszklone drzwi prowadzące na mały balkonik. Wyszłam i patrzyłam w dół, na ulicę pełną ludzi i zaprzęzonych w konie powozów. O, tak. Byliśmy w mieście!

Umyłam się, usiadłam na łóżku i czekałam. Joss wkrótce zapukał do drzwi, by mnie zabrać na kolację. Zeszliśmy szerokimi schodami i przeszliśmy przez hol pełen rozmawiających z ożywieniem mężczyzn.

— Hodowcy bydła z całej Nowej Południowej Walii — rzekł Joss. — Niektórzy aż z drugiej strony Gór Błękitnych. Są też poszukiwacze złota. Mają w sobie coś takiego... patrzą w szczególny sposób... jakby wciąż czegoś szukali. Nie spełnione nadzieje, jak mniemam. A to powoduje choroby serca. Dlatego tak wielu z nich ma... chore serce ... ich marzenia przerastają rzeczywistość. Łatwo odróżnić tych, którzy natrafili na swoją odrobinę złotego kruszcu. Ale nie zawsze są szczęśliwi, zdążyli zrozumieć, że są rzeczy, których za złoto kupić nie można, a tych właśnie rzeczy oni pragną najbardziej. Zdarzają się też tacy, którzy zbili trochę grosza i chcą się teraz zabawić. Wszyscy oni są tutaj. Hodowcy to inny gatunek ludzi. Bóg jeden wie, ile mają kłopotów — susze, powodzie, najrozmaitsze szkodniki, które niszczą ziemię i zwierzęta. Więcej w tym kraju plag niż w przysłowiowym Egipcie.

Weszliśmy do jadalni i Joss powiedział:

— Zjemy po steku. Dobrze nam zrobi kawałek świeżego mięsa.

Chociaż nie podobało mi się, że sam ustala mój jadłospis, zgodziłam się.

Stek był rzeczywiście dobry, a na kawę przeszliśmy do holu. Panował tam jednak taki hałas, że nie słyszeliśmy własnych słów.

Joss powiedział, że mam za sobą trudny dzień i muszę odpocząć. Sama nie wiedziałam, czy powinnam docenić jego troskę o mnie, czy czuć się obrażona za wydawanie mi poleceń.

Rzeczywiście byłam zmęczona, powiedziałam więc dobranoc i poszłam na górę, a upewniwszy się, że drzwi łączące nasze pokoje są zamknięte, smacznie zasnęłam.

* * *

Spotkaliśmy się przy śniadaniu — Joss spożywał obfity posiłek: kotlety jagnięce i cynaderki.

— Sporo tujemy — rzekł. — To dlatego, że prawie ciągle jesteśmy na świeżym powietrzu.

Zamierzam dzisiaj pokazać ci miasto, a potem załatwić parę spraw. Chciałbym, żebyś poznała ludzi, którzy handlują opalami. Będą to tylko spotkania towarzyskie, ale i tak dowiesz się wielu rzeczy. Później, jak sądzę, zechcesz zrobić zakupy. Najpierw jednak pokażę ci to i owo, żebyś nabrała wyobrażenia o tym miejscu.

Powiedziałam, że pomysł jest znakomity, i zaraz po śniadaniu wyruszyliśmy.

Joss sam powoził dwukółką. Najpierw chciał pokazać mi port. Widziałam go, rzecz jasna, ze statku, lecz z lądu wyglądał zupełnie inaczej. Można było wjeżdżać pomiędzy wrzynające się głęboko w ląd zatoczki albo oglądać je z góry. Morze miało kolor szafirów.

— Wygląda pięknie — rzekł Joss — ale powiem ci, że w tych urzekających wodach czają się rekiny. Jeśli zaryzykujesz kąpiel, niechybnie skończysz jako obiadowe danie tej rybki.

— Co za koszarne myśli!

— Cóż, nie wszystko jest takie, na jakie wygląda — powiedział Joss z szerokim uśmiechem.

— Z pewnością dotyczy to wody, zwłaszcza gdy wygląda na spokojną.

— Oj, niedobrze! Skoro przerażają cię rekiny, jak dasz sobie radę w Miasteczku Kaprys?

— Nic nie mogę powiedzieć, póki nie zobaczę, jak tam jest.

— Zobaczysz, że bardzo różni się od miasteczek w Anglii.

— Zatrzymał powóz i patrzył na mnie uważnie. — Niektórzy tęsknią tak bardzo, że po prostu pakują się i wyjeżdżają.

— Trudno żyć z dala od ojczyzny.

— Moi przodkowie przybyli tu przed siedemdziesięciu laty.

— Tęsknili?

— W ich wypadku nie miało znaczenia. Musieli pozostać. Ojciec mojej matki przyплыł tu jako skazaniec. Nie był kryminalistą. Był człowiekiem, którego poglądy nie pasowały do tego, co za jego czasów uważano za dobre i słuszne. Obrzął paru ludzi, uznano go winnym i zesłano tutaj

— na czternaście lat. Matka jej męża natomiast była pokojówką pewnej arystokratki. Skazano ją za kradzież drogocennej broszy. Rodzina twierdzi, że była niewinna, lecz wszyscy skazańcy, zdaniem ich rodzin, byli niewinni. Większość ludzi pragnie jednak powrotu do Anglii.

— A ty?

— Czasami. Jestem rozdarty między dwie ojczyzny. Gdy przebywam tutaj, chcę być w Anglii, będąc w Anglii, tęsknię za Australią. Może to pewna przewrotność, ale jestem widać człowiekiem przewrotnym.

Nie zaprzeczyłam, co go rozbawiło. Często czułam się niezręcznie, bo wydawało mi się, że zna moje myśli.

— Tak jak Ben — mówił dalej. — Jestem oczarowany Dębowym Dworem. Z jednej strony chciałbym tam mieszkać, stać się prawdziwym dziedzicem, a teraz, kiedy jestem ożeniony z panną Clavering, pewnie nawet bym się na kogoś takiego nadawał. Z drugiej zaś — tu są opale, a opale to moje życie. Widzisz, jakich doświadczam rozterek.

— Za dużo do wyboru, powiedziałabym.

— Tak, ale ja nie pozwalam sobie na to, by wikłać się w te rozterki. Jestem zdecydowany czerpać, co najlepsze, z obu tych światów.

— Będziesz więc wracał do Dębowego Dworu tylko jako gość?

— Tak. Szkoda, że Dębowy Dwór jest na drugim końcu świata, chociaż cóż to właściwie znaczy te parę tysięcy mil!

— Dla ciebie nic — odparłam pogodnie.

— Jestem pewien, że ty także będziesz chciała odwiedzać stare strony od czasu do czasu.

— Oczywiście, że tak.

— Jest więc coś, w czym się zgadzamy. Myślę, że to postęp.

— Normalna rzecz, że chcę odwiedzać rodzinne strony. Nie nazwałabym tego postępem.

Roześmiał się tylko.

Jechaliśmy znów przez miasto. Joss pokazywał mi, jak ulice wiją się zakolami, bez żadnego planu. Stało się tak dlatego, że gdy powstawała osada, drogi wytyczane były przez wozy i jeźdźców, i dopiero z czasem stały się ulicami.

— Sydney nie tyle zostało założone, ile wyrosło samoistnie — powiedział Joss.

— I tak powinno być — odpowiedziałam. — To dobrze, że coś jest, jakie jest, nie tylko dlatego, że

tak było w planie.

— Widzę, że jesteś romantyczna.

— Dobrze być romantycznym.

— To dla mnie zbyt wyczerpujący temat, gdy kieruję dwukółką na ulicach Sydney.

— Sądziłam, że nie ma rzeczy przekraczających twoje możliwości.

— Tak mnie oceniasz? Cieszy mnie, przyznaję, że sprawiam tak dobre wrażenie.

— Ben zwykł mówić, że ludzi ocenia się wedle ich własnego mniemania o sobie.

— I tak jest w moim wypadku?

— Muszę jeszcze posłuchać opinii innych ludzi o tobie. Joss był dobrym przewodnikiem.

Opowiadał poetycko, jak to kapitan Cook przybył tu w 1770 roku i zawładnął okolicznymi ziemiami dla korony brytyjskiej, jak ziemie te zostały nazwane Nową Południową Walią, bo tym, którzy pierwsi je zobaczyli, przypominały angielskie wybrzeża, i że w siedemnaście lat później, gdy zdecydowano, że te piękne tereny będą miejscem zsyłki brytyjskich skazańców, przybyli tu pierwsi więźniowie.

— Byli traktowani niewiele lepiej niż niewolnicy — mówił Joss. — Chłostano ich za najłżejsze przewinienia. Okrutne czasy. Niektórzy byli wprawdzie ciężkimi kryminalistami, ale wielu było więźniami politycznymi, ludźmi dużego intelektu.

— Jak twój dziad.

— Właśnie. Później przyjeżdżali tu także inni ludzie, by rozpocząć nowe życie. Za dziesięć funtów kupowało się pięć mil kwadratowych ziemi, nie trzeba więc było wielkiego majątku, by wystartować. Korzystano z pracy skazańców, a tylko ciężkiej pracy ta ziemia potrzebowała. Jak pracowano! Widziałas hodowców w „Metropolu”. Większość z nich to prości ludzie, trzeźwo patrzący na życie, sprytni i odporni na przeciwności losu. Słyszałaś o plagach, powodziach i suszach? Jest jeszcze coś straszniejszego, prawdziwie diabelska sprawka — pożary. Powodują w buszu niewyobrażalne zniszczenia. Jest, jak widzisz, z czym się tutaj zmagać. W każdym razie zapomnij o łatwym, wygodnym życiu.

— Znów mnie straszysz.

— Jeśli odczuwasz potrzebę bycia straszoną, nazywaj to właśnie tak.

— Myślę, że nie najlepszą masz o mnie opinię. Jestem zaskoczona, bo ja mam o sobie całkiem dobre mniemanie, i jeżeli Ben miał rację...

Roześmiał się i zdawało mi się przez chwilę, że nie śmieje się ze mnie, lecz raczej wraz ze mną.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, powiedział:

— Każdy, kto tutaj przyjeżdża, jest do pewnego stopnia hazardzistą. Poszukiwacze są, naturalnie, hojnie obdarzeni przez naturę osobowością graczy. Każdego dnia przystępując do pracy, mówią: „To dziś!” O zachodzie słońca wiedzą, że to jeszcze nie dziś, ale nadzieja zostaje.

Tak jest z poszukiwaczami złota... tak jest z poszukiwaczami opali. Zawsze myślą, że znajdą jakiś Zielony Blask Zachodzącego Słońca.

— Ty oczywiście widziałeś ten prawdziwy.

— Tak jak ci powiedziałem. Raz.

— Zawsze odnosisz sukces, tam gdzie inni przegrywają.

* * *

Cieszyłam się dniami spędzonymi w Sydney. Wieczorami spotykałam współpracowników Jossa. Jeden z nich był tu z żoną, zrobiliśmy więc razem kilka wypraw po zakupy.

Przy ruchliwej George Street kupiłam materiały na codzienne ubrania, krążyłyśmy po Pitt i Elizabeth Street, podziwiając towary. Za radą mojej towarzyszki nabyłam dwa wielkie słomiane kapelusze jako osłonę przed palącym australijskim słońcem. Byłam z nich nawet zadowolona, bo nieźle pasowały do mojej urody, spełniając w ten sposób dwie funkcje — użytkową i dekoracyjną. Na King Street zaopatrzyłam się we wstążki i spinki do włosów.

Aż wreszcie przyszedł czas wyjazdu. Joss długo oglądał konie, zanim je wynajął. Większość bagażu miała pojechać powozem do Miasteczka Kaprys, skąd je sobie odbierzemy. Wzięliśmy jednego konia, który miał dźwigać nasze rzeczy osobiste i prowiant. Podróż morską zajęła nieco ponad sześć tygodni, był więc koniec listopada, który tu, w Australii, był taki jak nasz maj.

Rozwijające się z paków dzikie kwiaty były tak różnobarwne, że nie mogłam opanować okrzyków zachwyty, co — jak zauważyłam — cieszyło Jossa. Ale największe wrażenie robiły na mnie drzewa eukaliptusowe — pełne godności i dostojeństwa wyrastały ponad drzewiaste paprocie, ponad buki i jesiony, sięgając nieba. Joss równie dużo wiedział o dzikich terenach jak o Sydney i czułam się dumna, że mam obok siebie tak znakomitego przewodnika.

— Spójrz na eukaliptusy — rzekł — nazywamy je „włóknistokore” ponieważ mają twardą, grubą korę. Tak samo miejscowi nazywają podłą whisky. Zobaczysz, język jest tu żywy i barwny, będziesz musiała go nieco poznać.

— To bardzo interesujące — powiedziałam.

— Cieszę się. Trochę ci w tym pomogę. Spójrz tutaj. Te eukaliptusy nazywamy „nakrapianymi”. Widzisz znaki na korze?

Teren był płaski. Suchość ziemi szczególnie kontrastowała z zielonymi angielskimi polami, które wciąż żywo tkwiły mi w pamięci i które z braku porównania nigdy przedtem nie wydawały mi się aż tak zielone. Drogi były wyboiste, a końskie kopyta wzbijały tumany kurzu.

Jechaliśmy przez wzgórza i znów przez równinę, przez wyschnięte strumienie, aż dotarliśmy do zajazdu — parterowego budynku otoczonego pastwiskami. Joss uważał, że powinniśmy spędzić tam noc, bo odległość do Miasteczka Kapryś była zbyt duża na jeden dzień jazdy.

Kolejną noc zamierzaliśmy przespać w domu Trantów i dotrzeć do Kapryś następnego dnia.

Wjechał na dziedziniec i zsiadł z konia, gdy pojawiła się kobieta w suto marszczonej czarnej sukni przepasanej białym fartuchem.

Joss porozmawiał z nią i wrócił do mnie.

— Mają tylko jeden pokój — rzekł. — To nie londyński hotel. Co ty na to? Zostajemy czy śpimy pod gołym niebem?

Kobieta zbliżyła się do nas i powiedziała:

— Zapraszam miłą panią. To ładny pokoik. Czy państwo są małżeństwem?

— Tak — odpowiedział Joss.

— Wobec tego zakrzętnę się i pościelę łóżko. To bardzo wygodne łóżko... mięciutki materac, prosto z Anglii. Jack zajmie się końmi. Jack! Zabieraj się do roboty, zuchu! Mary! Gdzie jest Mary?

Joss pomógł mi zsiąść z konia. Widziałam, że ta sytuacja go bawi.

— Głowa do góry — wyszeptał. — Nienaturalne ograniczenia stwarzają kłopotliwe sytuacje, ale ja jestem pomysłowy.

Pokój był miły, bardzo czysty. Głównym meblem było ogromne, podwójne łóżko. Joss przyglądał mu się ponuro.

— Jest tu dość wygodne krzesło — rzekł. — Posłuż mi, a jeśli nie, położę się u stóp twego łóżka, jak to czynili rycerze w dawnych czasach.

Oparł dłonie na moich ramionach i przyglądał mi się poważnie.

— Pamiętaj — powiedział — nigdy nie narzucałem się kobietom, które mnie nie chciały, i nie zamierzam robić tego teraz. Jestem dumny, jak wiesz...

— Wiem. Nazywają cię Pawiem.

— Tak mnie nazywają, ale nikt nie ośmiela się zwracać do mnie w ten sposób. Zapamiętaj to dobrze, żeby uniknąć nieprzyjemnej sytuacji.

Zmyliśmy z siebie podróżny pył letnią wodą i zeszliliśmy na dół. Na ruszcie, w ogniu rozpalonym przed domem, piekły się steki. Obok stał stół i ławy. Poproszono, żebyśmy usiedli, i podano nam kangurową zupę w grubych glinianych kubkach. Gospodyni przygotowała placki kukurydziane i upiekła je razem ze stekami. Później podano ser z mniejszymi placuszkami, a posiłkowi towarzyszył napój podobny w smaku do piwa.

Gdy skończyliśmy jeść, nie było jeszcze ciemno, spacerowaliśmy więc i oglądali owce pilnowane przez psy zwane *kelpie*, które reagowały na pogwizdywanie farmerów i biegając tam i z powrotem tuż przy zbitych w gromadę owcach, zaganiały oszołomione zwierzęta do zagród.

Joss zapewniał, że nic mi nie grozi, przeszkadzała mi jednak sama myśl o tym, że mam dzielić z nim pokój. Powiedział, że skorzysta z krzesła, które zdawało się wygodniejsze niż podłoga, a ja zdjęłam tylko spódnicę i kamizelkę. Spałam niespokojnie, czego można było oczekiwać w takich okolicznościach, i sędzę, że tego samego doświadczył Joss.

Następnego dnia wyruszyliśmy o bladym świcie i około jedenastej dotarliśmy do rzeki, gdzie Joss planował postój. Konie potrzebowały odpoczynku, mogły się też napić. Joss powiedział, żebym nazbierała gałęzi wielkiej paproci, zwanej orlicą, co uczyniłam, a on z godną podziwu wprawą rozpałił ogień i zaparzył, jak to określał, kwaterkę herbaty. Znaleźliśmy drzewo, pod którym można było wygodnie usiąść. Gospodyni z zajazdu zaopatrzyła nas w kanapki, mieliśmy też trochę sera. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nigdy nie piłam tak wyśmienitej herbaty i nie jadłam tak smacznych kanapek.

Słońce paliło coraz mocniej, a my oboje czuliśmy się senni. Zapadłam w drzemkę i śniło mi się, że jesteśmy na statku. Był sztorm, a ja, miotana od burty do burty, usiłowałam chodzić po pokładzie. Nagle ktoś chwycił mnie mocno. To był Joss. „Chcesz popełnić samobójstwo?”, spytał, a ja odpowiedziałam złośliwie: „Niezłe wyjście z sytuacji, prawda? Wszystko byłoby wówczas twoje. Nie stałaby ci na zawadzie żona, która nie pragnie cię bardziej niż ty jej. Twoje byłyby domy, udziały, Zielony Blask...” Gdy wspomniałam o opalu, wyraz jego twarzy bardzo się zmienił, ścisnął mnie jeszcze mocniej. „Dobra myśl — powiedział, a w jego oczach widziałam żądę mordy. — Lepiej mi będzie bez ciebie. Samobójstwo... może by na to wyglądało...” „Nie — krzyczałam — nie... nie zabijaj mnie!”

Obudziłam się przerażona. Serce mi łomotało, bo on był blisko, jego twarz tuż przy mojej, i przyglądał mi się uważnie. Przez chwilę myślałam, że to była jawa, a nie sen.

— Co się stało? — spytał.

— Coś mi się śniło...

— Jakiś koszmar?

— Chyba tak.

— Koszmary nocne w biały dzień! Coś cię trapi... coś cię przeraża.

— Myślę, że jakoś dam sobie radę.

— Co ci się śniło?

— Och, nic. Wszystko naraz, jak to we śnie.

— To wielkie poświęcenie opuścić rodzinny kraj i wyjechać w nieznane strony. Czy w tym tkwi problem?

— Zastanawiam się czasami, czy będę potrafiła się dostosować do nowych warunków.

— I małżeństwo... z prawie nieznanym człowiekiem... małżeństwo—niemałżeństwo. Miejmy nadzieję, że z czasem dojdziemy do jakiegoś kompromisu w tym względzie.

Ciekawiło mnie, co on rozumie przez kompromis.

— W tym kraju są różni przestępcy.

— Są w każdym kraju.

— Słyszałaś o tutejszych opryszkach?

— Oczywiście.

— Ale nie wiesz, jacy oni naprawdę są. Zdecydowani na wszystko... być może nie powiodło się im ze złotem, z opalami czy szafirami. Żyją więc z rozboju. Mają tu doskonałe pole do działania. Ukryci w buszu, dokonują swego dzieła stosunkowo łatwo. Gotowi na wszystko, byleby nie dać się złapać, bo wtedy powieszono by ich na drzewie innym ku przestrodze. Nie wahają się przed morderstwem, gdy zmuszą ich do tego okoliczności.

— Rozumiem, że chcesz mnie nastraszyć. Roześmiał się.

— Ciebie akurat można łatwo nastraszyć!

— Jedno ci powiem. Należę do ludzi, którzy gotowi są wiele znieść, żeby udowodnić własne racje.

Znowu zaczął się śmiać, a ja patrzyłam przed siebie, bo nie mogłam znieść jego wzroku, który wydawał mi się zbyt lekceważący.

— Wypatrujesz opryszków? — spytał. — Nie martw się. Masz obrońcę.

— Ciebie?

— I jego. — Wyjął mały pistolet zza paska, który nosił na biodrach. — Śliczny, prawda?

Nigdy bez niego nie podróżuję. Zgrabny, wygląda niepozornie, ale godzi śmiertelnie. Nie miałiby z nami żadnych szans, jeśli chcesz wiedzieć.

Jechaliśmy przez busz.

— Gospoda Trantów jest jakieś piętnaście mil stąd — powiedział Joss. — Konie będą już potrzebowały odpoczynku, gdy tam dołączymy, zresztą my także.

Rozglądałam się po okolicy — dzika, wyglądała niezmiernie interesująco.

— Co to za blado wyglądające drzewa? — spytałam.

— Eukaliptusy zwane duchami. Niektórzy wierzą, że dusza tego, kto zginie tragicznie w buszu, zamieszkuje w pniu takiego drzewa, a gdzie jest jeden „duch”, z czasem przybywa ich coraz więcej. Gdybyś je zobaczyła w świetle księżyca, uwierzyłabyś tym opowieściom. Są ludzie, którzy za żadne skarby świata nie przejdą po zmierzchu w pobliżu tych drzew. Uważają, że gałęzie zamieniają się w ramiona, a o świcie... obok starych drzew stoi jedno nowe.

— Każdy kraj ma swoje legendy.

— A tutaj ludzie są bardzo związani z przyrodą.

Nagle usłyszałam dochodzący z góry przerażający chichot. Ze strachu aż skuliłam się w siodle. Joss zauważył to i zaczął się śmiać.

— To tylko kukabura — rzekł — czyli zimorodek olbrzym. O, a tam drugi. Zwykle żyją parami. Tym ptakom życie wydaje się chyba zabawne. Często będziesz je słyszała wokół

Pawiego Domu.

Jechaliśmy wyschniętymi strumykami i wąwozami.

— Dzikie kwiaty byłyby jak z obrazka, gdyby nie susza — rzekł Joss.

Koło siódmej zatrzymał się na niewielkim pagórku i rozejrzał wokoło.

— Stąd powinno być widać gospodę Trantów. Jest zbudowana w niecce.

— Zaraz zrobi się ciemno.

— Tak. Chciałbym tam dotrzeć przed zachodem słońca. Busz bywa zdradziecki. Naturalnie dobrze go znam, ale nawet starzy wyjadacze gubią się w nim czasem. Musisz być bardzo ostrożna i nigdy nie jechać przez busz sama. Widzisz, krajobraz prawie w ogóle się nie zmienia.

Znam ludzi, którzy doświadczyli, jak jest zdradliwy — przemierzali mile, a okazywało się, że krążą w kółko. Trudno znaleźć punkt odniesienia, bo wszystko tu jest identyczne. A więc miej się na baczności. Zdaje się, że widzę dom Trantów. Spójrz, tam w dole.

Jechaliśmy dalej. Słońce chowało się powoli za horyzontem. Pokazały się pierwsze gwiazdy i widać było cienki sierp księżyca.

Joss puścił się galopem, ja za nim. Nagle zatrzymał się.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Patrz tylko!

To był niesamowity widok. W bladym świetle księżyca i gwiazd zobaczyliśmy szkielet domu.

Joss pojechał naprzód, ja podążylam za nim ostrożnie, wybierając drogę między rzadkimi kępami trawy. Pożar strawił doszczętnie jedną stronę dwupiętrowego domu, a resztę poważnie uszkodził.

— Rozejrzyjmy się — powiedział Joss. — Zobaczmy, co tam jest.

Zsiedliśmy z koni i Joss przywiązał je do resztki żelaznego ogrodzenia.

— Idź ostrożnie — rzucił przez ramię.

Odwrócił się i wziął mnie za rękę. Stąpaliśmy razem po szerniałym przedsionku.

— Wszystko stracili — rzekł Joss. — Ciekawe, dokąd się wynieśli.

— Miejmy nadzieję, że uszli z życiem.

— Kto wie.

— Jak daleko do Miasteczka Kaprys?

— Ze trzydzieści mil. Zajazd u Trantów! Wszyscy się tu zatrzymywali. Ten dom był jak oaza na pustyni... nie ma tu żadnej ludzkiej siedziby w promieniu wielu mil.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

— Będziemy musieli zostać tutaj na noc. Konie nie mogą iść dalej. W pobliżu jest rzeka.

Miejmy nadzieję, że nie wyschła. Napoimy konie. Może znajdzie się trochę trawy, której nie dosięgły płomienie. Zaczekaj tu. Pójdę się rozejrzeć.

Przerażona stałam pośrodku spalonego domostwa. Co za tragedia! Wyczuwało się tchnienie zagłady, śmierci... Drżałam, poczułam nagle dokuczliwy chłód. Zdawało mi się, że jestem sam na sam ze śmiercią. Dotknęłam szerniałej ściany. To dawny salon, ludzie siedzieli tu, śmiali się, rozmawiali. W tych czterech ścianach płynęło ich życie. Wyobraziłam sobie, jak przyjechali z Anglii: osadnicy szukający lepszego życia wpadają na pomysł otwarcia zajazdu, by podróżujący przez busz ludzie mogli zatrzymać się na jedną lub dwie noce. Pewnie też uprawiali ziemię, bo inaczej trudno byłoby się im utrzymać. Mogli chodzić na spacer, nie napotyając żywej duszy...

nic tylko busz dookoła. Zastanawiałam się, czy bali się rabusiów. Te czarne ściany napawały mnie złym przeczuciem — zrozumiałam, co oznacza samotność w buszu.

Dostrzegłam resztki sprzętów: na pół spalony stół, kawałki metalu, które kiedyś mogły stanowić

elementy jakiejś instalacji, dwa świeczniki, lśniące dawniej pięknie wypolerowanym mosiądzem, cynowe pudło, takie samo, jakie miała w domu Maddy. Mówiła o nim zawsze „moje pudło” i trzymała w nim swój dobytek. Przywędrowało na Dębowe Pole razem z nią i miało jej towarzyszyć przez resztę życia. Nagle wyrosła obok mnie jakaś postać i aż dech mi zapało ze strachu.

— Przepraszam, że cię przestraszyłem — rzekł Joss. — Co się dzieje?

— To miejsce... jest przerażające.

— Nie zostało nic poza ścianami. Znalazłem strumień i na szczęście rośnie przy nim trochę trawy. Zaprowadzimy tam konie.

— Czy rzeczywiście zatrzymamy się tutaj?

— Jest to jednak jakieś schronienie. Nie mamy ekwipunku, by rozbić obóz.

— Czy nie możemy jechać dalej?

— Trzydzieści mil? Konie muszą odpocząć. Zostaniemy tu do wschodu słońca i ruszymy dalej. Zobaczmy, czy jest tutaj coś, co by się nam przydało. Tylko ostrożnie.

— Może w tym cynowym pudle — powiedziałam.

Idąc nadepnęłam na coś, co okazało się na pół wypaloną świeczką. Joss wziął ją w palce i powiedział:

— Ktoś musiał tu być niedawno i także nocował.

Przyjrzał się ogarkowi, wyjął zapałki i zapalił go. W nikłym świetle uniesionej w górę świeczki wszystko wyglądało jeszcze posępniej. Twarz Jossa także wyglądała inaczej. Była jakaś zmieniona, było w niej coś zagadkowego, a zarazem śmiesznego, gdy na mnie patrzył.

Zauważyłam, że jego uszy są duże i spiczasto zakończone — wyglądał jak satyr. Uchwyciłam jakiś błysk w jego oczach, który mógł świadczyć o tym, że Joss wcale nie był taki niezadowolony z położenia, w którym się znaleźliśmy. Czuałam zakłopotanie.

— Szczęście, że znaleźliśmy świecę — powiedziałam.

— Ciekawe, kto ją tu zostawił. Może jacyś rabusie?

— Dlaczego nie mieliby to być podróżni, tacy jak my?

— Mogli być i podróżni, oczywiście. — Poklepał się po pasie. — Ale widzisz, dlaczego warto być przygotowanym na wszystko. Nie bój się. Nie jesteś sama.

Patrzył mi prosto w oczy i miałam wrażenie, że zależy mu na moim lęku.

— Może coś jest w cynowym pudle — powiedziałam.

Podszedł do niego i dotknął stopą. Chyba oparło się płomieniom. Schylił się, otworzył je i, trzymając wysoko świecę, zajrzał do środka.

— O, patrz! Koc! Nie spalił się w cynowym pudle. Co za znalezisko! Będziemy mogli rozłożyć go na podłodze.

Wyciągnął go i powąchał.

— Czuć dymem. Podeszłam i wzięłam koc.

— Myślisz, że ktoś, kto używał świeczki, używał także koca?

— Kto wie. Ale nie możemy sobie pozwolić na grymasy. Ten koc jest nam potrzebny.

Wyciągając go spostrzegłam książkę, czy raczej brulion do zapisków. Podniosłam ją i otworzyłam. Widniał tam napis: „Zajazd Trantów, 1875. Ta książka jest własnością Jamesa i Ethel Trantów, którzy opuścili Anglię w 1873 roku i osiedli tutaj w domu, zwanym Zajazdem Trantów”.

Wyobrażałam sobie Jamesa i Ethel, jak pełni nadziei opuszczają ojczyznę i osiedlają się w tym odosobnionym miejscu. Przewracając kartki spostrzegłam, że brulion służył jako książka hotelowa. W jednej z kolumn były daty, w drugiej nazwiska gości, a w trzeciej uwagi. Były to zapisy w rodzaju: „Dziękuję Jamesowi i Ethel. Było wspaniale” albo „Moja trzecia wizyta — ten fakt świadczy sam za siebie”.

Odkrycie zapisków uczyniło dla mnie z Jamesa i Ethel ludzi z krwi i kości; miałam głęboką nadzieję, że zdołali się uratować.

Joss zaglądał mi przez ramię.

— O, tak. Rejestr gości. Spójrz na datę ostatniego wpisu. To nam wyjaśni, kiedy był pożar.

Przeczytałam, że jakiś Tom Best i Harry Wakers zatrzymali się tu przed trzema miesiącami.

— A więc całkiem niedawno — skomentował Joss.

— Ciekawe, co się stało z Trantami.

— Nie wiadomo. No, teraz trzeba odpocząć. Pamiętaj, wyruszamy o brzasku.

— Jakoś nie podoba mi się pomysł pozostania tutaj. Roześmiał się głośno.

— Tu przynajmniej znajdziemy schronienie. Dostyc prymitywne, ale schronienie. Jest woda dla koni i trochę trawy. I tak mamy szczęście. Wiem, że myślałaś o wygodnym łóżku, ale w buszu nie wszystko zawsze przebiega zgodnie z planem. Masz, trzymaj świecę.

Trzymałam świecę, a on rozkładał koc wprost na spalonej podłodze.

Wziął ode mnie świecę i nachyliwszy ją pozwolił, by parę kropel wosku spadło na podłogę, po czym postawił na tym miejscu ogarek, który natychmiast przylepił się do podłogi.

— Na jak długo starczy? — spytałam.

— Kilka godzin, jak dobrze pójdzie. To doprawdy zadziwiające zrządzenie losu, żeśmy ją znaleźli. Doceń szczęście, jakie ci sprzyja.

— Zawsze powinno się doceniać szczęście.

Siadłam na rozpostartym kocu, wciąż trzymając rejestr w dłoniach. Przewracałam kartki, patrząc bezmyślnie na nazwiska i uwagi. Nagle uderzyło mnie jedno z nich: „Desmond Dereham, czerwiec 1879. Z pewnością powrócę”.

— Co się stało? — spytał Joss.

— Mój ojciec był tutaj. Znalazłam jego nazwisko. Uważam, że ludzie powinni dowiedzieć się prawdy o tym, że Desmondowi Derehamowi nie udało się ukraść Zielonego Blasku, że Ben miał go cały czas. Ludzie powinni wiedzieć, iż należy teraz do nas.

— Zobaczymy. Nie chciałbym podejmować w tej sprawie pochopnych decyzji. Tak wiele od tego zależy.

Może ma rację, myślałam, może lepiej, że nikt nie wie, że sławny kamień jest nasz.

Znów zajrzałam do książki i zobaczyłam nazwisko Davida Croissanta.

— Jeszcze ktoś, kogo znamy — powiedziałam.

— Myślę, że znam wielu ludzi, którzy zapisali się w tej książce. Wszyscy korzystaliśmy z tego miejsca. Spróbujmy rozpalić ogień i zaparzyć herbatę. Myślałem, że ty i ja będziemy siedzieć przy gościnnym stole, a potem może nawet dzielić pokój, jak poprzedniej nocy. W tych zajazdach nie ma wielu pokoi. Nikt się tu nie troszczy o przesadne wygody. Krzesło było wściekle twarde. Powiedziałem sobie, że nie powtórzę tego doświadczenia, a tu przychodzi mi spędzić noc na cuchnącym dymem kocu w spalonym zajazdzie.

Wyciągnął się na kocu i patrzył w górę na to, co zostało po dachu, a co w blasku świecy przypominało prehistorycznego owada. Między krokwiami migotały gwiazdy.

— Całkiem niezłe wprowadzenie do tutejszego życia — powiedział. — Po czymś takim będziesz przygotowana na wszystko. Jesteś śpiąca? Ostatniej nocy nie spaliśmy zbyt dobrze, prawda? A mówili, że to takie wygodne łóżko...

Wysunął rękę i przyciągnął mnie bliżej siebie.

— Taki mały ten pled — powiedział cicho. Odsunęłam się na sam’ jego skraj.

— Rozczarowujesz mnie, Jessiko. Nie sądziłem, że tak łatwo cię przestraszyć. Czemu nie zdobędziesz się na odwagę? Dlaczego nie jesteś gotowa doświadczyć nowych przeżyć?

— Jakich przeżyć?

— Nie bardziej chciałem tego związku niż ty. Ale jesteśmy dwojgiem rozsądnych ludzi, którym dano wielką szansę. Małżeństwo dogadzało nam obojgu. Wiele byśmy stracili, gdybyśmy nie przystali na propozycję Bena. Jesteśmy małżeństwem, dlaczego mamy nie spróbować...

— Zamierzam nauczyć się o Towarzystwie wszystkiego, czego tylko mogę. Chcę być jego częścią.

— Nie to mam na myśli. Jesteś przestraszona, nie wiesz co robić! Sama z mężem w spalonej gospodzie! Nie bądź dzieckiem, Jessiko. Jesteś przecież dorosłą kobietą.

— Obiecałeś! — zawołałam. — Powiedziałeś, że jesteś zbyt dumny...

— Jesteś najbardziej denerwującą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem.

— Bo cię nie chcę?

— Tak! — wykrzyknął. — Jak Boga kocham, żałuję...

— ...że nie odmówiłeś Benowi. Nie mogłeś odmówić. Chciałeś mieć Dębowe Pole, Pawi Dom i Zielony Blask. Na nieszczęście musisz mieć także mnie, bo taki był kontrakt. Byłbyś kontent, gdybyś mógł się mnie pozbyć. Dałeś mi to do zrozumienia. Nie jestem aż takim dzieckiem, żebym tego nie zauważyła. Przypuszczam, że jest ktoś inny, kogo chciałbyś poślubić.

To do ciebie podobne... skorzystać ze sposobności... Myślisz, że nie rozumiem. Rozumiem z każdym dniem coraz lepiej i nie podoba mi się to, co zauważam. Żałuję...

Wydało mi się, że widzę twarz Bena ostrzegającego mnie: „Powiedz prawdę, Jessie. Chciałaś resztę swoich dni spędzić w Domu Wdów?”

Joss wstał.

— Idę do koni — powiedział i poszedł, zostawiając mnie samą.

Rozglądałam się po spalonym domostwie i złe przeczucia znów mnie ogarnęły. On mnie nie chciał. Był na mnie obrażony. O ile wygodniej by się Jossowi żyło, gdybym nie stała mu na drodze. Chciał być wolny i niczego dla tej wolności nie stracić.

Słyszałam jego głos odbijający się echem w moich myślach: „Tu życie jest tanie”. Rabusie nie omijali tych stron. Jakże łatwo mógłby mnie zabić. Znalazłby tysiące alibi. Słyszałam, jak wyjaśnia: „Poszedłem do koni... gdy wróciłem, leżała martwa... uduszona... zastrzelona.

Bandyty kręcili się po okolicy. Bizuteria, którą miała na sobie, zniknęła... pieniądze także”.

Albo: „Nie przywykła do jazdy po takim terenie. Uczyłem ją jeździć w Anglii, ale to było zupełnie co innego. Spadła, skręciła kark... Pochowałem ją w pobliżu spalonej gospody...” Czy chciał się ze mną kochać? Chyba tak. Ben mówił, że on lubi kobiety. Chciał mnie uwieść i zabić. Są przecież tacy ludzie.

„Boże, pomóż mi!” wyszeptałam i zaraz pomyślałam, że znów zwracam się do Niego, gdy jestem w potrzebie. Jakiej pomocy mogę oczekiwać, skoro modłę się tylko wtedy, gdy czegoś chcę?

Coś dziwnego było w atmosferze tego miejsca. Czy ciemność, czy ostry zapach, czy niesamowitość. Był tu kiedyś mój ojciec. Gdzie może być teraz? Może nie żyje, a jego duch odwiedza to miejsce i mnie ostrzega. Jestem przecież jego córką.

Czy Joss rzeczywiście poszedł do koni, czy czai się gdzieś za moimi plecami?

Bzdury, pomyślałam, jest przecież twoim mężem.

Mężem, przymuszonym do małżeństwa. Chciał trzymać wszystko w swoich rękach, moje udziały także, musi więc mieć także mnie.

Nagle zamarłam. Ktoś skradał się przed wejściem do gospody. I nie były to kroki, które zmierzały do gospody od strony rzeki!

Zerwałam się. Dopadłam drzwi i skuliłam się za nimi. To, co zostało z drzwi, zaskrzypiało okropnie podczas otwierania.

Do środka wszedł mężczyzna. Słyszałam, jak zaczerpnął tchu i jęknął: „Dobry Boże...” Krzyknęłam, a on odwrócił się gwałtownie. Myślałam, że śnię. To był David Croissant.

— Pan Croissant... — wyjąkałam.

Popatrzył na mnie.

— Co... na miłość boską...

— Gospoda spłonęła — powiedziałam. — Joss i ja zamierzaliśmy tu przenocować.

— Słowo daję, to pani Madden. Pani tutaj, a gdzie Joss?

— Poszedł do koni.

Usłyszeliśmy zbliżającego się Jossa i David zawołał do niego.

Zaczęły się wyjaśnienia. Wsiadł na statek w Kapsztadzie w jakiś tydzień po nas. Jechał do Miasteczka Kaprys i zamierzał zatrzymać się u Trantów.

— Miałem nadzieję, że zjem wielki talerz gulaszu Ethel — mówił. — Konie też już miały na dzisiaj dość.

— Niesamowite, że się tu zjawiłeś — rzekł Joss. — Wiesz, widzieliśmy twoje nazwisko w rejestrze gości, który tu znaleźliśmy.

— Nic dziwnego. Często się tu zatrzymywałem. To była najwygodniejsza gospoda w promieniu wielu mil. Ciekaw jestem, co się dzieje z tymi biedakami, z Ethel i Jamesem.

— Chodź, pokażę ci, gdzie zostawiłem konie. Całkiem dobre miejsce. Co masz w bagażach?

— Zobaczymy — powiedział David i poszedł z Jossem w stronę rzeki.

Doznałam wielkiej ulgi — nie musiałam być sama z moim mężem.

Mężczyźni niebawem wrócili, Joss rozpalił ogień i zagotował wodę na herbatę. David wyjął zimnego kurczaka i placki kukurydziane — zjadaliśmy z apetytem.

David opowiadał, jak zatrzymywał się u Trantów.

— Często tu bywałem. Raz spotkałem Desmonda Derehama. Co też się z nim dzieje? Gdzie się podziewa z Zielonym Blaskiem? Nigdy nie zapomnimy tego nazwiska.

— Póki żyją ludzie, którzy wiedzą, że Miasteczko Kaprys zostało tak nazwane na jego cześć.

— Tak, Kaprys Desmonda. Tak się z początku mówiło, pani Madden, zanim zaczęło się tu cokolwiek dziać. Jeszcze zanim się zhańbił, kradnąc Zielony Blask. Chciałbym wiedzieć, co się stało z Derehamem i z kamieniem. Taki opał nie powinien pójść w zapomnienie. Ciekawe, czy go kiedy zobaczymy.

— Kto wie? — powiedział Joss.

Zamiast krzyczeć, że mój ojciec nie ukradł kamienia, mogłam jedynie milczeć.

Powstrzymałam mnie fakt, że — jak twierdził Ben — mój ojciec zamierzał go ukraść.

David Croissant miał z sobą kilka koców, dzięki czemu mogliśmy spać wygodniej w spalonej gospodzie.

Wyruszyliśmy o brzasku — jechałam między Jossem i Davidem ku wschodzącemu słońcu.

Tego samego dnia dotarliśmy do miasteczka, którego nazwa wiązała się z moim ojcem, z jego przeświadczeniem, że znalazł teren bogaty w opale. Tego dnia zobaczyłam Pawi Dom.

Pawi Dom

Miasteczko Kaprys wyrastało po obu stronach strumienia, który szczęśliwym zrządzeniem losu znajdował się w pobliżu opalowego terenu. Niektórzy robotnicy mieszkali w namiotach z perkalu, inni w chatach z drewna albo cegieł z prymitywnymi paleniskami z gliny lub kory.

Sklepy wyglądały jak szalasy, otwarte z jednej strony, tak by towary były widoczne. Po bezkresnych otwartych przestrzeniach osada robiła przygnębiające wrażenie.

Przyjechaliśmy późnym popołudniem, a ogólne zainteresowanie naszym przybyciem świadczyło o rzadkości jakichkolwiek wizyt. Dzieci wybiegały z domów i gapiły się na nas —

większość dosyć zaniedbana, i nic dziwnego, skoro mieszkwały w tych namiotach i chatach.

Jakiś mężczyzna zawołał do Jossa:

— Miło widzieć pana znowu!

— Dziękuję, Mac.

— Przykro nam z powodu pana Hennikera.

Joss odpowiedział, że to rzeczywiście bardzo smutne.

Pawi Dom stał o dwie mile od miasteczka i bardzo się różnił od ubogiej osady. Skręciliśmy w bramę — przed nami była długa na ćwierć mili aleja prowadząca do domu, zbudowanego w starym stylu kolonialnym — domu dostojnego, lśniącego bielą w czystym powietrzu. Ganek i taras podtrzymywały zdobne kolumny, trochę w greckim stylu, lecz sam dom nie miał

określonego charakteru, miał w sobie i coś z gotyku, i z architektury czasów królowej Anny, i coś ze stylu elżbietańskiego, trzeba jednak przyznać, że cała ta mieszanina miała swój urok.

Jak na zawołanie pojawił się na trawniku paw, za nim podążała potulna mała pawica. Paw defilował dumnie obok tarasu, jakby oczekiwał należnych zachwytów. Troskliwie pielęgnowana trawa zdawała się rosnać tu od setek lat. Na pierwszy rzut oka dom sprawiał wrażenie starodawnej rezydencji, którą naturalnie nie mógł być, ale też trudno by się domyślić, jaką epokę ma naśladować.

— Zabierz konie, Tom — powiedział Joss. — Kto jest w domu?

— Pani Laud, pan Jimson i panna Lillas.

— Niech ich ktoś zawiadomi, że przyjechaliśmy.

Zsiedliśmy z koni. Joss wziął mnie pod ramię, gdy wchodziliśmy po schodach ganku. David Croissant podążał za nami. Drzwi były otwarte, weszliśmy do holu.

W środku panował chłód dzięki drewnianym żaluzjom. Hol był duży, przestronny, z mozaiką pawioniebieskiej barwy na podłodze. Pośrodku, na wielkiej płycie, namalowano okazałego pawia.

— Motyw przewodni domu — wyjaśnił Joss, śledząc moje spojrzenie. — Ben postanowił

nazwać ten dom Pawim Domem i mieć wszędzie pełno tych dumnych stworzeń. Trzeba ci wiedzieć, że dom będzie należał do rodziny tak długo, jak długo będą tu pawie. Ben chciał, żeby każdy, kto wejdzie do środka wiedział, że jest w Pawim Domu, więc na każdym kroku jest coś, co o tym przypomina.

Z przestronnego holu prowadziły na górę szerokie schody. Spostrzegłam stojącą na ich szczycie kobietę. Musiała stać tam i patrzeć na nas od kilku chwil, słuchając wyjaśnień Jossa.

Joss zobaczył ją w tym samym momencie co ja.

— Ach, pani Laud — powiedział.

Zeszła na dół. Wysoka, smukła, o lekko siwiejących włosach z przedziałką pośrodku, zaczesanych do tyłu i upiętych w kok na karku. Miała na sobie szarą suknię pod szyję ze śnieżnobiałym kołnierzem i mankietami. Prostota sukni nadawała jej wygląd członkini towarzystwa pokutnego.

— Pani Laud — powiedział Joss — mam dla pani niespodziankę. Oto moja żona.

Kobieta zrobiła się blada jak ściana i chwyciła się poręczy, jakby miała upaść. Wyglądała na oszołomioną, ale wreszcie słaby uśmiezek zagościł na jej wargach.

— Pan znowu żartuje, panie Madden — powiedziała. Joss wziął mnie pod ramię, podeszliśmy nieco bliżej.

— Nie żartuję, prawda, Jessiko? Pobraliśmy się w Anglii. Ben był na naszym ślubie.

Powoli zeszła po schodach. Miała ściągniętą twarz i przez chwilę myślałam, że zaraz wybuchnie płaczem.

— Smutna wieść o śmierci pana Hennikera dotarła do nas dopiero przed tygodniem — powiedziała drżącym głosem. — Ale nic pan nie wspomniał o... ślubie.

— To miała być niespodzianka. Podeszła bliżej, a ja wyciągnęłam rękę.

— Co pani sobie o mnie pomyśli? Ale nie miałam pojęcia... Wszyscy jesteśmy tacy strapieni.

Straciliśmy drogiego przyjaciela i gospodarza.

— Podzielam ten smutek — powiedziałam. — Ja także straciłam w nim przyjaciela.

— Jest z nami pan Croissant, jak pani widzi — rzekł Joss. — Spotkaliśmy się po drodze z Sydney.

Czy Jimson i Liliias są w domu?

— Są tu gdzieś. Posłałam służącego, by ich poszukał. Na pewno zaraz przyjdą.

— Pani Laud powie ci o domu wszystko to, co cię interesuje — rzekł Joss.

— Jestem ciekawa wszystkiego.

Pani Laud uśmiechnęła się do mnie ujmująco. Pamiętałam, co Ben mi o niej opowiadał, i spodziewałam się osoby bardziej despotycznej. Ona tymczasem była delikatna, jej głos brzmiał miękko i kojąco.

— Czas coś przekąsić — rzekł Joss.

— O czymże ja myślę? — Pani Laud uniosła ręce w geście bezradności. — Jestem wstrząśnięta... Najpierw śmierć pana Hennikera...

— Później mój ożenek — rzekł Joss. — Przyzwyczaj się pani. Wszyscy się przyzwyczajamy.

— Powiem, żeby przygotowano herbatę — rzekła. — Kolację podamy za godzinę, chyba że wola państwo wcześniej.

— Jedliśmy po drodze kurczaka i placki kukurydziane — powiedział Joss — chętnie więc napijemy się herbaty i zaczekamy na kolację.

Pani Laud otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w salonie. Miał wielkie okna sięgające od podłogi do pięknie ukształtowanego sklepienia. Przestronny, z zasłonami koloru pawich piór, zaciemniony opuszczonymi żaluzjami. Pani Laud zaraz je zresztą podniosła i pokój stał się o wiele jaśniejszy.

Mój wzrok natychmiast powędrował ku wiszącemu na ścianie obrazowi pawia. Joss także na niego spojrzał. Nasze oczy spotkały się i poczułam przepływającą między nami falę podniecenia.

W tym obrazie ukryty był Zielony Blask Zachodzącego Słońca. Obejrzymy go w pierwszym stosownym momencie. W salonie stał sekretarzyk, którego półki obito czarnym aksamitem.

Leżały na nich nie wypolerowane kamienie, różne rodzaje skał, w których widoczne były żyły opali.

Joss zobaczył, że im się przyglądam, i rzekł:

— To pomysł Bena. Każdy z tych kawałków coś dla niego znaczył. Pochodzą z różnych kopalń, które z jakichś powodów były dla niego ważne. A oto Jimson.

Jimson Laud był, jak mi się zdawało, w wieku Jossa. Miał w sobie tę samą delikatność co jego matka.

— Jimson, to jest moja żona — powiedział Joss.

Jimson był absolutnie oszołomiony. Joss uśmiechnął się do mnie szeroko, rozbawiony jego zdziwioną miną.

— Zdaje się, że ta wiadomość to dla was prawdziwe zaskoczenie. Jessika i ja pobraliśmy się przed wyjazdem z Anglii.

— Gra... gratulacje — powiedział Jimson.

— Dziękuję — odparłam.

— Miło mi panią poznać — zaczął ochłonawszy nieco i mówił dalej, jak byli wstrząśnięci wiadomością o śmierci Bena.

— Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci — powiedział Joss. — Nie było dla niego ratunku. Dlatego chciał, żebym przyjechał do Anglii.

— I tam poznał pan przyszłą żonę — powiedziała miękko pani Laud.

— Jimson pracuje w Towarzystwie — wyjaśniał Joss. — On i jego siostra, Liliias, mieszkają wraz z matką w jej apartamentach.

— To wielki dom — stwierdziłam.

— Pan Henniker życzył sobie, żeby było dużo pokoi gościnnych — powiedziała pani Laud — i często wszystkie były zajęte. A to moja córka, Liliias.

Jakże oni wszyscy byli do siebie podobni! Liliias wyglądała niby młodsza replika matki — łagodna, bezpretensjonalna.

— Liliias, to jest pani Madden... nasza nowa pani — powiedziała pani Laud.

Zdziwienie Liliias było nie mniejsze niż jej matki i brata. Uchwyciłam spojrzenie, które rzuciła Jossowi, i choć nie rozumiałam, co mogło oznaczać, byłam pewna, że Liliias nie cieszyła się z naszego związku. Jej spojrzenie było przelotne, zgasło, ledwie się pojawiło, a ona znów stała się potulną dziewczyną.

— Zostanie pan u nas trochę, panie Croissant? — spytała pani Laud.

— Na parę nocy, jak sędzę. Potem będę musiał wyruszyć do Melbourne.

— Czy wszystko szło jak należy podczas mojej nieobecności, pani Laud? — spytał Joss.

— W domu, a tylko o domu mogę mówić, wszystko w porządku.

Joss spojrzał na Jimsona, który powiedział:

— Było trochę problemów, jeśli chodzi o Towarzystwo, ale nic poważnego. Rozumiem, że będziesz jutro w miasteczku.

— Z pewnością — odparł Joss. — Jutro będzie pani musiała pokazać mojej żonie dom.

Pani Laud skinęła głową.

— To będzie dla mnie niezwykle interesujące — zwróciłam się do niej.

— Podano herbatę.

— Czy mogę nalać? — spytała pani Laud.

— Sądzę, że moja żona zechce to zrobić — powiedział Joss, co zwalniało panią Laud z obowiązku przebywania z nami.

— Liliias dopilnuje przygotowania pokoi — powiedziała pani Laud.

— Porozmawiamy później, Jimson — rzekł Joss. — Opowiesz mi, co się wydarzyło.

Zostaliśmy sami z Davidem Croissantem. Ze sposobu, w jaki Joss spoglądał na obraz, wyczuwałam, że się niecierpliwi.

Ja też się niecierpliwiłam. Wkrótce miałam zobaczyć ów cudowny Zielony Blask.

David opowiadał o kamieniach, które z sobą przywiózł. Niektóre widzieliśmy już w Kapsztadzie. Mówił, że nie może się doczekać, żeby zobaczyć, co wydobyto w Kaprysie.

— Ja także — powiedział Joss.

Skończyliśmy herbatę i Joss zabrał mnie na górę. Gdy wchodziliśmy po schodach, odezwał się:

— Widziałem, jak spoglądałaś na obraz. Czy myślałaś o tym samym co ja?

— Tak sądzę.

— Zajrzemy tam przy pierwszej sposobności. Zamkniemy się na klucz, nie chciałbym, żeby nam ktoś przeszkodził. Nie bardzo chcę to zrobić, póki David Croissant jest u nas. Ma nosa, jeśli chodzi o opale. Myślę, że on go czuł w tym pokoju. Zaczekamy na stosowny moment. A co myślisz o domu?

— Widziałam zaledwie jego cząstkę.

— Nie można go porównywać z domem twoich przodków, naturalnie, ale tylko niewiele mu ustępuje. Jestem przekonany, że Ben myślał o Dębowym Dworze, gdy projektował ten dom.

Dostrzeżesz wiele podobieństw. Mówi się, że naśladownictwo to najwyższa forma pochlebstwa.

A ten dom niewątpliwie schlebia Dworowi. Powinnaś go więc polubić.

— To, co widziałam dotychczas, bardzo mi się podobało.

— Ale musisz powstrzymać się od osądu, póki nie obejrzysz wszystkiego. Zgodnie z obyczajem powinienem był przenieść cię przez próg.

Zignorowałam tę uwagę.

— Co sądzisz o Laudach? — spytał.

— Są bardzo bezpretensjonalni... gotowi zadowalać innych.

— Laudowie w Pawim Domu to prawie instytucja. Pani Laud zaczęła tu pracować dwadzieścia siedem lat temu. Była wdową z dwójką dzieci. Jej mąż przyjechał do Australii po złoto, ale nie miał szczęścia. Umarł i zostawił ją bez grosza. Ben przyjął ich do siebie. Liliś miała wówczas roczek, a Jimson jakieś pięć lat. Pani Laud była kimś więcej niż gospodynią.

— Rozumiem.

— Ona i Ben bardzo się przyjaźnili swego czasu. — Masz na myśli...

Spojrzał na mnie z błyskiem złości w oku.

— Nie zrozumiesz — rzekł.

— Rozumiem... doskonale — odparowałam.

— To dało Laudom mocną pozycję. Jimson został przyjęty do pracy w Towarzystwie. Jest dobry w rachunkach. Całkiem niezły pracownik z niego... ale bez inicjatywy.

— A Liliś?

— Miła dziewczyna... zdolniejsza, niżbyś przypuszczała.

— Skąd wiesz, co ja przypuszczam?

— Moja droga żono, czytam w twoich myślach jak w otwartej książce. Widziałem, jak badawczo się jej przyglądałaś.

— Zdaje się, że chętnie spełnia każde twoje życzenie. Czy dlatego tak wysoko ją oceniasz?

— Oczywiście. To świadczy o jej rozsądku. Ach, przygotowali dla nas apartament małżeński.

Otworzył drzwi, chwycił mnie na rękę i wniósł do pokoju. Nie broniłam się, bo jak sądziłam, tego się spodziewałam. Czekałam spokojnie, aż postawi mnie na podłodze.

— Och, och — zawołał — znów ten sam błąd!

Patrzył na wielkie łożo z baldachimem z udanym przerażeniem.

— Ale jest i przebieralnia. — Wsunął rękę pod moje ramię i wprowadził mnie do niej. —

Przewidziana na takie okazje, kiedy coś się nie klei między poślubionymi kochankami. Ale to łożko nie wygląda na wygodne. Ponadto bliskość tych pomieszczeń byłaby ci nie w smak.

Podszedł do dzwonka i pociągnął za taśmę. Weszła Liliias. Podejrzewam, że nie była daleko.

— Liliias — zaczął Joss — czy mogłabyś przygotować mój dawny pokój? Będę go potrzebował.

Wyglądała na zdziwioną, ale spostrzegłam też chytry blask w jej oczach. Zaczęłam się zastanawiać, jakie stosunki łączą ją z Jossem.

— Zaraz się tym zajmę — powiedziała. Wyszła, a Joss zwrócił się do mnie:

— Widzisz, jaką konsternację wzbudzasz w nas wszystkich.

Nie odpowiedziałam. Paliły mnie policzki. Weszła pokojówka z ciepłą wodą.

— Zostawię cię teraz — powiedział Joss. — Przyjdę tuż przed kolacją.

Wyszedł. Zaczęłam rozglądać się po pokoju. Zasłony były jasnożółte, dywan nieco ciemniejszy, łożko przykryte bladożółtą kapą — cały pokój był mozaiką znakomicie dobranych odcieni żółci.

Naprawdę mi się podobało. Umyłam się, przebrałam w suknię z zielonego jedwabiu i rozmyślałam, kiedy nadejdzie reszta bagażu.

Podeszłam do okna i podniosłam żaluzje. Słońce natychmiast wdarło się do środka.

Wyjrzałam przez okno — w oddali widać było perkalowe namioty Miasteczka Kaprys.

Wyobrażałam sobie Bena, jak rozkoszuje się podobieństwami tego domu do Dębowego Dworu i wygląda przez okno na miasteczko, które narodziło się w marzeniach mojego ojca. „Ben, czy jesteś zadowolony?” wyszeptalam i przypomniałam sobie chwilę tamtego straszliwego lęku, którego doznałam w spalonej gospodzie. Wiedziałam, że ten lęk wciąż mi towarzyszy, czeka, by się wyłonić.

Tęskniłam do Bena. Chciałam mu wytłumaczyć, że gdy planował nasze losy, nie zdawał sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo mnie naraża, i zdawało mi się, że słyszę jego śmiech.

„Miałaś wolny wybór, nieprawdaż? Nie musiałaś przecież... Oboje chcieliście tego, co to małżeństwo miało wam dać. Masz, czego pragnęłaś, ale trzeba za to zapłacić”.

Och, Ben, myślałam, byłeś bezwzględny i twój syn jest taki sam. Twoje życie było trudne.

Niszczyłeś bezlitośnie tych, co ci stali na drodze. Czy pomyślałeś kiedyś, że ja mogę być przeszkodą dla Jossa?

Co za myśl czaiła się w mojej głowie od chwili tamtego koszmarnego snu? Ten sen był jak ostrzeżenie...

Gdy po mnie przyszedł, byłam gotowa. Czekałam.

— Laudowie jadają z nami — rzekł. — Tak było zawsze. Będziesz musiała ich polubić. Oni natomiast zrobią wszystko, by cię zadowolić. Pani Laud znakomicie zarządza domem. Możesz powierzyć jej wszystkie sprawy. Często mamy gości podczas posiłków. Z tym także doskonale sobie radzi.

Jadalnia była wyłożona boazerią, tak jak jadalnia w Dębowym Dworze. Wysokie okna, sięgające od podłogi do sufitu, miały niebieskie draperie oblamowane srebrem. Pośrodku stołu stał kandelabr, a na obu końcach dekoracje z rozmaitych liści, co wyglądało niezwykle efektownie. Pani Laud przygotowała wszystko z dużym smakiem.

Widziałam, jak jej bystre oczy lustrowały każdy szczegół, jakby raz jeszcze chciała się upewnić, czy wszystko jest w należyтым porządku. Najpierw była zupa, potem kurczaki —

podane bardzo wykwintnie.

Czułam się skrępowana. Wyczuwałam panujące przy stole napięcie. Miałam wrażenie, że wielu rzeczy będę musiała się nauczyć o swoim nowym domu. Zdawało mi się, że ukrywano coś, co bardzo zmieniłoby panującą atmosferę, gdyby wyszło na jaw. To było przykre uczucie. Wzrok Liliass, ilekroć na nią spojrzałam, utkwiony był we mnie. Uśmiechała się wtedy albo pośpiesznie spoglądała gdzie indziej, i pytałam samą siebie, czy mam rację, posądzając ją o to, że żywi głębokie uczucie do Jossa i że nasze małżeństwo jest dla niej wielkim ciosem.

Pani Laud dyskretnie kierowała służbą i miałam wrażenie, że niczego nie zaniedbała.

Tego wieczora przede wszystkim słuchałam, bo rozmowa dotyczyła wyłącznie Towarzystwa, o którym, rzecz jasna, miałam się wszystkiego nauczyć.

— Tom Paling — mówiła pani Laud — doznał poważnych obrażeń w wypadku, gdy jechał

dwukółką. Był tu, u nas, odwiedzić Jimsona i w drodze powrotnej do miasteczka urwało mu się koło. Omal nie zginął.

— Paling! — wykrzyknął Joss. — Dobry Boże! Mam nadzieję, że już wydobrzeał.

— Nie może chodzić. Jimson przejął jego obowiązki i... zdaje mi się, że cały dział pracuje lepiej niż kiedykolwiek, ale powiedz sam panu Maddenowi, Jimson.

— Wiesz, kiedy to się stało — zaczął Jimson — myśleliśmy, że z nim koniec. Uszkodził sobie kręgosłup. Jest teraz częściowo sparaliżowany. Od razu wziąłem na siebie jego robotę.

Joss był wyraźnie poruszony.

— Paling to jeden z najlepszych ludzi. A jego rodzina?

— Opiekujemy się nimi — powiedział Jimson. — Zobaczysz jutro, że jego dział też nie ucierpiał.

— Jimson pracował dniami i nocami — powiedziała pani Laud.

— Wstrząsające — mruczał Joss. — Co więcej?

— Gospodarstwo Trantów doszczętnie spłonęło — powiedziała Liliias.

— To wiemy — rzekł David Croissant. — Zajechaliśmy tam po drodze.

— Co się stało z Trantami? — spytał Joss. — Uratowali się, mam nadzieję.

— Na szczęście tak. Otworzyli w miasteczku jadłodajnię, która, jak się okazało, jest całkiem potrzebna.

— To musiał być dla nich dotkliwy cios.

— Rzeczywiście. James był zupełnie załamany, ale Ethel podnosiła go na duchu, wpadli na pomysł utworzenia jadłodajni i idzie im bardzo dobrze. Ci, co pracują w biurach, mogą wyskoczyć na chwilę i szybko coś przekąsić, dużo ludzi kupuje też gotowe dania na wynos.

— Czyli nie ma tego złego... — rzekł Joss.

— Myślę, że to się odnosi także do wypadku Toma Palinga — powiedziała pani Laud. —

Słyszałam, że dział nigdy tak dobrze nie pracował jak teraz, kiedy kieruje nim Jimson.

— Matczyne gadanie... — powiedział Jimson skromnie.

— Zobaczymy — rzekł Joss.

— Pomyślałam, że będzie pan chciał zaprosić na kolację Bannockow — ciągnęła pani Laud.

— Zobaczy się pan pewnie z Ezrą jutro w miasteczku, ale może chce pan ich zaprosić na wieczór.

— Iza zobaczy, co przywiozłem — dodał David Croissant.

— Tak, to dobra myśl — przyznał Joss. — Będzie wiele rzeczy do obgadania. Ezra Bannock

— Joss zwrócił się do mnie — jest naszym naczelnym dyrektorem. Mieszka niedaleko, jakieś pięć mil stąd. Prowadzą zajazd — on i jego żona Izabela.

— A więc jutro — powiedziała pani Laud.

— Świetnie — rzekł Joss.

— Och! — wykrzyknęła Liliast. — Nie powiedzieliśmy panu Maddenowi o Desmondzie Derehamie.

— Tak?

Wszyscy aż pochyliłi się do przodu w krzesłach — ja oczywiście także.

— Wiadomość przysłała od Trantów — powiedziała pani Laud.

— Ktoś się tam zatrzymał, tuż przed pożarem — mówił Jimson — ktoś, kto przyjechał z Ameryki i powiedział, że był tam z Desmondem Derehamem i że Desmond nie żyje. Byli przyjaciółmi, prowadzili razem interesy. Handlowali szlachetnymi kamieniami, głównie opalami.

Desmond, od pewnego czasu śmiertelnie chory na płuca, opowiedział temu człowiekowi jakąś dziwną historię o Zielonym Blasku.

— Jaką historię? — spytał Joss.

— Przysięgał, że go nie ukradł. Powiedział, że kusilo go, by to zrobić, a gdy spróbował, Ben go nakrył. Ben postawił mu warunek, że albo sprawę ujawni, albo niech Dereham zniknie bez śladu. Ben powiedział mu, że nie ma dla niego przyszłości w Australii — już on o to zadba.

Pojechał więc do Ameryki.

— I oczywiście całe miasto opowiada sobie tę historyjkę — rzekł Joss.

— Ludzie nie mówią o niczym innym — przytaknął Jimson. — Szczególnie, że Desmond Dereham twierdził, iż od tamtej nocy, gdy próbował ukraść kamień, prześladowały go same nieszczęścia. Mówił, że przez moment był właścicielem Zielonego Blasku. Trzymał go w dłoni, i gdyby Ben nie wszedł, kamień należałby do niego... dlatego zawsze miał go prześladować zły los.

— W takim razie — spytał David Croissant — gdzie jest Zielony Blask?

— Zgodnie z tym, co mówił Dereham, kamień nigdy nie przestał być własnością Bena —

powiedział Jimson. — Co oznacza, że jest albo w Anglii, albo tutaj — Jimson spojrzał na Jossę

— chyba że ty wiesz...

— Nie widziałem Zielonego Blasku od tamtej nocy, gdy miał być ukradzony — rzekł Joss.

— Mam nadzieję, że ludzie nie mówią za dużo o tym, że opale przynoszą nieszczęście. To źle wpływa na interesy. Powstrzymujcie takie gadanie, kiedy tylko możecie.

— Zielony Blask to cała historia — rzekł David Croissant.

— Nie mówmy już o tym — rzekł Joss.

— Ciekawe, czy ten facet powiedział prawdę — ciągnął David. — Jeśli tak, trzeba by znaleźć kryjówkę, w której Ben ukrył Zielony Blask.

— Zje pan jeszcze kawałek jabłecznika, panie Madden? — spytała pani Laud. — Zrobiłam ten przysmak specjalnie dla pana.

Joss zgodził się na dokładkę i zaczął opowiadać o naszej podróży. Było oczywiste, że nie życzy sobie rozmów o Zielonym Blasku.

Kawę podano w małym saloniku przy jadalni.

— Jutro — powiedział do mnie Joss — pani Laud pokaże ci dom, a ja pojedę do Miasteczka i zobaczę, co się działo podczas mojej nieobecności. Później wyjaśnię ci różne rzeczy związane z domem.

— Znakomicie — odparłam.

* * *

Sypialnia wyglądała zupełnie inaczej przy świetle świec. Joss nazywał ten pokój sypialnią małżeńską, a łóżko pod baldachimem robiło przytłaczające wrażenie. Oczywiście pokój nigdy nie był małżeńską sypialnią. Dom zbudował Ben, a przecież Ben w ogóle nie był żonaty.

Usiadłam przy toalecie i wyjęłam spinki z włosów, które rozsypały mi się na ramiona.

Wracałam myślami do minionych zdarzeń, słyszałam strzępy odbytych rozmów. Laudo — wie, łagodni i bezpretensjonalni, ciekawili mnie. Było w nich coś, czego nie pojmowałam... czy mieli jakąś tajemnicę? Myślałam o Liliash, która tak bacznie mi się przyglądała. Czy łączyło ją coś z Jossem? Jimson sprawiał wrażenie dość potulnego, ale gdy mówili, jak to działa dobrze pracuje od czasu wypadku Toma Palinga... czy to nie było podejrzenie?

Z całą pewnością ja sama byłam nieco podenerwowana. Taki dziwny dzień, tyle się wydarzyło, nie mogłam jakoś zapanować nad wyobraźnią.

Zdjęłam suknię i włożyłam szlafrok — część mojej wyprawy, w którą babka uparła się mnie wyposażać. Był uszyty z czerwonego atlasu i sądziłam, że jest mi w nim do twarzy.

Usiadłam przed lustrem i zaczęłam szczotkować włosy. Patrzyło na mnie moje odbicie —

szeroko otwarte, nieco zalęknione oczy, uważne i wyczekujące... Widziałam też odbicie tego, co miałam za plecami: balasków łóżka, zasłon okiennych, ocienionych mebli, i myślałam o pokoiku w Domu Wdów, gdzie moja nieznośna praprababka, Margaret Clavering, spoglądając na mnie z góry miała mi być przestrogą. Jak wtedy było bezpiecznie! Bezpiecznie! To właśnie słowo mi się nasunęło.

Nagle zamarłam z przerażenia. Usłyszałam kroki na korytarzu. Ktoś skradał się ku moim drzwiom, ktoś zatrzymał się pod moimi drzwiami!

Uniosłam się w krzesło, usłyszałam ciche pukanie.

— Kto tam? — zawołałam.

Drzwi się otwały i stanął w nich Joss ze świecą w srebrnym lichtarzu.

— Czego chcesz? — wykrzyknęłam przerażona.

— Porozmawiać o Zielonym Blasku. Myślę, że powinniśmy go odnaleźć.

— Teraz?

— Wszyscy śpią. Zamierzałem wstrzymać się z tym do wyjazdu Croissanta, ale zmieniłem zamiar. Nie mogę się doczekać, by go zobaczyć, a ty?

— Ja też nie mogę się doczekać.

— Wobec tego teraz jest najlepsza pora. Chodźmy na dół.

— A gdy go znajdziemy?

— Zostawimy kamień na miejscu, póki nie postanowimy, co z nim dalej zrobić. Chodźmy.

Owinęłam się ciaśniej szlafrokiem i poszłam za Jossem. Zamknął drzwi na klucz i zapalił więcej świec. Podeszedł do obrazu, zdjął go ze ściany i położył na stole.

— Sprężyna, o której mówił Ben, musi być gdzieś tutaj — rzekł. — Niełatwo ją znaleźć, oczywiście. I tak powinno być. Trzymaj świecę wyżej.

Minęło kilka minut, nim wykrzyknął:

— Mam ją. Tył odchodzi jak trzeba.

W prawym rogu obrazu ukazało się wgłębienie, duże na tyle, by pomieścić spory opal. Joss sięgnął do zagłębienia z niecierpliwością.

— Jessiko — wyszeptał z nutą podniecenia w głosie — zobaczysz coś wspaniałego, nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałaś.

Nagle znieruchomiał.

— Niemożliwe... Tu nic nie ma. Dotknij. Zobacz.

Wetknęłam palce do otworu. Był pusty.

— Ktoś nas uprzedził — rzekł krótko Joss.

Staliśmy spoglądając po sobie, gdy nagle spostrzegłam cień przemykający pod oknem.

Odwrociłam się gwałtownie, ale nikogo nie było widać.

— Co się stało? — spytał Joss.

— Wydawało mi się, że ktoś był przy oknie.

Wziął ode mnie świecę i wyjrzał.

— Zaczekaj chwilę — rzekł.

Otworzył drzwi z klucza i pośpiesznie, przez hol, wyszedł na zewnątrz. Widziałam, jak przechodzi za oknem. Spoglądałam ukradkiem przez ramię, spodziewając się... sama nie wiem czego.

Wkrótce wrócił.

— Nikogo nie ma. Musiało ci się wydawać.

— Możliwe — przyznałam — choć dałabym sobie głowę uciąć...

— Kto mógł wiedzieć?... — mruzczał, ale zaraz odzyskał swadę. — Musimy się zastanowić, co zrobimy. Wygląda na to, że ktoś odnalazł schowek przed nami. Trzeba się dowiedzieć kto, i gdzie jest opał.

— W jaki sposób?

— Nie wiem. Teraz możemy co najwyżej powiesić obraz z powrotem na miejsce i iść spać.

Jutro pomyślę, jak się do tego zabrać.

— To musiał być ktoś z domowników, albo ktoś, kto tu bywał... ktoś, kto zna dom.

— Ben robił różne zwody. Zastanawiam się, czy w ogóle włożył kamień do skrytki.

— Więc dlaczego powiedział nam, że włożył?

— Nie wiem. To zagadka. Najprawdopodobniej Blask został skradziony. Teraz nic nie wymyślimy.

Zamknął skrytkę i powiesił *Pawia* na ścianie. Dumny ptak znów spoglądał na pokój, jakby nie myślał o niczym innym poza swoją urodą.

— Zaprowadzę cię do pokoju — rzekł Joss. Pożegnał mnie pod drzwiami. Zrozumiała rzecz, spędziłam bezsenłą noc.

* * *

Kiedy wstałam następnego ranka, Joss, Jimson Laud i David Croissant już wyjechali do Miasteczka

Kaprys. Wciąż byłam oszołomiona wydarzeniami poprzedniego dnia —

ukoronowanymi odkryciem, że wspaniały opal zniknął.

Pani Laud czekała na mnie, gdy zesłam na dół.

— Pan Henniker życzył sobie, byśmy podtrzymywali angielskie obyczaje — powiedziała. —

Na śniadanie podajemy więc bekon, jaja i cynadry. Proszę się częstować, wszystko stoi na kredensie.

Poczęstowałam się.

— Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

— Tak, dziękuję — jeśli można dobrze spać na nowym miejscu.

— I na dodatek w obcym kraju.

— Wkrótce się przyzwyczaję.

— Panu Maddenowi bardzo zależy na tym, żebym wszystko pani pokazała, i jeśli będzie pani chciała coś zmienić, proszę tylko powiedzieć. Prowadzę ten dom od dwudziestu siedmiu lat. Pan Henniker był dla nas zawsze bardzo łaskawy. Wielką pomocą jest mi moja córka, Lillas. To duży dom i wielu ludzi go odwiedza. Kupcy i inne osoby, które przyjeżdżają w interesach, zawsze się u nas zatrzymują, czasem tylko stają u Bannocków, Dyrektorzy z Towarzystwa zapraszani są na kolacje bardzo często, zwłaszcza gdy trzeba przedyskutować jakieś ważne sprawy. Organizujemy też różne spotkania... przyjęcia, można powiedzieć. Pan Henniker bardzo lubił otaczać się ludźmi. Bannockowie są naszymi częstymi gośćmi.

— Poznam ich wieczorem, prawda?

— Tak.

Zacisnęła usta, niezauważalnie, ale dostrzegłam ten drobny grymas. Wyglądało na to, że jest coś, co się z nimi wiąże, a co jej się nie podoba.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, pan Bannock jest naczelnym dyrektorem.

— Tak. Mówią o nim, że bardzo dużo wie o opalach. Wszyscy w Towarzystwie dużo o nich wiedzą, ale niektórzy mają szczególnego nosa. Jego żona natomiast kolekcjonuje opale.

— Cieszę się, że ich poznam. W jakim są wieku?

— On ma jakieś czterdzieści pięć lat. Ona jest dużo młodsza... z dziesięć lat... choć się nie przyznaje.

Znów zauważyłam ten grymas na jej ustach. Uznałam, że nie jest aż tak spokojna, jaką stara się być.

Robi wszystko, by skryć swe uczucia.

Skończyłam śniadanie i poszliśmy obejrzeć dom. Trochę się cieszyłam, a trochę smuciłam, bo wszystko żywo przypominało mi Bena. Próbował zrobić z tego domu Dębowy Dwór, co naturalnie nie mogło mu się udać. Pokoje były przestronne. Do salonu — nie mogłam nie spojrzeć na wiszącego na ścianie *Pawia*, gdy tam weszliśmy — przylegał gabinet. We wszystkich oknach wisiały żaluzje, chroniące przed nieznośnymi promieniami słońca.

Pani Laud prowadziła mnie przez niezliczone pokoje, aż w końcu weszliśmy do galerii, która była wierną kopią galerii ze Dworu.

— To duma pana Hennikera — oznajmiła pani Laud. — Starał się, by była dokładnie taka sama jak w jego angielskim domu.

— I jest — stwierdziłam. — O, widzę i szpinet.

— Pan Henniker przywiózł go z Anglii. Grywała na nim osoba, wobec której żywił serdeczne uczucia. Ale ona umarła. Przywiózł go więc tutaj.

Byłam wzruszona. To ten sam szpinet, o którym wspominała w liście moja matka. Grywała na nim, a gdy ktoś wchodził, chowała się, aż służący zaczęli uważać galerię za nawiedzoną.

Ben musiał być bardzo sentymentalny.

Potem Pani Laud zaprowadziła mnie do kuchni i przedstawiła kilkorgu służącym. Paru z nich było aborygenami.

— Nieźle pracują — powiedziała, gdy wyszliśmy do ogrodu — ale co pewien czas nachodzi ich nieodparta potrzeba „pochodzenia”, jak to nazywają. Zostawiają wtedy wszystko i odchodzą.

Nie można na nich polegać. Pan Henniker zarzekał się, że nie będzie ich ^przyjmował z powrotem... lecz często dawał się ubłagać. \

Wyszliśmy do otoczone murem ogrodu angielskiego, który był urządzone w stylu elżbietańskim, dokładnie tak samo jak ogród w Dębowym Dworze.

— Zwykł mawiać, że ma tu kawałek Anglii. Niełatwy kawałek — przy tutejszych suszach, ale lubił, by ogród przypominał tamte ogrody. Przy altance rośnie *passiflora*, pan Henniker posadził

tam także powój, żeby było bardziej swojsko. Musi też pani zobaczyć sad.

Rosły w nim pomarańcze, cytryny, figi, gruszle i rajskie banany.

— Pan Henniker miał wiele jabłoni, ale zawsze mówił, że tutejsze jabłka nie są tak smaczne jak angielskie.

— Wygląda na to, że bardzo tęsknił.

— Och, był człowiekiem, który potrafił robić wiele rzeczy naraz. Zamierzał przeżyć niejedno życie, i to równocześnie, ciesząc się na swój sposób każdym z nich.

— I chyba mu się to udało — powiedziałam.

— Był wspaniałym człowiekiem. Wielka szkoda, że natknął się w życiu na ten Zielony Blask.

Spojrzałam na nią czujnie, a ona spuściła oczy.

— On przynosi nieszczęście — powiedziała namiętnie. — Wszyscy wiedzą, że przynosi nieszczęście. Dlaczego chcą go mieć? Dlaczego nie zostawią go w spokoju?

— Słyszałam, że wzbudza fascynację.

— Ucieszyłam się, gdy mi powiedziano, że Desmond Dereham go ukradł. Tak, bardzo się ucieszyłam. Pomyślałam, że nieszczęście powędruje razem z nim. Ale później pan Henniker miał

wypadek i już nigdy nie wydobrzał. Aż umarł. Myślałam, że płaci za posiadanie kamienia w przeszłości... Ale skoro pan Henniker miał go przez cały ten czas, to wszystko jasne. I gdzie on teraz może być?

Spojrzała na mnie badawczo. Pokręciłam głową.

— Mógł cały czas być w domu. Nie podoba mi się to. Boję się tego kamienia. Jeszcze ściągnie na nas nieszczęście. Już ściągnął. Nie chcemy ich więcej.

Dziwiłam się, bo choć dokładała starań, by panować nad uczuciami, była poruszona.

— Nie wierzy pani chyba w te historie z nieszczęściami, pani Laud. Nie ma podstaw, żeby w nie wierzyć. One powstają z plotek i pogłosek.

Położyła rękę na moim ramieniu.

— Boję się tego kamienia, pani Madden. I pokładam nadzieję w Bogu, że się nigdy nie znajdzie.

Widziałam, że jest wytrącona z równowagi, podobnie jak ja po wczorajszym odkryciu, zaproponowałam więc, że pójdę do siebie i rozpakuję bagaże, które właśnie nadeszły.

Arlekin

Nie widziałam Jossa aż do wieczora. Po południu przysła Liliąs i spytała, czy może mi pomóc przy rozpakowywaniu rzeczy.

Podziękowałam mówiąc, że świetnie daję sobie radę sama, ona jednak usiadła i przypatrywała mi się, podziwiając ubrania, które wyjmowałam. Uważała, że są bardzo eleganckie i że z pewnością Iza Bannock będzie mi ich zazdrościła.

— Ona uważa się za *femme fatale* — dodała.

— A jest?

— Za taką ją uważają. Nie ma drugiej takiej kobiety w Miasteczku Kapryś ani w okolicy.

— Jestem jej bardzo ciekawa.

— Mam nadzieję, że to będzie interesująca znajomość. Mama pokazała pani dom, prawda?

— Tak. Jest niezwykły.

— Taki sam jak tamten w Anglii?

— Niezupełnie taki sam.

— Ale miał być taki sam.

Uśmiechnęłam się.

— Pan Henniker miał, jak sędzę, taki pomysł, ale potem zorientował się, że to nie wychodzi.

— Czekamy niecierpliwie, żeby nam pani powiedziała, co tu jest nie tak. Mam nadzieję, że nie uważa nas pani za zbyt pewnych siebie?

— Oczywiście, że nie.

— Mama zaczęła pracować w Pawim Domu, kiedy ja miałam dwa latka...nawet trochę mniej, a więc uważam ten dom za swój... Pan Henniker był dla nas zawsze bardzo dobry.

— I tak musi być... póki nie wyjdiesz za mąż.

Spuściła wzrok. To był nawyk, który odziedziczyła po matce.

— Byliśmy zaskoczeni. Nie mieliśmy pojęcia, że pan Madden zamierza się ożenić... w Anglii.

— Wiem, że to szok dla was wszystkich. Należało was uprzedzić.

— Nie nasza rzecz rozsądzać, co należy, a co nie należy.

— W każdym razie przykro mi, że nie dowiedzieliście się o tym zawczasu. Jestem pewna, że dobrze będzie nam się ze sobą układało.

— Mój brat, Jimson, świetnie wywiązuje się ze swoich obowiązków, szczególnie teraz, kiedy przejął pracę po Tomie Palingu. Jesteśmy pewni, że pan Madden będzie zadowolony.

— Dobrze się złożyło, że potrafi wykonywać tę pracę.

— O tak. Byłby kłopot, gdyby nie Jimson. Jesteśmy z niego dumne. Stanowimy bardzo kochającą się rodzinę. Jimson i ja nigdy nie zapomnimy, co zawdzięczamy matce. Ale zanudzam panią, pani Madden. Chciałam tylko powiedzieć, że zawsze chętnie we wszystkim pomogę. Czy ma pani dość miejsca na swoje rzeczy? Pan Madden, zdaje się, korzysta ze swojego pokoju.

Znów spuściła oczy. Czy chciała skryć triumf?

— Mam wystarczająco dużo miejsca — powiedziałam chłodno.

— Kolacja będzie o wpół do ósmej — rzekła. — Bannockowie przyjadą trochę wcześniej.

Czy zejdzie pani na dół, gdy będzie gotowa?

Powiedziałam, że zejdę, i Liliast zostawiła mnie samą. Chyba cieszyło ją, że Joss i ja nie dzielimy pokoju. Uwagi o Izie Bannock też były uszczypliwe.

Zaczęłam wyobrażać sobie różności. Jakieś tajemnice? Sekretne uczucia? Zbyt wiele wydarzyło się ostatnio w zbyt krótkim czasie. A dziwne odkrycie ostatniej nocy? Zastanawiające, co się w tym domu dzieje. I jeszcze ten drobiazg... ta myśl, że ktoś nas wczoraj obserwował zza okna, a jeśli tak, to musiał to być ktoś z domowników.

Ubrałam się, starannie dobierając suknię. Za najstosowniejszą uznałam tę z pawioniebieskiego jedwabiu, tę, o której babka mówiła, że będzie „dobra na szczególne okazje”. I zeszłam przywitać Bannocków.

Gdy weszłam, siedzieli w saloniku, sącząc aperitify. Joss podszedł do mnie i wziął mnie pod rękę.

— Chodź, Jessiko, poznaj Izę i Ezrę.

Nie od razu mogłam się jej przyjrzeć, bo Ezra, mocno zbudowany mężczyzna, ujął moją dłoń i omal jej nie zgniótł w przesadnie serdecznym uścisku.

— To się nazywa niespodzianka! — zawołał donośnym głosem. — Gratuluję, Joss. Wzięłaś sobie za żonę prawdziwą piękność.

Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować na to niezbyt zręczne powitanie, uśmiechnęłam się więc i powiedziałam, że miło mi go poznać, bo wiele o nim słyszałam.

— Nic złego, mam nadzieję! — wykrzyknął.

— Przeciwnie — powiedziałam.

— A to Iza — rzekł Joss.

Dobre kilka lat młodsza od męża, pomyślałam, gdy spojrzała na mnie łagodnymi oczami koloru topazów i przyglądała mi się badawczo. Przypominała tygrysię — miała mały nos, dość dużą górną wargę, brązowy odcień włosów, podobny do koloru oczu. Było w niej coś, co kojarzyło się z dżunglą, poruszała się jak kot, z dużą gracją. Tak, słowo, które najlepiej ją opisywało, to kocica.

— A więc Joss ma żonę — powiedziała. — Nigdy nie przypuszczaliśmy, że kiedykolwiek się ożeni. W jakiej tajemnicy to trzymał... całkiem nas zaskoczył. Mam nadzieję, że polubi pani to miejsce. Dobrze mieć w pobliżu jakąś kobietę. Brakuje ich tutaj. Wkrótce to pani dostrzeże. To nas czyni cenniejszymi niż gdziekolwiek indziej. Zgadzasz się, Davidzie?

Uśmiechnęła się do Davida, który sprawiał wrażenie obezwładnionego jej wdziękami.

— Myślę, że to zależy od kobiet.

— Bzdury! — odparła Iza. — Gdy czegoś brakuje, wartość tego czegoś automatycznie rośnie.

Jako kupiec powinieneś o tym wiedzieć.

David uśmiechnął się do niej szeroko. Wydawało się, że kupiecki zdrowy rozsądek odstępował go w obecności tej nimfy.

— Pozwoli pani, że podam coś do picia — zwróciła się do mnie pani Laud.

Dostałam aperitif. Iza mówiła:

— Co tam przywiozłeś w swoich workach, Davidzie? Nie mogę się doczekać.

— Pokażę wam wszystko po kolacji.

— Czarne opale dobrze się teraz sprzedają — powiedział Ezra. — Ale mam nadzieję, że nie zaleją rynku.

— Znaleźliście parę ładnych sztuk, jak rozumiem — wtrącił David.

— Jasne — powiedział Ezra. Iza uśmiechnęła się do mnie.

— Nie niecierpliwi pani czekanie? — spytała.

— Widziałam niektóre z nich, gdy spotkaliśmy się z panem Croissantem w Kapsztadzie. U państwa van der Stel.

Iza patrzyła rozmarzonymi oczyma.

— To musiały być niezwykle przeżycia. Miesiąc miodowy na morzu. Przyjazd do nowego kraju, do nowego domu. Jakie to romantyczne. I David, który pokazuje najpiękniejsze opale.

— Tak. Jeden z nich pamiętam szczególnie dobrze. To Arlekin. Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego.

— Arlekin! — wykrzyknęła Iza. — Jaka piękna nazwa! Chcę go zobaczyć. Masz go ze sobą, Davidzie?

— Zobaczysz po kolacji — obiecał Croissant.

— Czy rzeczywiście jest aż tak piękny?

— Osiągnie wysoką cenę — rzekł David.

— Opale to dla Davida sposób zarobkowania — zwróciła się do mnie Iza. — Nie interesuje go uroda kamieni, lecz jedynie ich rynkowa wartość. Ja przeciwnie. Ja kocham ich piękno.

Zwłaszcza opali. Ich ogień mnie ekscytuje. Jaki jest najwspanialszy opal, który wy, eksperci, kiedykolwiek widzieliście? Wiem, wiem — Zielony Blask Zachodzącego Słońca.

— Proszę do stołu — powiedziała pani Laud.

Joss usiadł u jednego szczytu stołu, ja u drugiego. Iza siedziała po jego prawej ręce, Ezra po mojej. Wkrótce stało się jasne, że uwaga mężczyzn skupia się na Izie, ona zaś zdawała się to uważać za rzecz całkiem naturalną. Drażnił mnie jej sposób bycia. Czułam się niezręcznie, odgadywałam, że jest świadoma sytuacji i bawi się nią, może nawet bardziej niż zwykle, z powodu mojej obecności.

Podano grube, soczyste steki z jarzynami, a potem galaretkę z passiflory, ale nie bardzo wiedziałam, co jem. Cała moja uwaga — podobnie jak mężczyzn — skupiała się na Izie, a ściślej na Izie i Jossie. Zauważyłam raz i drugi, jak Iza kładzie dłoń na jego dłoni, jak on się do niej uśmiecha. Miałam wrażenie, że pani Laud i Liliias obserwują mnie, by ocenić moje reakcje.

Ezra wyglądał na zadowolonego, że jego żona robi na otoczeniu takie wrażenie — z pewnością należał do jej najgorętszych adoratorów. Usiłowałam sobie wytłumaczyć, że Iza jest niemądrą frywolną kobietką, ale wiedziałam, że kryje się w niej coś jeszcze... Była tajemnicza, wyrafinowana i przebiegła. Gdy karciała Jossa za pośpieszne małżeństwo, o którym ich na dodatek nie zawiadomił, robiła to niby żartem, ale byłam święcie przekonana, że naprawdę czuła się urażona.

Wróciła do tematu Zielonego Blasku, powtórzyła opowieść o śmierci Desmonda Derehama w Ameryce i jego wyznaniach.

— Wszystko zatem wskazuje na to — powiedziała — że Ben miał ten kamień przez cały czas.

A jeśli tak, to co, u licha, się z nim dzieje?

Nastąpiła krótka cisza, po czym Joss, patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

— Przed śmiercią Ben powiedział mojej żonie i mnie, gdzie ukrył Zielony Blask. Pozostawił go nam obojgu.

Iza klasnęła w dłonie.

— Chcę go zobaczyć! Nie mogę dłużej czekać.

— Nie mogę ci go pokazać — rzekł Joss — ponieważ gdy zajrzeliśmy do skrytki, w której umieścił go Ben, już go tam nie było.

Pani Laud bardzo zbladła.

— Czy mam rozumieć, panie Madden, że on cały czas był w tym domu?

— Od chwili gdy Ben go tu umieścił. Później ktoś go musiał ukraść.

— A więc już go tu nie ma — powiedziała pani Laud cicho. — Dzięki ci, Boże!

— Nasłuchiwała się pani tych opowieści, pani Laud — rzekł Ezra. — O pięknych kamieniach zawsze coś tam się opowiada. To pożywka dla ludzkiej próżności. Ludzie nie mogą znieść, że ktoś cieszy się czymś, czego oni nie mają, i opowieści o nieszczęściach zaczynają krążyć. Ale, słowo daję, jak to się stało? Co zamierzasz zrobić, Joss?

— Zamierzam go odnaleźć, tylko gdzie mam zacząć szukać?

— Kto mógł wiedzieć, gdzie Ben go ukrył? — pytał Ezra. — Czy Ben komuś poza wami o nim powiedział?

— Na pewno nie. Nie powiedział nawet mnie. Dopiero na łożu śmierci wyjawiał to nam obojgu, Jessice i mnie.

— Gdzie był ukryty? — dopytywała się Iza.

— W ramie obrazu była skrytka.

— Jakie to podniecające i tajemnicze! — zawołała Iza. — Bardzo jestem ciekawa, kto go ukradł.

— Nie zazdrozczę temu komuś — mruknęła pani Laud.

— Oj, mam, zbyt dosłownie bierzesz plotki — rzekł Jim — son.

— Powiem jedno — zaczął Joss. — Mówiłem to już wcześniej i mam nadzieję, że nie będę musiał powtarzać raz jeszcze. Nie życzę sobie rozmów o kamieniach przynoszących nieszczęście. Ludzie mogą przestać kupować opale na skutek takich rozmów.

— Joss — wyszeptała Iza — jak będziesz szukał Zielonego Blasku?

— Z pewnością nie wywieszę kartki na słupie: „Złodziej, który ukradł drogocenny kamień z Pawiego Domu w ciągu ostatnich dwóch lat, proszony jest o zwrot klejnotu jego prawowitym właścicielom”.

— Jasne, więc jak zamierzasz go szukać?

— Zastanowię się, jedno, co wiem, to to, że chcę go odnaleźć.

— A gdy Joss czegoś chce, to tak będzie. Prawda, pani Madden? — Brązowe oczy drwiły sobie ze mnie. — Wkrótce się pani tego dowie — my wszyscy już to wiemy.

— Jestem pewna, że chce, i to bardzo.

— Nie chcę natomiast, by mówiono o tym w Miasteczku — rzekł Joss.

— Już się mówi, że Desmond Dereham go nie ukradł, a Ben nigdy go nie stracił — powiedział Ezra.

— Wiem. Temat wkrótce umrze śmiercią naturalną. Masz jakieś nowe konie, Ezra?

Podziwiałam, jak zdecydowanie potrafił zmienić tok rozmowy.

— Jednego czy dwa. Spodobają ci się, Joss. Zdobyłem prawdziwe чудо... siwą klacz. Ma na imię Dymna. Nigdy nie myślałem, że koń może być taki uczuciowy. Ona mnie naprawdę lubi.

— Wszystkie konie cię lubią — wtrącił Jimson. — Potrafisz z nimi postępować.

— Z końmi i z kobietami — powiedziała Iza spoglądając figlarnie na męża.

— Z końmi w każdym razie na pewno — odparł Ezra. — Masz dobrego konia dla pani Madden, Joss?

— Wybiorę coś w stajni. Muszę się rozejrzeć.

— Chciałbym podarować jej moją Dymną. Ona będzie w sam raz. Silna, zdecydowana, ale miękka w pysku. A jak jej szepnę słowo do uszka, będzie wyśmienita dla damy.

— To zbyt wielka hojność — powiedziałam. Ezra machnął ręką.

— Och, wszystko zostaje w firmie. Teraz pani należy do nas.

— Jestem niezmiernie wdzięczna...

— Pokocha ją pani. Ona jest naprawdę wspaniała i... taka dobra. Kto ją dobrze traktuje, tego i ona traktuje jak należy. A ja jej szepnę...

— To prawda — rzekł Jimson. — Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak umiał przemawiać do koni jak Ezra.

— To bardzo uprzejmie z pana strony. Dziękuję.

— A więc ustalone — podsumowała Iza. — Davidzie, nie mogę się doczekać obejrzenia twoich skarbów.

— Może zaraz po kawie — powiedziała pani Laud.

Iza z widoczną niecierpliwością czekała końca posiłku. Kawę podano w saloniku przy jadalni, a potem poszliśmy do dużego salonu, gdzie pod okiem dumnego pawia z obrazu David zasiadł

przy stole i rozwinął saszetki. Podniesiono żaluzje, by wpuścić do pokoju więcej światła zachodzącego słońca. W Pawim Domu nie było lamp gazowych, zapalono więc parę świec, by swym delikatnym światłem rozjaśniły pomieszczenie.

Siedzieliśmy przy okrągłym stole. Joss i Iza po bokach Davida Croissanta, ja obok Jossa, Ezra obok żony. Trójka Laudów siedziała razem. Zaczynałam przypuszczać, że czują się nieco skrępowani. Niby należeli do rodziny, lecz jednak nie całkiem — oni sami swoim sposobem bycia to podkreślali.

Pośrodku stołu stał kandelabr. Gdy Dawid rozwinął saszetki, klejnoty rozbłyły kolorami — byłam oczarowana ogniem kamieni.

— Widzę, że masz parę niezwykłych okazów, Davidzie — rzekł Ezra.

— Większość z południowej Australii w tej partii — objaśniał David. — Trudno zdobyte.

Tam nie mają takich dobrych warunków jak wy tutaj. Tam są same kamienie. Wszystko suche jak pieprz, dłubacze muszą się dobrze namęczyć — ani drewna na opał, ani wody.

— Uważajcie, próbuje podbić cenę — powiedział Ezra, mrugając porozumiewawczo.

— Tak, płaski teren pokryty kamieniami... — zwrócił się Joss do mnie. — Trudno żyć w takim otoczeniu, jak możesz sobie wyobrazić.

Ucieszyłam się niezmiernie, że Joss o mnie pamięta.

— Proszę, Davidzie — powiedziała władczo Iza — gdzie jest ten Arlekin, o którym tyle mówiliście?

— Wszystko w swoim czasie — odparł David. — Jeśli zobaczysz go jako pierwszy, nie będziesz wcale chciała oglądać pozostałych.

— Że też musisz tak się ze mną droczyć!

David rozwijał kolejne saszetki, mężczyźni oglądali opale, rozprawiając o ich wielkości, kolorze,

obróbce i różnych fachowych szczegółach.

— Proszę, Davidzie — jęknęła Iza — pozwól mi wreszcie obejrzeć Arlekina.

Dawid otworzył więc opakowanie i kamień w całej krasie ukazał się naszym oczom — jeszcze piękniejszy niż wtedy, gdy go widziałam poprzednio, może po prostu więcej wiedziałam teraz o opalach i lepiej potrafiłam oceniać ich zalety.

David uniósł kamień ku światłu, dotykał go ostrożnie — ciekawiło mnie, czy myśli o jego pięknie, czy o tym, ile za niego dostanie.

Iza niecierpliwie sięgnęła po kamień i położyła go sobie w zagłębieniu dłoni.

— Cudowny — jęknęła. — Niezwykle mi się podoba. Patrzcie na te barwy. Arlekin. Tak. Nic dziwnego, że Kolombina tak go kochała. Nieprawdopodobne kolory... — Uniosła głowę. —

Myślę, że to najpiękniejszy kamień, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Wyobrażam sobie, że wart jest sporą sumkę — rzekł Ezra.

— Dobrze sobie wyobrażasz — powiedział David.

— Wiele bym dała, żeby go mieć w swoich zbiorach — westchnęła Iza.

— Widzę, że muszę zacząć oszczędzać. Joss znowu zwrócił się do mnie i rzekł:

— Iza ma jedną z najwspanialszych kolekcji opali. Nie to, że chce się nimi przyozdobić.

Wyjmuje je, rozkłada i rozkoszuje się ich widokiem.

Iza roześmiała się, a jej kocią twarz ożywił wyraz, którego nie mogłam zgłębić. Jakby triumf, jakby żądza posiadania.

— To moje zabezpieczenie — powiedziała. — Jeśli Ezra zechce mnie kiedyś opuścić, może będę musiała zrobić z nich użytek.

— Myśli pani, że mógłby to uczynić? — nie odmówiłam sobie przyjemności pytania o to chłodnym tonem. Byłam nieco znużona jej wdziękami prezentowanymi tuż pod moim nosem.

— Tak, jakbym miał coś do gadania! — odezwał się Ezra z naiwną czułością. — Iza jest jak sroka. Ledwie usłyszy o najpiękniejszym kamieniu roku, zaraz chce go do swoich zbiorów.

— Och, jak bardzo bym chciała mieć ten kamień — powiedziała Iza. — Gdybym go miała, ci wszyscy mężczyźni o kupieckiej mentalności przestaliby go traktować tylko jak przedmiot nie przedstawiający sobą niczego poza określoną sumą pieniędzy. Rozumie pani, prawda, pani Madden?

— Oczywiście — odpowiedziałam.

— Taki kamień istotnie powinien się znaleźć w prywatnych zbiorach — rzekł Joss.

— Joss ma na myśli swoje zbiory, jak rozumiem — powiedziała zuchwale Iza.

Wymienili spojrzenie, którego nie potrafiłam zrozumieć, i Joss rzekł spokojnie:

— Właśnie się zastanawiam.

— Rzeczywiście — zwróciła się Iza do mnie. — W ciągu tych paru lat zgromadziłam trochę pięknych kamieni. Bardzo bym była rada pokazać je pani.

— Bardzo bym chciała je obejrzeć.

— Proszę nas odwiedzić. Mieszkamy zaledwie pięć mil stąd. Dymna panią przywiezie. Ona z radością odwiedzi Ezrę, a pani tymczasem obejrzy moje zbiory.

— Dziękuję.

Ociągając się, Iza odłożyła opal na jego atlasowe miejsce, a Dawid zawinął saszetkę.

Potem już wszystko zdawało się niesłychanie przyjemne.

Bannockowie wkrótce odjechali, Joss wyszedł, by ich pożegnać.

Poszłam do swojego pokoju i pogrążyłam się w rozmyślaniach o minionym wieczorze. Wciąż widziałam Izę wychyloną do przodu, trzymającą w dłoni Arlekina. Czułam, że było coś znaczącego w tej scenie... ci wszyscy ludzie siedzący wokół stołu, uwaga skupiona na kamieniu, siła ich spojrzeń, sposób, w jaki trzymali opale, sposób, w jaki o nich mówili, zupełnie jakby wierzyli w jakąś nadprzyrodzoną moc zawartą w blaskach opalowego ognia. Niby w greckim dramacie, pomyślałam, z Laudami w roli chóru. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że to wszystko nie było takie, na jakie z pozoru wyglądało. W moim nowym domu działo się coś tajemniczego.

Nie mogłam przestać myśleć o stosunku Izy do Jossa i Jossa do Izy. Ona była uwodzicielska z natury, ale jej zachowanie zdradzało głębsze uczucia. Żaden mężczyzna nie potrafił oprzeć się jej wdziękowi, nawet Jimson Laud, choć, jak zwykle, zachowywał się powściągliwie.

Femme fatale, powiedziała Liliás.

Byłam wściekła. Jak Iza śmie zachowywać się w ten sposób wobec mojego męża, i to w mojej obecności!

Po raz pierwszy nazwałam Jossa „moim mężem”.

Złość szybko minęła. Kobiety takie jak Iza po prostu są irytujące, ale nie obchodzi mnie, co łączy Izę z Jossem.

Kładłam się do łóżka, gdy przestraszyły mnie dochodzące z korytarza odgłosy. Zbliżyłam się do

drzwi i nasłuchiwałam. Ktoś się skradał... przystanął pod moimi drzwiami. Drżałam ze strachu. Ktoś stał za drzwiami i podsłuchiwał. Sięgnęłam do klucza i przekręciłam go szybko w zamku. Ktoś za drzwiami pewnie to usłyszał.

Przez kilka chwil panowała cisza. Potem usłyszałam odgłos oddalających się kroków.

Byłam wstrząśnięta i przerażona.

* * *

Następnego ranka, gdy zeszłam na śniadanie, zastałam Ezrę Bannocka siedzącego z Jossem przy stole. Zdziwiłam się, a Ezra przywitał mnie szerokim uśmiechem.

— Och, zdziwiona! — rzekł. — Pomyślałem sobie, że powinna pani poznać Dymną jak najprędzej. Powiedziałem jej o wszystkim i... zgodziła się. Z początku była nieco zbity z tropu, że ma się ze mną rozstać, ale wie, że ja tego chcę, więc jest posłuszna. Jak tylko pani coś przekąsi, pójdziemy do stajni i dokonamy uroczystej prezentacji. Chciałbym zobaczyć, jak sobie pani będzie z nią radzić.

— Pojedziemy więc razem — rzekł Joss — pokażę Jessice Miasteczko.

Polubiłam Dymną, ledwie ją zobaczyłam, ona mnie także. Rozbawił mnie sposób, w jaki Ezra poklepywał klacz i do niej przemawiał.

— No, staruszko, nic się nie martw, będziemy się często widywali. Ja tam, ty tu, nie szkodzi.

Miej baczenie na tę młodą damę. Niełatwe przed nią początki, więc miej to na względzie, dobra?

Dymna wtykała Ezzrze pysk pod ramię.

— Wiesz — ciągnął Ezra — ona dopiero co tu przyjechała, chcemy zrobić na niej dobre wrażenie. No! Poczciwe konisko!

Wyjął z kieszeni kostkę cukru i podał ją klaczy. Schrupała cukier z zadowoleniem.

Dosiadłam jej. Zdawała się łagodna, ale wyczuwałam, jaka jest ognista. Pochyliłam się i powiedziałam jej na ucho parę słów, starając się wypaść jak najlepiej, bo ona, zdaje się, właśnie oceniała moje umiejętności.

Wyjechaliśmy. Ezrę miałam po jednej stronie, Jossa po drugiej. Czułam ufność i wdzięczność wobec tego wielkiego mężczyzny, zastanawiałam się, dlaczego Iza za niego wyszła i jak on znosi jej zachowania.

Wkrótce ukazało się naszym oczom Miasteczko. Nie było piękne w żadnym tego słowa znaczeniu. Ze spalonej słońcem ziemi wyrastała byle jak budowana osada, otoczona ła — mówką perkalowych namiotów. Przed namiotami stały stoły na koziołkach i ławy. Na stołach porozstawiane były prymitywne urządzenia kuchenne.

— Parę rzeczy zapewne cię zdziwi — powiedział Joss — ale pamiętaj, że to miasto powstało w ciągu jednej nocy. Ludzie z namiotów nie są tu dostatecznie długo, by zdobyć solidniejszy dach nad głową. Niektórzy mają rodziny, co w jakiś sposób ułatwia im życie. Żony gotują i reperują ubrania, nie brak też zajęć dla dzieci.

Kilkoro maluchów wyszło przed namioty i patrzyło, jak jedziemy w stronę centrum osady.

Zabudowania po obu stronach drogi przypominały małe chatynki. Był między nimi także sklep, w którym sprzedawano wszystkie potrzebne mieszkańcom towary. Zauważyłam, że z wielkim szacunkiem zwracano się do Jossa i że moja osoba wzbudza ogromne zaciekawienie.

Znaleźliśmy się koło kuźni, gdzie kowal podkuwał kasztanowego wierzchowca.

— Dzień dobry, Joe! — zawołał Joss do kowala.

— Dzień dobry panu.

— To pani Madden, Joe, moja droga żona. Będzie twoją klientką.

Kowal postąpił naprzód, zacierając ręce.

— Witamy panią w Miasteczku — rzekł.

— Miło mi, Joe.

— Najlepsze życzenia, jeśli zechce je pani przyjąć.

— Oczywiście, że zechcę. Dziękuję, Joe.

— Dobrze, że się pan w końcu ożenił — stwierdził Joe. Joss zaśmiał się swoim krótkim śmiechem.

— Tak uważasz, Joe?

— Mężczyzna powinien założyć rodzinę, proszę pana, kiedy przestaje być chłopcem.

— Jak widzisz, Joe mówi, co myśli, prosto z mostu. Joe jest prawdziwym czarodziejem, jeśli o konie chodzi. Uważa, że konie są ważniejsze od wszystkich innych istot. Czyż nie tak, Joe?

— Ano, trudno by nam było bez nich.

— Racja. Przywiąż konie, Joe — powiedział Joss.

Ezra zsiadł ze swojego wierzchowca. Zauważyłam, jak do niego przemawiał. Nie zapomniał

też o Dymnej pytając ją, jak się jechało i czy nie uważa, że jestem lekka jak piórko, „nie to co stary Ezia, prawda?”

Dymna miłośnie ocierała się o niego pyskiem i znów dostała kawałek cukru.

Ezra pożegnał się i poszedł do biura, a Joss ujął mnie pod ramię i bez pośpiechu poszliśmy, jak mówił Joss, Ulicą. Joss przedstawił mnie kilku osobom. Było gorąco i dokuczały muchy. Joss śmiał się szeroko, gdy próbowałam je odganiać.

— To jeszcze nic wobec tego, co będzie później, w ciągu dnia — powiedział z pewną satysfakcją.
— I radzę, uważaj. Muchy przenoszą jaglicę, a to bardzo nieprzyjemna choroba.

— Zdaje się, że próbujesz mi obrzydzić to miejsce.

— Chcę jedynie pokazać ci jego prawdziwe barwy. Miałaś, zdaje się, o nim dość romantyczne wyobrażenie. Myślałaś, że będziemy spacerować w blasku słońca, zatrzymując się od czasu do czasu, by podnieść szczególnie cenny opał.

— Co za bzdury! Nic takiego sobie nie wyobrażałam. Ben dużo mi opowiadał. Wiem, na jakie niebezpieczeństwa narażają się poszukiwacze. Wypadek Bena wystarczył, żebym wiele pojęła.

— Nie patrz na mnie z taką złością — powiedział Joss. — Ludzie pomyślą, że się kłócimy.

— A nie kłócimy się?

— Ach, przyjacielska sprzeczka! Powinniśmy jednak robić dobre wrażenie. Nie wypada się kłócić nowożeńcom.

— A co to szkodzi?

— Szkodzi interesom — odpowiedział stanowczo. — Niesnaski nie służą interesom Towarzystwa.

— Nigdy nie myślisz o niczym innym poza Towarzystwem?

— Czasami myślę o innych rzeczach.

— Byłoby dobrze, gdybyś pozwolił mi mieć własne zdanie.

— Proszę bardzo. Miej własne zdanie.

Mężczyźni w chroniących przed słońcem, uplecionych z palmowych liści albo ze słomy kapeluszach z przyczepionymi u runda korkami, które podrygiwały przy każdym kroku i odstraszały muchy, szli w kierunku pola rozciągającego się za Miasteczkiem albo z pola wracali... Przyglądałam się spalonej ziemi, kopalnianym szybom i zwałom odpadów, które trzeba było usunąć, by dotrzeć do warstw, gdzie znajdowano opale.

— Pracuje tu prawie dwa tysiące ludzi — rzekł Joss z dumą. — Trzeba ich zaopatrzyć w towary, muszą więc być na miejscu kupcy. Jadłodajnia Trantów też bardzo się przydaje, jak słyszałem.

— Chciałabym ich poznać — powiedziałam.

— Wstąpimy do nich teraz, na pewno już na mnie czekają.

Poszliśmy dalej. W jednym z drewnianych domków poznałam Jamesa i Ethel Trantów. James siedział na zydlu i obierał ziemniaki. Zobaczywszy Jossa, skoczył na równe nogi.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Przykro mi, że to się stało — powiedział Joss.

James Trant pokiwał głową.

— Jakoś sobie radzimy. Nawet całkiem nieźle nam idzie.

— I z pożytkiem dla Miasteczka, jak słyszałem.

— Chcielibyśmy, żeby tak było. Mieliśmy szczęście, znajdując to miejsce. Pan Bannock nam je polecił.

— To dobrze. A to jest moja żona. Właśnie pokazuję jej Miasteczko.

James Trant uścisnął moją dłoń i powiedział:

— Witamy w Miasteczku! — i zaraz dodał, że idzie powiedzieć Ethel.

Ethel, okręcona wielkim fartuchem, wyszła wycierając uwalane mąką ręce w ścierkę.

Przedstawiono mnie jej i jeszcze raz oboje z Jossem powiedzieliśmy, jak było nam przykro, gdy dowiedzieliśmy się o nieszczęściu, które ich spotkało, i o tym, że spędziliśmy noc w ich spalonym domostwie.

— Nie wolno myśleć tylko o ciemnych stronach życia — powiedziała Ethel. — Nie ma nadziei na uratowanie drewnianego domu w buszu... a było tak sucho! Wydawało się, że wystarczy spojrzeć, by trawa zajęła się ogniem. Kiedy zobaczyłam ogień, wiedziałam, że nic nas nie uratuje. Ale i tak mieliśmy szczęście. Kiedy pan Bannock powiedział, że moglibyśmy zająć to miejsce na rogu i otworzyć jadłodajnię, zaczęło się znowu układać. Taka jadłodajnia była w Miasteczku potrzebna. A więc nie jest tak źle, prawda, James? Nawet się cieszę, że mogę tych ludzi karmić. Konia z kopytami by zjadł jeden z drugim. Przychodzą zmordowani po całym dniu, spragnieni takiego jedzenia, jakie mieli w starym kraju. Gulasz i rostbef, a kawałek krwistej, soczystej polędwicy, to już największy przysmak... moje pieczone kartofle w mundurkach też nie są złe... gulasz wołowy z cebulą i kluskami, i plackiem kukurydzianym do zagryzania... i herbata, no i, rzecz jasna, coś do herbaty.

James przerwał jej stwierdzeniem, że póki pole daje drogocenne opale, mogą być spokojni, że zarobią na życie.

— A to jeszcze na pewno kilka ładnych lat — powiedziała Ethel z głębokim przekonaniem.

— Z pewnością — potwierdził Joss.

— Dziwne, że zaledwie parę dni przed pożarem — mówiła dalej Ethel — przyjechał tamten

mężczyzna.

— Co za mężczyzna? — spytał Joss ostro.

— Ten, który był z Desmondem Derehamem w Ameryce. Powiedział, że Desmond nie ukradł Zielonego Blasku i że przez cały czas kamień był tu, w Australii. Ciekawam, czy to on przyniósł nam nieszczęście.

— Brednie — rzekł Joss.

— A jednak ja też tak uważam — przyznał się James.

— Mnie tam się to wydaje dziwne. Gdziekolwiek coś się dzieje z Zielonym Blaskiem, sypią się nieszczęścia. Weźmy chociażby pana Hennikera. Kto by pomyślał, że przydarzy mu się taki wypadek?

— Wypadek może się przytrafić każdemu i w każdym czasie — odparł Joss.

— Ale on miał Blask przez cały ten czas, jeśli wierzyć tamtemu człowiekowi. I najpierw wypadek, a teraz... nie żyje.

— Jeśli będziecie mówić o takich rzeczach, to straciecie jadłodajnię — powiedział Joss ze złością.

— Trzeba skończyć z gadaniem bzdur o nieszczęściach, i postaram się, by położyć temu kres.

James i Ethel byli zbici z tropu. Zrobiło mi się ich żal.

— Jestem przekonana, że nikt nie bierze serio tych opowieści — powiedziałam spokojnie.

— Ależ owszem — burknął Joss — i trzeba z tym skończyć.

Uśmiechnęłam się przepraszająco do Ethel i Jamesa.

— Musimy już iść — powiedział Joss.

Gdy oddaliliśmy się na tyle, by nas nie słyszeli, spytałam:

— Czy musiałeś być aż tak szorstki?

— Jak najbardziej.

— Ci biedni ludzie przeżyli wielką tragedię, a ty nie zdobyłeś się na zwykłą grzecność.

— Owszem, jestem wobec nich grzeczny. Takie rozmowy mogą doprowadzić do gwałtownego spadku cen opali, na czym ucierpi także jadłodajnia. Nie możemy do tego dopuścić.

— Rozumiem. Grzeczny, choć okrutny.

— Dokładnie tak. Masz coś przeciw temu?

— To rodzaj obłudy, którego szczególnie nie lubię.

— Teraz wszystko jest jasne.

— To znaczy co?

— To, że większości rzeczy ze mną związanych szczególnie nie lubisz.

Milczałam, a on ciągnął zjadliwie:

— Obawiam się, że nie masz odwrotu. Zgodziłaś się na warunki Bena. Pomyśl tylko... na wszystko... na mnie także. Przystałaś na to, że będziemy razem. Jak sobie pościelesz... —

zaśmiał się drwiąco. — Trzeba przyznać, że to przysłowie niefortunnie brzmi w naszej sytuacji.

— Wysłałam z domu tego ranka gotowa polubić wszystko, co zobaczę — powiedziałam ze złością — a ty mi to wszystko obrzydzasz.

— Czyż nie tak zawsze było? Byłoby lepiej, gdyby Ben wybrał dla ciebie miłego dżentelmena zamiast mnie. A tak... Zbyteczne szczęście czasem bardziej ciąży, niż cieszy. Jak widzisz, mam dziś skłonność do mówienia przysłowiami.

— Myślę — powiedziałam — że powinniśmy przynajmniej starać się zachowywać poprawnie, bez względu na niezadowolenie, które odczuwamy z powodu znalezienia się w sytuacji przykrej dla nas obojga.

— To taka stara, dobra angielska zasada — pokpiwał.

— Tak, nie najgorsza.

— Będiesz mi przykładem. A teraz załóżmy, że wszystko jest w porządku. Kto wie, może z czasem polubisz przebywanie między dłubaczami i szybami. Pewnego dnia będzie tu prawdziwe miasto z ratuszem i kościołem. Pozbędziemy się chat, zbudujemy domy, znikną namioty.

Wtenczas bardziej będzie ci się podobało.

— Może.

— Tutaj znajdują się biura Towarzystwa — powiedział, gdy weszliśmy do robiącego duże wrażenie, najokazalszego budynku w mieście. — Jesteś zapewne ciekawa, co tu się robi. Nie należy lekceważyć tego, w czym się ma udziały, prawda? Powoli będziesz wszystko poznawała, dzisiaj ograniczę się do przedstawienia ci pracowników...

— Mam nadzieję, że nie będą wobec mnie nieuprzejmi.

— Nieuprzejmi! Wobec mojej żony! Kto by się ośmielił! Miło było wejść do budynku —

skryć się przed słońcem i natrętnymi muchami.

Ludzie pracowali w kilku pomieszczeniach. I znów zauważyłam, z jakim respektem odnosili się do Jossa. Niewątpliwie też czuli przed nim lęk. Ezra zwołał zwierzchników poszczególnych działów do sali zarządu i wszyscy oni zostali mi przedstawieni.

— Pani Madden jest jednym z naszych dyrektorów — objaśnił Joss.

Obecnych było sześciu mężczyzn, wraz z Ezrą i Jimsonem Laudem. Z pozostałych najbardziej spodobał mi się Jeremy Dickson, blondyn o jasnej twarzy, od niedawna przebywający poza Anglią — może właśnie to nas jakoś łączyło.

Joss wyjaśnił mi, że wydobywanie kamieni z ziemi to dopiero początek całego procesu.

Później kamienie są sortowane według kategorii, cięte i wygładzane. Wszystkie te czynności wykonują fachowcy najwyższej klasy — niewielki błąd może bowiem oznaczać dużą stratę.

Siedliśmy wokół okrągłego stołu i Joss zaznajomił mężczyzn z ostatnią wolą Bena, powiedział, że swoje udziały w Towarzystwie Ben podzielił równo między nas oboje, co czyniło mnie ważną personą.

— Będiesz niewątpliwie chciała zapoznać się ze wszystkim, co się tu dzieje — zwrócił się na koniec do mnie. — Jeśli oczywiście zdecydujesz się aktywnie uczestniczyć w działalności Towarzystwa. Nie powinnaś się śpieszyć z podjęciem decyzji. Możesz naturalnie powierzyć mnie pieczę nad swoimi interesami.

— Sądzę, że będę chciała uczestniczyć w sprawach Towarzystwa razem z panami.

Moje słowa przyjęto oklaskami.

— Wobec tego — powiedział Joss — porozmawiajmy o tym, co się tu działo podczas mojej nieobecności. To będzie z pewnością dla ciebie pouczające.

Siedziałam i słuchałam, jak rozmawiają. Większości rzeczy w ogóle nie rozumiałam, ale byłam zdecydowana pokazać Jossowi, co potrafię. Zamierzałam zająć swoje miejsce w Towarzystwie i udowodnić tym panom, którzy — byłam tego pewna — uważali, że szybko się zniechęcę, że zmierzę się z trudnościami nie gorzej niż oni.

Rozmawiali ponad godzinę, a ja wcale nie czułam się mądrzejsza. Na koniec Joss spytał, czy chcę obejrzeć poszczególne działy, czy też wolę wrócić do domu — jeśli tak, poprosi kogoś, by mi towarzyszył.

Powiedziałam, że chcę zostać. Dostałam za przewodnika Jeremy'ego Dicksona, który miał

mnie później odwiedzić do domu, bo Joss planował zajęcia w Miasteczku do końca dnia.

Obejrzelismy pomieszczenie, gdzie sortuje się opale, i drugie, gdzie opale są wyglądane.

Jeremy objaśnił mi, jak ocenia się wartość opali. Nauczyłam się odróżniać kawałki skał, w których mogły kryć się opale pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. To była właśnie specjalność Jeremy'ego.

Fascynowała mnie praca robotników, którzy odcinali bezwartościowe kawałki skał i bardzo ostrożnie zdejmowali niepotrzebne warstwy, pod którymi ukazywały się piękne barwy. Jeden fałszywy ruch i drogocenny kamień mógł być stracony.

Później oglądałam opale oczyszczone z warstwy bezwartościowej ziemi, przepięknie błyszczące, i widziałam mężczyzn bliskich płaczu, gdy okazywało się, że piękny kamień, który mógłby zdobyć na rynku bardzo wysoką cenę, zawiera w sobie maleńkie ziarenka piasku, które czynią go całkowicie bezwartościowym.

To był niezwykle interesujący dzień, ale co do jednego Joss miał rację — nie mogłam nauczyć się wszystkiego naraz. Po tylu przeżyciach przy upalnej pogodzie byłam gotowa wracać do Pawiego Domu.

Dymna była posłuszna, gdy jej dosiadałam, chociaż wciąż miałam wrażenie, że wystawia mnie na próbę.

Miło mi się rozmawiało z Jeremym Dicksonem. Opowiadał mi o swoim domu w Anglii. Był synem wikarego, co od razu dobrze mnie do niego usposobiło — przypomniał mi Miriam i Ernesta. Przyjechał do Australii przed ośmiu laty, sądząc, że zbije fortunę. Nie wiodło mu się jednak najlepiej, doznał wielu rozczarowań. Później zajął się opalami i kamienie te zaczęły go fascynować. Bena Hennikera spotkał w Sydney. Ben polubił go i zaproponował mu pracę w Towarzystwie. Jeremy bardzo się starał i wkrótce odkrył u siebie szczególne uzdolnienia, które Ben ocenił bardzo wysoko. Przed trzema laty mianowano go dyrektorem działu.

— Podoba się panu tutejsze życie? — spytałam.

— Kocham opale — odrzekł. — Działają na mnie w szczególny sposób. Nie potrafię wyrazić tego, co czuję, gdy widzę wylaniające się barwy. Nigdy nie znajdę zajęcia, które sprawiałoby mi tyle przyjemności.

— Nie tęskni pan za Anglią?

— Zawsze tęskni się za domem. Tęskni się oczywiście za różnymi rzeczami, szczególnie gdy się kończy dzień pracy. Ben zdawał sobie z tego sprawę i robił, co mógł, żebyśmy byli zadowoleni. Często odwiedzaliśmy Pawi Dom. Zapraszano nas na kolacje, gdy trzeba było przedyskutować jakiś problem, albo zbieraliśmy się wszyscy podczas przyjęć. Bardzo nam go brakowało, gdy wyjechał do Anglii. Pani mąż podtrzymywał stare obyczaje, a gdy i on wyjechał, byłem zapraszany do Laudów, co też sprawiało mi wiele radości. Dojechalismy do domu.

— Wstąpi pan na chwilę, prawda? — powiedziałam.

— Na pół godzinki, jeśli pani pozwoli. Muszę wracać do pracy, ale chciałbym się przywitać z panią Laud i jej córką.

Zaprosiłam go do salonu i posłałam służącego, by zawiadomił Lilią i jej matkę, że mamy gościa.

Pojawiła się Lilia. Zaskoczyła mnie zmiana w jej zachowaniu. Uśmiechnięta, zbliżyła się z wyciągniętymi rękoma, które ujął Jeremy.

— Przyjechałam z panią Madden.

— Są państwo pewnie zmęczeni upałem — powiedziała Lilia. — Czy mogę posłać po coś odświeżającego?

— O tak, prosimy — powiedziałam.

Pociągnęła sznur dzwonka i poprosiła o lemoniadę. Jak nam powiedziała, sama ją przyrządziła tego ranka i wstawiła do lodu, by się mocno schłodziła.

Sącyliśmy lemoniadę i miło rozmawiali. Jeremy Dickson był tak angielski, że czułam się w jego obecności jak w starym kraju. Lilia zmieniła się nie do poznania. Myślałam, że pewnie gustuje w tym młodym mężczyźnie, skoro jego towarzystwo ma na nią aż taki wpływ.

Rozmawialiśmy o Miasteczku i o tym, co widziałam dzisiejszego ranka. Jeremy opowiadał o opalu, który właśnie znaleziono i który byłby niezwykle piękny, gdyby nie miała rysa... o tym, jak z zapartym tchem obserwowano zdejmowanie bezwartościowych warstw, by odkryć pod nimi sam klejnot.

Weszła pani Laud.

Stała w drzwiach, zagadkowym wzrokiem patrząc na Lilię.

— A więc to pan Dickson do nas zawitał — powiedziała.

— Tak, mamo. Towarzyszył pani Madden. Lemoniada, którą rano przyrządziłam, bardzo się przydała.

— To znakomicie — powiedziała pani Laud, spuszczać wzrok, jakby nie chciała patrzeć na żadne z nas. Wyglądała na zdenerwowaną.

— Jest bardzo orzeźwiająca — powiedziałam.

Czułam, że powinnam coś powiedzieć. W duchu zadawałam sobie pytanie, dlaczego rozmawiamy o lemoniadzie, skoro dzieje się tu coś dramatycznego.

Spojrzałam na wizerunek dumnego pawia, który spoglądał na nas z góry pogardliwym wzrokiem, przypominając mi Jossę. Miałam wrażenie, że śnię sen o tajemniczym wątku, sen, w którym wcale nie ja jestem najważniejszą postacią.

Przez następne trzy dni każdego ranka jeździłam z Jossem do miasta. Z początkiem dnia szefowie działów spotykali się i omawiali bieżące sprawy, Joss prowadził dyskusję. Jeśli poprzedniego dnia dłubacze przynieśli jakieś szczególnie interesujące okazy, dokładnie je oglądano i badano. Joss wręczał mi kawałki skały z pełnym wyższości (tak to oceniałam) uśmiechem, a ja oglądałam skałę i za każdym razem obiecywałam sobie, że nauczę się wszystkiego na tyle szybko, że Joss będzie zaskoczony. Nie był to zresztą jedyny powód. Z

każdym dniem opale po prostu coraz bardziej mnie fascynowały.

Postawiłam sobie za zadanie poznać w jak najkrótszym czasie jak najwięcej osób pracujących w budynku... urzędników i ludzi z warsztatów.

Rozmawiałam z przychodzącymi do biura dłubaczami. Z początku moją obecność w biurze traktowali niby dobry żart, ale gdy odkryli, że nie jestem, jak przypuszczali, kompletną ignorantką, zaczęli odnosić się do mnie z pewnym szacunkiem. Dla mnie praca przy opalach była wielkim wyzwaniem — nie tylko dlatego, że pragnęłam zadziwić Jossa, ale by pokazać tym ludziom, że kobieta nie jest wyłącznie przypisana do domu i wychowywania dzieci, w co, jak sądziłam, głęboko wierzyli.

Najbardziej interesowało mnie sortowanie, cięcie i usuwanie wierzchniej warstwy skały.

Ponieważ był to dział Jeremy'ego Dicksona, widywałam go częściej niż innych. Niewiele było wyrachowania w jego stosunku do opali, był bardzo romantyczny.

Czwartego dnia zagotował wodę na kuchence spirytusowej i zaparzył herbatę w cynowym naczyniu. Piliśmy ją i rozmawialiśmy w jego niewielkim gabinecie. Opowiedział mi kilka cudownych historyjek o opalach.

— Starożytni Turcy — mówił — wierzyli, że wielki ognisty kamień został wyrzucony z rajów w postaci błyskawicy. Rozpadł się na kawałeczki i spadł deszczem na ziemię. Teraz nazywamy tę ziemię krainą opali. — Oczy Jeremy'ego lśniły. — Słyszała pani, że opale nazywa się czasem ognistymi kamieniami. Wie pani dlaczego, prawda? Ten ich blask! Czy to pani nie porusza w jakiś szczególny, niewytłumaczalny sposób? Czy czuje pani przymus patrzenia na nie, zatracenia się w ich ogniu?

— Zdaje się, że zaczynam to odczuwać.

— Zobacz pani... Często myślę, że w tych kamieniach tkwi osobliwa moc... one mają nad ludźmi władzę. Ich tajemnicze oddziaływanie odczuwają wszyscy.

Rozmawialiśmy, gdy otworzyły się drzwi i zajrzał Joss.

— Przeszkadzam w herbatce? — spytał.

— Raczej w lekcji przy herbatce — odpowiedziałam. — Wiele się od pana Dicksona uczę.

— Mam nadzieję, że moja żona jest pojętą uczennicą.

Podkreślił słowa „moja żona”, jakby chciał przypomnieć Dicksonowi, kim jestem. Zresztą zupełnie niepotrzebnie. Byłam zła, że zakłócił nasze sam na sam. Gdy zamknęły się za Jossem drzwi, widziałam, że Dickson uznał, iż powinien wrócić do pracy.

Następnego dnia, gdy zeszłam na śniadanie, Joss powiedział:

— Czas, żebym ci pokazał okolicę. Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę dzisiejszego ranka. Powinnaś poznać teren, inaczej nierozsądnie byłoby jeździć samotnie.

— Zawsze mogę znaleźć towarzystwo.

— Właśnie to ci teraz proponuję. Zapewne znaleźliby się i inni chętni. Ośmielę się twierdzić, że Dickson byłby do usług.

— Ma dużą wiedzę o opalach.

— Nie robiłby tego, co robi, gdyby jej nie miał — uciął Joss.

Pojechaliśmy w kierunku przeciwnym niż do Miasteczka.

— Czy robisz coś w związku z kradzieżą Zielonego Blasku?

— A podpowiesz mi, co mógłbym zrobić?

— Gdy ginie tak drogocenna rzecz, trzeba próbować ją odzyskać.

— To nie była zwykła kradzież. Po pierwsze, nikt nie wie kiedy jej dokonano.

— Zapewne w jakiś czas po wyjeździe Bena do Anglii. Dziwi mnie, dlaczego nie zabrał kamienia ze sobą.

— Ryzykowne byłoby zabieranie w podróż tak drogocennego klejnotu. Ponadto Ben uważał, że kamień jest bezpieczny tam, gdzie go ukrył.

— Ktoś musiał znaleźć skrytkę. Gdybyśmy dołożyli starań....

— Ja dokładam starań.

— Nie zapominaj, że to także mój kamień.

— Nie zapominam.

Przyszło mi na myśl, że przecież Joss był w domu, gdy Ben wyjechał. Może to on odkrył skrytkę w obrazie! Nie, z pewnością nie ukradłby kamienia Benowi. Ale skoro Blask tak dziwnie

działa na ludzi... Mój ojciec był nim do tego stopnia oczarowany, że chciał porzucić dla niego moją matkę. Kto wie... To by zresztą wyjaśniało fakt, że Joss nic nie robi, by go odnaleźć.

— Zostaw tę sprawę mnie — rzekł, — Zastanowię się. Znajdziemy kamień... w swoim czasie. Ty byś chciała, żeby wszystko działało się jak w teatrze. Życie to nie przedstawienie. Nie można też spraw popakować w pudełka i opatrzyć metkami. To, o co najbardziej się teraz troszczę, to sprawa położenia kresu rozmowom o Zielonym Blasku, bo one potwierdzają bzdury o nieszczęściach przynoszonych przez opale. Nie masz pojęcia, ile wysiłku włożyliśmy z Benem w wyplenienie takich poglądów. Chcemy podtrzymywać stare legendy, które mówiły, że opale są talizmanami, chroniącymi przed złymi mocami. Zapamiętaj więc: nie ma rozmów o Zielonym Blasku.

— Brzmi jak rozkaz.

— Można to i tak nazwać. Dla naszego dobra zapomnij o Zielonym Blasku.

Odwrócił się i pojechał między niewysokie wzgórza. Ziemia była sucha i piaszczysta, spod kopyt jego konia wzbijały się tumany pyłu i straciłam Jossa z oczu. Ach, jak bardzo chciałam zawrócić i pojechać do domu! Wiedziałam już jednak, że busz wszędzie wygląda tak samo, że bardzo trudno znaleźć znaki orientacyjne i że bez Jossa nie trafię do Pawiego Domu. Pojechałam więc za nim. Czekał na mnie między wzgórzami.

— To miejsce nazywają Żlebem Grovera — rzekł. — Była tu kiedyś świetnie prosperująca kopalnia, najwydajniejsza w całej Nowej Południowej Walii. W końcu zasoby się wyczerpały, nie opłacało się dalej szukać. Pod ziemią jest mnóstwo wydrążonych kiedyś komór. Chodzą pogłoski, że to nawiedzone miejsce.

— Myślałam, że wy tutaj nie wierzycie w takie rzeczy. Roześmiał się szeroko.

— Niektórzy wierzą. W rzeczywistości jesteśmy szalenie zabobonni. Jak i inni, którzy pracują w bardzo niebezpiecznych warunkach... Rybacy, górnicy to najbardziej przesądni ludzie. W ich życiu jest wiele sytuacji, kiedy chciałoby się powiedzieć: „nie kuście licha”. Legenda mówi, że człowiek nazwiskiem Grover zbił tutaj fortunę, po czym wyjechał do Sydney i tam osiadł.

Spotkał kobietę, z którą się ożenił, i razem przepuścili majątek. Wtedy ona go porzuciła, a on zrozumiał, że chciała tylko jego pieniędzy. Został opryskiem i ludzie powiadali, że się krył w kopalni, dzięki której stał się bogaty. Zawsze nosił maskę i nazywano go Zbójem w Masce.

Oczywiście nie wiedziano wtedy, że to Grover. Dopiero gdy padł od strzału, zabity przez woźnicę, którego napastował, zdarto mu maskę i odkryto, kim był. Potem ludzie opowiadali, że nawiedza to miejsce, niektórzy przysięgają, że widzieli zamaskowaną postać i że boją się przejeżdżać tędy o zmroku. Myślę, że widziano po prostu krzewy mulgi, a wyobraźnia dokonała reszty. Taka jest legenda o Żlebie Grovera, nie przejeżdżaj więc tędy po zachodzie słońca. A jeśli ci się to kiedyś zdarzyło, wypatruj zamaskowanego mężczyzny oplakującego żonę i utraconą fortunę.

— Jest w tym miejscu coś szczególnie smutnego.

Podjechaliśmy wolno ku dawnej kopalni. Stara, żelazna drabina, po której schodzono do podziemnych komór, wciąż stała na swoim miejscu. Chociaż wiedziałam, że Joss bacznie mi się przygląda, nie mogłam opanować drżenia. Zbliżył się do mnie.

— Wyczuwa się to, prawda? Pełną grozy atmosferę, obecność śmierci — mówił powoli, drwiącym tonem.

— Zastanawiam się, co bym sobie myślała, gdybyś mi nie opowiedział całej tej historyjki.

Myślałabym, że to po prostu nierentowna kopalnia.

— Brawo! Ale starczy na dziś Żlebu Grovera.

Odjechał, niedługo jednak przystanął i rzekł wskazując na horyzont:

— Widzisz tamten budynek?

— Sam zarys... czy to dom?

— Zajazd.

— Do kogo należy?

— Zobaczysz — rzucił przez ramię i ruszył dalej.

Przed nami wyłaniał się biały dom lśniący w promieniach słońca.

— To zajazd Bannocków — rzekł Joss.

Ostatnią osobą, którą pragnęłam zobaczyć, była Iza Bannock.

Gdy zbliżyliśmy się, zaczęły szczekać psy i Ezra Bannock wyszedł przed dom.

— Patrzcie tylko, kto przyjechał! — wykrzyknął z właściwą sobie serdecznością.

Otworzył bramę, wjechaliśmy na ogrodzony dziedziniec.

Dymna rżała radośnie, gdy Ezra poklepywał ją, wypytywał, jak się miewa, wyrażając przy tym wielkie zadowolenie, że znów ją widzi.

— Chodźcie — rzekł. — To się Iza ucieszy! Wejdźmy najpierw do stajni, pokażę wam nową źrebicę. Przyjechałeś ją zobaczyć, co, Joss?

— Wiedziałem, że Jessika ma ochotę was odwiedzić — rzekł Joss, patrząc na mnie kpiącym wzrokiem.

Stajnie były równie duże jak w Pawim Domu. Dymna czuła się tu u siebie. Wiernie mi służyła i czasami odnosiłam wrażenie, że to dzięki Etrze, który szepnął coś klaczy do ucha... Może to dziwne,

ale kiedy Ezra przemawiał do koni, wydawało się, jakby zwierzęta w jakiś magiczny sposób zamieniały się w istoty rozumne.

Weszliśmy do domu. Na ozdobnie rzeźbionej skrzyni z dębowego drewna stała waza z artystycznie ułożonym bukietem. Podłoga w holu było wyłożona kafelkami, co dawało pomieszczeniu przyjemny chłód.

— Izo! — zawołał Ezra. — Goście!

Zobaczyłam ją. Miała na sobie coś w rodzaju podomki z miękkiego materiału przypominającego woal, z plisowaną spódnicą i szerokimi rękawami. Wyglądała świeżo i, muszę przyznać, bardzo pięknie. Brązowy strój podkreślał kolor jej włosów i oczu.

— To dopiero! — powiedziała podchodząc do mnie. — Pani Madden z mężem.

Joss pocałował ją w rękę. Doznałam szoku. To do niego niepodobne, pomyślałam. Ale widocznie potrafił być inny dla Izy.

— Mój drogi — mruzczała czule — jak dobrze, że przyjechaliście do naszego małego domku.

— Mam nadzieję, że nie zjawiliśmy się nie w porę — powiedziałam, by uświadomić jej moją obecność.

— Droga pani Madden... ale czy nie sądzi pani, że mogłybyśmy mówić sobie po imieniu? W końcu często będziemy się widywać, Joss zawsze był dla mnie Jossem, więc to chyba słuszne, bym mówiła po imieniu także do jego żony. A więc, Jessiko... pasuje do ciebie to imię...

Sposób, w jaki wymawiała moje imię, sugerował, że jego właścicielka musi być kobietą nieco sztywną, o surowej twarzy i zaciśniętych ustach, skłonna brać życie bardzo poważnie.

Roześmiała się.

— Jessiko, goście nigdy nie przychodzą nie w porę. Jest ich tak niewielu, że zawsze są serdecznie witani.

— Widzieliśmy się całkiem niedawno.

— Okropnie dawno — zagruchała. — Zostaniecie na lunch. Możecie rozmawiać o interesach, jeśli wam to odpowiada, ale lepiej przy moim stole niż w tym waszym okropnym biurze.

— Świetny pomysł — rzekł ciepło Joss. — W gruncie rzeczy liczyłem na zaproszenie. W ten sposób będziemy wracać chłodnym popołudniem.

Słyszałam, jak zmienia się tembr jego głosu, gdy się zwraca do Izy, i fakt ten napawał mnie oburzeniem.

— Najpierw zimne napoje w moim saloniku — powiedziała Iza. — Ezra, kochanie, zawołaj Emily.

Jej salonik był rzeczywiście j e j salonikiem. Zastanawiałam się, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Ezra. Do tej pory kojarzyłam Izę z dzikim kotem, teraz zobaczyłam kobietę — pająka, pożerającą partnera — naturalnie wtedy, gdy on przestaje być użyteczny.

Salonik był typowo damskim pokojem z zasłonami z muślinu i obowiązkowymi żaluzjami.

Doniczki z roślinami o jasnych barwach dawały pomieszczeniu radosny nastrój, a krzesła z perkalowymi obiciami i zasłonki jeszcze ten nastrój podkreślały. Podano zimne napoje w wysokich szklankach, za co byliśmy bardzo wdzięczni.

— My tu bardzo cenimy sąsiadów, Jessiko — oświadczyła Iza. — Nie wolno ci nawet pomyśleć, że moglibyśmy być niezadowoleni z waszej wizyty. Lubimy dzieci, a szczególnie tych, którzy są naszymi przyjaciółmi. 1

Posłała kokietyjne spojrzenie Jossowi, a on uśmiechał się do niej w sposób, który zaczynał

mnie doprowadzać do furii. Mógłby przynajmniej, myślałam, nie okazywać swego idiotycznego zachwyty w obecności żony... jeśli nawet stosunki między nami układają się nietypowo, istnieją przecież pewne zasady, podlegające ocenie innych ludzi.

Gawędzili o osobach, o których nigdy nie słyszałam. Iza dobrze o tym wiedziała i, jak sądziłam, starała się mnie wykluczyć z rozmowy, póki temat nie zszedł na coroczne

„poszukiwanie skarbów” w Pawim Domu.

— Nic o tym nie wiesz, Jessiko? Wiesz, Joss, jesteś okropnie leniwy. Jak można było nie powiedzieć Jessice o „poszukiwaniu skarbów”?

— To taka zabawa — zwrócił się Joss do mnie — którą urządzamy co roku. Odbędzie się za parę tygodni. Rzeczywiście muszę ci o tym opowiedzieć.

— Uciechy jest co niemiara — rzekła Iza. — Jedziemy wszyscy... ile osób, Joss?...

pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt... do Pawiego Domu, dostajemy instrukcje i szukamy.

To jedno z najważniejszych wydarzeń roku. Ben wymyślił je, żeby ludzie mieli rozrywkę.

Zawsze chronił swoich pracowników przed nudą. Mawiał zwykle, że kłopoty pojawiają się razem z nudą.

— Ciekawie brzmi — powiedziałam i spojrzałam chłodno na Jossa. — Chciałabym się czegoś o tym dowiedzieć.

— Tyle miałem ci do pokazania, że zapomniałem o tym. Zresztą to trochę dziecinne...

— Ale zabawne! — wykrzyknęła Iza. — I podoba się ludziom — rzekł Joss.

Iza ucięła temat równie szybko, jak go zaczęła.

— Obiecałam ci pokazać moje zbiory, Jessiko. Może teraz? Co ty na to, Joss?

Iza i Joss wymienili spojrzenia, które już znałam, lecz których jeszcze nie rozumiałam.

— Ależ naturalnie, pokaż Jessice swoją kolekcję. Jessika naprawdę zaczyna interesować się opalami. To będzie kolejna część wiedzy, którą bardzo szybko sobie przyswaja.

— Wobec tego po lunchu. A teraz chodźmy jeść.

Przeszliśmy do jadalni, gdzie poczęstowano nas zimnym kurczęciem i sałatą. Były też owoce, z których, jak powiedziała Iza, służba robi przetwory w okresie największego wysypu.

— Ty też pewnie zamierzasz robić konserwy, Jessiko. Jestem pewna, że będą znakomite.

Moje umiejętności ograniczają się do zarządzania domem, ale mam nadzieję, że jestem przydatna i w innych dziedzinach.

Ezra roześmiał się głośno. Joss także się uśmiechnął, jakby powiedziała coś dowcipnego.

Byłam coraz bardziej rozdrażniona. Pragnęłam jedynie znaleźć się z dala od tej kobiety.

Pośród talentów, o których wspomniała, jeden z pewnością polegał na poniżaniu mnie, co było tym bardziej irytujące, że czułam, jak Joss jej pomaga.

Po lunchu wróciliśmy do zaciemnionego, damskiego saloniku pani domu i siedliśmy przy stole, by obejrzeć kolekcję opali. Iza wyjęła z sejfu znajome zrolowane saszetki. Miała kilka wspaniałych okazów i rzeczywiście ogromną wiedzę. Opale były bardzo różne, lecz wszystkie przepiękne.

— Interesują mnie wyłącznie najpiękniejsze — powiedziała.

— I takie masz — dodał Joss.

— Miło usłyszeć taką opinię od znawcy — powiedziała uśmiechając się do niego.

— Tak — wtrącił Ezra — Iza zawsze pragnęła, by jej kolekcja była najlepsza w Australii.

— W świecie — poprawiła. — A teraz...

Wyjęła małą saszetkę, otworzyła ją i położyła na stole. Na czarnym atlasowym tle w całej swej krasie spoczywał Arlekin.

Przyglądałam się kamieniowi. Niemożliwe. Musiał być bardzo podobny, a ja nie dość doświadczona, by dostrzec różnice. To nie mógł być Arlekin, bo w jaki sposób tak szybko weszłaby w jego

posiadanie?

Iza zaśmiała się.

— Rozpoznała go — stwierdziła.

Czułam na sobie spojrzenie Jossa. Obserwował mnie uważnie.

— Zdaje mi się, że to Arlekin — wyjąkałam.

— Bo to jest Arlekin.

— Och... Rzeczywiście piękny.

— Weź go — komenderowała Iza — połóż sobie na dłoni. Wiem, że bardzo ci się podoba.

Widziałam, jak patrzyłaś na niego poprzednio. To prawdziwe cacko. Jeden z najpiękniejszych kamieni, jakie posiadam.

— Masz szczęście, że go zdobyłaś — powiedziałam. — Muszę podziękować mojemu najlepszemu przyjacielowi.

Uśmiechała się do Jossa, a ja poczułam tak lodowatą wściekłość, że aż dziwiłam się samej sobie.

— Twojemu... najlepszemu przyjacielowi?

— Kochany Joss! Wiedział, jak bardzo pragnęłam mieć ten kamień, i podarował mi go, prawda, Ezra?

— To wspaniały dar — powiedział Ezra zadowolony z siebie.

— Interesujące... — powiedziałam.

Odłożyłam kamień na miejsce. Miałam nadzieję, że palce nie drżą mi z wściekłości, która mnie trawiła. Byłam wstrząśnięta, byłam zła jak nigdy.

Popatrzyłam na Ezrę. Nie wyglądał na zmieszanego — ani trochę. Jak czuje się mężczyzna, którego żona przyjmuje bardzo drogie prezenty od innego mężczyzny? Czy tak samo jak kobieta, której mąż obdarowuje inną kobietę?

Usłyszałam, jak mówię chłodnym głosem:

— A więc go zdobyłaś.

— Zawsze dostaję to, czego chcę, prawda, Ezra?

— Na to wygląda, moja droga.

— Rzeczywiście, masz bardzo interesujące zbiory. Czy wiele lat zajęło ci ich zgromadzenie?

— Nie bardzo. Zaczęłam, gdy przyjechałam tutaj i wyszłam za Ezrę. Z piętnaście lat temu, prawda, Ezra?

— Tak mało? — zdziwiłam się, umyślnie pomniejszając tym samym wartość kolekcji.

Widziałam, jak Joss bawi się ostrym tonem mojego głosu. Nienawidziłam go.

Opale powędrowały do sejfu. Cel naszej wizyty został osiągnięty, pomyślałam. Siedzieliśmy jeszcze chwilę, przysłuchując się właściwie rozmowie tych dwojga i wtrącając coś od czasu do czasu; obserwowałam tygrysie oczy Izy i zagadkowy ich odblask tłący się w oczach Jossa.

Odetchnęłam z ulgą, gdy poszliśmy do stajni. Ezra wylewnie pożegnał Dymną i ruszyliśmy w drogę powrotną do Pawiego Domu.

Głęboko zamyślona, próbowałam trzymać się z dala od Jossa, ale on jechał tuż obok mnie i upierał się, byśmy szli stępą.

— Milczysz — rzekł.

— Powinieneś był mnie uprzedzić, że tam jedziemy.

— Sądziłem, że to będzie miła niespodzianka. Iza serdecznie nas przyjęła, czyż nie tak?

— Szczególnie ciebie.

— Cóż, zna mnie od wielu lat.

— I to bardzo dobrze, jak widzę.

— O tak, jesteśmy przyjaciółmi.

— Ma też powody do wdzięczności, skoro obdarowujesz ją takimi prezentami.

— Tak, to piękny kamień.

— Przyznaję.

— Ale, ale, czyżby sympatyczny, trochę zadarty nosek był z czegoś niezadowolony?

— O czym mówisz?

— Widzę, że jesteś niezadowolona.

— Uważam, że postąpiłaś dosyć dziwnie.

— Czyżbyś ty chciała go dostać? Podobał ci się, wiem. Teraz zresztą uczysz się sporo o opalach w

gabiniecie Jeremy'ego Dicksona, potrafisz docenić ich urodę... Mogłaś mnie poprosić.

Kto wie, może udałoby ci się mnie namówić, żebym go podarował tobie.

— Odwrotnie niż tamta kobieta, nie lubię przyjmować od ciebie drogocennych prezentów.

— Ale jednak jesteś zła, że jej go dałem?

— A co na to jej... tak zwany mąż?

— Jego, zdaje się, niewiele więcej to obchodzi niż moją tak zwaną żonę. Tak myślę... Ale może się mylę.

— Uważam, że to był bardzo nierozsądny postępek.

— Dlaczego? Chciała go mieć. Doceniła jego walory. Co złego w dawaniu ludziom tego, czego pragną?

— Wydaje mi się to dość... nietypowe... dać cudzej żonie taki prezent i wymagać od własnej żony... która o tym darze nic nie wiedziała... by przyklasnęła pomysłowi.

— Nie wymagam od ciebie przyklasnięcia pomysłowi. Żadnemu mojemu pomysłowi jeszcze nie przyklasnęłaś.

— To było bardzo niestosowne.

— Tutaj nie wszystko musi być stosowne.

— Jesteś kochankiem tej kobiety. Milczał.

— Czy tak? — nalegałam.

— Jeśli mamy zachowywać się poprawnie, uważam za stosowne nie zdradzać niczyich sekretów. To jedyny powód, dla którego nie odpowiem na twoje pytanie.

— Odpowiedziałeś na moje pytanie.

— A ty dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie pochwalasz mojego postępowania. Czy masz do tego prawo? Nie chcesz mnie. Odtrącasz mnie. Czy możesz mi mieć za złe, że szukam uczucia gdzie indziej?

Odwrociłam się i spojrzałam na niego. Spuścił wzrok. Drwił ze mnie. Kiedy on wreszcie przestanie drwić sobie ze mnie! Nie mogłam znieść tego wszystkiego. Puściłam się galopem.

— Stój! — zawołał. — Dokąd gnasz? Zgubisz się w buszu, jeśli pojedziesz tamtędy. Trzymaj się lepiej mnie.

Jechałam więc za nim aż do Pawiego Domu.

Poszłam wprost do swojego pokoju. Byłam zła i nieszczęśliwa, i jeszcze podsycalam złość, bo to był jedyny sposób na ucieszenie mojego żalu. Kocha Izę Bannock, myślałam. To jasne. Ona jest kobieca i atrakcyjna. Ma w sobie to wszystko, czego ja nie mam. Jest jego kochanką.

Leżałam na łóżku i patrzyłam w sufit.

Nie lubię go, mówiłam sobie. Jest arogancki i zarozumiały. Bezlitosny, bez serca. A ja tego właśnie nie znoszę. „Paw — mamrotałam — pyszniący się swoim ogonem”.

Jednak ogień Arlekina odkrył przede mną pewną prawdę. Nie chciałam spojrzeć tej prawdzie w oczy, a przynajmniej próbowałam, choć nie było to mądre. Dlaczego właściwie tak się rozzłościłam? Dlaczego poczułam się aż tak dotknięta? Muszę się do tego przyznać... kochałam go albo zakochiwałam się w nim powoli. Jego związek z inną kobietą pomógł mi odkryć to, co we mnie tkwiło. Do tej pory odtrącałam wszelkie oznaki moich uczuć — tego, że go szukałam, że byłam ożywiona w jego towarzystwie jak przy nikim innym. Dlaczego nie byłam dość rozsądna, by zrozumieć prawdziwą naturę przesadnej nienawiści, którą do niego czułam?

Teraz nareszcie znałam prawdę. Byłam zakochana w Jossie Maddenie, moim własnym mężu, i nie obchodziły mnie żadne bulwersujące odkrycia związane z jego osobą. Joss uosabiał wszystko to, czego — jak myślałam — najbardziej nie lubiłam u mężczyzn, podczas gdy tymczasem zakochałam się w nim!

— Jesteś szalona! — powiedziałam do siebie ze złością. Byłam szalona. Jak wszyscy zakochani.

* * *

Siedziałam w pokoju ponad godzinę, roztrząsając tę niezwykłą sytuację, w której się znalazłam, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołałam. Weszła pani Laud.

— Och, odpoczywa pani — powiedziała.

— Nie, jeszcze się nie przebrałam. Było bardzo gorąco, a przejechaliśmy spory kawałek.

— Pan Madden wspomniał, że jedli państwo lunch u Bannocków.

— Tak.

— Mają pewnie znakomitą kucharkę.

— Chyba tak. Jedzenie było wyśmienite.

— Przyszłam porozmawiać z panią o „poszukiwaniu skarbów”.

— Dzisiaj dopiero się o tym dowiedziałam.

— Sądziłam, że pan Madden wspominał pani wcześniej. „Poszukiwanie” odbywa się co roku.

Pan Henniker urządził je po raz pierwszy, gdy doszedł do wniosku, że ludzie stają się niespokojni. Pan Henniker często rozmawiał ze mną o różnych problemach.

— Proszę, niech pani mi coś opowie o „poszukiwaniu”, pani Laud.

— A więc to jest tak: przygotowujemy wskazówki na karteczkach i udajemy, że dom jest bezludną wyspą. Skarb to dwa opale, dość wartościowe, które znaleziono w ciągu minionego roku. Służba przygotowuje karteczki ze wskazówkami i rozkłada je w różnych miejscach.

Wskazówki są bardzo proste. Pan Henniker uważał, że służący powinni uczestniczyć w tej zabawie. Oni rozmyślają o tym przez cały rok, mają czym zająć umysły.

— Interesujące.

— Pomagam im, oczywiście, ponieważ nie biorę udziału w zabawie, choć pan Henniker nalegał, żebym w niej uczestniczyła.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

— Tą częścią zabawy zajmą się więc inni, ja chciałam porozmawiać z panią o pozostałych sprawach. Trzeba przygotować zimny bufet i zaprosić gości. Wysyła się oficjalne zaproszenia.

Zazwyczaj robimy to dostatecznie wcześnie.

— Kto jest zapraszany?

— Wszyscy kierownicy działów i ludzie na wyższych stanowiskach. Około siedemdziesięciu osób. W kilka dni później urządza się zabawę dla robotników. Z konkursami i nagrodami. Pan Henniker mawiał, że ludziom potrzeba chleba i igrzysk. Pan Henniker lubił różne takie powiedzonka.

— Myślę, że może pani zorganizować „poszukiwanie” bez mojej pomocy, pani Laud.

— Uważałam, że powinnam powiedzieć pani, jak to robiliśmy w przeszłości, ale może chciałaby pani zorganizować coś inaczej.

— Nie. Nie chcę niczego zmieniać. Jestem tu od niedawna. Na razie chciałabym zobaczyć, jak to się odbywało dotychczas, może w przyszłym roku, jeśli przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł...

może wtedy coś zmienimy.

— Zwykle wysyłam kogoś do Sydney po niektóre wiktuały do bufetu, choć większość rzeczy gotujemy tu, w naszych kuchniach.

— Proszę, niech pani przygotuje wszystko tak jak w poprzednich latach.

— Myślałam, że pani będzie wiedziała, w jaki sposób powinno być zorganizowane takie przyjęcie... pochodząc z tak dobrej rodziny...

Spojrzałam na nią zdziwiona, a ona, jak zwykle, spuściła wzrok.

— Pan Henniker zwierzał mi się z wielu rzeczy. Wiem, że pan Madden jest związany z Dębowym Dworem, a pani należy do rodziny Claveringów. Wiem też, że pan Henniker kupił od nich dom.

— To prawda. Jestem Clavering z domu, ale nigdy nie mieszkałam w Dębowym Dworze.

Moja rodzina zubożała, dlatego była zmuszona sprzedać Dwór.

— Och, ale skoro pani została wychowana w takiej rodzinie, sądzę, że wie pani, jak wszystko powinno być urządzone.

— Nie jestem tego taka pewna — odrzekłam. — Myślę, że lepiej pozostawić urządzenie „poszukiwania skarbów” w pani rękach.

— Cieszę się, że nie ma pani do nas zastrzeżeń, pani Madden.

— Zastrzeżeń! Jakże mogłabym mieć zastrzeżenia? Przecież znakomicie się spisujecie.

— Mam na myśli naszą rodzinę... że tu mieszkamy i korzystamy z przywilejów.

— Taka była przecież wola pana Hennikera.

— Nie zapomniał o nas, także gdy umierał. Zawsze lubił Jimsona i Lilią. Byli małymi dziećmi, kiedy tu zamieszkaliśmy. Lilią całkiem małą... Zawsze będę go miała we wdzięcznej pamięci. Nie wiedziałam wtedy, co ze sobą począć. Jim — mój mąż — był mi bardzo bliski. Przyjazd do Australii uważałam za błąd, ale on tego chciał. Potem umarł, a ja zostałam...

bez dachu nad głową, bez grosza... wtedy właśnie pan Henniker...

— I dalej już było dobrze.

— Tak, i to przez tyle lat. Gdy umarł, myślałam, że może coś będzie musiało się zmienić, pan Madden wrócił z żoną...

— Byliście zaskoczeni, wiem. Ale proszę się nie martwić. Cieszę się, że tu jesteście. W gruncie rzeczy nie wiem, co byśmy bez was poczęli.

Wyglądała na bardzo przejętą, ale powiedziała spokojnie:

— Może powinnam pokazać pani wzór zaproszenia, które wysyłam do zrobienia w Sydney.

Co roku są takie same.

— Proszę się nie kłopotać pokazywaniem mi wzoru. Proszę robić wszystko jak każdego innego roku. Tak będzie najlepiej.

Patrzyła na mnie z takim niepokojem, że powiedziałam: — Mnie naprawdę bardziej interesuje to, co się dzieje w Towarzystwie, niż to, co się dzieje w domu, pani Laud.

— Niezwykła z pani kobieta. Zdaję sobie z tego sprawę. Myślę, że należy pani do ludzi, którzy osiągają cele, jakie sobie stawiają.

— Mam nadzieję, pani Laud.

Wyszła, zostawiając mnie sam na sam z moimi myślami.

* * *

Nie mogłam spać tej nocy. Myślałam o chwili, gdy Iza odwinęła saszetkę i naszym oczom ukazał się Arlekin. Joss wiedział, że ona zamierza mi go pokazać. Zgodził się na to. Dlatego mnie tam zabrał. To zaś było czymś w rodzaju rzucenia rękawicy. To znaczyło: nie dbam o ciebie bardziej niż ty o mnie. Miałam jednak wrażenie, że nie zachwyca go moja przyjaźń z Jeremym Dicksonem. Ale dlaczego czuje się dotknięty niewinną sympatią, skoro jego stosunki z Izą do niewinnych nie należą?

A co o tym wszystkim myśli Ezra? Czy jest gotów ustąpić miejsca Jossowi ze względu na pozycję, jaką Joss zajmuje w Towarzystwie? Jakim Ezra jest mężem? Sprawia wrażenie całkiem omotanego — chętnego do spełnienia każdej zachcianki tej kobiety. Jaką władzę ona ma nad nim? W jej urodzie jest coś diabelskiego. Iza przypomina syrenę, która prowadzi mężczyzn ku zgubie, a oni, choć świadomi, że czyha na nich śmiertelne niebezpieczeństwo, nie mogą oprzeć się uwodzicielskiemu czarowi.

Złościłam się bardziej, niżbym mogła przypuszczać, ale fakt pozostawał faktem. Pomijając wszystkie okoliczności, uległam fascynacji. Nienawidziłam Jossa, ale chciałam, by był blisko mnie, by trzymał mnie za rękę, by się do mnie śmiał, by pokonywał mój opór.

Co się ze mną działo?

Gdyby nie Iza... Co za sens mówić w ten sposób? Iza istnieje. Zazdrość pozwoliła mi poznać moje prawdziwe uczucia.

Zapadłam w drzemkę i śniło mi się, że siedzimy wszyscy wokół stołu, Iza odwija saszetkę i pokazuje nam Arlekina. „Popatrzcie tylko”, mówi. Spojrzałam i zobaczyłam, że ogień opalu płonie nad całym stołem i ukazuje nam różne obrazy: widziałam siebie i Jossa mówiącego: „Jaki mam z ciebie pożytek? Nie jesteś mi żoną. Chcę Izy, a ty stoisz nam na drodze. Gdyby nie ty, Zielony Blask byłby mój. Przeszkadzasz mi... przeszkadzasz...” Poczułam, jak jego ręce zaciskają się na mojej szyi, obudziłam się z krzykiem.

Leżałam w ciemności, drżąc ze strachu.

To tylko sen, powtarzałam sobie w duchu. Ale gdy tak leżałam, przyszło mi na myśl, że sen mógł być ostrzeżeniem. Coś osobliwego działa się w tym domu. Gdyby Ben był z nami, wszystko układałoby się inaczej. Tchnąłby w nasze życie innego ducha, a przegnał... sama nie wiedziałam co.

Jak bardzo tęskniłam za Benem! Gdybym mogła powiedzieć mu, co czuję. Laudowie ze swoją pokorą i uległością byli bladymi cieniami istot ludzkich. Wciąż mi się wydawało, że cała ta trójka żyje podwójnym życiem — prawdziwym, którego nie widać, i jego cieniem, który widzę. Lillas i Jimson wyglądali na zastraszonych przez matkę... choć może nie byli zastraszeni, tylko otoczeni przez nią nadmierną opieką. Niby to naturalne, a jednak...

Nagle usłyszałam odgłos kroków na korytarzu, tak jak to już było kiedyś. Ktoś się skradał...

Tuż za moimi drzwiami. Wsunęłam się z pościeli i usiadłam na łóżku, wpatrując się w drzwi.

Jak zwykle zamknęłam je na klucz.

W lekkim świetle księżycy widziałam, jak gałka powoli się obraca.

Na chwilę zapadła cisza, po czym kroki zaczęły się oddalać.

Położyłam się drżąc cała i zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdyby drzwi nie były zamknięte.

Poszukiwanie skarbów

Przez kilka dni w Pawim Domu panowała ożywiona krzątanina. Służący chodzili niezbyt przytomni, chichocząc między sobą.

— Tak jest zawsze przed „poszukiwaniem skarbów” — poinformowała mnie Lillas.

Pytała, jak sobie radzę w Towarzystwie, a ja odpowiedziałam, że z każdym dniem opale fascynują mnie coraz bardziej. Ciekawiła mnie obróbka kamieni, emocjonował moment pojawiania się barw.

— Rozumiem, że często spotyka pani Jeremy’ego Dicksona — powiedziała Lillas.

— Tak się składa, że jest szefem działu, którym najbardziej się interesuję — odrzekłam.

Wyglądała ponuro, zachowywała się jak matka, jakby bała się z czymś zdradzić. Zastanawiało mnie, czy ich postawa wiąże się z faktem, że mieszkają pod jednym dachem z rodziną, do której nie należą. Niby ubodzy krewni, myślałam. Ale przecież nikt ich tak nie traktuje. Joss jest wobec nich zupełnie taki sam jak wobec mnie. A nawet, myślałam ze smutkiem, może bardziej uważający.

Próbowałam nie myśleć o Jossie, lecz mi się to nie udawało. Ilekroć słyszałam jego głos, czułam, jak wzbierają we mnie emocje, pragnęłam usłyszeć to, co ma mi do powiedzenia. Gdy wyjeżdżał, zastanawiałam się, czy jedzie do Izy. Zastanawiałam się, co na to Ezra i czy Ezra obawia się Jossa. Każdy bał się Jossa. Kiedyś, kiedy wspomniałam, że wszyscy zdają się traktować go z ogromnym respektem, powiedział:

— Chyba powinni, nie sądzisz? Ode mnie zależy, czy będą mieć pracę.

— Ode mnie także — stwierdziłam.

— Ty także będziesz kimś, z kim się będą liczyć.

— Przestań drwić.

— Drwić! Jestem śmiertelnie poważny. Pamiętałam jego słowa tak dokładnie!

Ezra był zdolnym facetem, ale miał niewielkie udziały w Towarzystwie. Gdyby Joss nie był z niego zadowolony, poproszono by go o odejście. Ale czy chęć dogodzenia Jossowi mogła sięgać aż tak daleko, by Ezra przymykał oczy na stosunki Jossa ze swoją żoną?

Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam o uczuciach Ezry do Dymnej i jej uczuciach do niego.'

Człowiek, którego tak bardzo kochają konie — i jak zauważyłam, również psy — nie narażałby się na takie poniżenie. Chociaż kto wie! Jest tyle niewiadomych w ludzkich charakterach. \

Ponadto w Jossie tkwiła jakaś szczególna siła. Może ludzie nie byli przy nim sobą.

Żałowałam, że nie mogę przestać o nim myśleć.

Zrozumiałam, że nie jest zadowolony, gdy przebywam w towarzystwie Jeremy'ego Dicksona.

Nie powiedział tego, choć chciałam, by to zrobił, dał mi to jednak odczuć.

Czasami jeździłam rano do miasteczka z Jimsonem Lau — dem, bo gdy schodziłam na dół, okazywało się, że Joss wyjechał wcześniej. Udawałam, że jestem z tego zadowolona, ale Jimson sprawiał na mnie wrażenie — podobnie jak jego matka i siostra — osobliwie nijakiego.

Opowiadał mi po drodze o pracy działu finansowego; przejął tę pracę po Tomie Palingu, który prowadził księgi w bardzo prymitywny sposób.

Wiedziałam, że powinnam nauczyć się rachunkowości, ale teraz byłam zbyt zajęta samymi kamieniami, by się od nich oderwać.

Czasami ogarniało mnie zdumienie, że Ben podarował mi tak wielką część udziałów w znakomicie prosperującej firmie, i wyobrażałam sobie, że jest obok i zachęca mnie do działania.

Słyszałam jego głos, wiedziałam, że nigdy nie zapomnę jego błyskotliwych opowieści. Kochał

opale i chciał, żebym ja także je pokochała. Kochał moją matkę, a o mnie myślał jak o córce, kochał więc mnie także. Podziwiał Jossa... syna, takiego, jakiego pragnął mieć. Śmiałego, twardego, bezwzględego — człowieka na miarę tego kontynentu i tych czasów. Zmusił nas, byśmy się pobrali. Dlaczego? Był mądrym człowiekiem i życzył mi jak najlepiej. Chciał, żebym wyrwała się z Domu Wdów. Ale czy znał mnie aż tak dobrze? Skąd wiedział, że nie minie rok, a będę zakochana w

Jossie?

Czy zdawał sobie sprawę z namiętnych uczuć Jossa do Izy? Nie sędzę, by Ben lubił Izę. Może chciał przerwać ten związek, darowując Jossowi młodą żonę?

Ben mnie kochał i pewnie mu się wydawało, że skoro kocha mnie on, to inni także będą mnie kochali. Jakże się mylił! Z wyjątkiem Bena od nikogo nie zaznałam prawdziwej miłości. Kochała mnie moja matka, ale nie dość mocno, by dla mnie żyć.

A ja pragnęłam, by żywiono wobec mnie tak gorące uczucia, jakie żywiono wobec Izy.

Zrozumiałam, jaka byłabym szczęśliwa, gdyby losy naszego małżeństwa potoczyły się inaczej, gdybyśmy mogli lepiej się poznać, a Joss zakochał się we mnie, tak jak ja się w nim zakochałam.

* * *

Nadszedł wieczór „poszukiwania skarbów”. Dom płonął tysiącem świec, bo przyjęcie zaczęło się po zachodzie słońca. Było bardzo romantycznie. Rozmyślałam, jak bardzo byłabym szczęśliwa, dzieląc ten dom z kochającym mnie mężem.

Kiedy się ubierałam, zajrzała do mnie Liliast i spytała, czy nie potrzebuję pomocy.

— Ach, jaka piękna suknia! — wykrzyknęła.

Była to jeszcze jedna suknia w pawioniebieskim kolorze, który, dziwna rzecz, zawsze bardzo lubiałam. Pozwolono mi wybierać materiały wedle mojego uznania, co w swoim czasie uznałam za wielkie ustępstwo, ale teraz wiedząc, co przyniosłam rodzinie, zrozumiałam, dlaczego okazano mi tę łaskę. Nie starałam się podążać za modą, ponieważ ówczesne nowości wydawały mi się niezbyt twarzowe. I słusznie robiłam, bo w tym kraju moda niewiele znaczyła. A więc jeśli o strój chodzi, byłam w minionej, lecz znacznie bardziej czarującej epoce: spódnica przypominała krynowinę, piętrzyła się na warstwach szyfonu, stanik natomiast, mocno dopasowany i obnażający ramiona, swą prostą elegancją kontrastował ze spódnicą.

Liliast wyglądała ślicznie w sympatycznej sukni z jasnoszarego jedwabiu haftowanego w różowe różyczki, które, jak się przyznała, były dziełem jej rąk.

— Czy potrzebuje pani pomocy przy ułożeniu fryzury? — spytała.

Moje włosy były ciemne i gęste — upięłam je wysoko, znów przeciwstawiając się modzie i cofając w czasy jeszcze wcześniejsze niż te, z których pochodziła suknia.

— Zawsze czeszę się sama — powiedziałam.

— Wszyscy będą panią podziwiać. Nigdy nie widziałam u nikogo tak pięknych strojów. Z

wyjątkiem Izy Bannock.

— Ach... z pewnością.

— Ona sprowadza materiały z Anglii. Ciekawe, jak będzie wyglądała dziś wieczorem. Wie pani, dzisiejszego wieczora my wybieramy partnerów. To taki zwyczaj. Pan Henniker mawiał:

„panie wybierają panów”.

Poczułam dreszcz emocji. Wybiorę jego, pomyślałam. Może to będzie początek. Musiałam przyznać, że niezadowolający stan naszych stosunków wynikał w dużej mierze z mojej winy, może więc ja powinnam coś zmienić. Przypomniałam sobie pierwsze dni naszego małżeństwa.

To nie on proponował oddzielne pokoje. Nie żałowałam jednak, nie chciałam namiastek.

Chciałam być tą jedyną w jego życiu. Musiałby jednak zrezygnować z Izy i romansowania.

— Pomyślałam, że poproszę pana Dicksona, jeśli oczywiście... — zaczęła wstydliwie.

Patrzyłam zaskoczona.

— Jeśli pani go nie wybierze — mówiła dalej cicho.

— Nie myślałam o tym — powiedziałam, a ona spojrzała na mnie z ulgą.

Otworzyły się drzwi i wszedł Joss. Wyglądał wspaniale. On także miał na sobie strój w kolorze pawioniebieskim, prawie identycznym jak mój. Z rękawów atlasowego wieczorowego żakietu wystawały białe mankiety, biały żabot zdobił koszulę przy szyi. Joss wyglądał, jakby był jeszcze wyższy niż zwykle, a kolor żakietu podkreślał barwę jego oczu. Liliś przeprosiła nas i wymknęła się z pokoju.

— Ona wciąż sprawia wrażenie przestraszonego królika — powiedział Joss.

— Ty za to wyglądasz jak mocarz.

Zadowolony przejrzał się w lustrze. Nasze spojrzenia spotkały się.

— Wiem, co myślisz — powiedział z uśmiechem. — Paw!

— Dobrze ci w tym kolorze. Nie słyszałam, by ktokolwiek poza Benem tak cię nazywał.

— Nazywają mnie tak, ale poza moimi plecami. No i nikt by nie użył tego określenia przy mojej kochającej żonie, bo mogłaby to uznać za niestosowne. Przewisko Paw przyłgnęło do mnie za chłopięcych czasów, kiedy kroczyłem dumnie razem z pawiami po trawnikach i byłem z siebie bardzo zadowolony

— Wspaniała cecha, która pozostała ci do dziś.

Czy nie potrafisz inaczej z nim rozmawiać, pytałam sama siebie. Przypuszczam, że podświadomie nie

chciałam zdradzić się z prawdziwymi uczuciami.

Uśmiechnął się do mnie ironicznie.

— Podziwiasz więc moją dumę, moją arogancję i zarozumiałość. Cieszę się, że choć w ten sposób mogę cię zadowolić.

Bałam się spojrzeć mu w oczy, żeby nie zobaczył, co naprawdę czuję. Nie była to jeszcze stosowna chwila. Nie zniosłabym jego triumfu — poszedłby do Izy i powiedział, że nareszcie uległam jego wdziękom i zamierzam być dobrą i potulną żoną.

Ujął mnie za ramiona i odwrócił tak, że staliśmy obok siebie przed lustrem.

— Musisz przyznać, że ładna z nas para. Ty także nie jesteś niezadowolona ze swego wyglądu, co? A może też masz w sobie coś z pawia?

— Mam nadzieję, że podobam się także innym, nie tylko sobie. Różnica między nami polega na tym, że ty nie dbasz o opinię innych ludzi. A to cecha pawia.

— Jak mądrze to wymyśliłaś! Chyba rzeczywiście zaczynasz mnie poznawać.

— Powiedziałabym nawet, że już cię trochę znam.

— Mówią, że niebezpiecznie jest znać coś tylko „trochę”.

— Staram się trzymać z dala od niebezpieczeństw.

— Nie bądź taka pewna siebie.

— Cóż za pełna tajemnych znaczeń rozmowa!

— Taka jak stosunki między nami.

— Może nie zawsze tak będzie — powiedziałam lekko drżącym głosem i zaraz się przestraszyłam, czy przypadkiem tego drżenia nie dostrzegł.

Miałam wielką ochotę powiedzieć mu, że chciałabym wszystko zmienić. Chciałabym, żebyśmy się częściej widywali, żeby powiedział mi, co go łączy z Izą i jak daleko sprawy zaszły.

Chciałam powiedzieć: „Dajmy szansę naszemu wspólnemu życiu”. Powiedziałabym to, gdyby jakoś mi pomógł, dał jakiś znak... Powiedziałam natomiast:

— Podobno przywilejem dam jest wybór partnera na dzisiejszy wieczór. Rozumiem, że powinnam wybrać ciebie.

Zabrzmiało to jakoś niezręcznie, jakbym wypełniała narzucony obowiązek, a przecież pragnęłam powiedzieć:

„Chcę być z tobą. Chcę, żebyśmy oboje, blisko siebie, szukali skarbu... symbolu szczęścia, które znajdziemy w tym domu tylko wtedy, kiedy będziemy razem”.

Zapanowała cisza... i trwała pewien czas, jakby to było oczekiwanie czegoś ważnego.

Zrobiłam pierwszy krok, który mógł być początkiem... Dostrzegłam nieokiełznany ogień niebieskich oczu, gdy wzrok Jossa musnął pieszczotliwie moje nagie ramiona, i serce zabiło mi mocno.

— Moja droga — powiedział — wcale nie musisz wybierać mnie. Zresztą to nawet byłoby niezręczne. Gdybyśmy znaleźli skarb, ludzie mogliby pomyśleć, że to zmowa.

Czułam, jak uchodzi ze mnie cały mój entuzjazm. Wiedziałam, że już wcześniej wybrała go Iza.

— Czas powitać gości — rzekł.

Staliśmy obok siebie w holu, witając przybywających. Ludzie, których nigdy przedtem nie spotkałam, serdecznie ściskali mi dłoń, składali życzenia ślubne, witali mnie w Miasteczku. Byli hałaśliwi i wylewni. Nastawili się na wieczór dobrej zabawy, na wydarzenie roku, na największe z igrzysk Bena Hennikera.

Skarbem, jak zwykle, miały być dwa opale, znalezione w ciągu ubiegłego roku w kopalni Miasteczka, oczyszczone i wygładzone, uznane za jedne z wartościowszych.

— Nie same opale są ważne — powiedziała mi któraś z pań — lecz zwycięstwo. Każdy chce być tym pierwszym, który rozszyfruje wskazówki i dotrze do skarbu.

Młoda jasnowłosa kobieta podeszła do mnie i wyznała, że jest szczęśliwa, ponieważ urodziła dziecko o czasie, dzięki czemu mogła przyjść do nas tego wieczoru. Dziecko i jego braciszek zostali w domu pod opieką siostry mojej rozmówczyni, która była w zbyt zaawansowanej ciąży, by uczestniczyć w zabawie.

— Opale zdobyte podczas tego wieczoru zawsze przynoszą szczęście — mówiła młoda mama.

— Muszą przynosić szczęście tym, którzy je znajdują, bo to zrządzenie losu, prawda?

Goście z werwą zaatakowali bufet, a gdy się najedli do syta, rozpoczęto poszukiwania.

— Panie wybierają panów — powiedział Joss.

Zrobiło mi się słabo, gdy zobaczyłam Izę biorącą Jossa pod rękę. Oczywiście wyglądała pięknie w brązowożółtej sukni z zielonymi dodatkami, w masie jedwabiu, koronek i wstążek. We włosach miała opaskę z topazów, która przypominała diadem i podkreślała osobliwy kolor jej oczu. Iza była drapieżna, czujna, bardzo kocia tego wieczoru.

— Porywam ci męża — powiedziała z lekką złośliwością w głosie. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— On z pewnością nie ma nic przeciwko temu — odpowiedziałam.

Joss patrzył na mnie uważnie oczyma o niezgłębionym wyrazie. Ezra stał obok niby zbląkana owca.

— W istocie nie oponował — rzuciła Iza.

— Wobec tego odwzajemnię się, porywając twój... —

Ezra rozpromienił się.

— Cudownie — rzekł. — Właśnie się zastanawiałem, czy ktokolwiek zechce mnie wybrać, a tu sama gospodyni we własnej osobie.

— Na pewno znakomicie rozszyfrowujesz karteczki ze wskazówkami — powiedziałam.

— Zrobię wszystko, byśmy razem zdobyli skarb, Jessiko.

— Oboje będziemy się o to starali — rzekłam. Słyszałam śmiech Izy, widziałam jej długie palce przypominające kocie pazury na ramieniu Jossa.

Pani Laud wręczała pierwszą karteczkę. Podobnie jak jej córka, była ubrana w szarą suknię, która zamiast różowych różyczek miała białe dodatki. Jimson „stał obok matki. Miał chyba nadzieję, że to jego poproszę, by mi towarzyszył. Liliias wesoło spoglądała ku Jeremy’emu Dickso — nowi.

Poszukiwanie skarbów było starą angielską zabawą, którą wszyscy, z wyjątkiem mnie, dobrze znali. W Domu Wdów nie pozwalaliśmy sobie na takie rozrywki, ale byłam przekonana, że zabawiano się tak w Dębowym Dworze. Uczestnicy dostawali pierwszą wskazówkę, która prowadziła ich do następnej. Zachowywano wskazówki pisane na małych karteczkach i kto pierwszy znalazł wszystkie — zwyciężał.

Pierwsza, zgodnie z tradycją, była stosunkowo łatwa, by wszyscy mogli wejść do gry i nabrać na nią ochoty.

Brzmiała jakoś tak:

W Pawim Domu rozgość się,

Stół pod ścianą — częstuj się!

Do domu wchodziło się przez hol, w holu przy ścianie stał stół, na nim zaś wielka waza na poncz, w której były karteczki ze wskazówkami.

Od tego momentu rozpoczynały się prawdziwe poszukiwania.

Ezra i ja znaleźliśmy następną wskazówkę w salonie, a kolejna poprowadziła nas na górę.

Uświadomiłam sobie, że przy takiej okazji, kiedy dom pełen jest ludzi, ktoś mógłby znaleźć Zielony

Blask. Chociaż — o ironio! — Blask może również zginąć podczas tej zabawy, jeśli jest tutaj. Przypomniałam sobie słowa kobiety, że każdy opal znaleziony podczas poszukiwania skarbów przynosi szczęście, bo znalezienie go jest zrzędzeniem losu.

— Jak ci się jeździ na Dymnej? — spytał Ezra.

— Bardzo dobrze.

— Myślę, że Dymna też jest zadowolona. Jest coś szczególnego w tej małej źrebicy, Jessiko.

— Wiem.

— Bystra i dobra. Wszystko na swoim miejscu, jak mówią. Taka jest nasza Dymna.

— Ona wciąż o tobie pamięta.

— Będzie mnie pamiętała do śmierci. Konie to bardzo wierne stworzenia. Czego nie można powiedzieć o ludziach, co?

Spojrzałam na niego uważnie, zastanawiając się, czy ma na myśli Izę.

— Potrafisz postępować ze zwierzętami. To jasne. Nawet pawie na trawniku zdają się odczuwać twoją obecność. Do pewnego stopnia, naturalnie, bo przecież one nie potrafią zajmować się niczym innym poza sobą. Roześmiał się.

— Zawsze lubiłem zwierzęta. Taki się urodziłem. Ciekawe. Nie jestem urodziwy. Nie mogę zrozumieć, co Iza we mnie widziała. Ale wiesz, kiedy tu przyjechałem, miałem wielkie marzenia... każdy je ma. Zamierzałem znaleźć kupę złota.

— I powiodło ci się znakomicie.

— Znam się na tym, co robię, i nie chciałbym pracować gdzie indziej.

— Szczęściarz z ciebie. Nie każdy znajduje zadowolenie w pracy, którą wykonuje. Dokąd teraz idziemy?

— Do galerii. Czuję, że tam coś może być.

— I ja tak myślę, ale inni też pewnie wpadli na ten pomysł.

Otworzyliśmy drzwi. Nie było nikogo. Sześć świec migotało w kandelabrach. Galeria wyglądała niesamowicie i wspaniale, jak galeria w Dębowym Dworze. Spostrzegłam stojący w rogu szpinet i przypomniałam sobie, jak matka udawała ducha, grała na nim i chowała się, gdy ktoś wchodził do galerii.

— Tu powinno straszyć — powiedział Ezra — choć dom nie jest dość stary na duchy.

Dlaczego wiszą na ścianach te zasłony?

— Tak samo jest w Dębowym Dworze, ale tam ściany są częściowo wykładane boazerią, materiał wisi w miejscach, gdzie jej nie ma. Wygląda to nawet efektownie.

— Umiesz grać na szpinecie, Jessiko?

— Trochę. Uczyłam się, gdy byłam dzieckiem. Lekcji udzielała mi moja ciotka, Miriam.

Niezbyt byłam pojętna.

— Zagraj mi coś.

Usiadłam i zagrałam — tak jak potrafiłam — walca Chopina.

— Cześć! A więc tu straszy!

To był głos Jossa. Odwróciłam się gwałtownie. Joss i Iza stali w galerii.

— Ach, to Jessika jest tym duchem! — mówił dalej.

— Dlaczego wzięłeś mnie za ducha? — spytałam.

— Nie wzięłam cię za ducha. Nie wierzę w duchy. Ben w chwilach wzruszeń mawiał, iż czasami wydaje mu się, że słyszy dźwięki szpinetu i że chciałby, by ktoś, kto grał dla niego w Dębowym Dworze, powrócił i coś mu zagrał. Jak na tak praktycznego człowieka, miewał dziwne pomysły.

— Zawsze mówił, że wszystko go interesuje — rzekł Ezra.

— Tak — ciągnął Joss. — Ben gotów był wierzyć, że jeśli zbuduje galerię taką samą jak w Dębowym Dworze i wstawi do niej szpinet, duch może się pojawi.

— Jak ci idzie z moim mężem? — spytała Iza figlarnie.

— Nie najgorzej — odparłam. — Znaleźliśmy trzy karteczki. A tobie z moim?

— Nieco lepiej niż tobie z moim. Chodź, Joss. Chcę mieć te opale.

— Nie będą warte twojej kolekcji — rzekł Joss.

— Poproszę cię, żebyś mi je zamienił na takie, które będą jej warte.

— My także powinniśmy iść — zwróciłam się do Ezry.

Wyszliśmy z galerii. Iza i Joss gdzieś zniknęli, a my z Ezrą znaleźliśmy się na samej górze domu, w części, w której nigdy nie byłam. Pokoje były tu mniejsze, a jeden z nich wyglądał na salon. Lampka naftowa paliła się na stole. Obok stał dzban z suszonymi liśćmi, a przy drewnianym pudełku na nici, którego wieko było otwarte, leżała jakaś robótka wraz z igielnikiem, bawełniczką i nożyczkami.

Przez półotwarte drzwi zobaczyłam wąski taras z niskim murkiem. Byliśmy na samym szczycie budynku.

— To chyba apartamenty Laudów — powiedziałam. — Nie wiem, czy powinniśmy tu przebywać.

— Czyż nie tam, gdzie nie powinno się przebywać, schowane są najważniejsze wskazówki?

— Nie sędzę. Laudowie są tak powściągliwi. Wątpię, czy pani Laud pozwoliłaby na umieszczenie karteczek w swoim mieszkaniu.

— Rozejrzyjmy się jednak.

— Ciekawi mnie ten tarasik — powiedziałam. — Nawet nie wiedziałam, że istnieje.

„Wyszłam na zewnątrz i spojrzałam w niebo, gdzie lśnił Krzyż Południa przypominając mi, że jestem daleko od ojczyzny. Nikt tam za mną specjalnie nie tęskni, myślałam z goryczą, i podobnie jak tu, nikt o mnie nie dba. Wychyliłam się i spojrzałam w dół — byliśmy bardzo wysoko.

Wtedy usłyszałam głos pani Laud. Wróciłam do pokoju. Ezra stał przy stole, pani Laud w drzwiach.

— Nie wiedziałam, że ktoś tu jest — mówiła. — Tu na górze niczego nie schowano. Nawet przez myśl by mi nie przeszło pozwolić umieszczać wskazówki czy cokolwiek innego tutaj. O, i pani Madden.

— Przepraszam, że się tu wdarliśmy — powiedziałam.

— Nic nie szkodzi. Tyle że tutaj niczego nie ma.

— Wobec tego chodźmy — powiedziałam. — Tracimy tylko czas.

Pani Laud uśmiechnęła się przepaszająco.

— Nic się nie stało. Po prostu się przestraszyłam, gdy otworzyłam drzwi i zobaczyłam mężczyznę.

Ezra przepaszzał ją wylewnie, jak to on. Poszliśmy na dół.

— Ta kobieta to prawdziwy skarb — powiedział Ezra. — Pamiętam opowieści Bena, jak dobrze zarządza domem. Patrz tylko, ile zrobiła dla swoich dzieci... I jest wam bardzo wdzięczna. Wciąż to powtarza... sam słyszałem.

— Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili.

— I Jimson też jest zdolny — potrafi żonglować liczbami, aż dech zapiera. Rzadko się tu spotyka ludzi z takimi umiejętnościami. Większość szuka niezwykłych wrażeń... ale znaleźć człowieka, który naprawdę lubi liczyć! Byliśmy zadowoleni, że mamy Palinga, ale Jimson bije go na głowę... jak się przekonaliśmy po wypadku.

— Znasz także córkę?

— Liliash? Tak. Kocha się w Jeremym Dicksonie, jeśli już pytasz. Myślę, że nieźle do siebie pasują. Ale nie wiem. Liliash się waha.

— Doprawdy? Odniosłam wrażenie, że go lubi.

— Eee, jest w niej chyba jakaś odrobina bojaźliwości. Miło by ich było zobaczyć na ślubnym kobiercu. Żonaci mężczyźni są w mieście wyżej cenieni. Osiadają na stałe, zapuszczają korzenie.

— Jakies glosy dochodzą z dołu — powiedziałam. — Zdaje się, że jest już zwycięzca.

Byłam bardzo rada, gdy się okazało, że to złotowłosa kobieta — ta, która zostawiła nowo narodzone dziecko pod opieką ciężarnej siostry — i jej partner znaleźli skarby.

Joss sprawił, że podczas prezentacji opali stałam obok niego.

— Nie zapominaj — wyszeptał — że jesteś właścicielką połowy majątku i wszyscy powinni być tego świadomi.

Jasnowłosa i jej towarzysz podeszli bliżej. Pokazano opale. Ludzie pchali się, by je obejrzeć.

— Ładnie z twojej strony, że nie wygrałaś — powiedział do mnie Joss.

— Wzajemnie. Czy twoja zachłanna przyjaciółka także jest zadowolona?

— Moja zachłanna przyjaciółka musi się zadowolić tym, co nieuniknione.

— Ciekawe, czy zażąda w zamian kolejnego Arlekina. Nasze spojrzenia się spotkały — jego oczy były pełne burzliwego niepokoju, drwiny i zagadkowego blasku.

— Ciekawe — wymruczał.

Sobotnia noc

Następnego dnia, gdy zeszłam na śniadanie, Joss był w jadalni sam. Spytał, jak mi się spało po nocnych szaleństwach. Odpowiedziałam, że dobrze, i wyraziłam nadzieję, że w jego wypadku było podobnie.

— Masz teraz wyobrażenie o jednym z najważniejszych wydarzeń roku. Uszczęśliwianie pracowników to pomysł Bena. Żyją z dala od światła wielkiego miasta, organizowanie rozrywek spada więc na nas.

— Kiedy następna okazja?

— Moja droga, okazje są co tydzień. Sobotnie wieczory — to reguła. I chyba już czas, żebyś zaszczyciła swoją obecnością jeden z takich wieczorów.

Ucieszyła mnie perspektywa spędzenia czasu z Jossem i pewnie wyglądałam na bardzo zainteresowaną.

— Nie odkładaj do jutra tego, co masz zrobić dziś — pojedźmy więc w następną sobotę.

Tego samego dnia miało miejsce zdarzenie, którego wagę doceniłam dopiero później.

Usłyszałam niechcący podniesione głosy w gabinecie Jossa. Zbliżałam się do jego drzwi, gdy obaj mężczyźni wyszli. Nigdy przedtem nie widziałam Ezry zagniewanego, jego wielka twarz zupełnie straciła swą życzliwą łagodność. Joss był zły i wyglądał srogo. Powitali mnie oschle, nie mieli ochoty na rozmowę.

Wracając z Jossem do domu spytałam:

— Mielście z Ezrą jakieś nieporozumienie?

— Zdarza się od czasu do czasu — rzekł Joss beztrąsko. Nie we wszystkim się ze sobą zgadzamy. Ezra to dobry człowiek, ale nie zawsze myśli praktycznie. W Miasteczku trudno o mieszkania. Ludzie z namiotów czekają niecierpliwie na każde zwalniające się pomieszczenie.

Ezra przyrzekł mieszkanie komuś, kogo lubi, a ja dałem je temu, kto jest lepszym pracownikiem i dłużej czeka. Ezra ma więc do wypełnienia niemiłe zadanie oznajmienia swemu protegowanemu, że będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

— A więc o to poszło.

Joss zerknął na mnie, lecz nie odpowiedział. A ja myślałam, że Ezra wreszcie się postawił i powiedział Jossowi, że zaczyna być znecierpliwiony widokiem swojej żony u jego boku.

Kiedy zobaczyłam Ezrę następnym razem, znów promieniał serdecznością, i nie myślałam więcej o tamtym zdarzeniu.

Tymczasem przysłała sobota i o zmierzchu wyruszyliśmy z Jossem do Miasteczka.

— Sobotnia noc w obozowisku — rzekł Joss. — Zobaczysz, jaka będzie zabawa! Nie, nie!

Nie taka, o jakiej myślisz. Nie będzie balu maskowego i lokajów w upudrowanych perukach, zapewniam cię.

— Nie musisz mnie zapewniać. Nie oczekuję niczego takiego i wcale do tego nie przywykłam. Mówiłam ci przecież, że wychowałam się w Domu Wdów, a chociaż w rodzinie pamiętano lepsze czasy, ja zaznałam wyłącznie gorszych.

— Co za szczęście! — obrzucił mnie drwiącym spojrzeniem. — Nie będzie zatem zbyt wielkiego rozczarowania. Sobotnia noc to coś, co powinnaś zobaczyć. Tydzień pracy skończony, niedziela jest dniem odpoczynku, choć nie dla dłubaczy, którzy muszą się oprać i wysprzątać swoje domy — Trzeba się też jednak zabawić przed nowym tygodniem.

— Zabawić się? Jak?

— Zobaczysz.

Ledwie zbliżyliśmy się do Miasteczka — jeszcze przed jego granicami — zobaczyłam rozpalone ognisko.

— Powinno płonąć w samym środku, ale to niebezpieczne wśród tylu drewnianych budynków

— wyjaśniał Joss. — Pojedziemy dalej i zostawimy konie u Joe'ego, a potem wrócimy spacerem do ogniska. Już zaczynają przyrządzać jedzenie — bo to wspólne święto. Poczęstunkiem nie gardzą także obcy. Zawsze się znajdzie paru włóczęgów, którzy po zachodzie słońca ściągają do Miasteczka, by się zabawić.

Wyczuwałam atmosferę wielkiego ożywienia, gdy jechaliśmy Ulicą do kuźni i gdy pieszo wracaliśmy w stronę ogniska.

Joss wziął mnie pod ramię i szliśmy wzdłuż drewnianych chat i namiotów, przed którymi dzieci tańczyły i nawoływały się bez przerwy, a dorośli siedzieli i się im przyglądali.

— Poczęstunek będzie w tamtym wielkim namiocie — powiedział Joss. — Postawiono go specjalnie na sobotnie zabawy. Będą, jak sądzę, pieczone prosięta, wołowina i baranina.

— Kto funduje kolację?

— Towarzystwo. To część wynagrodzenia. Ben uważał, że te sobotnie zabawy, na które ludzie czekają, pozwalają im lepiej pracować. I ja też tak uważam.

— A więc nie ma tu dobroczynności.

— Żadnej. To polityka Jossa Maddena, jak zobaczysz.

— Zatem wyrachowanie.

— Prowadzę interesy, które mają być udane. Jeśli by nie były, co, twoim zdaniem, stałoby się z tymi ludźmi? Niektórzy znaleźliby pracę gdzie indziej. Wielu by głodowało, a potem zapewne umarło z rozpacz.

— Ty zaś lubisz patrzeć, jak się cieszą i bawią.

— Oczywiście, że lubię. Cieszę się, gdy są zadowoleni. Lepiej pracują niż ci, którzy mają powody do narzekań.

— Dlaczego zawsze przedstawiasz siebie jako bezwzględnego człowieka interesu?

Obrócił mnie tak, że bym patrzyła prosto w jego twarz rozjaśnioną blaskiem ognia.

— Ponieważ nim jestem.

— Wyglądasz jak demon w tym świetle.

— Często sobie myślę, że demony są bardziej interesujące niż anioły. Jestem pewien, że przyznasz mi rację, bo sama nie jesteś święta.

— Doprawdy?

— O, z największą pewnością. Masz w sobie ogień. Słusznie dali ci imię Opal Jessika. A nikt nie zna się na opalach tak jak ja.

— Ależ naturalnie — szydziłam.

— I to na wszystkich ich rodzajach — zaznaczył.

— Może przeceniasz swoje możliwości w niektórych dziedzinach.

— Ani trochę. Nie ma opalu, którego ocena wykraczałaby poza moje kompetencje. Dotyczy to zwłaszcza tych kamieni, które mam w swojej kolekcji.

— A Iza Bannock? Czy ją także traktujesz jak opal z kolekcji?

— Co za interesujące skojarzenie!

— Oczywiście nie ośmieliłabym się porównywać z jej doskonałością.

Przycisnął mocniej moje ramię.

— Nie wolno ci się nie doceniać ani nawet udawać... rozumiesz?

— Głupia rozmowa!

— Prawda? I to w sobotni wieczór!

Tuż przed nami stał perkalowy namiot — wyglądał dość niesamowicie w świetle ognia. W

środku ktoś grał na skrzypcach starą melodię, która przypomniała mi dom, pola i dróżki, Biednego Jarmana pochylonego nad grządkami, Miriam i jej wikarego; zastanawiałam się, czy Xavier ożenił się już z lady Klarą.

Dwoje dzieci w pasiastych sweterkach fikało koziółki, a gdy przechodziliśmy, stanęły na baczność i pięknie się nam ukłoniły. Do skrzypiec przyłączyły się organki, czuło się zapach pieczonej wołowiny.

Siedliśmy z Jossem na stoku hałdy porośniętej kępami mulgi. Z tej niewielkiej wyniosłości mieliśmy znakomity widok na namiot i ognisko.

— Całe gotowanie odbywa się w środku. Dla bezpieczeństwa. Gdyby wybuchł pożar, Bóg jeden wie, jak daleko rozprzestrzeniłby się ogień. Po pieczeniu podadzą pudding śliwkowy.

Powinnaś go skosztować, po to tylko, by pokazać, że nie jesteś zarozumiała i chętnie przyłączasz się do świętujących. — Joss uśmiechnął się szeroko. — Pamiętaj, że należysz do rodziny. Musisz przyjąć nasze zwyczaje.

— Czy ten uważasz za przyjemny?

— Jeden z szefów Towarzystwa jest zwykle obecny podczas sobotniej zabawy. Przyjeżdżamy na zmianę. Ben często brał w nich udział. Ja także często tu jestem, i Ezra. Muszą wiedzieć, że należymy do nich. Tutaj każdy zwykły robotnik jest równie ważny jak jego przełożony. Pamiętaj o tym.

— Wydaje mi się jednak, że między szefami są tacy, którzy uważają się za zdecydowanie ważniejszych.

— Tylko dlatego, że takimi są. Ludzie budzą szacunek tym, co sobą reprezentują.

— Czyż nie wszędzie tak jest?

— Chciałem powiedzieć, że tu nie jest się ważniejszym tylko dlatego, że ma się lepsze wykształcenie czy większy majątek. Tutaj trzeba pokazać, jakim się jest człowiekiem.

— Czy ludzie, którzy uzależnieni są od innych przez to, że dzięki nim zdobywają środki do życia, nie uważają za rozsądne okazywanie im szacunku?

— Byliby głupcami, gdyby uważali inaczej.

— Wypracowałeś sobie taką filozofię, która usprawiedliwia wszystkie korzyści, jakie z życia czerpiesz.

— Czyż to nie sensowne rozwiązanie?

— sprowadzasz wszystko do własnego punktu widzenia.

— To ty tak robisz. Ty popchnęłaś mnie do tych rozważań.

Wzruszyłam ramionami.

Skupiłam uwagę na tym, co się działo przed nami. Ludzie tłumnie wchodzili do namiotu i wychodzili z kawałami mięsa i chleba w dłoniach, zjadając z apetytem. Siadali, gdzie kto mógł, i gawędzili pokrzykując do siebie i nie zwracając najmniejszej uwagi na nas siedzących na hałdzie. Dzieci wychodziły z tackami, na których leżały kawałki puddingu. Popijały go, jak powiedział Joss, warzonym w domach piwem.

Ja także dostałam kawałek puddingu, który przypominał ciepłe ciasto. Zajadaliśmy go z Jossem palcami i nawet nam smakował.

Po posiłku zaczęła się zabawa. Dwójka dzieci, które przedtem fikały koziołki, teraz kręciły młynki, jakiś mężczyzna pokazywał sztuczki magiczne. Para skrzypiec i organki przypominały piosenki, które wszyscy znali i śpiewali.

W pewnej chwili dał się słyszeć odgłos końskich kopyt i pojawił się jeździec.

— Czy jest tu pan Madden? — zawołał. — Muszę się zobaczyć z panem Maddenem.

Joss wstał i podszedł do jeźdźca, dookoła którego zebrała się grupka ludzi.

— Panie Madden — usłyszałam jego głos. — Pani Bannock przysłała mnie, żebym pana odnalazł. Mówiła, żebym powiedział, że pana Bannocka nie było w domu przez całą noc i przez cały dzień, a teraz wrócił jego koń. Pani Bannock jest bardzo zaniepokojona i pyta, czy pan mógłby przyjechać do zajazdu.

— Wracaj, Tim — powiedział Joss — i powiedz jej, że już jadę. O ile oczywiście nie dotrę do zajazdu przed tobą.

Odszedł i zostawił mnie, tam gdzie stałam. Niemal mnie zemdliło z oburzenia i złości.

Wystarczyło, że po niego przysłała, a on już zapomniał o mojej obecności. Później pomyślałam o Ezrze i zrobiło mi się wstyd. Co mu się przydarzyło? Skierowałam się w stronę kuźni, gdzie spokojnie czekała na mnie Dymna. Był też Jimson.

— Mam zabrać panią do domu — rzekł. — Pan Madden prosił.

— Dziękuję, Jimson. Jedźmy.

Wróciłam więc do Pawiego Domu z Jimsonem. Cała radość z tego wieczoru uleciała, owładnął mną niepokój o Ezrę.

* * *

Poszłam do swego pokoju, zdjęłam strój do konnej jazdy, włożyłam szlafrok i rozpuściłam włosy.

Usiadłam i czekałam. Joss wrócił o północy. Przyszedł prosto do mojego pokoju.

— Wróciłaś z Jimsonem? Wszystko w porządku? — spytał.

— Co z Ezrą?

Zmarszczył brwi, wyglądał na bardzo przejętego.

— Boję się myśleć. Przepadł. Nie podoba mi się to. Musiał mieć jakiś wypadek. Jego koń wrócił do domu. Wyślę jutro ludzi, żeby go szukali. Iza nas powiadomi, gdyby się pojawił.

— Mówiłeś, że człowiek może łatwo zaginać w buszu.

— Ale nie Ezra. Jeździł tylko między zajazdem a Miasteczkiem. Mógłby pokonać tę trasę z zawiązanymi oczyma.

— Nie sądzisz chyba, że odszedł...

— Odszedł?

— Bycie mężem Izy mogło go zmęczyć.

Joss spojrział z niedowierzaniem.

— A koń...

— Ezra mógł chcieć, żeby to wyglądało na wypadek...

Joss pokręcił głową.

— Źle się skończyła twoja pierwsza sobotnia noc.

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Bardzo go lubię. Był dla mnie taki miły.

Joss położył mi rękę na ramieniu.

— Nie pragnąłbym cię niepokoić, ale chcesz pewnie, żeby cię rano obudzić i powiedzieć ci, czy coś się nie zmieniło.

— Dziękuję ci.

Uśmiechnął się. Wydawało mi się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zawahał się i w końcu chyba zmienił zdanie.

— Dobranoc — powiedział i wyszedł.

Odkrycie w Żlebie Grovera

Plotki związane ze zniknięciem Ezry zaczęły krążyć po paru dniach. Niektóre były przerażające. W jakiś sposób Ezra sam kusił los. Zawsze kpił sobie z przestrogi. Nigdy nie bał się przejeżdżać przez Żleb Grovera po zachodzie słońca. Słyszano, jak mówił, że Grover to stary głupiec, że powinien był lepiej pilnować swoich pieniędzy.

Najpopularniejsza plotka głosiła, że to Ezra ukradł Zielony Blask, bo mimo usiłowań Jossa, by fakt ten zachować w tajemnicy, stał się on ogólnie wiadomy. Tak więc Ezra znalazł Zielony Blask, ukradł go i nieszczęsny kamień zaczął go prześladować.

Znów gadano, jakie to nieszczęścia sprowadza ten opał, ale Joss nie złościł się z tego powodu jak dawniej. Sprawiał wrażenie przybitego. Sądziłam, że przejmuje się sytuacją Izzy.

Poszukiwacze wyruszyli w różnych kierunkach, ale po Ezrze zaginął wszelki ślad. Niektórzy sądzili, że uciekł z Zielonym Blaskiem i zostawił żonę, która nie zachowywała się wobec niego tak jak trzeba.

Minęły trzy dni. Nie mówiono o niczym innym, tylko o zniknięciu Ezry.

Wyjechałam konno późnym popołudniem i, jak zwykle, Dymna zwróciła łeb w stronę Żlebu Grovera, drogi prowadzącej do zajazdu Bannocków.

Dzień był gorący, wiatr wiał z północy. Dmuchał coraz mocniej i zaczynał wzniecać tumany pyłu. Za jakiś czas stanie się trudny do zniesienia, ale na razie było całkiem przyjemnie — ciepło, sucho, pachniało pustynią.

Przejechałam przez żleb i rozejrzałam się niepewnie. To jednak niesamowite miejsce. Małe lejki piasku kręciły się tuż nad ziemią. Wiatr się wzmaga, pomyślałam. Lepiej wracać do domu.

— Jedźmy do domu, Dymna — powiedziałam.

Dymna jednakże zachowywała się nader dziwnie. Nakłaniałam ją, żeby zawróciła, żebyśmy mogły przejechać między wzgórzami, lecz ona z osobliwym uporem odmawiała wykonywania moich poleceń.

— Co się dzieje? — pytałam.

Dymna ruszyła w stronę kopalni.

— Nie, Dymna. Nie tędy!

Co się z nią działo? Nie chciała wracać.

Zdecydowanie ściągnęłam wodze, a wtedy Dymna zrobiła coś, czego nie zrobiła jeszcze nigdy. Pokazała mi, że prowadziłam ją z łatwością, ponieważ mi na to pozwalała. Teraz nie chciała mnie słuchać i ja musiałam pozwolić jej iść tam, dokąd ona chce. To było dla mnie przerażające odkrycie.

Dymna szła przed siebie.

— Dymna! — krzyknęłam przestraszona nie na żarty.

Ignorowała mnie. W tym samym momencie rozległ się donośny śmiech kukabury. Te ptaszyska tylko czekały, by wyśmiewać moje porażki. Albo może kiedy indziej po prostu nie zwracałam na nie uwagi.

Czułam ciarki na plecach, wiedziałam, że dzieje się coś niesamowitego, coś, czego nie mogę pojąć.

Dymna stanowczo podążała dalej.

„Dymna! Dymna!” — przemawiałam do niej bez skutku, ale ona w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Zdawała się nie pamiętać, że mnie niesie na grzbiecie. Próbowałam dobrocią, próbowałam złością, wszystko na nic. Ona prowadziła. Dokąd, pytałam sama siebie. Czułam, że ona wie coś, czego ja nie wiem. Czyż nie mówi się, że konie i psy mają szósty zmysł, większe możliwości odczuwania tego, o czym my w ogóle nie mamy pojęcia?

Chyba nigdy nie byłam tak przerażona. Czekałam na widmo starego Grovera unoszące się nad kopalnią, przywołujące Dymną.

Nagle zatrzymała się. Biła kopytami w ziemię. Rżała. Odwróciła się od kopalni i poszła trochę w prawo, gdzie ziemia była bardzo sypka, gdzie rosły poszarpane krzaki mulgi —

Postawiła uszy i zaczęła grzebać kopytami w piasku. Parskała rozpaczliwie.

— Co się dzieje, Dymna? — pytałam bliska obłądu.

Zobaczyłam, że coś wyłania się z ziemi. Pochyliłam się do przodu.

— O, Boże! — wyszeptałam ze zgrozą. Zobaczyłam to, co pozostało po Ezrze Bannocku.

* * *

Zabito go strzałem w głowę. Ktoś pomyślał, że bezpiecznie będzie zakopać go pod krzakiem mulgi, niedaleko od kopalni, gdzie — gdyby nie Dymna, która tak go kochała — nikt nigdy by go nie znalazł.

W Miasteczku panowało wielkie poruszenie. Zawieziono Ezrę do zajazdu. Kowal zrobił trumnę. Pochowano Bannocka na cmentarzu, na skraju Miasteczka, dzień jego pogrzebu był dniem wolnym od pracy, tak by każdy mógł oddać mu ostatnią posługę.

Joss poprowadził w biurze Towarzystwa zebranie, w którym ja także brałam udział.

Dyskutowano nad tym, co się wydarzyło i co należy uczynić w tej sytuacji.

Ezra Bannock został zamordowany i trzeba znaleźć mordercę. Zbrodnia i gwałt nie mogą uchodzić bezkarnie. W społeczeństwie takim jak to, pewne reguły postępowania muszą być rygorystycznie przestrzegane, dlatego należy zrobić wszystko, by postawić mordercę przed wymiarem sprawiedliwości.

Postanowiono wydrukować afisze o nagrodzie wysokości pięćdziesięciu funtów dla każdego, kto udzieli informacji o przestępcy.

Rozmawiano z każdym, kto widział Ezrę w dniu, w którym ten zniknął.

Okazało się, że rano Ezra był w Pawim Domu i spędził z Jossem około godziny. Następnie odjechał, najprawdopodobniej do domu. W jakiś czas potem Joss udał się do Miasteczka.

Zaświtało mi w głowie okropne podejrzenie, że gdy Ezra przyjechał do Pawiego Domu, mógł pokłócić się z Jossem o Izę. Zastanawiałam się, czy powodem sprzeczki między nimi sprzed paru dni było rzeczywiście zapewnienie dachu nad głową jednemu z dłubaczy i jego rodzinie, czy też Ezra wreszcie tupnął nogą i powiedział, że ma tego dość. W tej sytuacji...

Nie, nie powinnam tak myśleć. Nie potrafiłam jednak nie myśleć o Jossie i Izie — bez wątpienia byli kochankami. Czyż Joss nie podarował jej Arlekina? Gdyby nie była żoną Ezry, wyszłaby za Jossa, a wtedy nie byłby możliwy ślub ze mną. Z pewnością oboje nad tym ubolewali. Ale czy nic nie mogli zrobić w tej sprawie? Teraz Iza była wolna... Joss jednak nie.

Dokąd prowadziły te rozmyślenia?

Na pogrzebie Iza była spowita w czerń, w której zresztą było jej do twarzy. Wdowi stan zdawał się dodawać jej uroku. Była tajemnicza i, jak mi się wydawało, nie bardzo zgnębiona. Jej brązowe oczy lśniły jak topazy za cieniutką woalką, błyszcząły bardziej niż zwykle.

Kilkoro z nas pojechało po pogrzebie do zajazdu, gdzie podano kanapki z szynką i piwo.

Iza podeszła do mnie i wyraziła nadzieję, że ją czasem odwiedzę. Pocieszała ją myśl, że ma jakąś kobietę w nieodległym sąsiedztwie.

Odpowiedziałam, że oczywiście, będę ją odwiedzać.

— Biedny Ezra. Kto by pomyślał, że może mu się przydarzyć coś takiego? Kto mógł to zrobić?

Pokręciłam głową.

— Wiem tak niewiele o tutejszych sprawach — powiedziałam.

— Nie miał żadnych wrogów, każdy go lubił.

— Nie sądzisz, że mógł się z kimś pokłócić?

— Możliwe... — przyznała.

— Większość ludzi przypuszcza, że jakiś zbir zabił go dla sakiewki.

— Tak, bo jej przy nim nie było. Zawsze miał ją pełną. Lubił mieć przy sobie dużo pieniędzy.

Mówił, że dzięki temu czuje się bogaty, i napełniał sakiewkę monetami każdego ranka. Była to taka skórzana sakiewka z kółkiem u góry, wiesz jaka... z czerwonej skórki.

— I zginęła? Wobec tego to musiała być grabież.

— Zabili go dla paru funtów. Biedny Ezra! Czy to możliwe? Może jednak ktoś chciał się go pozbyć.

— Ale kto? — spytałam.

— Może jest ktoś taki...

Nie mogłam zgłębić wyrazu jej oczu.

— Kiedy do mnie przyjedziesz? — spytała. — Chcę ci pokazać moją kolekcję.

— Już mi ją pokazywałaś, nie pamiętasz?

— Nie wszystko. Chciałabym pokazać ci ją całą. Wszedł Joss i Iza natychmiast się nim zajęła.

Słyszałam, jak Joss mówi, że gdyby czegokolwiek potrzebowała, niech po niego przyśle.

O nie, Iza wcale nie była mniej atrakcyjna z powodu swego wdowieństwa.

Wróciliśmy z Jossem do domu. Zamyśleni przejechaliśmy obok dumnych pawi na trawnikach Pawiego Domu. Potem usiedliśmy na tarasie, korzystając z wieczornego chłodu.

— Co o tym sądzisz? — spytałam, by go wybadać.

— Grabież — rzekł. — Cóż innego?

— Nie wszystko jest w rzeczywistości takie, na jakie wygląda. Ezra był w gruncie rzeczy nieszczęsną postacią.

— Wręcz przeciwnie. Rzadko widuje się ludzi tak zadowolonych ze swego losu.

— Myślisz, że cieszył się widokiem wiarołomnej żony?

— Był dumny z jej wdzięków.

— Chcesz powiedzieć, że sprawiała mu przyjemność jej nielojalność?

— Są tacy mężczyźni.

— Czy ty jesteś jednym z nich?

Wybuchnął śmiechem.

— Nie zniósłbym czegoś takiego nawet przez chwilę.

— Jednak u innych wydaje ci się to naturalne.

— Każdy ma prawo postępować, jak mu się podoba. Jeśli ludzie czegoś nie lubią, muszą poszukać sposobu, by z tym skończyć.

— Nie sądzisz, że Ezra to właśnie próbował zrobić?

— Sądzę, że Ezra próbował powstrzymać kogoś, kto chciał odebrać mu trzos.

— Albo żonę.

— Co masz na myśli?

— Dokładnie to, co powiedziałam.

— Ależ to sakiewkę, a nie żonę, mu zabrano!

— Mogła zostać skradziona dla niepoznaki.

— Detektyw z ciebie, że hoho!

— Bardzo bym chciała wiedzieć, kto zabił Ezrę Bannocka.

— Wszyscy byśmy chcieli.

— Czy możemy przestać mówić o „wszystkich”? — wykrzyknęłam gniewnie. — Chcę znać prawdę. Czy to ty zabiłeś Ezrę?

— Ja? Dlaczego miałbym go zabić?

— Miałbyś powód nader oczywisty. Jego żona jest twoją kochanką.

— Co dobrego przyniosłaby mi jego śmierć? Mam żonę. Nie jestem wolny. Nie mógłbym jej poślubić, nawet gdyby ona przestała być mężatką.

Nie odpowiedziałam. Byłam głęboko wstrząśnięta. Joss nie zaprzeczył, że jest jej kochankiem.

Wstałam.

— Wejdę do środka. Ta rozmowa zaczyna być niesmaczna.

Staął obok mnie.

— Ja też tak uważam — powiedział chłodno.

Poszłam do swojego pokoju i usiadłam przy toalecie, patrząc w lustro niewidzącym wzrokiem.

Poślubiłby Izę, gdyby był wolny. Ale nie jest wolny, bo ja jestem jego żoną.

Miałam wrażenie, że pokój pełen jest ostrzegawczych znaków. Och, Ben, myślałam. Coś ty narobił? Czy dobrze znałeś swego syna?

Dumny jak paw, nie potrafił zrezygnować z tego, czego pragnął. A bardzo pragnął trzymać wszystko w swoim ręku — Towarzystwo, sprawy Miasteczka, sprawy każdego z nas. Miał w życiu dwie namiętności: opale i Izę. Nie zamierzał zrezygnować z żadnej z nich.

Co będzie ze mną?

Zaczęłam bardzo wyraźnie zdawać sobie sprawę, że stoję mu na zawadzie.

* * *

Minęło kilka tygodni. Nocami czułam nieopisany lęk, który zniknął na szczęście z nadejściem dnia, i gdy jechałam do Miasteczka, zapomniałam o nocnych fantazjach.

Starałam się skupiać uwagę na interesach Towarzystwa, uczestniczyłam w dyskusjach toczonych podczas zebrań zarządu, a nawet przedstawiałam swoje propozycje — związane nie tyle z pracą, ile z pracownikami. Byłam świadoma faktu, że moja pozycja umacnia się i że okazuje mi się względy nie tylko dlatego, że jestem żoną Jossa Maddena i współwłaścicielką Towarzystwa.

Pewnego dnia poszczęściło mi się podczas sortowania opali. Wybrałam kawałek skały, co do którego miałam — nie potrafię tego nazwać inaczej — przecucie. Poprosiłam, by obrobiono go w pierwszej kolejności, bo wydaje mi się, że pod warstwą bezwartościowego kamienia kryje się coś specjalnego.

Pobłażano mi i odłożono inne zajęcia na bok, by szukać klejnotu w moim kawałku. Ku mej wielkiej radości — powiedziałabym nawet, pełnej triumfu radości — doświadczeni pracownicy byli więcej niż zaskoczeni, gdy się okazało, że miałam rację. Takiego opalu nie widziano od miesiący.

— Znalazła! — wołał Jeremy Dickson z zapalem. — Pani Madden jest prawdziwym ekspertem!

Na parę godzin zapomniałam o swoich niepokojach.

Wkrótce jednak wróciły. W Miasteczku wisiały afisze o nagrodzie. Pięćdziesiąt funtów dla tego, kto wskaże mordercę Ezry Bannocka. Myślałam o Izie, jak uśmiecha się tajemniczo do Jossa, o słowach, które niechcący gdzieś Usłyszałam, że Ezra wyjechał z Pawiego Domu po śmierć.

Postanowiłam dowiedzieć się, co myślano i mówiono w mieście, i czy podejrzewano, że to Joss zabił Ezrę. Chodziłam zwykle do Trantów na południową filiżankę kawy. Ethel rzucała wtedy robotę, siadała obok mnie i gawędziłyśmy o tym i owym. Najwyraźniej czuła do mnie sympatię. Była na

dodatek urodzoną plotkarką i trzymała rękę na pulsie wszystkich spraw, które dotyczyły Miasteczka. Joss pokpiwał z moich regularnych wizyt u Trantów, a ja odpowiadałam, że dobrze wiedzieć, co ludzie w mieście myślą i czują, i że nie ma lepszego sposobu, by się tego dowiedzieć, jak pogadać z Ethel.

— Widzę, że zamierzasz wprowadzić coś nowego do firmy.

— Nie uważasz, że słusznie?

— Poczekamy, przekonamy się — odpowiedział wymijająco.

Zdawało mi się, że dostrzegłam błysk niepokoju w jego oczach. Czyżby się bał, że dowiem się czegoś o nim?

Ledwie zaczęłam mieszać kawę i Ethel przysiadła na pogawędkę, temat zszedł na niedawne morderstwo.

— Myślę, że Ezra miał Zielony Blask — powiedziała Ethel. — I nie ja jedna tak myślę.

Ukradł go dla swojej żony.

— Ale nie uważa pani chyba, że ona ma go teraz?

— Wcale bym się nie dziwiła, gdyby go miała. Ile to było zamieszania, jak przyjechała z Anglii! Mówili, że jest aktorką. Ezra zobaczył ją w jakimś teatrze i zakochał się nieprzytomnie.

— Po co tu przyjechała?

— Żeby poślubić Ezrę. Myślała, że zbije fortunę na złocie. Młoda była. Wszyscy mężczyźni za nią szaleli. W całym buszu żaden chłop świata nie widział poza Izą Bannock. Każdy by do niej poszedł na niewolnika. Nawet mojemu Jamesowi oczy za nią latały. A jej to się nawet podobało.

Oczywiście Ezrze dobrze się powodziło. Był jednym z najważniejszych ludzi w Towarzystwie Bena Hennikera i paninego męża. Ale nigdy nie zaszedł tak daleko, jakby ona sobie tego życzyła.

A taki Zielony Blask! Pan Henniker miał go przez cały czas, a Ezra bywał w Pawim Domu...

— Nie wierzę, by Ezra mógł cokolwiek ukraść.

— Ukraść Zielony Blask to nie to samo co ukraść cokolwiek. On ma w sobie coś przyciągającego, ten kamień. Ludzie nie mogą się opanować. Diabły im pomagają. Opętanie, jak mówią.

Myślałam o moim ojcu, który kochał moją matkę i chciał się z nią ożenić, ale kiedy zobaczył

Zielony Blask, gotów był wszystko dla niego rzucić. Opętanie! Tak, to dobre słowo.

— Jak nic wziął go dla Izy, a kiedy już go miał, dopadł go zły los, jak wszystkich. Jakiś opryszek

zaczaił się przy Żlebie Grovera i czekał na pierwszego przejeżdżającego. Trafiło na Ezrę Bannocka. Ludzie mówią, że Zielony Blask powinien zostać odnaleziony.

Wpatrywała się we mnie badawczo, czułam, że wie więcej, niż chce mi powiedzieć.

— Wszyscy się zastanawiają, gdzie on może być — dodała.

— Ma pani rację — powiedziałam.

Wróciłam do biura. W drzwiach spotkałam Jossa.

— Poszłaś potrzymać rękę na pulsie życia publicznego?

— Tak. Mówi się dużo różnych rzeczy.

— Naturalnie. Tak jest zawsze.

— O Ezrze i Zielonym Blasku.

— Nie widzę związku.

— Ludzie widzą.

— Czego się dowiedziałas?

— Chodzą słuchy, że Ezra ukradł Zielony Blask dla Izy. Ponieważ przez pewien czas był jego właścicielem, zaczął prześladować Ezrę zły los i poprowadził go do Żlebu Grovera akurat wtedy, gdy jakiś opryszek czekał tam na ofiarę.

Widziałam, jak Joss zacisnął usta, spoczęło na mnie zimne jak stal spojrzenie jego niebieskich oczu, którego się bałam.

— Bzdury! Kompletne bzdury!

Wzruszył niecierpliwie ramionami. Jak bardzo jest zaangażowany, myślałam. A może to on wziął Zielony Blask ze skrytki, by go podarować swojej ukochanej? Do czego mógł się posunąć w swoim zaślepieniu?

Okropnie się bałam.

* * *

Usiadłam na tarasie, co często czyniłam po powrocie z Miasteczka. Pani Laud albo jej córka przynosiły mi wtedy coś do picia. Zwykle była to przyrządzona przez Liliąs lemoniada. Tego dnia przyniosła ją pani Laud.

— Wygląda pani na wzburzoną — powiedziała. — Coś panią zdenerwowało?

— Nie, nic takiego. Żałuję, że nie potrafimy rozwiązać zagadki śmierci Ezry Bannocka. Był tak dobrotliwym człowiekiem.

— Czy kryje się w tym rzeczywiście jakaś zagadka? Zabił go opryszek... skoro sakiewka zginęła.

— Tak, wiem.

— Nie bardzo pani w to wierzy.

— To wydaje się oczywiste.

— Martwi się pani... Ale nie można pozwolić, by to panią wyprowadzało z równowagi, pani Madden. Niepokoję się o panią.

— Ach, pani jest bardzo miła i pomocna, pani Laud. Zawsze tak było, od pierwszej chwili, gdy tu przyjechałam.

— Czemu miałyby być inaczej? Pani jest tu teraz najważniejsza. I nie powinna pani zaprzętać sobie głowy tymi sprawami.

— Nie potrafię. Czy pani wie, że niektórzy uważają, iż morderstwo ma związek z Zielonym Blaskiem?

— Kto tak uważa?

— Tak mówią w mieście.

— Ale co wspólnego może mieć śmierć pana Bannocka z Zielonym Blaskiem? Zniknął, czyż nie tak? Pan Henniker gdzieś go schował i kamień został skradziony.

— O to chodzi! Może powinniśmy spróbować go odnaleźć.

— Ale jak?

— Trzeba dołożyć wszelkich starań. Zielony Blask skradziono w tym domu. Powinniśmy ustalić, jak i kiedy zaginął. Ale pan Madden sprzeciwia się temu. Nie chce żadnych dociekań związanych z kamieniem, nie chce rozmów o fatum, które prześladowało jego właścicieli. Nie chce, by ludzie sądzili, że opale przynoszą nieszczęście, a przy okazji Zielonego Blasku zawsze się o tym wspomina.

— Ma rację. Jimson mówi, że takie gadanie szkodzi interesom.

— Nie trzeba podkreślać, że przynosi szczęście czy nieszczęście. Chcę tylko, byśmy poznali prawdę. Muszę wiedzieć, co się z nim stało.

— I co pani chce zrobić, pani Madden?

— Nie wiem, ale mam ochotę trochę pomyszkować.

— Sama?

— Jeśli ktoś chciałby mi pomóc... Pani mogłaby mi pomóc, pani Laud.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Pani wie, kto przychodził do domu.

— Eee, widziała pani podczas „poszukiwania skarbów” — setki ludzi. Cały czas przewijają się przez ten dom jacyś ludzie.

— Ale fakt pozostaje faktem, pani Laud. Ktoś wszedł do tego domu, znalazł skrytkę i zabrał kamień.

— Pani naprawdę myśli, że to pan Bannock?

— Trudno mi w to uwierzyć. Bardzo go polubiłam, choć znałam go tak krótko. Sprawiał wrażenie szczęśliwego człowieka. Niepodobna, żeby miał coś na sumieniu.

— Tak trudno w to uwierzyć. A zatem chce pani zacząć dochodzenie.

— Ostrożnie, po cichu — skoro pan Madden sobie tego nie życzy.

— Wiem, że nie chciałby...

Zamilkła nagle, jakby powiedziała więcej, niż zamierzała.

— Dlaczego? — spytałam ostro.

— Chyba... On... Chyba nie chciałby dochodzenia.

Wyglądała na zmieszaną.

— Z powodu tych historyjek o nieszczęściach, które wiążą się z opalami — powiedziałam stanowczo.

— Tak, oczywiście. To jedyny powód. To właśnie miałam na myśli.

Za bardzo się usprawiedliwiała. Zrozumiałam, co rzeczywiście miała na myśli. Wiedziała o namiętności Jossa do Izy. Iza była jak księżniczka z bajek mojego dzieciństwa. „Jeśli chcesz moich względów, musisz zdobyć dla mnie...” — i tu sypały się z pozoru niemożliwe do wykonania zadania, z którymi królewicz zawsze potrafił się uporać.

To oczywiste... Ona uwielbia opale. „Chcę, by moja kolekcja nie miała równej w świecie”.

Jak mogła się obyć bez najwspanialszego? „Muszę go mieć, musisz go dla mnie zdobyć, a wtedy... zostanę twoją żoną”. Czyż nie tak było w bajkach?

Ale oni nie mogli się pobrać. Ona była wprawdzie wolna, ale Joss nie... jeszcze nie.

— Pani drży, pani Madden, czy nie jest za chłodno?

— Nie, nie... śmierć mnie przeskoczyła... jak to się mówi. Uśmiechnęła się dziwnie, zagadkowo. Czyżbyśmy obie myślały o tym samym?

Grający szpinet

W parę dni później dokonałam alarmującego odkrycia.

Dom wydawał mi się niezmiernie przygnębiający. Miałam uczucie, że jest w nim coś, przed czym powinnam uciekać. Sporo myślałam o Benie, bo na Pawim Domu piętno jego osobowości wyciśnięte było bardzo wyraźnie. Wciąż byłam podenerwowana i odczuwałam jego obecność.

Wierzyłam, że silna więź między ludźmi nie musi ustać wraz ze śmiercią jednego z nich. A on był przecież jedyną osobą, która naprawdę mnie kochała. Każdy człowiek pragnie być kochany, a najbardziej pragną tego ci, którzy utracili możliwość radowania się tą, jak uważałam, najważniejszą rzeczą w życiu. Dzieciństwo upłynęło mi bez miłości. Byłam zawadą od początku mego istnienia. Moja własna matka uznała życie za niemożliwe do zniesienia i opuściła mnie. Nie mogę powiedzieć, że dzieciństwo miałam nieszczęśliwe, bo bycie nieszczęśliwą nie leżało w mojej naturze, a ponadto nie mogłam tęsknić do czegoś, czego nigdy nie zaznałam. W gruncie rzeczy dopiero Ben, kochając mnie i rozpieszczając, uświadomił mi, do czego można tęsknić.

Może właśnie dlatego czułam, że łączą nas szczególne więzy, i wydawało mi się, że jego duch jest w domu i ostrzega mnie przed niebezpieczeństwem. Sprawy z pewnością nie potoczyły się tak, jak planował. Związał nas ze sobą, Jossa i mnie, lecz taka ingerencja w życie dwojga ludzi może okazać się niebezpieczna. Czy Ben zdawał sobie sprawę, do czego może posunąć się Joss, by osiągnąć to, czego pragnie? Czy pomyślał, że jako żona stojąca na zawadzie bezwzględnemu mężczyźnie może stać się jego ofiarą?

Kto skradał się po nocach pod moje drzwi i ostatnim razem byłby dostał się do środka, gdybym ich nie zamknęła na klucz? Czy Joss? Tak sądziłam. Czy przychodził prosić mnie, byśmy rozpoczęli razem nowe życie? Nie, był na to zbyt dumny. Powiedział przecież, że nigdy nie będzie mi się narzucał. A więc? W jakim celu przychodził?

Czy miałam rację sądząc, że jakieś siły związane z domem starają się mnie ostrzec?

Kiedy wchodziłam do domu, w którym panowała cisza, miałam ochotę natychmiast wyjść.

Czasami siadywałam w ogrodzie obok stawu, ale częściej wybierałam spokój sadu. Tam, między drzewami cytrynowymi i pomarańczowymi, czułam się odprężona, przemyślałam nad tym, co działo się w biurze i czego się nauczyłam. Strofowałam samą siebie za głupie fantazje, miałam

wrażenie, że między drzewami wraca mój zdrowy rozsądek.

Przyniosłam sobie z biura parę książek, z których obficie czerpałam wiedzę o opalach.

Zabierałam którąś z nich do sadu, znajdowałam ocienione miejsce, siadałam i czytałam zapamiętując rozmaite fakty, którymi uwielbiałam zaskakiwać ludzi, a szczególnie Jossa.

Widziałam, że był pod wrażeniem, choć nigdy mi tego nie powiedział, unosił tylko kąciki ust i spoglądał z błyskiem w oku. Sprawiało mi to dużą przyjemność, bo wiedziałam, że choć wstrzeźliwie, to jednak mnie podziwia.

I tam właśnie, w sadzie, dokonałam mojego odkrycia.

Trawa była wyschnięta, a ziemia, która spod niej prześwitywała — brązowa i popękana.

Dlatego świeżo skopane miejsce łatwo było zauważyć.

Uniósłszy wzrok znad książki od razu je dostrzegłam. Przyglądałam się przez chwilę. W

skopanej ziemi, na którą padł promień słońca, coś błyszczało niczym złoto.

Podeszłam bliżej. To było złoto. Sięgnęłam po nie i kolana ugięły się pode mną z przerażenia.

Trzymałam sakiewkę z czerwonej skóry ze złotym kółkiem i od razu wiedziałam, że należała do Ezry Bannocka i że on miał ją przy sobie, gdy go zastrzelono przy Żlebie Grovera.

Kto zakopał ją w sadzie Pawiego Domu?

Nie mogłam dłużej zostać w ogrodzie. Poszłam do swojego pokoju. Otumaniona strachem, nie wiedziałam, co dalej począć.

* * *

Tak więc podejrzenie, że Ezrę zabił rabuś z buszu, było fałszywe. Jaki zbir zakradałby się do sadu Pawiego Domu, by tam zakopać sakiewkę?

Zagadka zdawała się mieć tylko jedno rozwiązanie. Ktoś z Pawiego Domu zabił Ezrę, zabrał mu sakiewkę, by stworzyć pozory grabieży, a następnie zakopał ją w sadzie.

Znałam tylko jedną osobę, która mogła mieć powód, by to zrobić.

Bez Ezry Iza była wolna. Ale on — nie. Miał mnie i póki żyłam... póki żyłam...

Ta myśl mnie nie odstępowała.

Wzięłam sakiewkę w ręce i przyglądałam się jej badawczo. „Miał sakiewkę z czerwonej skóry pełną monet. Napełniał ją każdego ranka”. Iza powiedziała coś takiego.

Co za uczucie Joss we mnie wzbudzał? Czy to była miłość? Chciałam go chronić, bez względu na to, co zrobił. Chciałam iść do niego i powiedzieć: „Znalazłam sakiewkę Ezry.

Ukryłeś ją w sadzie... niezbyt rozsądnie. Ziemia jest tak wysuszona, że od razu widać skopane miejsce. Musimy się jej pozbyć...”

Ale dlaczego właściwie zakopał sakiewkę w sadzie? Dlaczego nie wyrzucił jej gdzieś w buszu? Wyglądało na to, że działał w panice.

Dziwne, mogłam sobie wyobrazić, że jest mordercą, ale nie wyobrażałam sobie, by mógł wpaść w panikę...

Odpowiedziałby mi pewnie: „Sądziś więc, że to ja zabiłem? Dlaczego mnie nie wydasz? Po co sama się w to wplątujesz?”

Bo jestem skończoną idiotką. Żywię do ciebie takie same uczucia, jakie ty żywisz do Izy Bannock. Rozumiesz?”

Nie, nie zdobyłabym się na powiedzenie czegoś takiego. Naprawdę nie wiedziałam, co mam począć. Pełna różnych wątpliwości, wsunęłam sakiewkę do szuflady, ale zaraz sobie pomyślałam, że ktoś może ją tam znaleźć. A to przecież była wskazówka prowadząca do mordercy.

Muszę mu powiedzieć. Będzie mnie okłamywał. Powie, że nie zakopał sakiewki w sadzie. „A kto to zrobił, Joss — spytam. — Kto?”

Spędziłam bezsenłą noc. Dwa razy wstawałam z łóżka i zaglądałam do szuflady, by się upewnić, czy sakiewka mi się tylko nie śniła.

Następnego dnia, gdy zeszłam na śniadanie, Jossa już nie było i pojechałam do miasteczka z Jimsonem.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy po drodze. Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o czerwonej sakiewce uwalanej ziemią z sadu.

Po powrocie do domu natychmiast poszłam do swojego pokoju. Ledwo weszłam, wiedziałam, że coś tam jest inaczej. Jedna z szuflad była nie domknięta i instynkt podpowiadał mi, że ktoś tu był i czegoś szukał. Podeszłam do szuflady, gdzie schowałam sakiewkę — sakiewki nie było.

Usiadłam na krześle i zaczęłam rozmyślać, co to oznacza. Ktoś, kto zabił Ezrę, wiedział już, że ją znalazłam, i zabrał ją z miejsca, gdzie została schowana.

* * *

Doprawdy trudno mi było zachowywać się normalnie. Usiłowałam wymyślić jakiś sensowny sposób postępowania. Powiedziałam sobie, że gdy tylko zobaczę Jossę, zorientuję się... przecież dla niego

to, co się wydarzyło, także musiało być wstrząsające.

Podeszłam do okna. Stałam i patrzyłam na spalony słońcem busz. W oddali widniał zarys stojących na obrzeżu Miasteczka namiotów. Zobaczyłam panią Laud wracającą z miasteczka dwukółką. Często jeździła tam po żywność, którą, gdy wracała, służący wyładowywali i wnosili do domu. Spojrzała w górę, dostrzegła mnie i pomachała mi na powitanie.

Zeszłam do holu. Czułam silną potrzebę powrotu do normalności.

— Bardzo gorąco, prawda? — Oj, tak.

— Powinna była pani wziąć ze sobą Liliast.

— Myślę, że za często spotyka się z Jeremym Dicksonem.

— To bardzo miły młody człowiek. Dlaczego pani go nie lubi, pani Laud?

Zacisnęła usta, nie odpowiedziała.

— Musi być pani wykończona — ciągnęłam. — Może wypije pani filiżankę herbaty?

— Zamierzałam właśnie napić się herbaty u siebie na górze. Dotrzyma mi pani towarzystwa, pani Madden?

— Chętnie.

Poszłyśmy na górę do jej pokoju. Pani Laud postawiła imbryk na kuchence spirytusowej.

Pokoik był bardzo przytulny. Przy kominku stał dzban z pękiem suszonych liści, a na stole leżał

bieżnik z czerwonego pluszu. Wyściełane krzesła obito materiałem, który z pewnością sama utkała. W rogu, na etażerce, ustawione były miniaturowe figurki z chińskiej porcelany, a na ścianie wisiał zegar z kukułką.

Pani Laud podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Przywiozłam to wszystko z Anglii. Kiedy tu zamieszkałam, pan Henniker zgodził się, żebym umeblowała tymi rzeczami swój pokój. Doceniłam to i byłam mu wdzięczna.

— A więc czuła się tu pani jak w domu.

Zaparzyła herbatę, ale coś jakby wytrąciło ją z równowagi. Postanowiłam dociec, co takiego.

Chciałam odepchnąć moje koszmarne myśli.

— Mam nadzieję, że pani smakuje, pani Madden. Ja nie lubię tutejszej herbaty. Jest inna niż w Anglii. Mówią, że to zależy od wody.

— Miała mi pani opowiedzieć o panu Dicksonie.

Spojrzała przestraszonym wzrokiem.

— Tak?

— Nie jest pani zadowolona, że córka się z nim przyjaźni.

— Może aż tak bym tego nie ujęła. — A jakby pani to ujęła?

— Ach, może to głupie... Ale nie chciałabym, by popełniła błąd. Tak pewnie czują wszystkie matki.

— Czy zrobił coś, co się pani nie podobało?

— Nie... on nie. — A... ktoś inny?

Patrzyła na mnie przestraszona. Przypominała zwierzę zamknięte w potrzasku.

— Od tylu lat jestem w tym domu — zaczęła, jakby chciała zmienić temat. — Naprawdę byłam wtedy w kropce...

— Wiem. Pan Henniker zaproponował pani posadę.

— Tutaj wychowały się dzieci. Traktowano nas, jakbyśmy należeli do rodziny.

— Pan Henniker był wspaniałym człowiekiem.

— Nie zniosłabym, żeby cokolwiek złego działo się w tym domu. Po prostu nie podoba mi się to, co się mówi.

— Co mianowicie? — spytałam ostro.

Spojrzała na mnie zmieszana i powiedziała:

— Jak sobie człowiek przypomina, to nie bardzo dobrze może ocenić, ale to... dawanie do zrozumienia czy coś w tym rodzaju...

— Kto i co daje do zrozumienia?

Spojrzała przez moje ramię, jakby zastanawiała się, którędy uciekać.

— Pani jest ostatnią osobą, z którą powinnam o tym rozmawiać.

— Dlaczego? Czyżby to dotyczyło mnie?

— To stek kłamstw... zwyczajnych kłamstw.

— Pani Laud, za dużo pani powiedziała, żeby się teraz wycofać. Ktoś opowiada kłamstwa o mnie,

czy tak?

— Nie, nie. Nie o pani. Wszyscy pani współczują.

— Współczują?

— Mówią, że źle zrobił pan Henniker, że to było na siłę. Pani Bannock nie jest lubiana w mieście. W ogóle nie jest lubiana. Ojej, pan Madden byłby niezadowolony, gdyby się dowiedział.

Nie powinnam mówić nic więcej. Wyrzuciłby mnie. Zresztą może sobie na to zasłużyłam, rozmawiając z panią.

— Chcę wiedzieć, co ludzie mówią.

— Ale obieca mi pani, że mu nic nie powie?

— Ma pani na myśli mojego męża?

— Tak, proszę mu nie mówić, że z panią rozmawiałam. Byłby wściekły. Bóg jeden wie, czym by się to skończyło. To tylko słowa, ale wyprowadzają z równowagi. Mówię im, że to same kłamstwa, ale ludzie wiedzą swoje. Pani nikt tego oczywiście nie powie.

— Pani Laud, chcę wiedzieć, o co chodzi.

— Nie tylko, że ludzie coś tam mówią, ale te spojrzenia... to kiwanie głowami...

— Dawanie do zrozumienia — powiedziałam. — Proszę mi powiedzieć.

Słowa padały szybko, jedno za drugim;

— Mówią, że zawsze wszyscy wiedzieli, co było między nimi. Ezra tolerował to przez długi czas ze względu na swoją pozycję w Towarzystwie. Ale potem nie chciał... i zginął.

— Nie! — wykrzyknęłam zapominając, że jeszcze niedawno sama myślałam dokładnie tak samo. — Nie! To niemożliwe!

— Mówią, że ona ma Zielony Blask, że on zabrał go ze skrytki i jej dał.

— Niesłychane bzdury! — stwierdziłam stanowczo. — Naturalnie, ale drażniące i... akurat trafiła pani na moją chwilę słabości.

— Dobrze, że mi to pani powiedziała, pani Laud, ale zapomnijmy o tym, zgoda?

Zawahała się.

— Nie wierzę w to wszystko, rzecz jasna, ale myślę... w każdym razie powinna się pani mieć na baczności.

„Kuku–kuku” — zaskrzeczał zegar na ścianie i idiotyczne kukanie powtarzało się rytmicznie, by obwieścić kolejną godzinę dnia.

* * *

Kiedy pojechałam do Miasteczka, miałam wrażenie, że ludzie przypatrują mi się ukradkiem.

Współczuli mi, zadając sobie pytanie, czy ja w ogóle cokolwiek rozumiem. W miejscu takim jak to, ludzie wiedzieli o sobie wszystko. Obwieszczenia apelujące o jakiegokolwiek wiadomości związane ze śmiercią Ezry Bannocka spoglądały na mnie z każdego słupa.

Weszłam do biura, gdzie czekał na mnie Jeremy Dickson. Chciał mi pokazać gotowy, obrobiony opał, co do którego miałam przeczucie przed paroma dniami.

— Może być pani dumna, że przypuszczenia zostały potwierdzone — rzekł.

— Czy to znaczy, że czegoś się nauczyłam, czy też po prostu miałam szczęście?

— To znaczy, że miała pani nosa, i o to chodzi.

Przyrządził herbatę. Odczuwałam wielką potrzebę powiedzenia mu o moim odkryciu, zwierzenia się z moich lęków. Wydawało mi się, że jest jedynym człowiekiem, z którym mogłabym porozmawiać, ale wiedziałam, że nie byłoby to rozsądne. Krążyłam jednak wokół

tematu Zielonego Blasku.

— Czy słyszał pan plotkę, że Ezra go ukradł i dlatego zginął?

— Nigdy nie zwracam uwagi na takie plotki.

— Uważam, że wszystko jest możliwe.

— Po pierwsze, Ezra nie był złodziejem. Nigdy by niczego nie ukradł.

— Jego żona ma wspaniałą kolekcję. Przypuśćmy, że chciał, by miała najwspanialszy z opali.

Jeremy potrząsnął głową.

— Gdyby Zielony Blask się znalazł, coś by się wyjaśniło — rzekł.

— O tak. Ale gdzie on jest? Chciałabym wiedzieć, od czego zacząć poszukiwania. Wie pan, to bardzo niezręczna sytuacja, bo Joss nie życzy sobie hałasu wokół tej sprawy.

Jeremy ściągnął brwi.

— To bardzo dziwne — rzekł. — Może Joss prowadzi dochodzenie po cichu.

— Skoro jestem jego współwłaścicielką, chyba bym coś o tym wiedziała. Jak pan sądzi, co ja sama

mogłabym w tej sprawie zrobić?

— No cóż, najprawdopodobniej kamień leżał na swoim miejscu, gdy Ben wyjeżdżał. Później nie było żadnego włamania, a więc zabrał go ktoś związany z domem. Mógł to być którykolwiek z pracowników, bo oni wchodzą i wychodzą, nie zwracając niczyjej uwagi. Może pani popytać służących. Ja też mam uszy i oczy szeroko otwarte, zapewniam panią.

— Dziękuję.

Drzwi otwarły się nagle i zajrzał Joss.

— Ooo, miła pogawędka, jak widzę — rzekł i już chciał wyjść, gdy Jeremy spytał:

— Czy coś do mnie?

— Później — odrzekł Joss i wyszedł.

Wkrótce potem wróciłam do domu. Położyłam się na łóżku. Żaluzje chroniły pokój przed gorącem, ale nie mogłam skupić się na czytaniu i myślałam o sakiewce zakopanej przez Jossa w sadzie. Im dłużej się zastanawiałam, z tym większą trudnością doszukiwałam się sensu w moich podejrzeniach. O ile łatwiej byłoby mu wyrzucić sakiewkę w buszu, co uczyniłby przecież każdy rabuś.

Nagle usłyszałam delikatne puknięcie w drzwi. Przestraszyłam się — było cichutkie, ledwie słyszalne. Zawołałam: „Proszę!”, ale nikt nie wszedł. Podeszłam do drzwi, otworzyłam je i wyjrzałam na korytarz.

— Jest tam kto? — zawołałam.

Odpowiedzi nie było. Wtedy usłyszałam dochodzący z góry dźwięk szpinetu.

Zdziwiło mnie, kto w tym domu może grać na szpinecie, i ciekawość zawiodła mnie na schody prowadzące do galerii. Gdy znalazłam się w połowie schodów, muzyka nagle ustała.

Otworzyłam drzwi do galerii i weszłam do środka.

Nie było nikogo.

Rozejrzałam się zaskoczona. Jeśli ktoś tu był i grał, powinnam go była widzieć wychodzącego z galerii.

Czyżby mi się zdawało? Nie! Słyszałam wyraźnie.

Idąc schodami w dół, usłyszałam jakiś ruch w holu. Właśnie przyszła pani Laud.

— Bardzo gorąco w Miasteczku — powiedziała.

— Znów robiła pani zakupy? Przecież była pani w Miasteczku rano.

— Zapomniałam kilku rzeczy. Wygląda pani na przestraszoną, pani Madden.

— Wydawało mi się, że ktoś gra na szpinecie w galerii.

— Niemożliwe. Od lat nikt go nie dotykał. Pan Henniker grał coś czasami. Miewał dziwne pomysły jak na takiego silnego człowieka. Mawiał do mnie: „Emmeline — tak się do mnie zwracał, pełnym imieniem — Emmeline, kiedy gram na szpinecie, wydaje mi się, że ją przywołuję z grobu...” Takie miał osobliwe odczucia. A ona umarła... z powodu złamanego serca, jak mówił, i że gdyby nie wyjechał z Anglii, toby ją uratował. Ciekawe, że pani miała wrażenie, iż ktoś gra na szpinecie...

— Nie nazwałabym tego „wrażeniem”.

— A co by to mogło być innego, pani Madden? No co?

— Naturalnie — wzruszyłam ramionami. — Nieważne. Było to jednak ważne, bo nie miałam wątpliwości, że ktoś grał, i chciałam wiedzieć kto.

Tego samego dnia, o zmierzchu, poszłam do galerii. Wyglądała dość upiornie w świetle płonących w kinkietach świec. Podczas przyjęć była pewnie zalana ich światłem. Miałam nieomal pewność, że wyczuwam tu czyjąś obecność. Czy ludzie, którzy odbierają sobie życie, czyli nie odpoczywają w pokoju, rzeczywiście wracają? Może moja matka postanowiła zaopiekować się mną nareszcie? *Co się ze mną działo?* Sakiewka Ezry tak bardzo nadszarpnęła moje nerwy, że skłonna byłam przypuszczać, iż to matka zapukała do moich drzwi i zagrała na szpinecie, dając mi znać, że nade mną czuwa.

* * *

Następnego popołudnia wracałam do domu z Jeremym Dicksonem.

— Wyjeżdżam na pewien czas — rzekł.

— Naprawdę? Dokąd?

— Rozmawiałem wczoraj, gdy pani wyszła z panem Maddenem. Trzeba wysłać kogoś do biura w Sydney i pan Mad — den uważa, że to ja powinienem pojechać.

Miałam mieszane uczucia rozczarowania i radości. Wiedziałam, że będzie mi brakowało Jeremy’ego, ale czyż Joss nie wysyłał Jeremy’ego dlatego, że się z nim przyjaźniłam? A to znaczyło, że ta przyjaźń nie jest mu całkiem obojętna. Już wcześniej miałam wrażenie, że czuje się trochę urażony.

— Cieszy się pan z tego? — spytałam.

— Zbyt mnie porwał plan znalezienia Zielonego Blasku. Ale może w Sydney znajdę jakiś ślad.

— Trudno w to uwierzyć.

— Dlaczego? Czy ktoś, kto go zabrał, siedziałby z kamieniem tutaj?

— Mówiliśmy przecież, że to zapewne ktoś, kto tu mieszka, ktoś, kto mógł wejść i wyjść nie zauważony.

— Możliwe, ale będę napomykał o tym, rozmawiając z ludźmi w Sydney. Niewiarygodne, czego się czasem można dowiedzieć z przypadkowej pogawędki.

Miło mi się z nim rozmawiało, i gdy w dwa dni potem wyjechał, wiedziałam, że będę za nim tęsknić.

Joss był w szyderczym nastroju, gdy podążaliśmy do Miasteczka.

— Wybacz, że cię pozbawiłem towarzysza zabaw — powiedział.

— Zabaw? Chciałeś powiedzieć — pracy.

— Zawsze mi się wydawało, że dobrze się ze sobą bawicie.

— Traktował mnie jak istotę myślącą, dlatego.

— Daj spokój, nie ma człowieka w Towarzystwie, który nie doceniałby twojej inteligencji.

Ale może teraz zajmiesz się innymi działami. Za długo siedziałaś przy obróbce.

— Ale nawet ty musisz przyznać, że mam wycucie.

— Nigdy temu nie przeczyłem, ale nie możesz żyć w chwale jednego strzału w dziesiątkę przez całe dnie pracy przy opalach. Zajrzyj do ksiąg Jimsona Lauda. Rachunkowość to bardzo ważna część działalności firmy.

— Co nowego w sprawie Ezry Bannocka?

Wyraz twarzy Jossa bardzo się zmienił.

— Co masz na myśli?

— Czy posunęliście się w sprawie znalezienie mordercy?

— Beznadziejna sprawa. To musiał być zbir z buszu. Myślę, że Ezra zaczął z nim walczyć.

— Zabrano mu sakiewkę. Można ją znaleźć?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nie sądzisz chyba, że złodziej ją zatrzymał! Pozbył się jej, i to od razu. Nie trzymałby czegoś, co by go mogło zdradzić.

— Czerwona sakiewka ze złotym kółkiem.

— Taką podobno miał.

— I nie została znaleziona.

— Sądziś, że mogłaby być znaleziona? Mnóstwo ludzi w okolicy ma takie sakiewki.

Chciałam mu powiedzieć, ale nie mogłam. To by zabrzmiało jak posądzenie. Nigdy by mi nie wybaczył... szczególnie jeśli był winny.

To prawda, że w okolicy setki ludzi mają takie sakiewki. Może tamta leżała w sadzie od dawna. Ale wobec tego dlaczego ktoś ją wyjął z mojej szuflady?

Dotarłszy do biura, poszłam do działu Jimsona Lauda, nie mogłam się jednak skoncentrować.

Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o Jossie i Izie, gdy są razem. Nie mogłam zapomnieć, jak pokazała mi Arlekina i z całą ostentacją obwieściła, że dostała go od Jossa.

Z biura, zamiast do siebie, postanowiłam pojechać do Izy.

Zostawiłam Dymną chłopcu stajennemu i weszłam do domu. W holu stał wielki kufer przygotowany do wyniesienia.

Służący zaprowadził mnie do chłodnego, perkalowego saloniku. Po paru chwilach pojawiła się Iza. Wyglądała pięknie w lejącej się sukni z czarnego szyfonu — tajemnicza i drapieżna.

— Jessiko, jak miło, że się nade mną ulitowałaś. — Pomyślałam, że przyjadę cię odwiedzić.

Zapraszałaś mnie przecież.

— Och, nie usprawiedliwiaj się, proszę. Czyż ci nie mówiłam, że uwielbiam gości?

— Musisz się czuć samotna.

— Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy. Często mnie odwiedzają.

Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach. Joss, pomyślałam.

— Poproszę, żeby przygotowano herbatę — powiedziała. — Co my byśmy zrobili bez herbaty! To nasz jedyny ratunek przy tym wysuszającym na wiór gorącu.

Potem spytała, jak mi idzie praca w Towarzystwie.

— Słyszałam, że jesteś bez mała genialna — stwierdziła.

— Kto ci tak powiedział?

— Mówi się o takich rzeczach. Zdaje się, że okropna z ciebie służbistka. Pewnie lubisz, jak się pracuje bez wychnienia.

— Nieprawda. Po prostu bardzo mnie to wszystko interesuje.

— Jesteś zdolna. Obróbka i tak dalej... Ja potrafię jedynie cieszyć się gotowym produktem.

— Powiedziałaś, że pokażesz mi kiedyś resztę swojej kolekcji.

— Czy już ci jej nie pokazywałam?

— Tak, raz, gdy dostałaś Arlekina.

— Piękny klejnot. To było miłe ze strony Jossa.

— Zapewne cieszył się, mogąc ci go ofiarować.

— Wiedział, że będzie w dobrych rękach.

— Ale to nie najpiękniejszy kamień w twojej kolekcji, prawda?

Popatrzyła na mnie bystro i potrząsnęła głową.

— Jaki opal jest najcenniejszym kamieniem w twojej kolekcji?

— Ezra zawsze mnie ostrzegał: „Nie powinnaś tyle mówić o swoich zbiorach, bo ci je w końcu ukradną”.

— Ale nie skorzystałaś z tej rady.

— Uważam, że rad zawsze należy słuchać, a korzystać z nich, kiedy się chce.

— Teraz, kiedy więcej wiem o opalach, mogłabym trafniej ocenić ich wartość.

— Tak, byłaś zupełną nowicjuską, gdy je wtedy widziałas. Ale nie aż taką, żeby nie docenić wszystkich walorów Arlekina.

— Były dość łatwo zauważalne, czym, jak sądzę, charakteryzują się także pozostałe opale w twojej kolekcji.

— Naturalnie. Jak tam Dymna? To musiał być dla niej szok, gdy znalazła Ezrę. Gdyby nie ten koń, jego zniknięcie pozostałoby dla nas tajemnicą na zawsze. Przerazające, kiedy się pomyśli, co może człowieka spotkać w takiej okolicy jak nasza... Ciekawe, jak wiele ciał zakopano w buszu, których nigdy nie — odnalazły wierne konie. Widziałaś chłopca stajennego i służącego, który nam przyniósł herbatę? Byłybyśmy całkiem same, gdyby nie oni. Powiedziałaś Jossowi, że się do mnie wybierasz?

— Nie. Ale mogę mu powiedzieć. A może ty mu powiesz?

Otworzyła szeroko oczy.

— Myślisz, że go zobaczę? Wybiera się tutaj?

— Wybiera się? — spytałam Izę. — Czy pokażesz mi pozostałe opale?

— Nie — odpowiedziała.

— Dlaczego?

— Zgadnij.

— Masz coś tak wartościowego, że wolisz się tym nie chwalić.

— Mam bardzo wartościowe kamienie. — Roześmiała się nagle. — Wiem, o czym myślisz.

Nieuchwytny Zielony Blask. Wiesz, co mówią w mieście? Że Ezra ukradł go dla mnie i zginął, bo dosięgnął go zły los, który sprowadza ten kamień. Myślisz, że pragnęłabym złego losu?

— Ty chyba nie wierzysz w zły los, nieprawdaż?

— Jestem bardzo przesądna. Powód, dla którego nie pokażę ci mojej kolekcji, nie ma nic wspólnego z Zielonym Blaskiem.

— Jaki więc jest ten powód?

— Jest już spakowana.

— Wysyłasz ją stąd?

Przytaknęła.

— Jedzie ze mną. Za parę tygodni wyjeżdżam do Anglii.

— Do Anglii! Wyjeżdżasz?... Wyjeżdżasz stąd?

— Na wakacje... Może wrócę. Ale teraz, kiedy nie ma Ezry, muszę stąd wyjechać.

— Wyjeżdżasz... sama?

Zalśniły oczy tygrysicy.

— Za dużo chcesz wiedzieć — powiedziała.

Zastanawiałam się, czego tyczyła ta aluzja.

Wkrótce opuściłam Izę. Nie chciałam wracać po zachodzie słońca.

* * *

Dom, gdy wróciłam, był cichy. Joss jeszcze nie przyjechał z Miasteczka. Czułam się nieswojo, za decyzją Izy kryło się coś znaczącego. Co sądził o tym Joss? Jeśli rzeczywiście kochał ją tak szalenie, jej wyjazd z pewnością byłby mu nie na rękę. Nie mogłam się doczekać, by go zobaczyć.

Poszłam do swojego pokoju i znów usłyszałam dźwięki szpinetu. Biegłam na górę po dwa schody naraz, lecz gdy znalazłam się pod drzwiami, granie ustało. Weszłam do galerii, nie było nikogo.

Rozejrzałam się wokoło. Jedyne wyjaśnienie, zakładając, że galeria nie miała dwóch wyjść, było takie, że na szpincie grała istota, dla której ściany nie były przeszkodą.

Siadłam na jednym z krzeseł, poruszona dźwiękiem instrumentu. Chyba chciałam wierzyć, że moja matka wróciła z zaświatów, by roztoczyć nade mną opiekę. Ale dlaczego teraz... tak nagle?

A całe lata w Domu Wdów? Może wtedy nie potrzebowałam jej opieki? Ten tok rozumowania przywiódł mnie do przerażającego wniosku: moja matka uznała, że teraz należy mnie chronić.

Jestem więc w niebezpieczeństwie!

Tak, wiedziałam. Tu czaiło się jakieś zło, tu, w galerii. Słyszałam bez mała głos, który mnie ostrzegał: „Bądź ostrożna! Jesteś w niebezpieczeństwie”.

Siedziałam z napiętą uwagą. Ale po co właściwie miałyby grać na szpincie? Dlaczego nie przyszła i nie powiedziała jasno i wyraźnie, co mi grozi?

Nagle usłyszałam histeryczny szloch. Podeszłam szybko do drzwi galerii i nasłuchiwałam.

Płacz dochodził z pokoju na górze. Pobiegnęłam tam. Drzwi pokoju pani Laud były uchylone.

— Czy coś się stało? — spytałam wchodząc do środka.

Cała trójka Laudów była w komplecie: Jimson, Liliias i ich matka. Liliias na pół chlipała, na pół się uśmiechała. Jimson obejmował ją ramieniem.

— Co się dzieje? — spytałam

Pani Laud wyglądała na stropioną.

— Widzisz, niepokoisz tylko panią Madden. Och, bardzo Panią przepraszam. Biedna Liliias jest trochę wytrącona z równowagi, a my z Jimsonem staramy się ją pocieszyć.

— Ale dlaczego? Czy stało się coś złego?

Pani Laud potrząsnęła głową. Patrzyła na mnie błagalnie, chcąc pewnie, bym o nic nie pytała.

Liliias opanowała się z wysiłkiem i powiedziała:

— Już wszystko w porządku, pani Madden. Nie wiem, co mi się stało.

Najwyraźniej starała się nad sobą zapanować.

— Sprawy osobiste — wymamrotał Jimson.

— Byłam w galerii, gdy usłyszałam płacz — powiedziałam.

— W galerii — powtórzyła Liliás drżącym głosem.

— Zdawało mi się, że znów słyszę szpinet.

Na krótko zapadła cisza, a potem Jimson rzekł:

— Z pewnością jest rozstrojony. Słyszałem, że te instrumenty należy stroić bardzo często.

— Czy na pewno wszystko w porządku? — spytałam.

— Tak, pani Madden — zapewniła mnie pani Laud. — Zajmiemy się Liliás.

— Przykro nam, że panią niepokoiłiśmy — rzekł Jimson.

— Tak, bardzo nam przykro, bardzo — niczym echo powtórzyła Liliás.

Wyszłam. Ta rodzina była dla mnie jedną wielką zagadką.

* * *

Pani Laud przyszła, gdy przebierałam się do kolacji.

— Czy mogę na chwilę wejść, pani Madden? Chciałam z panią porozmawiać. Chciałam powiedzieć, jak mi przykro z powodu dzisiejszego popołudnia. To okropne, że niepokoiłiśmy panią.

— Och, proszę, naprawdę nic się nie stało. Przykro mi jedynie, że Liliás ma jakieś kłopoty.

— Ano właśnie. Jest trochę rozdrażniona. Pewnie pani zgaduje.

Spojrzałam na nią pytająco.

— Z powodu pana Dicksona. Denerwuje się tym, że został wysłany do Sydney.

— Ach, rozumiem.

— Jest bardzo zaangażowana. Sprzeciwiam się temu małżeństwu, ale może niesłusznie.

— Czy była mowa o małżeństwie?

— Oficjalnie nie, ale Liliás bardzo się przejęła jego wyjazdem.

— Wyjechał na krótko.

— Liliás obawia się, że pan Madden zechce zostawić go tam na stałe.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Naturalnie, wiedziałyby pani. Ciągłe zapominam, że jest pani jednym z dyrektorów Towarzystwa. To takie dziwne, że kobieta zajmuje wysokie stanowisko.

— To pomysł pana Hennikera.

— Och, wiem, pomysły to on miał najróżniejsze. Ale... chciałam tylko wyjaśnić sprawę Liliis.

— Proszę o tym więcej nie myśleć, pani Laud — powiedziałam.

Jeszcze przed kolacją Liliis zdołała przyjść do siebie. Rozmowa jak zwykle dotyczyła interesów. Potrafiłam już się do niej włączać i sprawiało mi to dużą przyjemność.

Niespodziewanie Joss powiedział:

— Myślę, że trzeba będzie pojechać do Anglii w najbliższej przyszłości.

Popatrzyłam na niego zdziwiona.

— Dopiero stamtąd przyjechaliśmy — powiedziałam.

— Tak to jest w interesach — rzekł swobodnie. — Nigdy nie wiadomo, co się nagle pojawi.

— A co się pojawiło?

— W Londynie otwierają się nowe rynki. Rośnie zapotrzebowanie na czarne opale z Australii.

Naturalnie chcemy to wykorzystać.

— Proponujesz zatem podróż do Anglii?

— To jeszcze nic pewnego. Ale może zaistnieć potrzeba takiej podróży.

Czułam się jak balon, z którego uchodzi powietrze. To było takie proste. Ona jedzie do Anglii, więc on także.

Przyznaję, że załatwili to dyskretnie. Najpierw wyjedzie ona, a później on zorientuje się nagle, że wzywają go interesy. Już zaczął przygotowywać sobie grunt.

Straciłam apetyt. Ledwie odeszliśmy od stołu, znalazłam wymówkę, by pójść do swojego pokoju. Zauważyłam, jak na mnie patrzył, gdy obwieścił, że zamierza wyjechać — jakby oczekiwał sprzeciwu.

Nie dam mu tej satysfakcji, myślałam. Dam mu jednak do zrozumienia, że jestem świadoma przyczyn tej nagłej potrzeby wyjazdu do kraju, że to nie interesy, lecz Iza.

* * *

Zdecydowałam, że gdy wróci Jeremy Dickson, powiem mu o czerwonej sakiewce. Z nim mogłam

rozmawiać bez obaw. Później znów przyszło mi do głowy, że nie powinnam robić takich rzeczy, bo w ten sposób oskarżam Jossa. W życiu nie czułam się tak osamotniona i zagubiona.

Któregoś popołudnia, gdy wróciłam do domu, nie zdążyłam otworzyć drzwi mojego pokoju, gdy usłyszałam upiorne dźwięki szpinetu.

Wbiegłam na górę najszybciej, jak potrafiłam. Ale znów historia się powtórzyła. Muzyka ucichła, a przy szpinecie nie było nikogo.

Ktoś bawił się ze mną w kotka i myszkę. Rozglądałam się po galerii i nagle spostrzegłam, że jedna z zasłon wiszących na ścianie źle się układa. Podeszłam i odchyliłam ją, odsłaniając drzwi, o których istnieniu w ogóle nie wiedziałam. Promyk światła rozproszył mroki zagadki grającego samoistnie szpinetu. Ktoś, kto grał na szpinecie, wychodził z galerii tymi drzwiami.

Drzwi były nie domknięte. Tym razem żartowniś musiał uciekać w zbyt dużym pośpiechu, by dobrze zamaskować za sobą drogę odwrotu.

Pchnęłam drzwi i zaczęłam badać wzrokiem kryjącą się za nimi ciemność. Wsunęłam stopę.

Natrafiłam na stopień w dół. Ostrożnie — bo panowały kompletne ciemności — zesłam na drugi stopień. Nagle coś, na czym stałam, przesunęło się, uczepliłam się czegoś innego — później okazało się, że balustrady schodów — ale poślizgnęłam się i usiadłam na czymś zimnym i wilgotnym. Przerażona, nie mogłam ruszyć się z miejsca, słyszałam tylko głuchy łoskot spadających, chyba ze schodów, ciężkich przedmiotów.

Zaczęłam wołać pomocy. Próbowałam wstać. Oczy przyzwyczyły się do ciemności. Tak, to były schody. W dole usłyszałam głos.

— Co się stało? Czy coś się stało?

To był głos pani Laud.

— Jestem tutaj, pani Laud. Upadłam.

— Szła pani z galerii? Już idę...

Siedziałam i czekałam. Zrozumiałam. Schodziłam po schodach, na których coś stało.

Potłukłabym się okropnie, gdybym w porę nie chwyciła się balustrady.

Pani Laud wyłoniła się z ciemności.

— Co to było? Już pani pomagam, pani Madden. Jedną chwilę, wezmę świeczkę. Ach, te stare schody.

Wstałam ostrożnie. Pani Laud zawlokła mnie bez mała z powrotem do galerii.

— Zobaczyłam, że drzwi są otwarte — powiedziałam. — Nie miałam pojęcia, że tam są drzwi.

— Schowane za zasłoną. Te schody prowadzą na niższe piętro. Nie używane od lat. Ktoś postawił tu, widzę, jakieś pudła, krótko mówiąc, ze schodów zrobił schowek.

— Ale to bardzo niebezpieczne.

— Nikt nimi nie chodzi. Proszę wstać, pani Madden. Może pani wstać? Mam nadzieję, że nic sobie pani nie złamała. Jak się pani czuje?

— Jestem obolała i przestraszona. Myślałam, że złamałam nogę.

— Mogła sobie pani zrobić wielką krzywdę. Może zaprowadzę panią do pokoju. Przyniosę filiżankę porządnie osłodzonej herbaty — to pani dobrze zrobi po takim wstrząsie.

— Chcę chwilę posiedzieć i pomyśleć. Znowu słyszałam granie.

Pani Laud miała niepewną minę.

— Naprawdę?

— Pani sądzi, że to moja wyobraźnia, prawda, pani Laud?

— Hm. Ludzie wyobrażają sobie różne rzeczy, gdy są trochę rozemocjonowani.

— Nie wiedziałam, że jestem rozemocjonowana.

— Ech... — machnęła ręką — to wszystko...

— Co wszystko? — nalegałam.

— Choćby pan Madden, który mówi, że wyjedzie, i w ogóle.

Niemożliwe jest utrzymanie w tajemnicy czegokolwiek przed ludźmi, z którymi się mieszka pod jednym dachem. I zdaje się, że sporo mówiono o moich stosunkach z Jossem.

Powiedziałam więc:

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego drzwi były uchylone. Mówi pani, że nikt nie używał tych schodów od lat. Ostatnio jednak ktoś ich użył. Ktoś, kto grał na szpincie i tędy się wymykał.

Myślę także, że dziś ten ktoś nie zapomniał zamknąć drzwi, lecz zostawił je uchylone specjalnie.

— Jak można używać schodów zastawionych pudłami? — Ktoś, kto wiedział, że to wszystko tam stało... Ktoś, kto to wszystko tam postawił... wiedział, że zobaczą otwarte drzwi i zechcą sprawdzić, co jest za nimi.

— Ależ, pani Madden, nie posunąłby się aż tak daleko!

— Nie posunąłby się? Kto?

— Ktoś, kto stroi sobie żarty z tym szpinetem.

— Miałam spaść aż na sam dół, pani Laud. Proszę niczego nie ruszać na schodach. Chcę zobaczyć, co tam stoi.

— Na dole są drzwi. Mało widoczne, trudno je zauważyć. Powiesiłam na nich zasłonę. Skoro i tak się ich nie używa... Schody są ciemne i niebezpieczne. Wygląda mi na to, że ktoś postanowił zrobić z nich schowek i naustawiał pudeł.

— Z pewnością każdy, kto otworzył drzwi, musiał zauważyć, że to schody, a nie schowek.

— Nie mam pojęcia, jak to się stało — powiedziała pani Laud bezradnie.

Wzięłam świecę, zapaliłam ją i spojrzałam w dół. Na najniższych schodkach leżała sterta pudeł.

— Lepiej zrobimy, jeśli wyniesiemy pudła i otworzymy drzwi, nie podobają mi się te tajemne zakamarki.

Mówiąc to wszystko, nie miałam wątpliwości, że ktoś zwabił mnie na schody i ustawił tam pudła jako pułapkę, ktoś, kto miał nadzieję, że spadnę, a może nawet... skręcę kark. Wiedziałam, że to nie duch mojej mamy — ani żaden inny duch, który by się o mnie troszczył — grał na szpinecie, wabiąc mnie do galerii.

Zrobił to ktoś, kto chciał się mnie pozbyć.

* * *

Nazajutrz rano wybrałam się do Miasteczka, bo nie ucierpiałam zbytnio podczas przygody na schodach.

— Czy wiesz, że galeria jest połączona schodami z korytarzem na niższym piętrze? — spytałam Jossa.

Obserwowałam go uważnie, gdy zadawałam to pytanie. Wyraz jego twarzy nie zmienił się jednak ani trochę.

— Tak, wiem. Bawiłem się na nich w chowanego za chłopięcych czasów. To była jedna z moich ulubionych zabaw.

— Używałaś tych schodów ostatnio?

— Zapomniałem o nich. Dlaczego pytasz?

— Odkryłam je wczoraj.

— Powinniśmy z nich korzystać.

— To właśnie powiedziałam pani Laud. Grałeś kiedyś na szpinecie?

— Czemu pytasz?

— Z ciekawości.

— Właściwie tak. Roześmiałam się.

— Co w tym śmiesznego?

— Wyobrażam sobie, jak siedzisz przy szpinecie na taboreciku i wygrywasz nokturny Chopina.

— Byłem całkiem niezły. Kiedyś ci zagram.

— Kiedy grałeś ostatnio?

— Lata całe go nie dotykałem. Podejrzewam, że jest rozstrojony. Powinniśmy sprowadzić kogoś, kto by się nim zajął. Nie mam pojęcia kogo. Strojenie szpinetów nie jest dochodowym zajęciem w tych stronach. Nie rozumiem, dlaczego Ben go tu przywiózł.

— Z potrzeby serca, jak sądzę.

— Zwykle dalekiej rozsądkowi.

Jak on mógł być taki spokojny, tak trzeźwo myślący? Nie chciał mnie przecież. Wiedziałam o tym. Ale czy rzeczywiście grałby na szpinecie i czynił wysiłki, żebym skręciła sobie kark? Był

bardzo bezwzględny z tą swoją miłością do Izy i robieniem z tego sekretu. W mieście podejrzewano, że to on zabił Ezrę — pani Laud dała mi to do zrozumienia — ale jaki był sens pozbycia się Ezry, skoro nie można było usunąć pozostałych przeszkód?

Musiałam stanąć twarzą w twarz z faktami. Gdyby nie ja, mógłby ożenić się z Izą. Byli kochankami od dawna i nie myśleli o małżeństwie, dlaczego więc teraz nagle mieliby tego zapragnąć?

Zdałam sobie sprawę, że jeśli nawet Joss chciałby mnie wysłać na tamten świat, to nie takimi metodami. Przede wszystkim moja śmierć powinna wyglądać na naturalną. Byłoby też zbyt podejrzane, gdyby i mnie zabił zbir z buszu.

W Miasteczku Kaprys Joss miał bardzo silną pozycję. Ludzie się go bali. Lecz nawet on powinien był uważać, w jaki sposób popełnia zbrodnię.

W nawiedzonej kopalni

Następnego ranka wraz z ciepłą wodą pokojówka przyniosła mi list. Byłam zaskoczona, bo zabieraliśmy pocztę z Miasteczka, dokąd przywożono ją z Sydney w każdą środę. Nikt nigdy nie słyszał o listach doręczanych do domu.

— Jak się tu znalazł? — spytałam, obracając list w rękach.

— Leżał w holu, pani Madden. Ktoś ze służby go zauważył. Ponieważ jest zaadresowany do pani, przyniosłam go na górę.

Został więc pewnie doręczony osobiście. Pismo na kopercie wydawało mi się znajome.

Czytałam:

Droga Pani Madden,

Dokonałem odkrycia, którego spodziewałem się dokonać. Ostatniej nocy zakradłem się więc do Pawiego Domu, by zostawić ten list. Muszę zobaczyć się z Panią — na osobności i w tajemnicy. Moje poszukiwania ujawniły tak dużo, że byłoby nierozsądne spotykać się otwarcie.

Jest Pani w niebezpieczeństwie. Ja także. Chcę Pani coś pokazać, a wiadomo, że ja to mam.

Łudzę się nadzieją, iż nie uzna Pani tego wszystkiego za zbyt melodramatyczne, choć tak się to w istocie przedstawia — życie Pani i moje jest zagrożone. Dlatego proszę o spotkanie jutro, to znaczy w dniu, w którym otrzyma Pani list. Zastanawiałem się, jakie miejsce byłoby odpowiednie na nasze spotkanie, bo zapewniam Panią, że powinniśmy postępować ostrożnie, i postanowiłem, że najlepiej będzie spotkać się przy Żlebie Grovera. Czy może być tam Pani o trzeciej? O tej porze zapewne będzie w pobliżu żywej duszy, ale musimy bardzo uważać. Chciałbym, żebyśmy spotkali się w starej kopalni. Nie ma naturalnie czego się obawiać, łatwo zejdzie Pani w dół po stare— drabinie.

Proszę nie pokazywać nikomu tego listu. To bardzo ważne. Zrozumie Pani przyczyny, dla których o to proszę, kiedy się zobaczymy.

Z uszanowaniem

Jeremy Dickson

Słowa tańczyły mi przed oczami. Brzmiały dramatycznie, ale wszystko, co wiązało się z Zielonym Blaskiem, takie było, a wydawało się, że o kamień chodzi.

Oczywiście zrobię, o co prosi. Nie bałam się, choć mówiono, że kopalnia jest nawiedzona.

Zawsze lubiłam Jeremy'ego Dicksona i zawsze mu ufałam.

Nie mogłam się doczekać trzeciej.

Nie chciałam, by cokolwiek różniło ten dzień od innych, więc jak zwykle pojechałam z Jossem do Miasteczka. Jeśli nawet byłam nieco bardziej milcząca tego ranka, to on także nie był zbyt rozmowny. Rozstaliśmy się u wejścia do biura. Poszłam do działu Jimsona Lauda.

Nie mogłam się na niczym skoncentrować.

Widziałam kiedyś komory nieczynnych kopalń i pomyślałam, że muszę wziąć ze sobą świeczkę.

Zaraz po południu pojechałam do domu, który i tak był po drodze do Żlebu Grovera. Wzięłam świeczkę i zapalki ze swojego pokoju, i wyruszyłam po kryjomu, tak że nikt mnie nie widział.

Nie było wiatru, nie było ani jednej chmurki na niebie. Najgorętsza pora dnia, pomyślałam.

Jechałam szybko, bo chciałam stawić się na spotkanie o czasie.

Słońce stało wysoko na niebie i rzucało białe, oślepiające światło. Jadąc zostawiałam za sobą tumany pyłu. Powietrze drżało od głosów cykad, ale nie robiło to już na mnie najmniejszego wrażenia. Daleko na horyzoncie skakał kangur, niezgrabnie klucząc między krzewami mulgi.

Nade mną wybuchały śmiechem wszędobylskie kukabury.

Nigdy przedtem nie uświadamiałam sobie aż tak dokładnie samotności, którą odczuwa się w buszu.

Przejechałam między wzgórzami, za nimi była kopalnia.

Stałam przez chwilę nad zejściem do szybu i rozglądałam się wokoło. Żywego ducha. Czy Dickson rzeczywiście znalazł Zielony Blask i chciał mi go pokazać? Ale gdzie jest jego koń?

Może Jeremy jeszcze nie przyjechał. Nalegał jednak na punktualność.

Zesłam po żelaznych szczeblach. Zardzewiałe, wyglądały na nie używane od bardzo długiego czasu. Znalazłam się w komorze połączonej z drugą komorą, od której z kolei odchodziło kilka wykutych podziemnych korytarzy. Zaglądałam do nich, ale nic nie było widać.

— Jestem tutaj! — zawołałam po cichu.

Odpowiedzi nie było.

Zapaliłam świeczkę i zaczęłam rozglądać się po pierwszej komorze. Ledwo uszłam parę kroków, płomień świecy zachwiał się, szłam dalej, lecz zgasł. Zapaliłam go na nowo, uszłam parę kroków, zamigotał i znów zgasł.

Nie rozumiałam dlaczego. Przejście, którym szłam, skręciło gwałtownie w prawo, i znalazłam się w kompletnych ciemnościach. Ponownie próbowałam zapalić świeczkę, ale tym razem mi się nie udało.

Ogarnęło mnie przerażenie. Wszystkie moje zmysły dosłownie były na alarm. Nie wiedziałam, co się dzieje, wiedziałam jedynie, że zagraża mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nagle coś mnie tknęło. To nie Jeremy napisał ten list. Pismo było znajome, ale ile razy widziałam jego pismo?

Raz? Dwa? Nietrudno było je podrobić, jeśli ktoś chciał mnie oszukać.

— Jeremy? — zawołałam.

Odpowiedzi nie było.

Ktoś zwabił mnie tutaj, ale nie Jeremy. Wkrótce się dowiem... Na sam koniec wreszcie się dowiem.

Jakaż byłam głupia, że dałam się schwytać w tę pułapkę!

— Nie, Joss... — powiedziałam głośno — tylko nie ty. Nigdy jeszcze tak się nie bałam. To miejsce... ta przerażająca cisza...

Dalej, powiedziałam sobie, na co czekasz? Czemu nie próbujesz uciekać? Może jeszcze czas na ratunek. Ogarniało mnie jednak osobliwe odrętwienie, jakbym powoli ulegała paraliżowi.

Potykając się szłam korytarzem ku dalekiemu światłu. Trudno mi było poruszać kończynami, czułam, że mój czas się zatrzymuje... osunęłam się na ziemię.

* * *

— Joss?

Tak, przyszedł Joss. Trzymał mnie za ramiona.

— A więc... Joss... przyszedłeś mnie zabić — mamrotałam. — Chcesz Izy. Rozumiem. A więc to ty...

Joss nie odpowiadał, ale słyszałam niewyraźnie jakieś nawołujące się głosy i zdałam sobie sprawę, że nie jesteśmy w kopalni.

Leżałam na ziemi, Joss pochylał się nade mną. Słyszałam, jak mówi:

— Zdaje się, że trucizna przestaje działać. Potrzebuje dużo powietrza. Odsuńcie się...

potrzebuje powietrza...

Otworzyłam oczy, słyszałam, jak wymawia moje imię, w sposób, w jaki nigdy go nie wymawiał, na poły z wyrzutem, na poły z czułością. Nagle poczułam się szczęśliwa.

— Macie powóz? — spytał. Uniósł mnie delikatnie.

— Zawiozę ją do domu — rzekł.

Leżałam w powozie. Joss kierował koniem. Zatrzymaliśmy się i Joss wziął mnie na ręce.

Musiałam być jeszcze półprzytomna, bo głosy wydawały się dochodzić z daleka.

— Mieliliśmy wypadek w kopalni, pani Laud — rzekł Joss.

— Potrzebne będą gorące cegły, jeśli pani uprzejma, i mleko.

— Och, panie Madden, to okropne.

— Już wszystko w porządku. W porę ją wydostałem.

Położył mnie na łóżku. Oczy miałam zamknięte, ale byłam świadoma jego obecności. Pochylił się i pocałował mnie w czoło.

Gdy otworzyłam oczy, siedział przy moim łóżku. Uśmiechnął się do mnie.

— Już dobrze — rzekł. — Przyjechałem na czas.

Znowu zamknęłam oczy. Nie chciałam wiedzieć nic więcej. Wystarczyło mi, że mnie uratował, że się o mnie troszczył.

* * *

Było ciemno, gdy się obudziłam. W pokoju paliły się świece, a Joss siedział przy łóżku.

— Jesteś...

— Chciałem być przy tobie, gdy się obudzisz.

— Co się stało?

— Zrobiłaś coś okropnie głupiego. Znowu dawny Joss, pomyślałam.

— Miałam się spotkać z Jeremym Dicksonem.

— Właśnie go szukamy. Zamierzam się dowiedzieć, o co mu chodziło.

— Nie sędzę, by to Jeremy Dickson napisał ten list.

— Widziałem list. Lillas mi go przyniosła.

— Lillas? A skąd ona go miała?

— Znalazła go w twoim pokoju. I tak jak ty, nie wierzy, by Jeremy go napisał. Dzięki Bogu, że przyniosła mi go bez zwłoki. Pojechałem wprost do kopalni, bo domyślałem się, że chce ci zrobić coś złego,

— Jego tam nie było. Tylko czułam się tak jakoś dziwnie.

— Czułaś się dziwnie, bo się zatrulaś. Wysyłając cię do kopalni Jeremy wiedział, co się stanie. Musimy się dowiedzieć, dlaczego chciał cię zabić. Wszyscy ludzie w okolicy wiedzą, że nie schodzi się do kopalni, która od długiego czasu nie pracuje, bo wydzielają się tam trujące gazy. Twoja świeczka na pewno nie chciała się palić.

— Tak.

— To było ostrzeżenie. To znaczyło: uciekaj jak najprędzej. Na dole gromadzą się trujące gazy. Przeszukujemy miejsce, ale Dicksona ani śladu. Nie było go w kopalni. Nikogo tam nie było... poza tobą.

— I ludzie tam weszli, gdy mnie wyniosłeś?

— Tak, ale zrobili to w bezpieczny sposób. Wrzuca się zapalone suche liście paproci.

Temperatura w komorach podnosi się, prądy świeżego powietrza wypierają trujące gazy. Robi się jeszcze próbę ze świeczką, i jeśli płomień nie gaśnie, można przebywać na dole. Dickson musiał mieć jakiś powód, by cię tam zwabić. Chciałbym wiedzieć jaki.

— Na pewno ma to coś wspólnego z Zielonym Blaskiem. Rozmawiałam z nim na ten temat.

— Dlaczego nie ze mną?

— Mieliliśmy sprzeczne interesy,

— Bzdury!

Zapadła cisza, wreszcie Joss się odezwał:

— Powiedziałaś coś, gdy cię wynosiłem. Powiedziałaś... „A więc to ty, Joss... przyszedłeś mnie zabić...” Tak powiedziałaś.

— Wypowiadałam głośno swoje myśli.

— Naprawdę tak myślałaś? O, Boże! Za długo ta farsa trwała.

— Dlaczego nie miałam tak myśleć? Pozbyłeś się Ezry. Przyszła moja kolej.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — spytał ze znaną mi wzgardą. — Nienawidziłeś mnie...

Unikałeś mnie... upokarzałeś, kiedy tylko się dało.

— A czego oczekiwałaś? Czy i ty mnie nie unikałaś? Nie upokarzałaś ciągłymi deklaracjami, że

pragniesz, bym ci zszedł z drogi?

— I nie byłam ofiarą twojej męskości...

— Widzę, że trzeba cię nauczyć paru rzeczy... i to nie o opalach. Zdrowiej szybko.

Zacniemy naukę natychmiast.

Uniosłam się na łóżku, a on chwycił mnie za ramiona i pocałował.

— Joss — zaczęłam — jest tyle...

Żadne z nas nie chciało wyjaśnień. W końcu powiedział:

— Ben miał rację. Zdałem sobie z tego sprawę bardzo szybko, ale czekałem, aż przyjdiesz i powiesz mi to samo.

— Dlaczego nie chciałeś być pierwszy?

— Nadmierna duma — powiedział. — Chciałem, żeby to wyszło od ciebie. Wiele razy nocą przychodziłem pod twoje drzwi. Raz omal nie wszedłem.

— Wiem. Słyszałam. Sądziłam, że przychodzisz, by mnie zamordować.

— Jesteś szalona — rzekł. — Mam ci wiele do powiedzenia. Gdy spytałaś, czy przyszedłem cię zabić, uświadomiłem sobie, że czas skończyć z tą zabawą. Ja miałbym snuć intrygę, by zabić własną żonę? Jedyłą kobietę... której pragnę?

— Powiedz to jeszcze raz.

Powiedział.

— Czemu nie wiedziałam o tym wcześniej? Nie rozumiesz, że tak bardzo pragnęłam to usłyszeć!

— Co za oszustka z ciebie! Udawałaś, że chcesz trzymać się z dala ode mnie. Ale teraz jesteś zbyt podniecona, otarłaś się o śmierć w kopalni. A to pozostawia ślad. Kto wie, może jutro rano, kiedy się obudzisz, stwierdzisz, że znowu mnie nienawidzisz.

— Nie mów o nienawiści... mów o miłości.

— Będę... bez końca... Ale najpierw musisz wypocząć. Przeżyłaś szok, musisz teraz spokojnie poleżeć.

— Zostaniesz ze mną?

— Zostanę, ale leż i odpoczywaj. Myśl o dwojgu głupców, którzy przebudzili się do nowego życia.

Czułam się zamoczona, jak tam, w podziemnym korytarzu. Nie był to jednak paraliżujący strach, lecz

obezwładniające szczęście.

* * *

Spałam bardzo długo. Obudziłam się późnym rankiem. Joss wciąż przy mnie siedział i mi się przyglądał.

— Już czujesz się lepiej, prawda? — rzekł. — Wyspałaś się dobrze, organizm zwalczył skutki działania trucizny, ale przez dzień lub dwa musisz odpoczywać.

— Tyle musimy sobie powiedzieć.

— Mamy na to dużo czasu.

— Powiedz mi wobec tego tylko jedno: czy to prawda, że ci na mnie zależy?

— To najprawdziwsza prawda.

— A jednak planowałaś wyjazd do Anglii z Izą Bannock.

— Jeśli pojedę do Anglii, to z tobą.

— Dlaczego więc udawałaś...

— Chciałem cię sprowokować. Chciałem, żebyś mi okazała jakieś uczucie.

— Sprawiałaś wrażenie tak bardzo nią zajętego...

— Byłem zajęty tylko jedną kobietą, od czasu gdy się ożeniłem. Reszta była jedynie próbą złamania jej obojętności.

— Dałeś jej drogocenny kamień.

— Jak sądzisz, dlaczego to zrobiłem?

— Bo ona go pragnęła, a ty byłeś tak zaangażowany, że chciałeś zadowolić ją za wszelką cenę. Chciałeś jej pokazać, jak wiele możesz. Wystarczyło, by wyraziła życzenie, a zostało spełnione.

— Znów nie tak. Dałem jej klejnot, bo wiedziałem, że będziesz o to zła. Myślałem, że ci to uświadomi, jak głupio się zachowujesz, i że wzbudzi to w tobie jakieś uczucia. Myślałem, że to będzie pierwszy krok do normalności...

— Krok dość kosztowny...

— Nic, co pomogłoby osiągnąć ten stan, nie było za drogie. — Pochylił się i pocałował mnie namiętnie. — Oto co nazywam normalnością...

— Zmieniłeś się w ciągu jednej nocy. Tylko dlatego że zesłałam do kopalni.

— Dlatego że omal cię nie utraciłem.

— Czemu nie rozmawialiśmy tak wcześniej?

— Nie robiliśmy nic innego, tylko rozmawialiśmy. W gruncie rzeczy byliśmy zafascynowani tą walką na słowa. A ja wciąż myślałem, czy nie dać spokoju rozmowom i nie postąpić jak prymitywny samiec.

— Jakim rzeczywiście jesteś.

— Przekonasz się sama — rzekł. — Teraz musisz dojść do siebie. Pewnie ci się zdaje, że już wydobrzałaś, lecz to był duży wstrząs. Zostań w domu przez resztę dnia.

— Dokąd idziesz?

— Szukać Jeremy'ego Dicksona. Musi mieć z tym coś wspólnego. Chcę się dowiedzieć, o co mu chodziło w tym liście.

— Liliś powiedziała, że to nie jego pismo.

— Liliś próbuje go bronić. On musi być gdzieś w pobliżu. Wysłałem ludzi, by go szukali. Ja też pojedę, czekałem tylko, aż się obudzisz, żeby ci to powiedzieć.

— Nie mogę uwierzyć, że to Jeremy Dickson.

— Zwykle nie możemy uwierzyć, że ludzie robią coś złego. I dlatego im się to udaje... do czasu.

— Myślisz, że on naprawdę podrzucił ten list? Dlaczego miałby chcieć mnie zabić? To bez sensu.

— Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Wysłałem ludzi w pięciu grupach, w różnych kierunkach. Pojadę teraz za nimi. Zabieram Jimsona.

— Myślisz, że miał także coś wspólnego z sakiewką?

— Z jaką sakiewką?

— Ezry. Znalazłam ją w sadzie... zakopaną w ziemi.

— Niemożliwe.

— Możliwe. A potem ktoś ją zabrał z mojego pokoju.

Joss był zaskoczony. Może nawet sądził, że bredzę, wciąż jeszcze podtruta gazem.

— Porozmawiamy później — rzekł. — Chciałem się tylko upewnić, nim wyjadę, że dobrze się czujesz.

Jego oczy załśniły na moment.

— Nie mogę uwolnić się od myśli — mówił — że byłąbyś umarła w tej kopalni... wierząc, że to ja chciałem cię zabić.

— Ale już po wszystkim — powiedziałam. — Teraz wiem, że ryzykowałeś własne życie, by mnie ratować.

Roześmiał się szeroko, jak to on.

— Musiałem. Z czystego egoizmu. Na co by mi było moje życie bez ciebie?

Poczułam, że wznoszę się ku szczytom szczęścia.

— Wypoczywaj teraz. Przez cały dzień. Zostawiam cię pod opieką pani Laud. Wrócę przed zachodem słońca.

Wziął mnie w ramiona i trzymał mocno, jakby nie chciał, bym kiedykolwiek była z dala od niego, a ja z radością w nich pozostawałam.

— Jeśli Ben patrzy na nas z góry... czy z dołu... gdziekolwiek jest... musi być z siebie zadowolony — rzekł. — Śmieje się pewnie w sposób, który oboje pamiętamy, i myśli: „A nie mówiłem!”

Potem całował mnie i całował.

Zielony Blask.

Wstałam powoli, umyłam się i ubrałam. Wciąż byłam nieco oszołomiona. Przyszła pani Laud i spytała, jak się czuję.

— Nie najgorzej — odpowiedziałam. — Jestem trochę zmęczona.

— To zrozumiałe po tym, co się stało. Czy chciałaby pani coś zjeść?

— Nie, dziękuję, poczekam na lunch.

— Wobec tego zapraszam na filiżankę herbaty.

— Z przyjemnością — powiedziałam.

— Proszę przyjść, kiedy będzie pani gotowa, a ja pójdę nastawić wodę.

Po paru minutach zapukałam do jej drzwi.

— Proszę, proszę. O wiele lepiej pani wygląda. Herbata gotowa. Już nalałam.

— Jaki to przytulny pokój — powiedziałam.

— Tak, przytulny. Pan Henniker bardzo lubił tu przychodzić na herbatę.

Usiadłam na krześle, które przysunęła do stołu z czerwonym bieżnikiem. Pudełko z przyborami do szycia stało otwarte, a obok leżała robótka.

— Och, pani Madden, co to za nieszczęścia ostatnio na panią spadają! Najpierw o mało nie spadła pani ze schodów. Teraz znowu ta kopalnia. Zupełnie jakby prześladował panią zły los.

Ludzie zaczną gadać, że to pani ma Zielony Blask.

Sączyłam herbatę, która rozgrzewała mnie pocrzepiająco.

— Ludzie zawsze coś mówią.

— To fakt. Ale prześladowają panią jakieś nieszczęścia, prawda? Chciałabym wiedzieć, co taki Jeremy Dickson sobie myślał. Jak herbata?

— Bardzo smaczna.

— Proszę wypić, to doleję więcej. Zawsze mówię, że nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty.

— Święta prawda.

— Tutaj pije się dużo herbaty... Jak w Anglii. Proszę, jeszcze troszkę?

— Dziękuję, pani Laud.

— Czuje się pani śpiąca?

— Czuję się... dziwnie.

— Tak też właśnie myślę. W domu tak spokojnie, wie pani, że jesteśmy tylko we dwie?

Nikogo więcej nie ma. Wszyscy pojechali na to polowanie — daremny trud. A dziewczęta posłałam do Miasteczka, żeby coś załatwiły. Mają tam chłopców między dłubaczami — zaśmiała się — nie będą się śpieszyć z powrotem.

Spostrzegłam, że przygląda mi się uważnie, a jej oczy nienaturalnie błyszczą.

— Coś pani pokażę, zanim pani odejdzie — powiedziała.

— Zanim odejdę? Dokąd?

— O, tu. W moim pudełku na nici. Jest w nim mała, tajemna szufladka. Pamięta pani tamten wieczór, gdy szukano skarbów? Ten Ezra... On wiedział. Widziałam błysk w jego oczach. Coś go przywiodło do tego pudełka.

Chciałam wstać, ale nie mogłam. Wydawało mi się, że nogi nie należą do mojego ciała.

— Proszę jeszcze nie odchodzić. Na pewno chce pani go zobaczyć. Mam go od czasu, gdy pan Henniker wyjechał. Niedaleko odpłynął, jak go znalazłam. Zawsze bardzo starannie robiłam wiosenne porządki. Służbie nie można ufać. Sporo rzeczy lubiłam robić sama. I zawsze podobał

mi się ten obraz. Pan Henniker też go lubił. Mówił, że on mu przypomina Jossa. Patrzył na niego w taki szczególny sposób i śmiał się sam do siebie — myślałam wtedy, że jest w tym obrazie coś niezwykłego. Dlatego poświęcałam mu tyle uwagi. A jak znalazłam sprężynę, to już wiedziałam, o co chodzi. Tak to było — pochyliła się do przodu, oparła wyciągnięte ramiona na stole. — Tam coś jest... coś żywego... żywe bóstwo. Pamięta pani historyjkę o lampie Aladyna? O, to coś takiego. A dziś spełnia rozkazy.

— Pani mówi o Zielonym Blasku, pani Laud — rzekłam.

— Tak. O nim właśnie mówię.

— Chce pani powiedzieć, że miała go przez cały ten czas?

Zaczęła się śmiać. Nagle bardzo zmieniła się na twarzy — tak jakby dotychczas uosabiała jakąś postać w masce, a teraz przyszedł czas na jej zdjęcie. Nigdy pani Laud takiej nie widziałam.

Nic dziwnego, że kojarzyła mi się z chórem z greckiej tragedii — ona i jej rodzina. Przestała być łagodną gospodynią, wdzięczną za to, że pan znalazł w niej kochankę, a ona znalazła dach nad głową dla siebie i swoich dzieci na tyle lat. Była kimś innym. Może to jednak łagodna gospodyni była

prawdziwą postacią, a nie ta spojierająca na mnie dzikim wzrokiem wiedźma? Pani Laud była opętana.

— Musi pani go zobaczyć, zanim pani odejdzie, pani Madden — powtarzała w kółko. —

Chcę, żeby go pani zobaczyła. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy znalazłam go za obrazem, gdy zobaczyłam ten blask... tę moc. „Jestem twój — powiedział do mnie. — Zatrzymaj mnie. Będę ci służył. Spełnię każde twoje życzenie”. Najpierw wcale nie zamierzałam go zabierać. Chciałam tylko mieć go w swoim pokoju i móc na niego patrzeć. Budziłam się w nocy i przypominałam sobie, że go mam, wstawałam i patrzyłam na niego, a później przekonałam się, że Zielony Blask daje mi, cokolwiek zechcę.

— Proszę mi go pokazać, pani Laud — powiedziałam spokojnie.

Przyciągnęła pudełko do siebie i zaczęła w nim szperać. Nigdy nie widziałam kutwy liczącego złote monety, ale wyobrażam sobie, że wygląda tak, jak ona wyglądała w tamtym momencie.

Miała zaciśnięte usta, błyszczące oczy.

Jest naprawdę szalona, myślałam. Zielony Blask sprowadził na nią obłąd.

Drżącymi palcami wyjęła kawałek waty, wysuwała z niej coś, co położyła sobie na dłoni, i nuciła temu czemuś niby matka niemowlęciu.

Wychyliłam się do przodu. Zobaczyłam go, był piękny — najwspanialszy opal wszechczasów, kamień, który kształtował mój los, najcudniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziałam i jaki kiedykolwiek zobaczę. Trudno słowami opisać jego wspaniałość — był duży, większy niż się spodziewałam, i doskonały pod każdym względem. Ciemnoniebieski jak tropikalne morze, jasnoblękitny jak bezchmurne niebo, z czerwonym refleksiem, co niby promień zachodzącego słońca załamywał się w morskiej toni. Ale to jeszcze nie wszystko — ten opal miał w sobie czar, jakąś pulsującą siłę, on żył, wciąż się zmieniał... Byłam oszołomiona i jakby zamroczona, gotowa zagubić się w feerii roziskrzonych barw, zatopionych w otchłani niebieskości. Miał moc ten kamień. Moc, która przyciągała, kusiła. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki, by go nie dotknąć.

— O nie, nie — powiedziała. — Pani myśli, że może mi go zabrać, tak? Że go pani wreszcie odnalazła? A ja powiem tak, pani Madden: ja go pani tylko pokazuję, to wszystko. Uznałam, że powinna go pani zobaczyć przed śmiercią.

— Przed śmiercią?!

— Senna pani, nieprawdaż? Nie będzie bolało. Nic pani nie poczuje. Wsypałam coś do herbaty... miły, spokojny sen, tylko sen. Proszę spojrzeć na moje ręce. Są silne, a pani ma cieniuchną szyjkę. Często się jej przyglądałam. Łatwo pójdzie. Wiem, gdzie nacisnąć. Ale zaczekam, aż pani zaśnie. Nie lubię przysparzać cierpienia, więc tak lepiej... Nic pani nie poczuje.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, bo mówiła tak spokojnie i trzeźwo, że poważnie się zaniepokoiłam. Tylko gdy wspominała o Zielonym Blasku, wpadała w obłądne podniecenie.

Byłam w domu sama z szaloną kobietą. Nie traktowałam jej dziwactw zbyt poważnie, póki nie zobaczyłam Zielonego Blasku. Wtedy nabrałam pewności, że jest opętana. Wsypała środek usypiający do mojej herbaty, i coraz bardziej odczuwałam skutki jego działania.

Rozważałam, czy nie udałoby mi się dopaść drzwi, ale moje członki były jak z ołowiu.

Pani Laud spoglądała na swoje ręce, ręce, którymi miała mnie udusić, gdy głęboko zasnę.

Muszę więc czuwać, myślałam. Nie wolno mi zasnąć, muszę znaleźć jakiś sposób, by ją przechytrzyć.

— Dobrze pani gra na szpince, pani Laud — powiedziałam.

To było niesamowite! Jak ona przeistaczała się z okrutnej zabójczyni w łagodną gospodynię!

— Tak, grywałam dla pana Hennikera. Opowiadał mi o pani matce. Nie bardzo byłam tym zachwycona, bo sama interesowałam się panem Hennikerem. Ale on miał jakąś obsesję z tym graniem i jej powrotem. Grałam więc, a on mówił, że mu to przypomina jego Jessikę.

— A potem grała pani dla mnie.

— Wtykała pani nos w nieswoje sprawy i szukała Zielonego Blasku. Wiedziałam. Czerpałam znakomite pomysły z siły tego kamienia. Widziałam, jak zdejmowała pani z panem Maddenem obraz ze ściany. Nie chciałam, żeby Liliias wyszła za Jeremy'ego Dicksona. Chciałam dla niej pana Maddena. Tak sobie wymarzyłam. Myślałam, że pan Henniker zostawi Zielony Blask panu Maddenowi i wtedy będzie on także po części własnością Liliias. Ale nie, on już wtedy był mój.

Co tam Liliias... pani się zjawiała i trzeba się było pani pozbyć. Nie chciałam nawet, żeby Liliias go miała. Chciałam go zatrzymać dla siebie.

— Żeby pani służył, prawda?

Przytaknęła.

— Pierwszy raz przyszło mi to do głowy, gdy przyjechał do nas Tom Paling. Poszłam do stajni i zrobiłam co trzeba przy kole od powozu. Paling miał wypadek, a Jimson dostał pracę, w której jest bardzo dobry. Widzi pani, Blask podsuwa różne pomysły i wskazuje, jak je realizować.

— To pani zwabiła mnie do galerii.

— Chciałam, żeby pani myślała, że to matka panią ostrzega.

— Dlaczego chciała mnie pani ostrzec?

— Blask jest sprytny. Nigdy nie robi nic bez powodu. Chciałam, żeby pani powiedziała wszystkim, że się boi... bo mąż chce się pani pozbyć. Gdy żony giną w tajemniczych okolicznościach, pierwszymi podejrzanymi są mężowie. Wiem, jak było. Osobne sypialnie i...

Iza Bannock. Pomyślałam, że komuś się pani zwierzy. A on grał kiedyś na szpince. Ben lubił, gdy on grał. I o schodach także wiedział, prawda?

— Grała więc pani i uciekała schodami, a potem spowodowała, że spadłam. Gdybym się zabiła, podejrzany byłby mój mąż.

— To nie był tak całkiem pomysł Blasku. Raczej mój. Niezbyt dobry. Spadając ze schodów nie można się zabić. I to granie... Łatwo można mnie było złapać. Ale gdyby coś się pani stało, przestałaby pani węszyć, przynajmniej na jakiś czas. Liliś wszystko popsuła. Histeryzowała, że gram na szpince. Ona i Jimson starali się mnie powstrzymać. Zawsze mnie pilnowali. Nie wiedzieli, rzecz jasna, że mam Blask, ale uważali, że się zmieniałam, i to ich przerażało.

Nie wolno mi było zasnąć, musiałam sprawić, by mówiła.

— I nie myślała już pani o małżeństwie Liliś z moim mężem?

— Hm, byłoby dobrze, gdyby za niego wyszła, ale najważniejszy był Zielony Blask. Gdy tamtego wieczoru weszłam i zobaczyłam Ezrę Bannocka zaglądnącego do mojego pudełka z niemi, wiedziałam, że wie. Miał to wypisane na twarzy.

— I zabiła go pani.

— Tak. Czekałam na niego przy Żlebie Grovera. Zastrzeliłam go i zakopałam. Leżałby tam sobie długie lata, gdyby nie ten koń. I nie kto inny go znalazł, tylko pani. Właśnie... Przyszło mi do głowy, że pani jest Złem. Blask mi to podpowiedział, więc wiedziałam, że mam rację.

— A list od Jeremy'ego Dicksona?

— Całymi godzinami kopiowałam jego pismo z listu, którym potwierdził przyjęcie zaproszenia na „poszukiwanie skarbów”. Znowu Blask mną kierował. Ale Liliś... moja własna córka wszystko popsuła. Znalazła list. Czego szukała w pani pokoju? Była zazdrosna o Jeremy'ego. Tak czy siak, znalazła list i przysięgała, że to nie jego pismo. Pojechała z listem do Miasteczka, i znowu wszystko było na nic. Ale teraz się uda.

Skrzywiła się, pomyślałam: zaraz wybuchnie płaczem.

— Widziałam to w twarzy pana Maddena. Widziałam, że nie popuści. Ktoś nastawał na pani życie i pan Madden zamierza dowiedzieć się kto. Jest taki sam jak Ben Henniker. Będzie drażył i drażył, aż dotrze do sedna... muszę go powstrzymać.

— Nie uda się pani. Popatrzyła na mnie chytrze.

— Zielony Blask znajdzie sposób. On zawsze znajduje sposób. Nie ma na niego silnych. Nie udaje się tylko wtedy, gdy go nie słucham... jak z tą sakiewką. Głupio zrobiłam. Zabrałam ją, żeby myśleli, że to grabież. Ale powinnam ją była wyrzucić w buszu. Wtedy nie byłoby możliwości, że ją ktoś znajdzie. Ale już nigdy nie będę postępować wbrew Blaskowi. On jest wszechmocny. Nic go nie pokona.

— Próbowwała mnie pani zabić, a jednak się nie udało. Dwa razy się nie udało.

— Nie rozumiałam, co Blask chce mi powiedzieć.

— A teraz pani rozumie?

— Tak. Teraz wszystko jest jasne.

O Boże, modliłam się, daj mi przewyciężyć to wszechogarniające pragnienie, by zamknąć oczy i osunąć się w niebyt. Pomóż mi, muszę czuwać. Jestem bezpieczna, póki nie śpię. Muszę sprawić, by mówiła dalej.

— To się nie uda, pani Laud.

Spojrzała wystraszona.

— Dała mi pani środki usypiające i zamierza mnie pani zabić.

Przytaknęła, uśmiechając się dobrotliwie. Spoglądała na ręce, rozprostowywała palce i zginała je.

— Powiedzmy, że mnie pani zabije — mówiłam. — Będę tu w tym pokoju. Jak pani się wytłumaczy? Posądzą panią o morderstwo. A mordercy nie mają prawa żyć, pani Laud. Co więc pani z tego przyjdzie?

— Nie będzie pani tutaj — odpowiedziała. — Pani zniknie.

Zaśmiała się upiornym śmiechem, aż ciarki przeszły mi po plecach. W dłoni wciąż trzymała Zielony Blask. Wyglądało na to, że nie chce go odłożyć mniemając, iż wówczas jego moc mogłaby ją opuścić.

Nie odzywałam się, bo gdy ona zapominała o moim istnieniu — tak jak teraz — zyskiwałam na czasie. Wiedziałam, że mnie nie dotknie, póki czuwam. Nie była brutalna z natury, ale to coś, czemu się poddawała, czyniło ją zdolną do brutalności.

Myślałam o Jossie. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Cierpłam na wspomnienie naszych utarczek. Tyle mieliśmy sobie do wyjaśnienia... Dla mnie najważniejsze było to, że zszedł do kopalni i mnie stamtąd wydostał, że ryzykował życie, by mnie ratować. Przyjechał do kopalni najszybciej, jak potrafił. Kocha mnie. Pragnie mnie. To on skradał się pod moimi drzwiami. Dał

Arlekina Izie Bannock, by obudzić we mnie prawdziwe uczucie, i udało mu się to, bo za sprawą Arlekina uświadomiłam sobie, jak go potrzebuję. Oboje byliśmy głupi, nie chcieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy. Ben był od nas mądrzejszy. I teraz, wiedząc to, mogłam wszystko stracić.

Duma dzieliła nas tak długo — moja nie była mniejsza niż Jossa — a tymczasem, w swojej nieświadomości, Joss zostawił mnie sam na sam z morderczynią.

Śmierć jest tak blisko, myślałam, jeśli zwycięży, nigdy nie zaznam życia, które obiecał mi Joss.

Widziałam przed sobą dwie drogi — jedna kończyła się gwałtowną śmiercią, druga, pełna ekscytujących zakrętów i zwrotów, była życiem z Jossem. Och, gdzie jesteś, Joss? Chcę zacząć wszystko od nowa!

Jak to się skończy? Joss był daleko, na fałszywym tropie, ścigając Jeremy'ego Dicksona, a on siedział sobie spokojnie w biurze w Sydney i rozprawiał o walorach rozmaitych kamieni, które znaleziono ostatnio w Miasteczku Kapryś.

Pani Laud tymczasem przypomniwała sobie o mnie.

— Wszystko gotowe. W ogrodzie... tam panią zakopię. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać w ogrodzie. Schowam pani torbę podróżną, będzie też brakowało paru ubrań.

— Nie może pani tego zrobić, pani Laud. Proszę tylko pomyśleć, co się stało z sakiewką Ezry Bannocka. Blask nie najmądrzej to zaplanował, prawda?

— Powiedziałam już pani, że on tego nie zaplanował. To był mój błąd. Nie kpiłabym z niego na pani miejscu, pani Madden. On nie wybacza. Ostrzegł mnie. Mówił: „Zakop ją głęboko. Nikt nie może jej znaleźć, tak jak to się stało z sakiewką”.

— Pani jednak popełniła błąd z tą sakiewką.

— Ale on mnie ostrzegał. To była nauczka. Czasami robi się błędy.

— Dziwnie mi siedzieć tu i rozmawiać o własnym pochówku.

— Co też pani, pani Madden. Żarty się pani trzymają, a to nie żarty. Powiem im, że pani miała Zielony Blask, że mi go pani pokazała, że próbowałam pani wytłumaczyć, aby pani dała spokój, że poszła pani dokądś, zabierając kamień.

— Niemożliwe. Póki nie zabije pani Dymnej i jej także nie zakopie, to niemożliwe.

— Nie, nie. Pani odejdzie z kimś, kto po panią przyjedzie, będzie miał konie i odjedziecie razem.

— Z Jeremym Dicksonem, jak sądzę.

— Może być na początek...

— A gdy on wróci?

— Blask coś wymyśli. Ale dlaczego pani nie zasypia? Lepiej już by pani zasnęła. Żeby wreszcie było po wszystkim.

— Nie zamierzam spać.

— Musi pani. Nie wytrzyma pani.

Była zaślepiona. Widziałam w jej oczach błysk żądy i myślałam: to przez ten kamień. Ona rzeczywiście zamierza zrobić to, co powiedziała. Ten kamień zrujnował życie mojej matce, a teraz ja mam przez niego umrzeć. Widziałam go — to wystarczy, by wiedzieć, jaka jest jego siła.

Tkwią w nim piekielne moce, które ośwładnęły tę kobietą.

Chwyciłam się stołu. Naszła mnie fala niezwykłego zmęczenia. Próbowałam nie myśleć o miękkości łóżka i puchowej poduszce. Myślałam o śmierci, o tym, jak Joss wróci i dowie się, że odeszłam. Czy uwierzy, że odeszłam z Jeremym Dicksonem... że zabrałam Zielony Blask?

Muszę żyć. Muszę sobie powtarzać, że między Jossem a mną stoi szalona kobieta.

Usłyszałam własny głos:

— Nie może pani tego zrobić... Nie może pani tego zrobić... Nie może pani tego...

Widziałam jej twarz jakby unoszącą się nade mną, odartą z maski... wypisane na niej szaleństwo, mogące dać jej siłę, której potrzebowała.

Sprzęty stojące w pokoju zdawały się oddalać ode mnie. Czulałam, że jestem na zewnątrz i patrzę na to, co robią inni: ja sama bezwolna, ciągnięta do ogrodu, tam gdzie lekka, sypka ziemia zamienia się w uprawny grunt. Najpierw szybko mnie zakopie... potem poprawi, pogłębi grób.

Ukryje moje ubrania.

Widziałam Jossa wracającego z bezowocnych poszukiwań Dicksona. Wyobrażałam sobie, jaki będzie wściekły, jak ucierpi jego duma. Nie znosił, gdy go odpychałam. Odwzajemniał się, raniąc mnie swymi awansami wobec Izy Bannock.

A teraz pomyśli, że go oszukałam. Czy mógłby tak pomyśleć? Może plan pani Laud spali na panewce. Z kim mogłabym odejść? Nie było nikogo takiego.

Z drugiej jednak strony, kto by posądził spokojną gospodynię o tak diaboliczne zamiary?

— Nie... nie... nie ... — mruzczałam.

Minuty mijały.

„Kuku-kuku”, powtarzała kukułka w zegarze wiszącym na ścianie. Słyszałam nie kończące się kukanie i czulałam, jak osuwam się w nicość i znów powracam do świadomości.

Pani Laud zaczęła się niepokoić.

— Nie pojmuję tego. Już dawno powinna pani spać.

— Moja wola życia jest silniejsza niż pani środki usypiające, pani Laud.

— Wszyscy będą myśleć, że to pani ma Zielony Blask.

— On jest mój... zgodnie z prawem. Jest wspólną własnością moją i mojego męża. Może Zielony Blask o tym wie?

Zobaczyłam w jej oczach prawdziwy strach.

— Tak — mówiłam. — Na pewno wie. Proszę zobaczyć, jakie mi rzuca blaski. O tak, on wie, że należy do mnie.

— Nie. To ja go miałam przez cały ten czas. Nie ten go ma, kto go ma zgodnie z prawem. On miał być mój. Nigdy niczego nie miałam, a mając Blask, mam wszystko. On cały czas mi służy.

— Ale nie przeciwko mnie, pani Laud. Spowodowała pani wypadek Toma Palinga, zabiła Ezrę Bannocka. Zwabiła mnie pani na schody i uszłam cało. Próbowwała pani z kopalnią, zostałam odratowana.

Jej twarz zrobiła się szara.

— Widzi pani — ciągnęłam. — Blask nie pozwoli zrobić mi krzywdy, bo to ja jestem jego właścicielką. On jest mój, pani Laud.

— Nigdy go nie oddam, nigdy — zaskrzeczała.

— Przecież to tylko kawałek opalu... grudka tlenku krzemu leżąca przez jakiś czas w skałach.

Jak może pani przypisywać mu nadzwyczajne moce?

Patrzyła, jakby nie rozumiała sensu moich słów.

— Wyrządziła pani tyle zła — mówiłam dalej. — Nie widzi pani tego?

Patrzyła na mnie tępo.

O Boże, dziękuję ci, że potrafisz przewyciężyć senność. Muszę próbować. Chcę żyć. Niech ona tylko coś mówi. Muszę pamiętać, że Joss czeka, że mam rozpocząć życie, jakiego nigdy nie zaznałam.

— Pani jest opętana tym kamieniem, pani Laud... jego legendą... ale to są wytwory pani wyobraźni, a nie rzeczywistość.

— Jak pani śmie nazywać go zwyczajnym kamieniem? Nie miała go pani blisko, nie trzymała w dłoniach. Proszę spojrzeć... Nie ma pani pojęcia...

— Niech mi go pani pokaże. Proszę mi go dać potrzymać...

Potrząsnęła głową.

— O nie, może pani na niego tylko patrzeć. Tylko patrzeć... O, słońce chowa się w morzu.

Jeśli się pani dobrze przyjrzy, może zobaczy pani zielony blask.

Nagle wydało mi się, że słyszę głosy na dole. Ktoś przyszedł. Spojrzałam na panią Laud, ale ona była zajęta podziwianiem opalu i własnymi myślami.

Uczucie ulgi rozlało się po całym moim ciele. Zwyciężyłam.

Drzwi otwały się. To był Joss z Jimsonem.

— Mamo! — wykrzyknął Jimson łamiącym się głosem.

Wstała i utkwiała wzrok w synu,

— Przyprowadziłeś go! — zawyła. — Najpierw Liliasek... teraz ty. Moje własne dzieci...

Stała ściskając kamień w dłoni. Joss patrzył na mnie, wstałam i ruszyłam chwiejnym krokiem w jego stronę. Teraz, kiedy nie musiałam już trzymać się kurczowo trzeźwości, pragnienie snu okazało się silniejsze ode mnie.

Joss chwycił mnie w ramiona. Powtarzał moje imię — jak wiele potrafił wyrazić! Przytulił mnie, byłam szczęśliwa.

Usłyszałam pełen cierpienia, błagalny głos Jimsona:

— Mamo, musiałem... Wiedziałem, że coś jest nie tak...

— Proszę dać mi to, co trzyma pani w ręku, pani Laud — powiedział Joss.

Przeraźliwy krzyk wyrwał mnie z omdlenia, a potem była już tylko cisza, która trwała i trwała.

Gdy się zbudziłam po długim śnie, pamiętałam wszystko bardzo dokładnie — każde załamanie jej głosu, każdy grymas twarzy.

Joss opowiedział mi, jak krzyczała, że nigdy nie odda Zielonego Blasku, i nim ją powstrzymali, rzuciła się ku tarasowi.

Leżała później na dole martwa, z Zielonym Blaskiem w zaciśniętej dłoni.

* * *

W sześć miesięcy później wróciliśmy do Dębowego Dworu — nie ten sam Joss, nie ta sama Jessika.

Były to cudowne miesiące wielkich odkryć, wielkiej przygody — kochaliśmy i byliśmy kochani. Liliasek wyszła za Jeremy'ego Dicksona, jeszcze zanim popłynęliśmy do Anglii. Dużo rozmawialiśmy ze sobą i Liliasek powiedziała mi, jak ona i jej brat zaczęli zdawać sobie sprawę, że matka popada

w obłąd, lecz nie wiedzieli, że choroba posunęła się aż tak daleko. Nie wiedzieli, rzecz jasna, że matka ma Zielony Blask. Odkryli, że gra na szpince, i to tak zdenerwowało Lilię, że zaczęła histerycznie płakać. Oboje, i ona, i Jimson, w trosce o matkę zastanawiali się, po co to robiła. Gdy spadłam ze schodów, a potem zostałam zwabiona do kopalni, zaczęli snuć podejrzenia, i dlatego Jimson, dowiedziawszy się, że wciąż jeszcze słaba, zostałam w domu sama z jego matką, postanowił powiedzieć Jossowi, iż niepokoi się o moje bezpieczeństwo, dzięki czemu Joss wrócił o wiele wcześniej.

Lilię, wielce strapioną, próbowała się tłumaczyć, ale powiedziałam, że nie ma potrzeby.

Doskonale ich rozumiałam. Starali się bronić matki, która zrobiła dla nich wszystko, gdy byli bezbronnymi dziećmi.

Zamieszkała w Pawim Domu — pracowała dla Bena, kochała go i miała nadzieję, że za niego wyjdzie. Ben jednak nie chciał małżeństwa. Musiała więc zadowolić się dachem nad głową dla siebie i dzieci. Miała tradycyjne przekonania i sytuacja była dla niej bardzo trudna. Wyobrażałam sobie, jak zмага się z własnym sumieniem, jak je uspokaja, mając na uwadze dobro dzieci.

Istniejący stan rzeczy musiał ją jednak gnębić, wciąż więc próbowała inaczej wszystko ułożyć.

Gdyby Lilię wyszła za Jossa, jej własna przeszłość nabrałaby większej wartości. Myślała o tym, jak twierdziła Lilię, i dlatego sprzeciwiała się związkowi córki z Jeremym Dicksonem.

Potem znalazła Zielony Blask i straciła rozum. Popchnęło ją to do okaleczenia Toma Palinga, zamordowania Ezry Bannocka i prób wysłania na tamten świat, także mnie. W zakamarkach jej umysłu wciąż tkwiła myśl, że Joss mógłby ożenić się z Lilię. Najbardziej jednak się bała, że mogłabym odnaleźć Zielony Blask. Była zazdrosna o moją matkę, a to znaczyło, że była wrogo usposobiona do mnie, i to od samego początku. Wspaniale skrywała swą niechęć unізonością i nieustającym pragnieniem bycia pomocną. Wydawało się niemożliwe, by była aż tak obłądna.

Doszłam jednak do wniosku, że w rzeczywistości istniały dwie panie Laud — gospodyni skłonna wszystkim dogadzać, wzorowo prowadząca dom, i szalona kobieta, której umysł został opętany zachwycającym Zielonym Blaskiem i całkowicie przezeń zniewolony.

Współczułam Jimsonowi i Lilię. Na szczęście Lilię pocieszał Jeremy, a Jimson znajdował pociechę w pracy.

Do Anglii postanowiliśmy pojechać z powodu Zielonego Blasku. Omówiliśmy szczegółowo tę sprawę z Jossem, jako jedną z wielu spraw, co do których mieliśmy odmienne zdanie i które traktowaliśmy jak urozmaicenie nowego życia.

Joss śmiał się z naszych żarliwych sprzeczek.

— Zawsze wiedziałem, że mogę się spodziewać fajerwerków — powiedział kiedyś.

— Fajerwerki dają tyle wspaniałego blasku — odparłam. — Musisz przyznać, że miło na nie

patrzyć.

Oczywiście Miasteczko czekało, aż dopadnie nas zły los.

— Ten kamień zawsze będzie rodził nowe legendy — twierdziłam.

— Naturalnie, jest przecież wyjątkowy.

Joss lubił brać go w ręce i przyglądać mu się.

— Ogarnia cię obsesja, Joss — zarzucałam mu.

— Bzdury. Mam tylko jedną obsesję.

— Mianowicie?

— Świetnie wiesz, ciebie.

— Och, Joss — zawołałam — mówisz czasem takie cudowne rzeczy! Ale obsesje szybko mijają.

— Oto cała ty: nigdy nie usatysfakcjonowana.

— Swego czasu twoją obsesją była Iza Bannock.

— Ale to było przed twoim przyjazdem. Wszyscy mieli obsesję na punkcie Izy Bannock.

Zakochałem się w niej, kiedy miałem szesnaście lat... razem ze wszystkimi.

— Ale ty trwałeś w tym uczuciu.

— Ona tego oczekiwała. — I dałeś jej Arlekina.

— Wyłącznie po to, by cię podrażnić.

— Czasami cię nienawidzę, Jossie Madden.

— Wiem. To właśnie czyni naszą miłość tak wspaniałą.

Nagle spowaźniał.

— Zapomnij o Izie. To już minęło. Zachowywałem się tak, bo mnie nie chciałaś. Gardziłaś mną... gardziłaś Pawiem. Pawie tego nie lubią, stają się dokuczliwe.

— To była najokrutniej sza rzecz, jaką mogłeś zrobić... dać jej Arlekina.

— Odkupię tę winę. Zamierzam ofiarować ci coś o wiele bardziej wartościowego. Zielony Blask.

— Nie, Joss.

— Tak. Zapomnisz wtedy o Arlekinie. Rezygnuję ze swojej części. Będzie tylko twój. Jest wart tysiąc razy więcej niż Arlekin.

— Chciałam porozmawiać z tobą o Zielonym Blasku. Obawiam się go.

— Ty? Obawiasz się kamienia?

— Zrujnował życie mojej matce. Zmienił moje. Z jego powodu zginął Ezra. Tom Paling miał zginąć z jego powodu... ja także.

— Ale nie możesz pozwolić na to, żeby całe to gadanie o nieszczęściach napawało lękiem także ciebie!

— Nie myślę o sobie, lecz o rodzinie... Nie chcę ryzykować. To zbyt dla mnie cenne...

— Ja? Dziecko?

Przytaknęłam.

Widziałam, że był wzruszony, ale zaśmiał się trochę drwiąco, trochę czule.

— Co więc proponujesz?

— Zawieźmy Zielony Blask do Londynu i podarujmy go tamtejszemu muzeum geologicznemu. Ludzie będą mogli go oglądać i podziwiać, wystrychniemy na dudka diabła, który w nim siedzi, bo kamień nie będzie należał do nikogo.

— A więc nie przyjmujesz mojego prezentu?

— Twój prezent, Joss, to nie kamień. To coś dużo wartościowszego.

— Widzę, że stajesz się coraz bardziej sentymentalna.

— Przeszkadza ci to?

— Jak mogłoby mi przeszkadzać, skoro to samo dzieje się ze mną?

* * *

Pragnęłam, by moje dziecko urodziło się w Dębowym Dworze. Joss gotów był ulec tej zachciance. Wiedziałam, że cieszyłby się z tego także Ben. Joss był jego synem. Do drzewa genealogicznego w holu, które tak go fascynowało, trzeba będzie dorysować nową gałąź. Pan Wilmot i pani Bukiet z pewnością uznają to za słuszne i potrzebne.

Dębowy Dwór nic się nie zmienił. Czyż miał się zmienić tylko dlatego, że wyjechałam do Australii, zakochałam się tam i omal nie zginęłam? On, który stoi na Dębowym Polu setki lat i bez wątpienia

był świadkiem nie takich tragedii i komedii?

Miriam została matką.

— Będzie przeklinała dzień, w którym urodziła — mawiała babka.

Dziadek był nieco odważniejszy w stosunku do babki, a bicz, którym ona nieustannie go smagała, nie zostawiał już tak bolesnych śladów — wszystko to od czasu, gdy Dwór za moją sprawą wrócił do rodziny. Xavier ożenił się z lady Klarą i zarządzał ziemiami Donninghamów.

Babka okazywała mi nawet szacunek i interesowała się dzieckiem, które miało się narodzić w Dębowym Dworze — co bardzo pochwalała. A po paru pierwszych potyczkach z Jossem wręcz go polubiła. Wyczuwała w nim, jak sądzę, siłę, której nawet ona nie mogła się nie podporządkować.

„Cóż, w końcu większą część swego wykształcenia odebrał w Anglii” — mawiała. Oznaczało to, że można go zaakceptować, a fakt, że przywrócił Dębowy Dwór do dawnej świetności, czynił

go wręcz godnym podziwu w jej oczach.

Mój syn urodził się w sklepionej komnacie, w której przychodzili na świat wszyscy moi przodkowie.

To wydarzenie było kulminacją mojego szczęścia. Siedziałam na wielkim łożu z baldachimem, patrzyłam na trawniki, które pielęgnowano tu przez setki lat, i miałam uczucie, że wróciłam do domu. Jednocześnie wiedziałam,

że nic nie było dla mnie tak ważne, jak bogate, pełne życie, które miałam dzielić z moim mężem i synem.

Przyszedł Joss. Zachwycił się maleńką istotką, jakby nie mógł uwierzyć, że jest prawdziwa.

Potem zwrócił się do mnie i powiedział:

— Wspaniale, prawda? — Co?

— Życie — odparł. — Po prostu życie.

— Wspaniale — przyznałam. — I będzie jeszcze wspanialsze.

— Któż może być tego pewien?

— Ja. Ja jestem tego pewna.